PANI ŚMIERĆ

NAJSŁYNNIEJSZA SNAJPERKA FRONTU WSCHODNIEGO

LUDMIŁA PAWLICZENKO

LUDMIŁA PAWLICZENKO

PANI ŚMIERĆ

NAJSŁYNNIEJSZA SNAJPERKA FRONTU WSCHODNIEGO

WYDAWNICTWO RM

Pani Śmierć. Najsłynniejsza snajperka frontu wschodniego

Ludmiła Pawliczenko

Tłumaczenie: Marcin Cybulski

Original title: *Я — СНАЙПЕР. В боях за Севастополь и Одессу*
Copyright © *Бегунова А. И., Издательство "Вече"* 2015
published by arrangement with Greenhill Books, London, UK.
All rights reserved

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25
rm@rm.com.pl
www.rm.com.pl

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy. Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w niniejszej publikacji są znakami towarowymi zastrzeżonymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm odnośnych właścicieli. Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książce, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawnictwo RM nie jest w żadnym przypadku odpowiedzialne za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej publikacji, nawet jeśli Wydawnictwo RM zostało zawiadomione o możliwości wystąpienia szkód.

ISBN 978-7773-748-4
ISBN 978-83-7773-952-5 (ePub)
ISBN 978-83-7773-953-2 (mobi)

Redaktor prowadzący: Irmina Wala-Pęgierska
Redakcja: Mirosława Szymańska
Korekta: Dorota Wojciechowska
Nadzór graficzny: Grażyna Jędrzejec
Projekt okładki: Studio GRAW
Edytor wersji elektronicznej: Tomasz Zajbt
Opracowanie wersji elektronicznej: Marcin Fabijański
Weryfikacja wersji elektronicznej: Justyna Mrowiec

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem: rm@rm.com.pl

SPIS TREŚCI

Słowo do Czytelników
Rozdział 1 MURY FABRYCZNE
Rozdział 2 JEŚLI JUTRO WOJNA…
Rozdział 3 OD RZEKI PRUT DO RZEKI DNIESTR
Rozdział 4 RUBIEŻE OGNIOWE
Rozdział 5 BITWA POD WSIĄ TATARKA
Rozdział 6 PRZEZ MORZE
Rozdział 7 LEGENDARNY SEWASTOPOL
Rozdział 8 LEŚNYMI ŚCIEŻKAMI
Rozdział 9 DRUGI SZTURM
Rozdział 10 POJEDYNEK
Rozdział 11 NA WZGÓRZU BEZIMIENNYM
Rozdział 12 WIOSNA CZTERDZIESTEGO DRUGIEGO ROKU
Rozdział 13 SŁOWO DOWÓDCY ARMII
Rozdział 14 MOSKIEWSKIE GWIAZDY
Rozdział 15 MISJA W WASZYNGTONIE
Rozdział 16 „MY DARLING”
Rozdział 17 „TOWARZYSZ STALIN WYDAŁ NAM ROZKAZ…”
Rozdział 18 POCIĄG PANCERNY NA BOCZNICY KOLEJOWEJ
Od tłumacza polskiego wydania
Bibliografia

SŁOWO DO CZYTELNIKÓW

Bohater Związku Radzieckiego L. M. Pawliczenko jest jedyną kobietą snajperem, która na swoim koncie ma 309 zlikwidowanych żołnierzy i oficerów przeciwnika. Znajduje się ona w gronie najpopularniejszych w naszym kraju i za granicą SZEREGOWYCH uczestników II wojny światowej. W latach 1942–1945 na froncie radziecko-niemieckim rozpowszechniono ponad sto tysięcy ulotek z jej podobizną (a Ludmiła Michajłowna była piękną kobietą) i wezwaniem „Uderz wroga celnie!”. Po śmierci Ludmiły Pawliczenko w 1974 roku jej imieniem nazwano statek Ministerstwa Gospodarki Rybnej ZSRR, jedną z ulic w centrum Sewastopola oraz szkołę nr 3 w mieście Biała Cerkiew w obwodzie kijowskim, do której uczęszczała od klasy pierwszej do siódmej.

Kompletną, szczerą biografię bohaterki czyta się jak najbardziej zajmującą powieść. Są w tej powieści karty tragiczne – przecież Pawliczenko, wstąpiwszy 26 czerwca 1941 roku na ochotnika w szeregi Armii Czerwonej, wraz ze swoim 54. Pułkiem Strzelców przebyła ciężką drogę odwrotu od zachodnich granic kraju do Odessy. Są też stronice heroiczne: podczas obrony tego miasta w ciągu dwóch miesięcy zlikwidowała ona 187 faszystów. Obrona Sewastopola jeszcze bardziej rozsławiła najlepszego snajpera 25. Dywizji Strzelców „Czapajewskiej”, ponieważ wtedy liczba zabitych wrogów na jej prywatnym koncie wzrosła do 309. Są też wreszcie stronice liryczne: na wojnie Ludmiła spotkała swoją wielką miłość – odważny towarzysz z pułku, podporucznik Aleksiej Arkadjewicz Kicenko został jej mężem.

Zgodnie z decyzją J. W. Stalina w sierpniu 1942 roku młodzieżowa delegacja komsomolska w składzie N. Krasawczenko, W. Pczelincew i L. Pawliczenko wyleciała do USA,

by tam uczestniczyć w pracach Światowego Zgromadzenia Młodzieży. Komsomolcy mieli za zadanie agitować na rzecz jak najszybszego otwarcia drugiego frontu w Europie Zachodniej…

Pomimo zakazu Pawliczenko prowadziła na wojnie pamiętnik, w którym robiła bardzo krótkie zapisy, choć snajperowi nie codziennie udawało się wziąć do ręki ołówek czy długopis. Walki w Sewastopolu charakteryzowały się zaciętością i okrucieństwem.

Przeszedłszy w roku 1953 w stan spoczynku (w stopniu majora Marynarki Wojennej), Ludmiła Michajłowna przypomniała sobie o swoich notatkach z czasów wojny. Będąc z wykształcenia historykiem, z powagą odnosiła się do pamiętnikarstwa i była zdania, że opublikowanie ich będzie się wiązało z długotrwałą pracą w bibliotekach i archiwach. Pierwszy krok w tym kierunku zrobiła w 1958 roku, kiedy to na zamówienie Państwowego Wydawnictwa Politycznego napisała niewielkich rozmiarów broszurę (72 strony) pod tytułem *Bohaterska historia prawdziwa. Obrona Sewastopola*[1], a następnie szereg artykułów dla różnych opracowań zbiorowych i czasopism. Nie były to jednak wspomnienia z czasów służby snajperskiej, a raczej mające charakter ogólny opowieści o najistotniejszych wydarzeniach, które rozgrywały się na przedniej pozycji oraz na tyłach Sewastopolskiego Rejonu Obronnego w okresie od października 1941 roku do lipca 1942.

Po opublikowaniu tych materiałów L. M. Pawliczenko została w 1964 roku przyjęta do Związku Dziennikarzy ZSRR, w którym objęła stanowisko sekretarza sekcji wojenno-historycznej oddziału w Moskwie.

Dzięki ścisłym kontaktom z kolegami po piórze oraz aktywnemu udziałowi w wojenno-patriotycznym wychowaniu dorastającego pokolenia, Pawliczenko doszła do wniosku, że

książka, której autorem jest starszy sierżant – dowódca plutonu strzelców wyborowych, w dodatku zawierająca wiarygodny opis licznych szczegółów służby w piechocie, może wzbudzić zainteresowanie dzisiejszych czytelników.

W końcu lat 60. zaczęły się pojawiać nie tylko wspomnienia autorstwa wysokich rangą dowódców, dotyczące pomyślnych operacji Armii Radzieckiej w roku 1944 i 1945, lecz także szczere wyznania dowódców i pracowników politycznych Armii Czerwonej o trudnych, a niekiedy nawet tragicznych początkach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Można tu przywołać wspomnienia I. I. Azarowa *Oblężona Odessa*[2], zbiorek *Przy czarnomorskich twierdzach*[3], w którym znalazły się artykuły byłego dowódcy 25. Dywizji „Czapajewskiej" T. K. Kołomijca; L. M. Pawliczenko; byłego grupowego komsomolskiego 54. Pułku J. J. Waśkowskiego oraz wspomnienia szeregowego uczestnika obrony Odessy N. M. Aleszczenko *Oni bronili Odessy* (wyd. DOSAAF, Moskwa 1970).

Zapoznawszy się z treścią wspomnianych wyżej publikacji, Ludmiła Michajłowna przystąpiła do pracy. Nosiła się z zamiarem napisania o wszystkich szczegółach pracy snajpera na froncie: o metodach przygotowywania się, taktyce na polu walki, a najbardziej o broni, którą dobrze znała i namiętnie kochała. W latach 40. i 50. takie informacje absolutnie nie mogłyby jednak ujrzeć światła dziennego, choć jednocześnie bez nich mówienie o starciach strzelców wyborowych z przeciwnikiem byłoby niepełne. Mając to wszystko na uwadze, Pawliczenko skrupulatnie dobierała materiały i poszukiwała optymalnej formy literackiej dla swoich rękopisów. Rozumiała, że okres dwudziestu lat, które upłynęły od zakończenia Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, w żaden sposób nie sprzyja wcieleniu w życie powziętych zamiarów. Wielu spraw nie sposób było sobie przypomnieć,

a liczne notatki przepadły. Oprócz tego niemało cennych dokumentów i fotografii z prywatnego archiwum autorki przekazano już wtedy do muzeów – Centralnego Muzeum Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie oraz do Państwowego Muzeum Bohaterskiej Obrony i Wyzwolenia Sewastopola.

Niestety ciężka i długotrwała choroba przeszkodziła słynnej bohaterce ukończyć pracę i ujrzeć wydane wspomnienia snajpera. Fragmenty tego rękopisu ocalały dzięki staraniom Lubow Dawydowny Kraszennikowej-Pawliczenko, wdowie po synu Ludmiły Michajłowny – Rostisławie Aleksiejewiczu Pawliczenko.

A. I. Biegunowa
autor opracowania

Przypisy

[1] Л. М. Павличенко, *Героическая быль. Оборона Севастополя 1941–1942 гг.*, Москва 1958.
[2] И. И. Азаров, *Осаждённая Одесса*, Москва 1966.
[3] *Сборник военных мемуаров. У черноморских твердынь*, Москва 1967.

Rozdział 1

MURY FABRYCZNE

Latem 1932 roku w życiu naszej rodziny nastąpiła znacząca zmiana. Z prowincjonalnego miasteczka Bohusław, znajdującego się na południu obwodu kijowskiego, przenieśliśmy się do stolicy Ukrainy, gdzie zajęliśmy mieszkanie służbowe przydzielone mojemu ojcu, Michaiłowi Iwanowiczowi Biełowowi. Ojciec – pracownik Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych (NKWD) – otrzymał stanowisko w centralnym aparacie tego resortu w nagrodę za sumienne wykonywanie swoich obowiązków.

Był on człowiekiem solidnym, srogim i oddanym służbie. W młodości pracował jako ślusarz w dużej fabryce, bywał na frontach I wojny światowej, wstąpił w szeregi partii komunistycznej (która nazywała się wówczas RSDRP) i uczestniczył w wydarzeniach rewolucyjnych w Piotrogrodzie. Następnie odbywał służbę w randze komisarza pułku 24. Dywizji Strzeleckiej oraz walczył z oddziałami białogwardzistów Kołczaka na środkowym Powołżu i południowym Uralu. W stan spoczynku przeszedł w 1923 roku, w wieku 28 lat, jednakże do końca swych dni żywił szacunek dla munduru wojskowego. Tak więc my, jako rodzina, widywaliśmy go na ogół w tym samym typie odzieży: gabardynowym frenczu w barwach ochronnych z wykładanym kołnierzem, z Orderem Czerwonego Sztandaru na piersi, granatowych bryczesach i oficerkach ze skóry chromowej.

Ma się rozumieć, że ostatnie słowo w rodzinnych sporach (jeśli takowe się pojawiały) zawsze należało do taty. Jednakże moja poczciwa matuchna, Jelena Trofimowna Biełowa, absolwentka gimnazjum żeńskiego we Włodzimierzu, za-

wsze wiedziała, jak złagodzić surowy charakter ojca. Była kobietą piękną, o wiotkiej, jakby wyrzeźbionej figurze, z bujnymi ciemnokasztanowymi włosami i piwnymi oczami, które rozświetlały jej twarz jakimś niezwykłym światłem.

Mama dobrze znała języki obce, których uczyła w szkole. Była przez uczniów bardzo lubiana. Zmieniając lekcję w swego rodzaju grę, tworzyła sytuację, w której uczniowie doskonale zapamiętywali wszystkie europejskie słowa – tak przecież obce językowi rosyjskiemu. Dzieci, które uczyła, nie tylko więc świetnie czytały, ale i mówiły.

W taki sam sposób mama uczyła nas – mnie oraz moją starszą siostrę Walentinę. Dzięki niej już we wczesnym dzieciństwie poznałyśmy klasykę literatury rosyjskiej, ponieważ utwory Puszkina, Lermontowa, Gogola, Lwa Tołstoja, Czechowa, Maksyma Gorkiego czy Kuprina znajdowały się w naszej domowej biblioteczce. Moja siostra, z uwagi na swój łagodny, marzycielski charakter, okazała się bardziej otwarta na obrazy utrwalone w literaturze, mnie zaś pochłonęła historia, a ściśle mówiąc – wojenna przeszłość naszego wielkiego kraju.

Zanim przenieśliśmy się do Bohusławia, przez kilka lat mieszkaliśmy w miejscowości Biała Cerkiew w obwodzie kijowskim. Tam uczęszczałam do szkoły nr 3, tam też beztrosko upłynęły moje dziecięce i młodzieńcze lata. Na ulicy Priwokzalnej, przy której mieszkaliśmy, dzieci żyły ze sobą w zgodzie i przyjaźni. Bawiliśmy się w policjantów i złodziei, latem pływaliśmy łódkami po rzece Roś, chodziliśmy na spacery do starego i pięknego parku „Aleksandria”, a jesienią urządzaliśmy najazdy na miejscowe sady. Watasze nastolatków przewodziłam ja, ponieważ najlepiej strzelałam z procy, najszybciej biegałam, dobrze pływałam i nigdy nie bałam się zainicjować bójki, pierwsza wymierzając przeciwnikowi cios pięścią w twarz.

Zaprzestałam jednak szczenięcych wybryków, kiedy skończyłam zaledwie 15 lat. Ustały nieoczekiwanie, jednego dnia. Spoglądając w przeszłość, mogłabym przyrównać to wydarzenie do prywatnego końca świata, do dobrowolnego oślepienia się i utraty rozumu. Taka była właśnie moja pierwsza, szkolna miłość. Pamięć o niej pozostanie ze mną do końca mych dni, pobrzmiewając nazwiskiem tego człowieka – PAWLICZENKO.

Na szczęście mój syn Rostisław zupełnie nie przypomina ojca – jest człowiekiem dobrym, opanowanym, o wyglądzie charakterystycznym dla członków naszej rodziny: ma piwne oczy, bujne ciemne włosy, wysoki wzrost i solidną budowę ciała. Mimo wszystko należy przecież do rodu BIEŁOWÓW i godnie kontynuuje nasze tradycje służenia Ojczyźnie. Sława z wynikiem bardzo dobrym ukończył prawo na Moskiewskim Uniwersytecie Państwowym i Wyższą Szkołę KGB. Nosi zaszczytny tytuł oficera radzieckiego. Jestem z niego dumna…

W Kijowie urządziliśmy się względnie szybko i powoli przyzwyczajaliśmy się do zgiełku stolicy. Ojca, który pełnił służbę do późnych godzin wieczornych, widywaliśmy rzadko, dlatego też nasze wspólne rozmowy z nim odbywały się zwykle w kuchni po kolacji. Mama stawiała na stole samowar i przy filiżance gorącego naparu mogliśmy dyskutować z rodzicami na różne tematy i zadawać im najprzeróżniejsze pytania. I tak już wkrótce miała się odbyć najważniejsza rozmowa.

– Co zatem zamierzacie robić, drogie dzieci? – zapytał tata, leniwie pociągając łyk herbaty.

– Na razie jeszcze nie wiemy. – Pierwsza, zgodnie z zasadą starszeństwa, odpowiedziała Walentina.

– Powinnyście pomyśleć o pracy – powiedział tata.

– O jakiej pracy? – zdziwiła się moja siostra.

– O dobrej pracy, w dobrym miejscu i z godziwym wynagrodzeniem.

– Ależ tato – zaoponowałam – skończyłam tylko 7 klas i chcę kontynuować naukę.

– Na naukę, Ludmiło, nigdy nie jest za późno – stanowczo odparł ojciec. – A na rozpoczęcie kariery pracowniczej, przy czym z właściwą adnotacją w ankiecie personalnej, jest obecnie najlepszy moment. Tym bardziej że już się umówiłem, przyjmą was.

– A gdzie? – Kapryśnie zacisnęła usta moja siostra.

– W fabryce „Arsenał”.

Gdy idzie się od parku „Askoldowa Mogiła”, po lewej stronie rozpościera się szeroka tafla Dniepru, po prawej zaś przebiega prosta i niezbyt długa ulica Arsenalna (w 1941 roku przemianowana na Moskiewską – przyp. red. ros.). Na początku tej ulicy znajduje się bardzo okazały budynek wzniesiony za czasów panowania cara Mikołaja I. Są to Pracownie Arsenału. Krąży legenda, że sam imperator położył pierwszą cegłę pod ich fundament. Mury budynku mają szerokość dwóch metrów, sięgają do wysokości drugiego piętra, a ze względu na ich jasnożółty kolor miejscowi nazywają je porcelanowymi.

W istocie jednak ani pracownie, ani sąsiadująca z nimi fabryka nie miały nic wspólnego z delikatnymi wyrobami z gliny. Fabrykę wzniesiono na mocy dekretu Katarzyny Wielkiej i budowano długo: od roku 1784 do 1803. Produkowano w niej działa, lawety, karabiny, bagnety, szable, pałasze i inny sprzęt wojskowy.

W czasach Związku Radzieckiego potężne przedsiębiorstwo zajęło się także produkcją na potrzeby gospodarki narodowej: wytwarzano pługi, zamki, pojazdy zaprzęgowe, sprzęt dla młynów i cukrowni. Pracownicy „Arsenału” pracowali w pocie czoła i w 1923 roku zostali odznaczeni przez

ukraiński rząd nagrodą Orderu Czerwonego Sztandaru Pracy.

Budynek fabryki spodobał mi się od pierwszego wejrzenia. Bardzo przypominał twierdzę. Odnosiło się wrażenie, że ten obiekt, zbudowany na planie prostokąta (168×135 m), z wielkim dziedzińcem i basztą, zaokrąglonymi murami wewnętrznymi, których pierwszy poziom ozdobiony był potężną drewnianą rustyką, niejako spłynął z dawnej grawiury batalistycznej. Brakowało jedynie fosy przy murach, mostu zwodzonego i ciężkich wrót, których strzegą wojownicy w lśniących zbrojach.

Kiedy ja i moja siostra dopełniłyśmy niezbędnych formalności (jak na przykład podpisanie klauzuli o zakazie ujawniania tajemnicy państwowej), zostałyśmy zaliczone w poczet garnizonu owej „twierdzy". Walentinę, która miała już ukończone 18 lat, a poza tym legitymowała się średnim wykształceniem, zatrudniono jako osobę przydzielającą normy do wypracowania przez każdego z pracowników, mnie zaś – z uwagi na małoletniość (miałam wówczas zaledwie 16 lat) i brak jakiegokolwiek doświadczenia – jako robotnika niewykwalifikowanego.

Wystarczyło pół roku, bym się wdrożyła w rytm życia fabrycznego i zaprzyjaźniła z innymi pracownikami. Przyjęto mnie do Komsomołu. W maju 1934 roku zostałam przeniesiona do cechu obróbki metali, gdzie przez mniej więcej miesiąc byłam uczennicą, a następnie otrzymałam prawo do samodzielnego wykonywania zawodu i wkrótce zdobyłam kwalifikację tokarza szóstej klasy.

To były ciekawe czasy.

„Arsenał" zmieniał się dosłownie na naszych oczach. Dostarczano nam maszyny – już rodzimej produkcji, montowano nowocześniejszy sprzęt, wzrastała moc przerobowa, rekonstruowano stare pomieszczenia. Ludzie zatrudnieni

w fabryce, dostrzegając starania władz ukierunkowane na wzrost produkcji przemysłowej, odwdzięczali im się wytężoną pracą. Nawiasem mówiąc, wyraźnie wzrosły też stawki, a przecież wszyscy operatorzy maszyn w naszym cechu pracowali w akordowym systemie wynagradzania.

Ja także nie miałam powodów do narzekań. Do dyspozycji oddano mi tokarkę produkcyjną „DIP 300” („Dogonimy i przegonimy kraje kapitalistyczne”) z mechanizmem regulowania prędkości, wyprodukowaną przez moskiewską wytwórnię „Czerwony Proletariusz” w 1933 roku. Maszyna służyła do obróbki powierzchni cylindrycznych, stożkowych i trudno dostępnych – nie tylko z zewnątrz, ale i od wewnątrz.

I tak sobie właśnie obrabiałam.

Jeśli mnie pamięć nie myli, to z reguły były to wały do wszelkich możliwych przekładni redukcyjnych. W ciągu jednego cyklu przejścia noża tokarskiego skrawałam od 0,5 do 3 mm (a czasami i więcej) metalu. Prędkość skrawania dostosowywałam do twardości metalu i wytrzymałości ostrza noża tokarskiego. Noże owe w większości wykonywano ze stali węglowej, chociaż bywały i inne – na przykład z przylutowanymi płytami z wyjątkowo twardych stopów wolframu i tytanu.

Do dziś wychodzące spod ostrza noża tokarskiego niebieskofioletowe wióry metalu wydają mi się niezwykle piękne. Nawet najtwardszy metal ustępuje pod naciskiem siły człowieka. Wystarczy tylko skonstruować taką sprytną maszynkę…

Nasza fabryka, zrzeszając ludzi pracy, zapewniała im efektywne spędzanie wolnego czasu. Co prawda klub fabryczny nie należał do okazałych: był nieduży, rzekłabym nawet, że ciasny, mimo wszystko jednak pomieszczeń wystarczało, by móc organizować tam różnorakie zajęcia. Istniało zatem

kółko teatralne „Niebieska bluza”, pracownia sztuk plastycznych, gdzie uczono rysowania oraz prowadzono kursy kroju i szycia (rzecz bardzo przydatna dla kobiet), kółko szybownictwa, dostępne były także zajęcia ze strzelectwa. W auli regularnie urządzano wspaniałe wieczorki świąteczne, organizowane pod hasłem „Spotkanie trzech pokoleń”. Oddawano na nich honory weteranom rewolucji, wojny domowej oraz młodym przodownikom pracy, którym udało się wypracować 50 procent i więcej ponad normę.

Z początku ja oraz moja przyjaciółka (która mnie do tego namówiła) zapisałyśmy się do kółka szybownictwa. O lotnictwie i wyczynach jego adeptów obszernie pisały gazety, tak więc z entuzjazmem uczestniczyłyśmy w zajęciach teoretycznych i skrupulatnie notowałyśmy informacje na temat potęgi skrzydeł, o której w czasie wykładu opowiadał nam dzielny porucznik sił powietrznych. Jednakże już pierwszy lot z instruktorem znacząco ostudził mój zapał. Kiedy więc trawiasty pas lotniska z zawrotną prędkością zaczął napierać prosto na nas, a za chwilę gwałtownie poszybował w dół, zakręciło mi się w głowie i poczułam mdłości. „Powietrze nie jest jednak moim żywiołem – pomyślałam. – Jestem istotą czysto ziemską i powinnam stąpać po twardym gruncie…”

Instruktor działającego przy naszej fabryce kółka strzeleckiego Fiodor Kuszczenko, pracujący w naszym cechu, bezustannie agitował młodzież, namawiając ją do uczęszczania na zajęcia na strzelnicy. Sam niedawno ukończył służbę w Armii Czerwonej, zafascynował się tam strzelectwem i wszem wobec twierdził, że w torze lotu kuli i osiągnięciu przez nią celu jest coś niezwykle fascynującego.

Fiedia, chłopak przystojny i ujmujący, podobnego rodzaju historyjkami czarował i mnie. Ja jednak w pamięci miałam lot szybowcem, który poważnie zachwiał moją wiarą we

własne siły, choć w młodości – co tu kryć! – wiara owa wydaje się bezgraniczna. Wzniosłe słowa Kuszczenki uważałam zatem jedynie za zwykły flirt. Moje niewielkie, ale surowe już doświadczenie życiowe podpowiadało: z osobnikami rodzaju męskiego trzeba się mieć na baczności.

Kiedyś (rzecz działa się na zebraniu komsomolskim) znudziło mi się słuchanie bajek Fiodora i odpowiedziałam na jedną z jego wypowiedzi w mocno ironicznym tonie. Chłopcy siedzący obok uznali moje słowa za przedni dowcip i głośno się roześmiali. Nasz grupowy komsomolski czytał akurat dość nudny referat o pracy członków ukraińskiego Komsomołu na rzecz przedterminowego wykonania planu kwartalnego w naszym cechu i uznał, że chłopcy śmieją się z niego. Cała sytuacja mocno go rozgniewała i zaowocowała utarczką słowną pomiędzy nim a niektórymi obecnymi na sali komsomolcami. W ożywionej dyskusji pojawiły się barwne epitety i nieoczekiwane porównania, aż w końcu organizator grupy nakazał opuszczenie sali mnie i Kuszczence jako inicjatorom awantury.

Przytłoczeni takim finałem, razem z Fiodorem skierowaliśmy się do wyjścia. Dzień pracy już się kończył i nasze kroki głucho dudniły w pustym korytarzu. Nagle Kuszczenko się odezwał:

– Mimo wszystko powinniśmy się uspokoić.

– Powinniśmy – przytaknęłam.

– No to chodźmy na strzelnicę.

– Myślisz, że to pomoże?

– Oczywiście. Strzelanie to zajęcie dla ludzi spokojnych. Chociaż zdolności wrodzone także są nie bez znaczenia.

– Jakie znowu zdolności? – Nie mogłam się powstrzymać przed zadaniem złośliwego pytania.

– Najprawdziwsze. Na przykład celne oko albo dobre wyczucie broni – odparł, pobrzękując pękiem kluczy, które wyciągnął z kieszeni skórzanej kurtki.

Strzelnica znajdowała się na strzeżonym terytorium fabryki, przylegającym do głównego budynku. Kiedyś był to zapewne magazyn – niski, długi budynek z zakratowanymi oknami mieszczącymi się niemalże pod dachem. Z perspektywy mojej dzisiejszej wiedzy mogę powiedzieć, że strzelnica „Arsenału” w połowie lat 30. spełniała wszelkie niezbędne normy dla tego typu obiektów. Było tam pomieszczenie ze stołami, krzesłami i zawieszoną na ścianie tablicą służącą do prowadzenia zajęć teoretycznych, niewielka zbrojownia z zamykanymi na klucz szafkami na karabiny i pistolety, sejf na amunicję, punkt ostrzału pozwalający oddawać ogień z podpórki, z kolana, na stojąco i w pozycji leżącej (na matach) oraz grube drewniane tarcze z celami umieszczone w odległości 25 metrów od punktu ostrzału.

Fiodor otworzył jedną z szafek i wyciągnął z niej nowiutki karabin. Nie był on zbyt długi (mierzył trochę powyżej metra – dokładnie: 111 centymetrów), miał masywną osadę z drewna brzozowego i grubą lufę. Karabin, wyprodukowany w fabryce broni w Tule, znany był w Związku Radzieckim pod nazwą TOZ-8. Produkowano go w latach 1932–1946 i wraz z jego modyfikacją, znaną jako TOZ-8M, wypuszczono około miliona sztuk. Niezawodny, łatwy w eksploatacji karabin jednostrzałowy małego kalibru z czterotaktowym zamkiem ślizgowo-obrotowym na amunicję 5,6 ×16 mm bocznego zapału wiernie służył nie tylko sportowcom, ale i myśliwym.

Piszę o tej broni z ciepłymi uczuciami, gdyż to właśnie od TOZ-8 rozpoczęła się moja miłość do strzelectwa. To z nim wstąpiłam na swój prywatny „uniwersytet snajperski”.

Istnieją dokładne wytyczne co do tego, jak należy postępować z bronią palną, i miałam cichą nadzieję, że właśnie od nich zacznie moje szkolenie Kuszczenko. On jednak postąpił inaczej: wręczył mi karabin ze słowami:

– Poznajcie się!

Przyznam szczerze, iż myślałam, że broń palna jest dużo cięższa i że będę miała problemy z utrzymaniem jej w dłoniach, jednakże ten karabin ważył chyba mniej niż 3,5 kilograma. Przywykła do obrabiania na tokarce materiałów o dużych nierzadko gabarytach, nie musiałam nawet używać specjalnie dużej siły, by tę broń podnieść. Przyjemna była także chłodna twardość metalu na jego lufie i komorze zamkowej. Rękojeść zamka karabinu, wysunięta ku dołowi, dobitnie świadczyła o tym, że konstruktorzy nie zapomnieli też o komforcie użytkownika broni.

W pierwszej kolejności Fiodor zaproponował mi test „poręczności karabinu", czyli – krótko mówiąc – sprawdzenie, czy broń mi odpowiada. Nie miałam żadnych zastrzeżeń co do tego; kolbę karabinu oparłam o ramię, prawą dłonią objęłam szyjkę kolby, zaś palec wskazujący (a palce mam długie) oparłam na spuście. Teraz wystarczyło już tylko przechylić głowę w prawą stronę, oprzeć policzek na bace i prawym okiem spojrzeć na muszkę. Była widoczna w całej swej okazałości dokładnie pośrodku szczerbinki.

– Teraz już można strzelać – powiedział Fiodor.

– A naboje?

– Chwilka… – Instruktor wziął ode mnie karabin, załadował go i wycelował. Rozległ się głośny dźwięk przypominający uderzenie prętem w żelazo. Zaskoczona hałasem wzdrygnęłam się. Kuszczenko uśmiechnął się.

– Musisz się do tego przyzwyczaić. Spróbuj – uda ci się…

Karabin znów znalazł się w moich rękach. Starannie powtarzając wszystkie etapy przygotowań do strzału, nacisnę-

łam spust. To był mój pierwszy w życiu wystrzał. „Drobiażdżek” (tak nazywaliśmy TOZ-8) miał delikatny odrzut, a jako że za radą Fiodora mocno przycisnęłam kolbę do ramienia, nie doznałam żadnego nieprzyjemnego uczucia po oddaniu strzału. Kuszczenko pozwolił mi wystrzelić jeszcze trzy razy, a później udał się w kierunku tarczy. Kiedy rozemocjonowana oczekiwałam na rezultaty swoich prób, Fiodor wrócił z papierową kartką z zaznaczonym na niej celem, przeszył mnie wzrokiem i zauważył:

– Jak na początkującą to po prostu niewiarygodne. To oczywiste, że masz zdolności.

– Czyżby wrodzone? – nie powstrzymałam się od żartu.

– Bezwzględnie. – Mój pierwszy trener mówił absolutnie poważnie. Nigdy wcześniej nie widziałam Kuszczenki wypowiadającego się tak stanowczo.

Zajęcia w naszym kółku strzeleckim odbywały się raz w tygodniu – w soboty. Zaczynaliśmy od szczegółowego studiowania budowy karabinu małego kalibru, rozbieraliśmy i składaliśmy zamek karabinu, uczyliśmy się właściwie dbać o broń: czyścić ją i smarować. W pomieszczeniu z tablicą uczestniczyliśmy w zajęciach, na których wykładano podstawy balistyki. Dowiedziałam się tam na przykład, ku swemu zdumieniu, że pocisk zmierza do celu nie po linii prostej, a – za sprawą siły bezwładności, a także wpływu siły ciężkości i oporu powietrza – leci po łuku, a przy tym obraca się wokół własnej osi.

Mieliśmy także wykłady z historii broni palnej. Dzieje tego rodzaju oręża sięgają XIV wieku, kiedy to wynaleziono broń lontową i kiedy rozwój techniki po raz pierwszy pozwolił na wykorzystanie wybuchowych właściwości prochu. Następnie pojawiły się i upowszechniły pistolety z zamkiem skałkowym, który później zastąpiono zamkiem kapiszonowym. Jednak na miano iście rewolucyjnego przewrotu w balistyce

zasługuje koniec XIX wieku, kiedy to zaczęto konstruować karabiny z magazynkami, z gwintowaną lufą i zamkami czterotaktowymi, ślizgowo-obrotowymi, co ułatwiało szybkie ładowanie broni oraz pozwalało strzelać dalej i celniej.

W ogóle broń palna stanowi dla mnie najdoskonalszy wytwór rąk ludzkich. Podczas jej konstruowania zawsze wykorzystywano najnowsze technologie, rozwiązania techniczne zaś, nieodzowne w przypadku jej wytwarzania, doskonalono i dopuszczano do produkcji, która liczona była w milionach sztuk. W przypadku egzemplarzy najbardziej udanych, które zasłużenie zyskały światową renomę, genialna zdobycz inżynieryjna zawiera się w doskonałej, skończonej formie. Broń palna jest na swój sposób piękna; przyjemnie wziąć ją w dłonie, wygodnie się z niej korzysta, zaskarbiła sobie miłość ludzi, którzy zabrali ją na wojnę – niewiarygodnie okrutną. Niektóre egzemplarze (na przykład karabin Mosin, pistolet maszynowy PPSz, karabin maszynowy RPD, pistolet TT) stały się nawet swoistymi symbolami epoki.

Dla moich przyjaciół na pierwszym jednak miejscu zawsze był proces strzelania. Ćwiczyliśmy na strzelnicy, oddając strzały w pozycji stojącej, leżącej, korzystając z podpórki czy strzelając w postawie klęczącej z wykorzystaniem pasa przepuszczonego pod lewą ręką. „Drobiażdżek” miał jedynie mechaniczny celownik krzywkowy z ruchomym suwakiem, a na końcu lufy muszkę cylindryczną z wydłużoną podstawą. Mimo swej prostej konstrukcji karabin doskonale pomagał rozwijać podstawowe umiejętności strzelca: szybkie branie obiektu na cel, płynne naciskanie spustu i właściwy sposób trzymania broni – bez przerzucania go to w lewo, to w prawo. Przy prędkości początkowej pocisku 310 metrów na sekundę donośność TOZ-8 wynosiła 1200-1600 metrów, jednak podczas zajęć na strzelnicy nie miało to większego znaczenia.

Wraz z nadejściem wiosny zaczęliśmy wyjeżdżać na strzelnicę poza miasto, by tam wykonać normę na odznakę „Strzelca Woroszyłowskiego” drugiego stopnia. Do tego potrzebna była jednak nie tylko umiejętność celnego strzelania, lecz także orientacja w terenie, miotanie granatów i trening fizyczny (bieg, skoki, robienie pompek). Normy z powodzeniem wykonaliśmy, a następnie wzięliśmy udział w miejskich zawodach strzeleckich *Osoawiachimu*.

Od razu muszę dodać, że nasze kółko strzeleckie było tylko jedną z kilkuset grup wewnątrz struktury Towarzystwa Współdziałania w Sprawach Obrony i Budownictwa Lotniczo-Chemicznego, czyli *Osoawiachimu*. Ta masowa, ochotnicza i społeczna organizacja wojskowo-patriotyczna powstała w naszym kraju w 1927 roku i odegrała ważną rolę w przygotowaniu młodych chłopców i dziewcząt do służby wojskowej. Liczyła około 14 milionów członków, którzy byli szkoleni w podstawowych organizacjach tego związku w kierunku specjalizacji wojskowych: od pilotów i spadochroniarzy, poprzez strzelców i cekaemistów do kierowców oraz treserów psów służbowych.

Dyplom uznania, który uzyskałam na zawodach *Osoawiachimu*, umieściłam w przeszklonej ramce i z dumą powiesiłam na ścianie pokoju, który zajmowałyśmy razem z Walentiną. Jednakże ani moja siostra, ani tym bardziej rodzice nie traktowali mojej fascynacji strzelectwem poważnie. Podczas naszych dyskusji w gronie rodzinnym wszyscy oni lubili pożartować sobie z mojej fascynacji bronią. Ja z kolei nie potrafiłam im racjonalnie wytłumaczyć, jakaż to siła ciągnie mnie tak bardzo na strzelnicę czy poligon i co stanowi o magii przedmiotu wyposażonego w metalową lufę, drewnianą kolbę, zamek karabinu, spust i muszkę oraz dlaczego tak fascynującym uczuciem jest sterowanie zmierzającą w kierunku celu kulą…

Pod koniec 1935 roku skierowano mnie – jako komsomołkę – na dwutygodniowy kurs kreślarsko-kopistyczny, który ukończyłam z wynikiem bardzo dobrym, po czym podjęłam pracę w cechu na stanowisku starszego kreślarza. Praca ta sprawiała mi przyjemność; oczywiście różniła się od tej, którą wykonywałam jako tokarz, ale – podobnie jak poprzednia – także wymagała skupienia i skrupulatności. Maszyny huczały za ścianą, zaś my w naszym biurze, w ciszy, pośród desek kreślarskich i zwitków papieru, sprawdzaliśmy poprawność wykresów, które przygotowywaliśmy do przekazania pracownikom z działu produkcji. W naszym kolektywie panowała przyjacielska i ciepła atmosfera, a moją pasję do strzelania wszyscy przyjmowali ze zrozumieniem…

Jestem bardzo wdzięczna fabryce „Arsenał”. Spędziwszy w jej murach bez mała cztery lata, otrzymałam dwie specjalizacje, nauczyłam się pracować w przemyśle obronnym, w którym panowała na poły wojskowa dyscyplina, wydoroślałam, poczułam się człowiekiem, który wie, czego chce i co robi oraz nauczyłam się osiągać cele. Także przyzakładowa organizacja komsomolska pomogła mi płynnie przejść na nowy etap mojego życia: wiosną 1935 roku zostałam skierowana na przyspieszone kursy przygotowawcze organizowane przy Kijowskim Uniwersytecie Państwowym. Potem pracowałam jeszcze w cechu obróbki metali, a wieczorami się uczyłam. Następnie z powodzeniem zdałam egzaminy i we wrześniu 1936 roku zostałam dumną posiadaczką indeksu studentki Wydziału Historii uniwersytetu w Kijowie. Inna sprawa, że na naszym roku byłam pewnie najstarszą studentką.

Rozdział 2

JEŚLI JUTRO WOJNA...

Z uwagi na zdobyte w fabryce doświadczenie zostałam wybrana na starostę grupy. Obowiązki te, obok uczestnictwa w wykładach, sporządzania konspektów, czytania podręczników, przygotowywania referatów oraz pisania prac rocznych i uczenia się do zaliczeń i egzaminów, nie wydawały mi się specjalnie trudne. Pojawiły się także ulubione przedmioty: podstawy archeologii i etnografii, historia ZSRR, historia starożytna, łacina, a wśród dwóch języków obcych – angielski. Odżyły wówczas moje dawne lekcje z mamą i wszystko ułożyło się jak najbardziej po myśli. Po wykonaniu normy na odznakę „Strzelca Woroszyłowskiego" i „GTO" („Gotowy do Pracy i Obrony"), co miało miejsce jeszcze w czasie mojej pracy w fabryce, zajęcia z wychowania fizycznego na uniwersytecie nie były dla mnie trudne. Życie studenckie płynęło powoli i w miłej atmosferze, pozostawiając sporo czasu na rozrywki, jak na przykład wyjście do kina lub teatru, na koncert, wystawę czy wieczorek taneczny.

Wypada także dodać, iż nasza studencka brać względnie dobrze orientowała się w aktualnych wydarzeniach politycznych i tak na przykład ze współczuciem odbieraliśmy docierające do nas informacje o hiszpańskich republikanach, którzy od lata 1936 roku znajdowali się w stanie wojny z lokalnymi faszystami i monarchistami. Po stronie faszystów stały Włochy i Niemcy, po stronie republikanów zaś – Związek Radziecki.

O wydarzeniach w dalekim południowym państwie często i szczegółowo pisały nasze centralne gazety, by wspomnieć

choćby doskonałe reportaże Michaiła Kolcowa publikowane na łamach „Prawdy”. Dziennikarz ten pisał o wyczynach żołnierzy Brygad Międzynarodowych oraz walkach powietrznych pomiędzy pilotami niemieckiego Legionu Condor a naszymi pilotami-ochotnikami zasiadającymi za sterami statków powietrznych produkcji radzieckiej. Na równinnych obszarach Półwyspu Pirenejskiego odbywały się także walki pancerne z użyciem czołgów – znów z wykorzystaniem ciężkiego sprzętu z trzech krajów: Włoch, Niemiec i ZSRR.

Ogromną falę oburzenia w naszym kraju wywołało barbarzyńskie bombardowanie niewielkiego miasta Guernica znajdującego się w Kraju Basków. Nie było bowiem żadnego strategicznie uzasadnionego powodu nalotu na to miasto, niemniej jednak w kwietniu 1937 roku ponad 50 niemieckich samolotów przypuściło atak na tę miejscowość, znajdującą się w rękach republikanów. Nalot niemal całkowicie zniszczył miasteczko i pochłonął bardzo wiele ofiar spośród cywili. W konsekwencji wybitny hiszpański malarz Pablo Picasso, wstrząśnięty rozmiarami tej zbrodni, namalował obraz zatytułowany *Guernica*, który dziś znany jest na całym świecie. Tragedia Guerniki na długo zagościła także w rosyjskich sercach. Pozostawiając jednak emocje na boku, należało również pomyśleć o tym, jak będzie wyglądała nowa wojna i kiedy zastuka również do naszych drzwi.

Byłam już na drugim roku historii, gdy wtem naszła mnie myśl, że należy przypomnieć sobie umiejętności strzeleckie, które akurat teraz mogły się okazać przydatne. Fiodor Kuszczenko poradził mi wstąpienie do dwuletniej szkoły snajperskiej *Osoawiachimu*, otworzonej niedawno w Kijowie. Przyjmowano do niej jedynie tych, którzy legitymowali się posiadaniem odznaki „Strzelca Woroszyłowskiego” drugiego stopnia. Kandydaci winni ponadto złożyć zaświadcze-

nie z pracy albo szkoły wraz z krótkim życiorysem (poświadczone w wydziale kadr), a także wydane przez komisję lekarską orzeczenie o stanie zdrowia, który zezwala na pełnienie służby wojskowej. Wszystkie wymagane dokumenty przedłożyłam i w efekcie zostałam przyjęta. Szybko zresztą stało się też jasne, że właśnie ta szkoła dała mi możliwość wejścia na nowy etap mojej przygody z bronią palną.

Zajęcia odbywały się dwa razy w tygodniu: w środy od godziny osiemnastej do dwudziestej oraz w soboty od trzeciej po południu do szóstej wieczorem. Dostaliśmy przepustki uprawniające do wstępu na strzeżony teren szkoły oraz granatowe bluzy wojskowe, w których mieliśmy uczęszczać na zajęcia. Wszystko to przypominało porządek panujący w wojsku, my jednak absolutnie na to nie narzekaliśmy. Mało tego – czuliśmy się dzięki temu bardzo ważni i mieliśmy przeświadczenie o naszej wielkiej odpowiedzialności podczas pełnienia przyszłej służby.

Chcę teraz powiedzieć parę słów o programie, który obowiązywał w szkole snajperskiej. Rzeczywiście było tak, że przygotowywała ona strzelców wyborowych do służby w Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej (RKKA). Na przygotowanie polityczne przeznaczono 20 godzin, na musztrę – 14 godzin, na zajęcia z bronią – 220 godzin, na taktykę – 60 godzin, na ćwiczenia wojskowo-inżynieryjne – 30 godzin i na walkę wręcz – 20 godzin. Testy na weryfikację przyswojonego materiału trwały 16 godzin. Kadetów, którzy zdali egzaminy końcowe z wynikiem bardzo dobrym, włączano do specjalnego wykazu w miejskich i rejonowych komendach wojskowych i od czasu do czasu wzywano na powtórne szkolenie lub do uczestnictwa w zawodach strzeleckich na różnych poziomach. Ogólnie rzecz biorąc, snajperów nie zostawiano samym sobie, otaczano ich opieką, a jednak do czasów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej prawdziwych asów

strzelectwa, mistrzów trafiających do celu za pomocą pierwszego, jedynego wystrzału w naszym kraju było niewielu. Może tak około półtora tysiąca…

Już pierwsze zajęcia z bronią w ręku wyraźnie dowiodły, że ćwiczenia w naszym kółku strzeleckim w fabryce były jedynie preludium do prawdziwego strzelania – bardzo przydatnym, jednakże zdecydowanie niewystarczającym. Ciepło wspominając swojego przyjaciela „Drobiażdżka”, wzięłam do rąk karabin Mosin wz. 1891/1930 zwany często triochliniejką. Był on oczywiście cięższy (bez bagnetu ważył 4 kilogramy) i dłuższy (1232 mm), ładowany nabojami 7,62×53 mm R, prędkość początkowa pocisku wynosiła 865 metrów na sekundę, donośność zaś – 2000 metrów. „Triocha” miała mniej wygodną niż TOZ-8 szyjkę kolby, odrzut podczas wystrzału był bardziej odczuwalny, a z uwagi na jej większy ciężar i długość strzelanie z pozycji stojącej stawało się – przynajmniej dla mnie – uciążliwe. Nie miało to jednak absolutnie żadnego znaczenia.

Karabin Mosin, który stanowił podstawowy ekwipunek żołnierzy RKKA, musieliśmy znać jak swoje pięć palców, dlatego też określona ilość czasu (10 godzin) była przeznaczona na poznanie jego budowy. Powoli przyzwyczajałam się do „triochy” i mogłam z zamkniętymi oczami rozebrać i złożyć jej zamek, który składał się z siedmiu elementów. Mechaniczny celownik ze skalą metryczną i ruchomym suwakiem oraz muszka w tunelowej osłonie pozwalały osiągać niezłe rezultaty podczas strzelania.

Karabin snajperski różnił się od standardowego karabinu jedynie w niewielkim stopniu. Po pierwsze, nad lufą zamontowany miał celownik optyczny Jemieljanowa („PE”) – długą metalową rurkę (274 mm przy wadze 598 g) z dwoma bębnami służącymi do regulacji. Po drugie, z tego właśnie powodu naboje nie trafiały do komory nabojowej z magazynku

i trzeba było umieszczać je tam pojedynczo. Po trzecie, rękojeść trzonka zamka karabinu wysuwała się mocno ku dołowi. Były też różnice niewidoczne gołym okiem: lufy do „snajperek” produkowano z lepszych gatunków stali, a w celu uzyskania większej skuteczności działania obrabiano je na bardziej precyzyjnych maszynach tokarskich, karabiny zaś składano ręcznie i przystrzeliwano je ze szczególną pieczołowitością.

Pod koniec mojej nauki w szkole snajperów, czyli w 1939 roku, zostaliśmy zaznajomieni z nowymi modelami broni strzeleckiej, którą otrzymała do swojej dyspozycji Armia Czerwona. Były to samopowtarzalne (automatyczne) karabiny maszynowe Simonowa (AWS-36) i Tokariewa (SWT-38). Mechanizm ich działania opierał się na wykorzystaniu gazów prochowych, które towarzyszą opuszczaniu lufy przez pocisk. Karabiny wyposażono w wymienne magazynki na 10–15 nabojów, natomiast jedyną rzeczą, która budziła wątpliwość zarówno naszą, jak i naszych mentorów, była duża liczba elementów, z których składały się AWS i SWT, a także konstrukcja ich mechanizmów – mocno skomplikowana w porównaniu z produktem kapitana Mosina…

W pamięć zapadł mi pierwszy wykład z przedmiotu „Podstawy strzelania”, na który w programie przewidziano 25 godzin. Siedzieliśmy w sali, kiedy nagle wszedł szczupły, mniej więcej czterdziestoletni człowiek średniego wzrostu z widoczną blizną nad lewą brwią. Dyżurny krzyknął: „Wstać! Baczność!”. Wykładowca przedstawił się nam: „Potapow Aleksandr Władimirowicz” i pokrótce wyjaśnił, czego zamierza nas uczyć. Następnie zamilkł, objął surowym spojrzeniem salę, po czym odezwał się:

– Słyszałem, że nieźle strzelacie. Pamiętajcie jednak: dobry strzelec to jeszcze nie snajper…

Tak zaczęła się nasza znajomość z „Potapyczem” – starszym instruktorem szkoły. Dowiedzieliśmy się, że początki jego czynnej służby wojskowej sięgają Lejb-Gwardyjskiego Pułku Jegrów w Petersburgu, gdzie przeprowadzano wzorcowe treningi strzeleckie szeregowych żołnierzy, że za zasługi na froncie niemieckim w 1915 i 1916 roku był dwukrotnie nagrodzony Orderem Świętego Jerzego trzeciej i czwartej klasy, a także otrzymał rangę podoficera. W czasie wojny domowej Potapow dowodził już kompanią w pułku piechoty „czerwonych” i został ciężko ranny podczas operacji zbrojnej w Sywaszu. W 1929 roku oddelegowano go z pułku na strzelecko-taktyczne kursy doskonalenia kadry dowódczej RKKA „Wystrieł” im. Kominternu. Właśnie tam rozpoczęła pracę pierwsza w naszym kraju grupa zgłębiająca tajniki pracy snajperskiej. Potapow nie miał jednak okazji do rozpoczęcia w wojsku kariery szkoleniowca strzelców wyborowych – na przeszkodzie stanęła dająca o sobie znać rana, która przesądziła o zwolnieniu go ze służby z powodu złego stanu zdrowia. Ale za to *Osoawiachim* zyskał odpowiedniego specjalistę.

Nawiasem mówiąc, kijowska szkoła snajperów tej masowej, ochotniczej i społecznej organizacji wojskowo-patriotycznej, podobnie zresztą jak szkoły moskiewska i leningradzka, słynęła nie tylko z solidnego zaplecza materialno-technicznego, ale mogła się też pochwalić doskonałą kadrą wykładowców. Aleksandr Władimirowicz Potapow był gorącym entuzjastą sztuki strzeleckiej, świetnym znawcą i wielkim miłośnikiem broni, a w szczególności karabinu Mosin wz. 1891/1930. Swoje doświadczenia, spostrzeżenia i przemyślenia na temat filozofii snajperskiej zawarł w niewielkiej objętościowo broszurze *Nauki dla strzelców wyborowych* wydanej w Kijowie.

Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że „Potapycz” był urodzonym pedagogiem. Bacznie obserwował kadetów nie tylko na wykładach, ale także na zajęciach na strzelnicy. Uważał, że zarówno zajęcia teoretyczne, jak i trening strzelecki są – ma się rozumieć – rzeczami absolutnie nieodzownymi, nie wystarczają jednak do wyszkolenia prawdziwego profesjonalisty. Taki ktoś powinien mieć bowiem celne oko (zdolnością tą człowiek zostaje obdarzony przez naturę i wynika to z cech osobniczych jego gałki ocznej) oraz musi się wykazać odpowiednimi cechami charakteru. Prawdziwy strzelec wyborowy musi mieć spokojne uosobienie, być zrównoważony, raczej flegmatyczny, nie może się poddawać nastrojowi gniewu, radości, rozpaczy albo – co gorsza – wpadać w histerię. Snajper jest więc cierpliwym myśliwym: oddaje zaledwie jeden strzał i jeden błąd może kosztować go życie.

Potapow uprzedził, że za miesiąc releguje ze szkoły tych, którzy – jego zdaniem – nie są w stanie przyswoić sobie zawiłych nauk snajperskich, co nas bardzo zmartwiło. Mimo wszystko jego talent pedagoga wciąż cieszył się wśród kadetów zasłużonym szacunkiem, dlatego też podczas zajęć dawaliśmy z siebie wszystko. W każdym razie – staraliśmy się. Oprócz mnie w grupie uczyły się jeszcze dwie przedstawicielki słabej płci. W stosunku do nas wykładowca był szczególnie uprzejmy, jednakże właśnie ta oficerska uprzejmość żadnej z nas (dziewcząt w wieku 19, 20 i 22 lat) wcale nie cieszyła, a raczej bardzo niepokoiła. Podejrzewałyśmy, że jesteśmy pierwszymi kandydatkami do wylotu.

Stało się jednak inaczej. Z granatowymi bluzami wojskowymi *Osoawiachimu* pożegnało się kilku nieokrzesanych chłopców, w tym trzech posiadających legitymację „Strzelca RKKA wysokiej klasy”. Potapow zaznaczył, że dzielenie jego uczniów na kobiety i mężczyzn nie ma większego znaczenia

i że jest pewien jednego: do pracy snajpera kobiety (oczywiście nie wszystkie) nadają się lepiej: są wytrzymałe, spostrzegawcze, a także dysponują wyostrzoną intuicją, którą obdarzyła je sama natura. W czasie odbywania kursu wojskowego kobiety skrupulatnie wypełniają wszystkie zalecenia, do procesu strzelania podchodzą wnikliwie i starannie, nie mówiąc już o pomysłowym maskowaniu się (tak przecież istotnym w przypadku snajpera na polu walki), w którym po prostu nie mają sobie równych.

Od pochwał wypowiadanych przez starszego instruktora mogło się zakręcić w głowie każdemu, jednakże Aleksandr Władimirowicz nie zostawiał nam czasu na błogą refleksję. Do kadetów, którzy pozostali w grupie, zaczął się odnosić z większą surowością, bardziej czepliwie, poświęcając każdemu coraz więcej uwagi. Opowiadał o takich szczegółach fachu, które nigdy nie przyszłyby nam do głowy. Zalecił na przykład prowadzenie obserwacji budowy (a wznoszono wówczas czteropiętrowy budynek szkoły nr 25 na ulicy Władimirskiej), a następnie zdanie szczegółowego raportu na temat tego, czego dokonali budowlańcy w ciągu dwóch godzin, jak zmieniała się sytuacja na obiekcie, gdzie pojawiły się nowe drzwi i otwory okienne, odcinki schodów, przepierzenia, z jakiej pozycji najlepiej byłoby oddać strzał, żeby zlikwidować – dajmy na to – kierownika budowy przemieszczającego się kładkami z piętra na piętro.

Powoli, ale nieustępliwie Potapow przyuczał nas do uważnej obserwacji otaczającego świata, do wnikliwego – jak przez okular celownika optycznego – przyglądania się konkretnym szczegółom płynącego w zawrotnym tempie życia i budowania całościowego obrazu na podstawie pojedynczych, drobnych elementów. Przy takim podejściu coś traciło swoje poprzednie znaczenie, schodziło na plan dalszy i wtapiało się w tło, natomiast coś innego stawało się nie-

zwykle istotne. Kontury, niczym powiększone w soczewce, ujawniały prawdziwą naturę każdego nowego przedmiotu.

Niekiedy odnosiłam wrażenie, że Drogi Nauczyciel się mnie czepia. Bywało na przykład tak, że zetknąwszy się z jakimś zadaniem, którego nie dało się w szybki sposób rozwiązać, gorączkowałam się. Irytowała mnie konieczność tracenia sił i czasu na sprawę, która na pierwszy rzut oka wydawała się absolutnie zwyczajna. Potapow przerywał wówczas trening, zaczynał spokojnie, ale uparcie i czasami do znudzenia wszystko analizować, wyjaśniać, wskazywać popełniony błąd i obserwować, jak go naprawiam. Dziwiło mnie, że tak sobie mną zawraca głowę, na co starszy instruktor odparł:

– Komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie.

Nie chcąc w tym miejscu zbyt obszernie mówić o całym zakresie wiedzy ani też zestawie umiejętności, które powinien posiadać snajper (dla cywilów takie informacje są całkowicie nieistotne), wspomnę jedynie, iż oprócz zajęć praktycznych ze strzelania nasza szkoła kładła duży nacisk na zajęcia teoretyczne. Zapoznano nas z prawami balistyki (w szczególności z prawem „jednej tysięcznej”), uczyliśmy się szybkiego obliczania dystansu do celu według specjalnego wzoru, wyliczania odległości według rozmiaru kątowego, a także z użyciem celownika optycznego „PE” oraz lornetki i peryskopu. Wyjaśniono nam także prawo derywacji, czyli odchylenie obracającego się w czasie lotu pocisku od płaszczyzny strzału, a oprócz tego studiowaliśmy przeróżne tablice, jak na przykład tablicę przewyższania średniej trajektorii podczas korzystania z karabinu Mosin załadowanego pociskami „lekkimi” i „ciężkimi” itd., itp.

W ciągu czterech miesięcy zajęć nasza grupa bardzo się zżyła. Nadeszła wiosna i wszyscy razem zaczęliśmy wyjeżdżać nie tylko na strzelnicę, ale także poza miasto, gdzie

niestrudzony Potapow organizował dodatkowe zajęcia z przedmiotu „Techniki maskowania”. Na jednej z położonych w oddali polan kursanci rozścielali obrus, na którym rozstawiali butelki z lemoniadą, a także zabrane z domu jedzenie. Starszy instruktor przeprowadzał krótki wykład i w warunkach polowych demonstrował nam sposoby maskowania się. Trzeba przyznać, że niekiedy nie mogliśmy go znaleźć nawet po upływie pół godziny albo i dłużej. Krzyczeliśmy wówczas, że się poddajemy, a wtedy Drogi Nauczyciel ukazywał się naszym oczom w jakiejś nieprawdopodobnej żółto-zielonej kapocie z kapturem, którą to odzież dopełniały skrawki tkanin, suche gałązki i kępy trawy.

Do lasu zabieraliśmy zazwyczaj jedną „snajperkę” i organizowaliśmy grę o nazwie „Denko”. Po obiedzie, który również spożywaliśmy w warunkach polowych, braliśmy jedną z pustych butelek po napoju, po czym mocowaliśmy ją na rohatynie w taki sposób, żeby szyjka butelki zwrócona była w stronę strzelającego, który znajdował się od niej w odległości około 20–30 metrów. Gra polegała na tym, aby jednym strzałem wybić denko butelki, a zatem kula musiała przejść przez szyjkę i – nie dotykając ścianek butelki – wylecieć z drugiej strony, rozbijając denko. Pierwszy strzał oddawał zwykle sam Potapow, który następnie przekazywał broń jednemu z uczniów, po czym zawody w celnym strzelaniu i doskonaleniu umiejętności zaczynały się na dobre. Wypada dodać, że uczyli się u nas chłopcy nader ambitni, przeważnie bardzo młodzi, którzy za wszelką cenę chcieli być najlepsi i usłyszeć pochwałę z ust „Potapycza”. Strzelanie odbywało się jednak, po pierwsze, z pozycji klęczącej (wyglądało to tak, że kolano prawej nogi oparte było na ziemi, a siedziało się na obcasie własnego buta), a po drugie, trzymało się karabin za pomocą pasa przepuszczonego pod zgiętym łokciem lewej ręki. Łokieć ten opierało się na kola-

nie lewej nogi i trzymało łoże karabinu, przesuwając dłoń w kierunku dolnej części lufy. Wymagało to siły, wytrzymałości i zachowania prawidłowej równowagi. Zawodnik, który spudłował, wypadał z gry żegnany niewybrednymi żartami i śmiechem ze strony pozostałych uczestników. Ci zaś, którzy wygrywali, byli przez Aleksandra Władimirowicza nagradzani: otrzymywali od niego małą czekoladkę z różnymi wesołymi życzeniami. Ja sama przez pewien czas nie byłam pewna swoich sił; nie lubię się popisywać i znajdować się w centrum uwagi, a przecież jeden z aksjomatów wpojonych nam przez Drogiego Nauczyciela głosił: „Bycie na widoku jest niebezpieczne. Strzelec wyborowy jest niezagrożony, póki pozostaje niewidoczny”.

Nadszedł dzień, kiedy Potapow przekazał karabin także mnie. Po zapanowaniu nad swoimi emocjami wzięłam broń, oparłam kolbę na ramieniu, położyłam palec wskazujący na spuście i opierając policzek na kolbie, spojrzałam prawym okiem w okular celownika. „PE” miał czterokrotne zbliżenie, jednak nawet w tym przypadku szyjka butelki, która zamarła między trzema czarnymi liniami, wydawała się jedynie grubym punktem. Pozostawało zdać się na intuicję, na to „wyczucie celu”, które snajper wypracowuje sobie w czasie treningu. Długie przymierzanie się do strzału jest typowym błędem początkujących, ja jednakże dawno pozbyłam się tego złego nawyku i wszystko odbyło się zgodnie z instrukcją, czyli w ciągu ośmiu sekund. Wstrzymanie oddechu, wzięcie przedmiotu na cel, wydech z płynnym naciśnięciem spustu. „Snajperka” przemówiła głośnym wystrzałem, trącając mnie w ramię. Butelka wciąż połyskiwała w słońcu, jednakże… już bez denka.

– Zuch Ludmiła – zwrócił się do mnie starszy instruktor. – Dasz radę to powtórzyć?

– Zgoda – odparłam, czując, jak opanowuje mnie żądza hazardu.

Potapow zrozumiał moje nastawienie i odpowiedział uśmiechem.

– Spokojnie, dziewczę urocze z długim warkoczem. – Tak starszy instruktor w żartobliwym tonie zwracał się do dziewcząt uczących się w naszej grupie. – Masz duże szanse na zwycięstwo.

Chłopcy szybko zamocowali na rohatynie nową butelkę, „Potapycz" zaś podał mi nabój z „ciężką" kulą, który – po otwarciu zamka karabinu – umieściłam w komorze. Mechanizm oczywiście zadziała bez zarzutu, nacisnę spust, a iglica pod wpływem energii sprężyny uderzeniowej gwałtownie wyrwie się do przodu. Grot iglicy, podobny do języka żmii, przekłuje znajdującą się na dnie pocisku spłonkę, ładunek miotający eksploduje i kula, znajdująca się dotąd w mosiężnej łusce, nareszcie zazna wolności…

Dzień był słoneczny i pogodny, a kule, poddając się mej woli, latały wyśmienicie. Trzy „denka" – z takim rezultatem zakończyły się dla mnie te leśne zawody. Starszy instruktor, ku zazdrości innych kursantów, podarował mi nie tylko czekoladkę, lecz także swoją książkę *Nauki dla strzelców wyborowych* z autografem: „Ludmile Pawliczenko – mojej zdolnej uczennicy – z wyrazami życzliwej pamięci. A. Potapow". Nie do końca zgadzam się jednak z takim sformułowaniem; zdolności są, mimo wszystko, dane człowiekowi z natury, wrodzone, jednak co się tyczy strzelectwa wyborowego, należałoby dopełnić je ponadto silnym charakterem, pracowitością, pilnością, wytrzymałością oraz wytrwałą chęcią nauki.

Egzaminy końcowe w szkole snajperskiej zakończyły się dla mnie nader pomyślnie. Na świadectwie ukończenia szkoły, wydrukowanym na papierze kredowym i ozdobio-

nym okrągłą pieczęcią herbową, widniały nazwy przedmiotów i oceny. Czarne litery układały się w bardzo pochlebiające mi wersy: praktyczne strzelanie – „bardzo dobry”, budowa ręcznej broni palnej – „bardzo dobry”, przygotowanie taktyczne – „bardzo dobry”, przygotowanie wojskowo-inżynieryjne – „dobry”. Nasz wieczór absolwentów odbywał się w swobodnej, szumnej i wesołej atmosferze. Rozmawialiśmy o przyszłości; wielu chłopców myślało o wstąpieniu na uczelnie wojskowe, dziewczęta zaś zamierzały związać swe dalsze losy ze strzelectwem wewnątrz *Osoawiachimu*, uczestniczyć w zawodach i walczyć o medal „Mistrza Sportu ZSRR”.

Zbliżał się jednak rok 1939. Pierwszego września faszystowskie Niemcy napadły na Polskę i tak rozpoczęła się II wojna światowa. Polacy stawiali opór najeźdźcom, jednakże już 8 września wojska niemieckie zbliżyły się do Warszawy. Jej obrona trwała… 20 dni. Następnie polski rząd zbiegł do Rumunii, a terytorium kraju zostało całkowicie opanowane przez Niemców. W kwietniu 1940 roku faszyści wkroczyli do Danii i Norwegii. Norwegowie, z pomocą Anglików i Francuzów, stawiali opór przez dwa miesiące, jednakże w czerwcu podpisali kapitulację. Potem przyszła kolej na Belgię i Francję. Ofensywa Niemiec rozpoczęła się 20 maja, a już 28 tego samego miesiąca przeważająca część wojska belgijskiego złożyła broń. Po ataku na pozycje obronne wojsk angielskich, francuskich i belgijskich wokół Dunkierki Anglicy 4 czerwca 1940 roku uciekli z kontynentu europejskiego na swoją wyspę, pozostawiając zwycięzcom całą swą artylerię i czołgi, ponad 60 tysięcy samochodów, prawie pół miliona ton mienia wojskowego i amunicji, a także około 40 tysięcy żołnierzy i oficerów – jeńców. Potomkowie dzielnych żołnierzy cesarza Napoleona Bonapartego 22 lipca tego samego roku poddali frycom Paryż… bez

walki! Rzeczywiście był to „blitzkrieg” – „wojna błyskawiczna”.

Obserwując gwałtowne zmiany w Europie, nie mogliśmy nie myśleć o tym, że prędzej czy później agresor zaatakuje także nasze pierwsze na świecie państwo robotników i chłopów. Mój ojciec, z uwagi na swoje stanowisko, dysponował poufnymi informacjami i coraz częściej podczas naszych tradycyjnych wieczorów przy herbacie mówił nam o nadchodzących trudnych czasach. Sprzeciwiałam się jego słowom, mówiąc: „Od lasów tajgi aż do mórz Brytanii nie masz silniejszego od Czerwonej Armii”, a walczyć to my będziemy na obcym terytorium.

Jak się jednak wkrótce okazało, ojciec miał rację, ja zaś (podobnie jak wiele milionów obywateli radzieckich) byłam w grubym błędzie. Na usprawiedliwienie swojego naiwnego optymizmu mam jedynie fakt, że w ostatnim czasie wszystko w moim życiu układało się jak najlepiej, a ponieważ kolejne sesje na uniwersytecie zdawałam na oceny bardzo dobre, zezwolono mi na łączenie nauki z pracą zawodową, która była zresztą bliska mojej specjalizacji. Pod koniec 1939 roku zostałam przyjęta do Państwowej Biblioteki Historycznej na stanowisko kierownika kompletowni. Podobnie jak za czasów pracy w fabryce „Arsenał”, znowu zaczęłam się dokładać do naszego domowego budżetu, więcej także wydawałam na swojego syna, który skończył siedem lat.

Ostatnią zimową sesję egzaminacyjną na czwartym roku historii razem z kolegami z roku zdałam w styczniu 1941 roku – z ocenami bardzo dobrymi i dobrymi. Kierownictwo Państwowej Biblioteki Historycznej w Kijowie zaproponowało mi wyjazd w długą (około czteromiesięczną) delegację do Odeskiej Biblioteki Publicznej w charakterze starszego pracownika naukowego – w celu zasilenia tamtej-

szych kadr. Bogate zbiory tej jednej z najstarszych na Ukrainie bibliotek były mi doskonale znane. Zakładałam, że bez trudu napiszę tam swoją pracę dyplomową poświęconą Bohdanowi Chmielnickiemu, przyłączeniu Ukrainy do Rosji w 1654 roku i zawarciu ugody perejasławskiej. W następnym roku miałam bronić pracy na Kijowskim Uniwersytecie Państwowym i otrzymać świadectwo ukończenia studiów wyższych.

Przygotowywałam się do wyjazdu, będąc w doskonałym nastroju. Rozmowy z ojcem na szczęście pozytywnie na mnie wpłynęły, dlatego też oprócz dowodu osobistego, legitymacji studenckiej i indeksu spakowałam do walizki świadectwo ukończenia szkoły snajperskiej, broszurę autorstwa Drogiego Nauczyciela, jedną czy dwie książki o tematyce wojennej oraz zbiór wspomnień *Walki w Finlandii* (*Бои в Финляндии*), wydany w Moskwie na początku 1941 roku.

Pociąg relacji Kijów–Odessa odjeżdżał wieczorem. Moja rodzina w pełnym składzie przybyła na dworzec: tata był jak zawsze poważny i milczący, mama udzielała mi ostatnich porad w kwestii właściwego odżywiania, a moja siostra Walentina i jej chłopak Boris szeptali sobie o czymś między sobą. Syn Rostisław za nic nie chciał puścić mojej ręki; prosił, żeby zabrać go ze sobą i obiecywał, że będzie mi pomagał w pracy. W jego oczach kręciły się łzy i chciałam go chociaż trochę pocieszyć i jakoś polepszyć mu humor. Czyż mogłam wtedy przypuszczać, że rozstaję się ze Sławikiem na prawie trzy lata…?

Rozdział 3

OD RZEKI PRUT DO RZEKI DNIESTR

Początek pamiętnego dnia 22 czerwca 1941 roku nie zwiastował niczego nadzwyczajnego. Na bezchmurnym niebie Odessy świeciło gorące, południowe słońce, a morze znieruchomiało. Gładka, błękitna tafla rozpościerała się do samego horyzontu i odnosiło się wrażenie, że gdzieś tam, w oddali, spaja się ona z takim samym błękitnym niebem.

Wczesne godziny poranne wraz z moją koleżanką Sofią Czopak (pracującą w Odeskiej Bibliotece Publicznej) oraz jej starszym bratem spędziłam na plaży. Na obiad udaliśmy się do znajdującego się przy ulicy Puszkińskiej baru serwującego czebureki, a jako że mieliśmy kupione już wcześniej bilety na spektakl, wieczorem zamierzaliśmy się wybrać do teatru, gdzie miejscowi artyści wystawiali operę Verdiego *Traviata*.

W południe, gdy siedzieliśmy na werandzie baru w oczekiwaniu na zamówione jedzenie, ze znajdującego się na ulicy głośnika dobiegł nas komunikat o transmisji przemówienia zastępcy przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych i ludowego komisarza spraw zagranicznych, towarzysza Mołotowa. To, co powiedział komisarz spraw zagranicznych, wprawiło nas w osłupienie: dziś o godzinie czwartej nad ranem Niemcy zdradziecko napadły na Związek Radziecki…

– Cały nasz naród winien być teraz zwarty i jednolity, jak nigdy – z przejęciem, ale i stanowczo brzmiał głos Mołotowa. – Każdy z nas powinien wymagać od siebie i od innych zdyscyplinowania, zorganizowania i ofiarności, godnych prawdziwego patrioty radzieckiego, ażeby zapewnić wszyst-

ko, co jest potrzebne Armii Czerwonej, flocie i lotnictwu, ażeby zapewnić zwycięstwo nad wrogiem… Sprawa nasza jest słuszna. Wróg będzie rozbity. Nasze będzie zwycięstwo!

Przemówienie trwało zaledwie kilka minut i w pierwszej chwili nie sposób było pojąć, co się tak naprawdę wydarzyło. Siedzieliśmy przy stolikach jak zahipnotyzowani, milcząco patrząc sobie w oczy. Za chwilę kelner przyniósł czebureki i butelkę białego wina, my zaś – wracając do normalnego świata z czegoś na kształt drugiej strony lustra – zaczęliśmy rozmawiać głośno i chaotycznie.

Tymczasem na ulicy Puszkińskiej pojawiało się coraz więcej ludzi, którzy stłoczyli się pod głośnikiem, żywo wymieniając spostrzeżenia na temat tego, co usłyszeli. To niepokój kazał im opuścić mieszkania; chcieli się spotkać z rodakami i poznać ich opinię na temat tej strasznej nowiny, pojąć panujące nastroje i poczuć ową jedność, do której wzywał ich ludowy komisarz spraw zagranicznych. W tłumie nie było miejsca na panikę czy zakłopotanie – wszyscy z przekonaniem twierdzili: zwyciężymy faszystów!

W Odessie nikomu nie przyszło do głowy, by odwoływać seanse kinowe, spektakle, koncerty czy tradycyjną niedzielną imprezę na Bulwarze Przymorskim, gdzie występowała orkiestra dęta. Było akurat na odwrót: i sale w operze, i w Rosyjskim Teatrze Dramatycznym, i w Teatrze Młodego Widza na ulicy Greckiej były zapełnione po brzegi. Podobnie rzecz się miała zresztą z filharmonią miejską oraz cyrkiem, w którym spragniona wrażeń publiczność szukała atrakcji takich jak występ tresowanych tygrysów…

Także my nie zrezygnowaliśmy z wyjścia do teatru opery i tuż po godzinie dziewiętnastej siedzieliśmy na swoich miejscach w szesnastej loży nad parterem i spoglądaliśmy na scenę, na której grano pierwszy akt *Traviaty*. Mieszkańcom Odessy i gościom spoza miasta pozwolono uwierzyć, że

znajdują się w luksusowej rezydencji paryskiej kurtyzany Violetty Valery: dekoracje, kostiumy, głosy śpiewaków, gra orkiestry i sam wygląd sali z pozłacaną sztukaterią, ogromnym kryształowym żyrandolem oraz sufitem pokrytym wspaniałymi malowidłami autorstwa francuskiego mistrza – wszystko to współgrało w harmonijny sposób. Coś jednak przeszkadzało w rozkoszowaniu się tym wytwornym widowiskiem, które niejako opowiadało o innym, szybko uchodzącym z nas życiu. Po zakończeniu pierwszego aktu, w czasie antraktu, zaproponowałam swoim znajomym opuszczenie teatru.

Poszliśmy nad morze. Na letnim podium Bulwaru Przymorskiego orkiestra dęta grała krzepiące marsze wojskowe. Głośne dźwięki trąb i bębna rozchodziły się po całym brzegu, a na lustrze wody przy zatoce majaczyły sylwetki okrętów wojennych Floty Czarnomorskiej: stary krążownik „Komintern", który został przebudowany na stawiacz min, niszczyciele „Szaumian", „Bojkij" i „Biezupriecznyj" oraz kanonierki „Krasnaja Abchazja", „Krasnaja Gruzja" i „Krasnaja Armenia". Stalowe kadłuby, maszty i potężne wieże artyleryjskie z długimi lufami dział bardziej odpowiadały naszemu nastrojowi. Zaczęła się przecież wojna…

W związku z obwieszczeniem mobilizacji, które wydano już następnego dnia, powołaniu do wojska podlegały osoby urodzone w latach 1905–1918, tak więc ja, rocznik 1916, mieściłam się w tej kategorii wiekowej. Nie mając wątpliwości co do tego, że zostanę przyjęta natychmiast i z radością, udałam się do Wojskowej Komendy Uzupełnień wodnotransportowego rejonu Odessy. Mając świadomość podniosłego charakteru zbliżającego się spotkania z komendantem komendy wojskowej, włożyłam swoją najlepszą krepdeszynową sukienkę i eleganckie białe sandały na wysokim obcasie. W torebce miałam dowód osobisty, legitymację studenc-

ką i świadectwo ukończenia szkoły snajperskiej *Osoawiachimu*.

Pod drzwiami komendy uzupełnień kłębiło się mnóstwo ludzi i do gabinetu komendanta weszłam dopiero po upływie prawie dwóch godzin. W pokoju było duszno od dymu papierosowego, a drzwi co chwilę otwierały się i zamykały. Komendant o sinopurpurowej twarzy zachrypniętym głosem tłumaczył coś dwóm chłopcom o wiejskim wyglądzie. Popatrzył na mnie szalonym wzrokiem i powiedział:

– Kadry medyczne będą mobilizowane od jutra…

– Nie jestem lekarką.

On jednak natychmiast się odwrócił, dając do zrozumienia, że rozmowa jest skończona. Ale ja byłam odmiennego zdania i położyłam na jego biurku swoją legitymację snajperską. Poirytowany komendant oświadczył, że w jego wykazie nie ma czegoś takiego jak specjalność „SNAJPER”. Następnie rzucił niewybredną uwagę pod adresem *Osoawiachimu* i kobiet, które chcą być żołnierzami, nie wiedząc, jak trudna jest to praca. Krótko mówiąc, zmusił mnie do opuszczenia swojego gabinetu.

Wracając z rejonowej komendy uzupełnień, analizowałam sobie całą zaistniałą sytuację i doszłam do wniosku, że główna przyczyna tkwi w miejscu zameldowania, ponieważ moje nazwisko widniało w wykazie snajperów zarejestrowanych w rejonie peczerskim Kijowa. W ubiegłym roku z powodzeniem wystąpiłam na miejskich zawodach strzeleckich i odbyłam powtórne szkolenie, może więc w stolicy Ukrainy już mnie szukają, podczas gdy ja się znajduję nad brzegami Morza Czarnego. Trzeba poprosić rejonowego komendanta komendy wojskowej, by zadzwonił do Kijowa…

Następnego dnia znowu się udałam do Wojskowej Komendy Uzupełnień rejonu wodno-transportowego. Zostałam przyjęta przez komendanta o wiele cieplej niż wczoraj – za-

pewne z uwagi na fakt, że wiedział on już, kim jest snajper. Komendant kartkował mój dowód osobisty, w którym znalazł adnotację o zawartym małżeństwie z Pawliczenką A. B., i zapytał, czy mąż nie ma nic przeciwko temu, że zamierzam na ochotnika wstąpić w szeregi Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej. Aleksieja Pawliczenki nie widziałam już prawie trzy lata, więc odparłam, że mąż nie ma żadnych zastrzeżeń. Dowód osobisty pozostał u komendanta, a w sąsiadującym z jego gabinetem pokoju zaczęto przygotowywać dla mnie dokumenty wojskowe.

Wieczorem 24 czerwca 1941 roku, po wiecu na dworcu, wszyscy rekruci, z których część była już umundurowana, a inni ciągle jeszcze mieli na sobie odzież cywilną, weszli do wojskowych wagonów. Pociąg jechał powoli, kierując się na zachód drogą przebiegającą pośród stepów czarnomorskich. Wkrótce po prawej stronie zalśniła tafla Limanu Dniestru, a następnie mijaliśmy stacje Szabo, Kolesnoje, Sarata, Arcyz i Gławani. Bywało, że na stacjach pociąg stał przez dłuższy czas. Wtedy serwowano nam posiłki, jednakże nikt ani słowem nie wspominał o docelowym miejscu naszej podróży. Mówiono tylko, że jedziemy na front, a serce mimo woli wołało: „Szybciej, szybciej!”. Znajdująca się w naszym wagonie młodzież niecierpliwiła się: „Nie zdążymy, pokonają faszystów bez nas!”. Nie zdawaliśmy sobie wtedy w ogóle sprawy z rozmiarów katastrofy, która spadła na nasz kwitnący, wspaniały kraj.

Pociąg zatrzymał się na jakimś przystanku kolejowym o trzeciej w nocy 26 czerwca. Rozkazano nam opuścić wagony i uformować się w kolumnę. Rekruci, z powodu porannej wilgoci i chłodu wtulając głowy w ramiona, pomaszerowali polną drogą i o siódmej rano dotarli do gęstego lasu. Okazało się, że znajdujemy się na ziemiach Besarabii,

w jednostkach tyłowych 25. Dywizji Strzeleckiej „Czapajewskiej”.

Swój pierwszy mundur otrzymałam właśnie tu, zostając czerwonoarmistką 54. Pułku Strzelców Stiepana Razina. Odzież wojskowa była całkowicie nowa, nieużywana, co świadczyło o dobrej kondycji służby intendenckiej w dywizji i porządku panującym w jej magazynach. W skład ekwipunku, który mi wydano, wchodziły bawełniane akcesoria w barwach ochronnych: czapka pilotka, bluza wojskowa z wykładanym kołnierzem, bryczesy oraz o dwa rozmiary większe buty z kirzy. Oprócz tego należał mi się pas z mosiężną sprzączką, maska przeciwgazowa w brezentowej torbie, niewielka łopata snajperska w futerale, aluminiowa manierka (także w futerale), hełm SSz-40 (dosyć ciężki) oraz plecak, w którym znajdowały się między innymi ręcznik, koszula i spodnie, zapasowa para onuc, a także woreczki na prowiant i przybory toaletowe. Do plecaka schowałam ponadto swoją sukienkę staplową z koronkowym kołnierzykiem i wygodne płócienne sznurowane pantofle. Żegnaj więc życie cywila!

Pierwsze wojskowe śniadanie, które spożywaliśmy w warunkach zbliżonych do wojennych, było bardzo smaczne: gorąca kasza gryczana i słodka herbata z solidną pajdą chleba. W oddali, gdzieś na zachodzie, słychać było serie z karabinów maszynowych i wybuchy pocisków artyleryjskich. Po każdej potężnej eksplozji wszyscy rekruci mocno się wzdrygali, zaś doświadczeni sierżanci i starsi sierżanci uspokajali ich słowami: nie ma się co bać pocisku, który wybuchł czy przeleciał obok – on już nikomu nie zaszkodzi. I tak na rozmowach minął dzień. Teraz należał nam się odpoczynek, jednak wychodzenie z lasu było kategorycznie zabronione.

Ceremonia złożenia przysięgi wojskowej miała miejsce 28 czerwca. Tego dnia przybył do nas komendant wojskowy 54. Pułku, starszy oficer polityczny Jefim Andriejewicz Malcew. Opowiadał nam o wojennej historii 25. Dywizji Strzeleckiej „Czapajewskiej", którą rzeczywiście w 1919 roku dowodził legendarny bohater wojny domowej Wasilij Iwanowicz Czapajew. Mówił o słynnych pułkach strzeleckich: 31. Pugaczowskim imienia Furmanowa, naszym 54. imienia Stiepana Razina i 225. Domaszkinskim imienia M. W. Frunzego. W 1933 roku dywizja pierwsza w Armii Czerwonej dostąpiła zaszczytu nagrodzenia jej niedawno wprowadzonym najwyższym orderem ZSRR – Orderem Lenina. Był to wyraz uznania dla jej prawdziwych wyczynów na frontach wojny domowej i wybitnych osiągnięć w szkoleniu wojskowym w czasie pokoju.

Wtem padła komenda: „Baczność!". Przed szereg wprowadzono sztandar 54. Pułku. Ze wzruszeniem powtarzaliśmy słowa „Przysięgi żołnierza RKKA": „Ja, obywatel Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, stając w szeregach Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej, uroczyście przysięgam być uczciwym, mężnym, zdyscyplinowanym i czujnym żołnierzem, dochować ściśle tajemnicy wojskowej i państwowej..." Następnie złożyliśmy swoje podpisy na kartkach z wydrukowanym tekstem przysięgi i tak oto staliśmy się ludźmi, których życie całkowicie i bez reszty przynależy Ojczyźnie. Przydzielono nas do oddziałów 54. Pułku w taki sposób, że ja trafiłam do pierwszego batalionu, 2. Kompanii, pierwszego plutonu.

Plutonem tym dowodził wtedy podporucznik Wasilij Kowtun, który w zeszłym roku ukończył mohylewską Szkołę Piechoty Wojskowej i był młodszy ode mnie. Pierwsze pytanie, jakie mi zadał, brzmiało: „Po co zgłosiłaś się do wojska na ochotnika? Przecież wojna jest absolutnie nie dla kobiet",

na co ja – w odpowiedzi – wyciągnęłam swojego „cudownego wybawcę”, którym było świadectwo ukończenia szkoły snajperskiej *Osoawiachimu*. Do przedłożonego mu dokumentu porucznik odniósł się ze skrajną nieufnością i oświadczył, że zwróci się do dowódcy batalionu, kapitana Siergijenki, z prośbą o przeniesienie mnie do plutonu sanitarnego, ponieważ jedynym zajęciem, z którym może poradzić sobie kobieta na froncie, jest praca na stanowisku instruktora sanitarnego.

Udaliśmy się więc do punktu dowodzenia, gdzie powtórzyła się znana mi już rozmowa: po co, dlaczego, czy rozumiem, jakie to niebezpieczne itd., itp. W odpowiedzi opowiadałam o ojcu, który w czasie wojny domowej przez pewien czas pełnił służbę w Dywizji Samarskiej (obecnie 25. „Czapajewskiej”) i nawet spotykał się z Czapajewem, wspominałam o pracy w fabryce „Arsenał”, która realizowała zamówienia Ludowego Komisariatu Obrony, o wojennej historii naszego kraju, którą dokładnie studiowaliśmy na wydziale historii uniwersytetu w Kijowie.

Iwan Iwanowicz Siergijenko – człowiek przenikliwy, doświadczony i poważny – wysłuchał mnie z uwagą i nakazał Kowtunowi zapomnieć o jego niedorzecznym pomyśle przeniesienia żołnierza-snajpera Pawliczenko do oddziału medycznego. Bardzo mnie to ucieszyło:

– Towarzyszu kapitanie, jestem gotowa pobrać należną mi broń.

– Ale karabinów snajperskich nie posiadamy, Ludmiło – odparł kapitan.

– No to może zwykłą „triochliniejkę”.

– Tych też nie mamy.

– To jak mam walczyć, towarzyszu kapitanie? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Dla was, rekrutów, na razie podstawową bronią będzie łopata. Pomożecie żołnierzom budować okopy i transzeje oraz rekonstruować je po ostrzałach artyleryjskich i bombardowaniach. Oprócz tego wydamy wam po jednym granacie RGD-33 na wypadek nagłego przybliżenia się faszystów. Zna pani zasadę działania tego granatu?

– Znam, towarzyszu kapitanie.

– No to świetnie. – Siergijenko się uśmiechnął. – Innych działań na razie się od was nie wymaga…

Przeczytałam wiele wspomnień o pierwszych dniach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Pisali je generałowie dowodzący dużymi jednostkami wojskowymi, oficerowie stojący na czele pułków, kompanii i plutonów, a także pracownicy polityczni. Ponieważ walki toczyły się na całej długości naszych granic, to obraz bitew, który wyłaniał się z pism ich uczestników, także bywał całkowicie różny. Obrońcy Twierdzy Brzeskiej na przykład prowadzili działania obronne przez miesiąc, choć bywały również starcia trwające zaledwie dwa dni, zakończone wycofywaniem się wojsk niemal w panice, utratą kontroli nad korpusami i dywizjami oraz pozostawianiem sprzętu wojskowego i dostaniem się do niewoli wielu oddziałów wojsk radzieckich. Takie sytuacje miały miejsce na froncie północno-zachodnim, zachodnim i południowo-zachodnim, gdzie w ciągu trzech tygodni okupanci hitlerowscy posunęli się w głąb terytorium ZSRR na odległość od 300 do 600 kilometrów. Jednak nasza 25. Dywizja „Czapajewska” znajdowała się na skrajnie lewej flance Frontu Południowego i zajmowała przygotowaną zawczasu linię obrony (około 60 kilometrów) wzdłuż rzeki Prut. Tutaj początkowo sytuacja wyglądała zupełnie inaczej – bardziej pomyślnie dla nas.

Rumuni, sojusznicy hitlerowskich Niemiec, 22 czerwca 1941 roku usiłowali sforsować rzekę, zostali jednak zmu-

szeni do odwrotu. Kolejny tydzień upłynął pod znakiem niewielkich starć i pojedynków artyleryjskich, kiedy to „Czapajewcy” utrzymywali swoje pozycje. Podejmowano także próby przeniesienia działań wojennych na terytorium wroga. Na przykład jeden z batalionów naszego pułku, który stacjonował w mieście Kaguł, rozgromił nad brzegiem rzeki po stronie rumuńskiej dwie kompanie faszystów i wziął do niewoli około 70 żołnierzy oraz oficerów. Ponadto nasze wojska zajęły także rumuńskie miasto Chilia Veche, w którym jako trofeum wojenne żołnierze radzieccy zdobyli 8 dział i 30 karabinów maszynowych. Jednostki rumuńskie, które przeprawiły się przez rzekę Prut 23 czerwca, także natknęły się na zdecydowany odpór, co zaowocowało dostaniem się do niewoli około 500 nieprzyjacielskich żołnierzy. W ciągu ośmiu dni, od 22 do 30 czerwca, przeciwnik stracił około półtora tysiąca ludzi, nie zdoławszy zająć nawet piędzi ziemi radzieckiej[1].

Później wydarzenia przyjęły zgoła inny obrót. W pierwszych dniach lipca nasze północne linie obrony na rzece Prut (w kierunku miast Jassy, Bielce i Mohylów Podolski) zostały przerwane. Okupanci, mając dużą przewagę w sile żywej i technice, szybko rozpoczęli natarcie i Front Południowy zaczął pękać w szwach. Tworzył sie „besarabski kocioł”, z którego niezwłocznie należało ewakuować 25., 95., 51. i 176. Dywizję Strzelców, toteż od połowy lipca trwał nasz mozolny odwrót po stepach czarnomorskich, któremu towarzyszyły zacięte walki na tyłach.

Nasz bohaterski pułk 19 lipca znajdował się na rubieży obronnej Cairaclia – Bułgarijka; 21 lipca – na rubieży Nowopawłowka – Nowy Arcyz; 22 lipca – na rubieży Arcyz; 23 lipca – na rubieży Karolino-Buhaz – Liman Dniestru, zaś 24 lipca pułki dywizji stacjonowały na różnych rubieżach: nie-

opodal wsi Starokozacze; na kluczowej pozycji 67 – Czerkiesy oraz nieopodal wsi Sofiental.

Odwrót odbywał się tak zwanymi etapami, czyli jedni osłaniali odejście, drudzy się wycofywali, a jeszcze inni przygotowywali nowe pozycje ogniowe. Wyglądało to tak, że pułki strzeleckie 31. Pugaczowski i 287. osłaniały pozycje, 54. Pułk Razina wycofywał się, a 225. Domaszkinski okopywał. Później następowała zamiana: Pułk Domaszkinski walczył, Pugaczowski się wycofywał, zaś Pułk Razina budował okopy i transzeje.

Wycofywaliśmy się w ciągu dnia, a niekiedy także nocą – by chronić się przed atakiem ze strony lotnictwa niemiecko-rumuńskiego. Przemieszczaliśmy się samochodami, których jednak w pułku było zaledwie 18, przy czym 9 z nich („półtoratonówki" albo GAZ-AA) należały do kompanii sanitarnej. Mieliśmy za to do dyspozycji dużą liczbę bryczek (według stanu – 233, jednak w połowie lipca było ich mniej więcej o jedną trzecią mniej), często odbywaliśmy także szybkie marsze.

Step, niczym otwarta księga, rozpościerał się po obu stronach drogi. W ciepłą lipcową noc jawił się jako zagadkowy i cichy, jednakże za dnia grzmiał salwami armatnimi i zionął swądem przepalonego prochu. Ludność – podobnie jak i my – opuszczała Besarabię. Po drogach sunęły maszyny rolnicze (kombajny, ciągniki, siewniki itp.), zdarzały się też całe karawany ciężarówek z dużymi drewnianymi skrzyniami, w których najprawdopodobniej wywożono wyposażenie fabryk. Kołchoźnicy gnali tabuny bydła i ciągnęli całe tabory furmanek, na których znajdowały się wszelkiego rodzaju sprzęty domowe. Nie wspomnę już o tym, jak wiele kobiet z małymi dziećmi na rękach, nastolatków i starców z przygnębieniem kroczyło po zakurzonych poboczach, z trwogą

spoglądając w niebo i z przerażenia drżąc w rytm artyleryjskiej kanonady.

Nad stepami często krążyła tak zwana Rama – dwusilnikowy samolot skonstruowany w układzie dwubelkowym o nazwie Focke-Wulf FW 189, który sami Niemcy określali mianem „latającego oka armii”. Samolot ten rzeczywiście prowadził rozpoznanie, naprowadzał na kolumny wycofujące się w kierunku Dniestru, śledził lot bombowców i prowadził korygowanie ognia artylerii dalekonośnej. „Rama” nie latała zbyt szybko, za to dosyć wysoko, tak więc wszystkie ataki przeprowadzane na nią przez „myśliwce” z emblematem czerwonej gwiazdy spełzały na niczym. Należy zresztą dodać, iż ataków tych było bardzo niewiele.

Faszyści z kolei regularnie dokonywali nalotów, które dosięgały dróg i leżących przy nich wsi. Widzieliśmy doszczętnie wypalone pola pszenicy, zburzone przez bomby domy, magazyny, budynki administracyjne i gospodarcze, porzucone i spalone wyposażenie techniczne. Bywało, że na naszych oczach bombowce Junkers Ju 87, niespodziewanie wypływając zza chmur, z przeraźliwym rykiem syren pikowały na drogi, zrzucały bomby i strzelały z karabinów maszynowych do pozbawionej jakiejkolwiek możliwości obrony ludności cywilnej. Wszystko to, bardziej niż typową wojnę, w której ścierają się dwie równe pod względem siły armie, przypominało zamierzoną eksterminację naszego narodu. My zaś – jego obrońcy – bądź to chowaliśmy się w lasach, bądź też wycofywaliśmy na wschód tymiż leśnymi ścieżkami. Prości ludzie, daremnie oczekując pomocy, zwracali się do nas nieżyczliwie: „Obyście przepadli! Czemu nie walczycie z wrogiem, czemu nie stawiacie mu oporu?!”.

Obrazy okrutnego spustoszenia i ogromnej ludzkiej rozpaczy rozrywały serce i z bólem tym niepodobna było normalnie żyć. Jedni popadali z tego powodu w przygnębienie, inni

tracili wiarę w zwycięstwo i obawiali się dnia jutrzejszego, ja zaś myślałam wówczas o odwecie – nieuniknionym i nieuchronnym. Przybysze z zachodu, którzy wiarołomnie zniszczyli pokój w moim kraju ojczystym, powinni ponieść surową karę, a ukarać ich mogę ja. Mogę, o ile tylko dostanę do ręki broń. Kwestia uzbrojenia wyglądała jednak nie najlepiej: brakowało nie tylko pocisków artyleryjskich, ale także karabinów.

W pamiętnikach wiceadmirała I. I. Azarowa, który latem 1941 roku był członkiem Rady Wojennej Odeskiego Rejonu Obronnego, znajduje się rozdział o wymownym tytule *Dajcie broń!* Autor opowiada w nim, jak podczas intensywnego natarcia faszystów poszukiwał w wojskowych magazynach karabinów, automatów, ręcznych i ciężkich karabinów maszynowych i wszędzie spotykał się z odmową. Tylko przypadek sprawił, że udało mu się uzbroić jedną z ponownie formujących się jednostek wojskowych Frontu Południowego:

> Mieliśmy 500 karabinów szkoleniowych […]. Wszystkie z przewierconymi komorami nabojowymi. Na naszą prośbę w fabryce załatano dziury i większość karabinów udało się uzdatnić. Wypróbowaliśmy je na strzelnicy i ku naszej uciesze okazały się one sprawne[2].

Typowy karabin Mosin wz. 1891/1930 trafił w moje ręce w drugiej połowie lipca, kiedy to nasz pułk znajdował się pod silnym ostrzałem artyleryjskim na rubieży obronnej Nowopawłowka – Nowy Arcyz. Bardzo bolesne to doświadczenie – śledzić walki z samotnym granatem w dłoni – choć milion razy gorzej jest czekać, kiedy stojący obok towarzysz zostanie ranny, a ty przejmiesz jego broń. Jeden z odłamków ciężko ranił ukrywającego się w okopie mojego kolegę z pułku, który – brocząc krwią – przekazał mi „triochliniejkę”.

Po artyleryjskim przygotowaniu ataku Rumuni szykowali się do uderzenia, podczas gdy ja, podobnie jak inni żołnierze naszego pierwszego plutonu, położywszy karabin na przedpiersie transzei, przestawiłam suwak celownika krzywkowego na cyfrę „3” (czyli na odległość 300 metrów) i otworzyłam zamek. Nabój znajdował się w komorze i lekka kula oczekiwała wyjścia na wolność. Otworzyliśmy ogień na rozkaz podporucznika Kowtuna, a wspierały nas należące do kompanii ręczne karabiny maszynowe. O rozstrzygnięciu tej małej bitwy zadecydował nasz udany kontratak. Wyszedłszy z okopów, przegoniliśmy faszystów dosyć daleko. Pole walki należało do nas i żołnierze 54. Pułku Strzeleckiego zebrali broń po poległych wrogach. Wzbogaciliśmy się o czechosłowackie karabiny Vz. 24[3] kalibru 7,92 mm, do których nasze naboje nie pasowały, w związku z czym trzeba było zdejmować z trupów także ładownice. To wszystko wszakże jedynie w ograniczonym stopniu rozwiązywało trudności z uzbrojeniem naszych żołnierzy.

Podporucznik Kowtun, dostrzegłszy przewieszoną przez moje ramię „triochliniejkę”, podszedł do mnie. Obawiałam się, że rozkaże mi oddać ją któremuś z żołnierzy, jednakże po naszym dopiero co odniesionym zwycięstwie dowódca plutonu był nastawiony zdecydowanie przyjaźnie.

– Wychodzi na to, że uczestniczyłaś w walce, czerwonoarmistko Ludmiło?

– Tak jest, towarzyszu dowódco! – zameldowałam.

– I jak nastrój?

– Doskonały, towarzyszu dowódco!

– Strzelałaś?

– Tak. Cały magazynek zużyłam.

– Dobrze. Starszy sierżant przepisze ten karabin na ciebie. Zobaczymy, jaki z ciebie snajper.

– Przydałaby mi się broń z celownikiem optycznym, towarzyszu dowódco – poprosiłam. – Wtedy i efekty będą zupełnie inne.

– Tego na razie obiecać nie mogę, jednak przy pierwszej nadarzającej się okazji spróbuję spełnić twoją skrytą prośbę. – Podporucznik się uśmiechnął, ja zaś zrozumiałam, że teraz już naprawdę wchodzę w skład powierzonego mu oddziału…

Tymczasem kontynuowaliśmy odwrót. „Czapajewcy” doszli do zachodniego brzegu Dniestru, a następnie przeprawili się przez rzekę i 26 lipca zajęli pozycje obronne na wschodnim brzegu na rubieżach Gradenicy – wieś Majaki – Frantsfeld – Karolino-Buhaz. Na północy znajdowały się fortyfikacje 82. Rejonu Fortyfikacyjnego Tyraspola (UR-82), które zostały wzniesione na długo przed wojną i wyposażone całkiem przyzwoicie: w betonowe, drewniano-ziemne i kamienne punkty ostrzału, schrony podziemne, a także głębokie okopy i transzeje. Tutaj, w kaponierach i półkaponierach, umieszczono około stu dział różnego kalibru oraz kilkaset ręcznych i ciężkich karabinów maszynowych. UR-82 dysponował także magazynami podziemnymi, w których składowano mienie wojskowe. Dowództwo radzieckie zamierzało w tym miejscu zatrzymać natarcie wroga, zetrzeć w proch na brzegach Dniestru rumuńskie i niemieckie dywizje piechoty, a następnie zmusić je do odwrotu w stronę granicy zachodniej. Szczegółowo piszę o UR-82, ponieważ zawartość jego magazynów okazała się nader przydatna dla 25. i 95. Dywizji Strzelców. W każdym razie nasz 54. Pułk zyskał ciężkie karabiny maszynowe Maxim, karabiny maszynowe DP (Diegtiariow Piechotnyj), „triochliniejki” i karabiny SWT-40. Znacząco uzupełniliśmy też zapasy amunicji, ja zaś otrzymałam nieużywany, jeszcze fabrycznie naoliwiony

karabin snajperski Mosin z celownikiem optycznym Jemieljanowa („PE”).

Niestety nadzieje naszych generałów na zasadniczy zwrot w działaniach wojennych dzięki UR-82 okazały się płonne. Rumuni i Niemcy, dysponując pięciokrotną przewagą liczebną, mocno napierali. Na wojennych rubieżach Rejonu Fortyfikacyjnego Tyraspola zacięte walki trwały od 26 lipca do 8 sierpnia, a później jednostki wojskowe Frontu Południowego zostały zmuszone do odwrotu w kierunku bardziej oddalonych osiedli podmiejskich Odessy. Linia obrony radzieckiej przebiegała teraz wokół miejscowości: Aleksandrowka–Bujałyk–Brinowka–Karpowo–Bielajewka–Owidiopol–Karolino-Buhaz…

Bielajewka, 8 sierpnia 1941 roku – miejsce i data mojego, że tak powiem, debiutu na wojnie. Nigdy nie zapomnę tego dnia.

Bielajewka jest dosyć dużą, starą wsią, założoną jeszcze przez Kozaków zaporoskich nad jeziorem Białym i znajduje się w odległości około czterdziestu kilometrów od Odessy. Znaczną część domostw stanowią lepianki z gliny i betonu, o dachach pokrytych trzciną. Znajdowały się tam też budynki murowane: cerkiew, parterowa szkoła i kilka domów, które przed rewolucją należały zapewne do miejscowych bogaczy. Obecnie w jednym z tych domów mieściła się rada gminy. Po długotrwałych walkach Bielajewka przeszła we władanie żołnierzy króla Rumunii Michała I, którzy mimo poniesionych dużych strat nadal pozostawali w tej miejscowości. Pod wieczór nasz pierwszy batalion umocnił swoje pozycje po wschodniej stronie wsi. Kapitan Siergijenko wezwał mnie na stanowisko dowodzenia i wskazał oddalony punkt Bielajewki. Tam, pośród rozłożystych drzew, widniał dużych rozmiarów dom z werandą i dachem dwuspadowym, dobrze oświetlony przez zachodzące słońce. Na werandę

wyszło dwóch mężczyzn w mundurach oficerskich i w hełmach przypominających makutry. To właśnie te stalowe wyroby Królestwo Rumunii jeszcze przed wojną zakupiło dla swojej armii od holenderskich dostawców.

– Wygląda na to, że tam znajduje się ich sztab. Dosięgniesz? – zapytał dowódca batalionu.

– Spróbuję, towarzyszu kapitanie – odpowiedziałam.

– No to do dzieła. – Kapitan stanął w pewnej odległości, skąd zamierzał się przyglądać moim działaniom.

Nasz tygodniowy pobyt w UR-82 przebiegał względnie spokojnie, tak więc ja – stacjonując na tyłach – miałam możliwość przygotowania swojej nowej „snajperki” do pracy. W tym celu należało całkowicie rozebrać karabin i wykonać pewne czynności, a mianowicie usunąć zbędną warstwę drewna na całej długości wyżłobienia osady karabinu, spiłować zakończenia łoża i lufy, zamocować dwójnóg do kołka lufy oraz wstawić podkładki pomiędzy komorę zamkową a magazynek. W celu idealnego przylegania do siebie niektórych elementów zamka wskazane jest ponadto ostrożne obrobienie ich małym pilnikiem igiełkowym – mechanizm spustu karabinu powinien być przecież dokładny, pewny i stabilny.

Jasna i bezwietrzna pogoda, która ukształtowała się wtedy na stepowych przestworzach wschodniego brzegu Dniestru, sprzyjała przystrzeleniu karabinu – najpierw z celownikiem mechanicznym, a później – z optycznym. Pierwszy etap przystrzelenia odbywa się poprzez wzięcie na cel czarnego prostokąta o wymiarach 25×35 centymetrów, znajdującego się w odległości stu metrów. Drugi etap polega na oparciu karabinu na dwójnogu (albo na czymś innym) w celu zapewnienia mu nieruchomego położenia i wyregulowaniu celownika optycznego za pomocą mechanicznego…

„Snajperka” wisiała na moim ramieniu, zaś do pasa miałam przytwierdzone trzy ładownice z różnego rodzaju nabojami: pierwsza – z „lekkimi” pociskami wz. 1908, druga – z „ciężkimi” wz. 1930 i trzecia – z amunicją bojową wz. 1932. Wzięłam karabin do ręki i spojrzałam przez okular celownika optycznego. Pozioma belka przebiegała pośrodku schodzącego po schodach oficera. Była to dla mnie swego rodzaju powtórka zajęć z praktycznej balistyki, którą wykładano nam w szkole snajperskiej: odległość do celu wynosi 400 metrów. Załadowałam nabój do komory i odwróciłam się, szukając idealnej pozycji do oddania strzału. Razem z kapitanem znajdowaliśmy się pośrodku wiejskiej chaty, zburzonej na skutek eksplozji pocisku artyleryjskiego. Ściana chaty była przewrócona, a wszędzie wokół leżały porozrzucane kamienie i nadpalone fragmenty dźwigarów. Ponieważ strzelanie z pozycji leżącej wydawało się niemożliwe, postanowiłam oddać strzał ukryta za ścianą – z pozycji klęczącej z wykorzystaniem pasa: siadając na obcasie prawego buta i opierając się lewym łokciem na ugiętej w kolanie lewej nodze, a cały ciężar karabinu przenosząc na przepuszczony pod lewym łokciem pas. Ech, nie bez kozery Potapow często przypominał nam stare porzekadło: „Strzela lufa, ale trafia osada!”. Od pozycji, którą przyjął strzelec, zależy w końcu bardzo wiele.

Krótko mówiąc, pierwszy cel zlikwidowałam za trzecim razem, a drugi – za czwartym, załadowawszy karabin deficytowymi „ciężkimi” pociskami. Nie powiem, żebym się denerwowała albo wahała, bo o jakim wahaniu może być mowa po trzech tygodniach desperackiego odwrotu przy dźwiękach bomb i kanonadzie pocisków artyleryjskich? Coś jednak przeszkadzało mi się skupić. Mówi się, że takie rzeczy się zdarzają, kiedy snajper po raz pierwszy przechodzi

od mierzenia do tarczy do obrania sobie za cel żywego przeciwnika.

– Lusiu – pieszczotliwie zwrócił się do mnie dowódca batalionu, spoglądając przez lornetkę na nieruchomo leżących przy werandzie oficerów nieprzyjaciela. – Naboje, mimo wszystko, trzeba oszczędzać. Siedem sztuk na dwóch faszystów to za dużo.

– Przepraszam, towarzyszu kapitanie. Poprawię się.

– Postaraj się. Jest ich mnóstwo i ciągną tu jak karaluchy, a przecież oprócz nas nie ma kto powstrzymać okupantów…

Tymczasem Rumuni czuli się jak zwycięzcy. Dyktator Ion Antonescu 8 sierpnia obwieścił, że 15 sierpnia 1941 roku jego dzielne wojska, pokonując Rosjan, wkroczą do Odessy i urządzą na jej ulicach uroczysty przemarsz. Do takiego „zawrotu głowy od sukcesów” były oczywiście podstawy. Niemiecko-rumuńskie wojska sojusznicze, zająwszy 16 lipca Kiszyniów, szybko posuwały się od rzeki Prut do Dniestru i w ciągu 33 dni zajęły znaczne terytoria radzieckie, które nazwano Transnistrią – należące jakoby z dawnych czasów do Królestwa Rumunii. Teraz zaś zamierzały oczyścić je z Rosjan, Ukraińców, Żydów i Cyganów (czyli poddać ich eksterminacji w obozach koncentracyjnych), ich ziemie i domostwa przekazać żołnierzom i oficerom własnej armii, wprowadzić zakaz używania języka rosyjskiego i ukraińskiego jako „urągających godności wielkiego narodu rumuńskiego”, zburzyć wszystkie pomniki, zmienić na „własne” wszystkie nazwy wsi i miast, a samą Odessę przemianować na miasto „Antonescu”.

Rumuni chcieli jednak wyciągać kasztany z ognia cudzymi rękami. Gdyby nie hitlerowskie Niemcy ze swoim potężnym przemysłem, doskonałą techniką wojskową, zmobilizowaną i zaprawioną w bojach armią oraz planem „Barbarossa” w zanadrzu, to o żadnej Transnistrii poddani króla Michała

I nie mogliby nawet pomarzyć. W 1940 roku Związek Radziecki odzyskał Besarabię i Bukowinę Północną, które Rumunia wydarła Rosji w burzliwym okresie rewolucji i wojny domowej. Wówczas to wojska królewskie pospiesznie się wycofywały pod naporem naszych jednostek 5., 12. i 9. Armii, unikając konfliktów zbrojnych i porzucając magazyny z bronią. Teraz z kolei triumfalny pochód po czarnomorskich stepach zrodził w bojownikach na poły feudalnego, zacofanego państwa iluzję zwycięstwa nad groźnym sąsiadem z północy. Najwyraźniej generałowie królewscy uznali, że Armia Czerwona jest całkowicie zdemoralizowana i tym samym nie będzie stawiać absolutnie żadnego oporu. Iluzja ta słono kosztowała Rumunów pod Odessą.

W okularze celownika optycznego często widywałam ich smagłe cygańsko-wschodnie fizjonomie z garbatymi nosami. Co prawda pan Antonescu przekonywał, że Rumuni byli potomkami rzymskich legionistów, jednak tak naprawdę już w XV wieku Księstwo Wołoskie dostało się pod władanie imperium osmańskiego. Jeśli więc ktoś miał wpływ na tę ludność, to Turcy, którzy prawie aż do lat 70. XIX wieku utrzymywali swoje garnizony w większych miastach, prowadzili własny handel i zmuszali Rumunów do pełnienia służby w ich armii. Nie bez wpływu pozostawała także obecność mnóstwa cygańskich taborów, swobodnie koczujących w całym tym chłopskim kraju.

Rumuni, ubrani w piaskowo-szare mundury, z hełmami-makutrami albo kepi z sukna i ze śmieszną wstążką wyciągniętą skośnie z przodu i z tyłu, w pierwszych dniach sierpnia 1941 roku byli nadzwyczaj pewni siebie oraz beztroscy i demonstrowali lekceważący stosunek do praw panujących na wojnie. W całej okazałości przechadzali się po pozycjach obrony, rzadko kiedy wystawiali ochronę, nie przykładali zbytniej wagi do zwiadu i rozlokowywali jednostki tyłowe

(bataliony medyczno-sanitarne, kuchnie, słupy do przywiązywania koni, tabory, warsztaty itp.) w pobliżu linii frontu. Jednym słowem: stwarzali doskonałe warunki dla strzelca wyborowego, nic więc dziwnego, że stan mojego snajperskiego konta zwiększał się z każdym dniem.

Jasne jest, że szalony rozkaz Antonescu zdobycia Odessy 15 sierpnia 1941 roku nie został wykonany, chociaż 4. Armia, którą dowodził generał Nicolae Ciupercă, liczyła ponad 300 tysięcy żołnierzy i oficerów, dysponowała 80 samolotami bojowymi i 60 czołgami, a wspomagały ją niektóre oddziały 72. niemieckiej Dywizji Piechoty. Nasi mogli wówczas przeciwstawić im 35 samolotów, 5–7 nadających się do użytku czołgów i 50–60 tysięcy żołnierzy.

Przypisy

[1] W tym miejscu i dalej dane statystyczne przywoływane są na podstawie książki: Н. М. Хлебников, П. С. Евлампиев, Я. А. Володихин, *Легендарная Чапаевская*, Москва 1967.

[2] И. И. Азаров, *Осаждённая Одесса*, Москва 1966, s. 26–32.

[3] W oryginale błędnie: „ZB-24” – przyp. tłum.

Rozdział 4

RUBIEŻE OGNIOWE

Radzieckie jednostki wojskowo-inżynieryjne, bataliony saperskie i mieszkańcy miasta wykonali solidną pracę, przygotowując się do długotrwałego oblężenia. Przedni skraj obrony głównej rubieży (o długości 80 kilometrów wzdłuż linii frontu i głębokości 3,5 kilometra) przebiegał wokół położonych nieopodal Odessy wsi i chutorów. Rubież ta liczyła 32 bataliony obronne, punkty oporu dla kompanii i plutonów, a także pozycje ogniowe dla artylerii i broni moździerzowej. Do 10 sierpnia wzniesiono 256 drewniano-ziemnych, ceglanych i żelbetowych punktów ostrzału oraz wykonano 1500 okopów różnego charakteru, które stanowiły jeden system połączony długimi, krętymi transzejami. Okopy i transzeje były głębokie na półtora metra i wzmocnione deskami. Znajdowały się tam też schrony podziemne, zamaskowane trzema warstwami grubych kłód, zaś rowy przeciwpancerne o szerokości do siedmiu metrów i głębokości do trzech metrów przecinały nizinne przestrzenie stepów czarnomorskich. Przed pozycjami obrony znajdowały się pola minowe i spore odcinki zasieków z drutu gładkiego i kolczastego. Druga rubież głównej linii obrony oddalona była od miasta o 40 kilometrów, trzecia – o 25–30 kilometrów, czwarta zaś – o 12–13 kilometrów[1].

Marzyliśmy o podobnych fortyfikacjach, a marzenia te podtrzymywały nas na duchu i pod Nowopawłowką, i pod Arcyzem, i pod wsią Starokozacze, kiedy to w pośpiechu, za pomocą małych łopatek snajperskich, kopaliśmy transzeje: to nocą, przy świetle księżyca, to za dnia, pod obstrzałem wrogiej artylerii dalekosiężnej; kiedy maszerowaliśmy po

stepowych szlakach bez jedzenia i wody, kiedy grzebaliśmy poległych towarzyszy w lejach po bombach, kiedy wreszcie – usiłując oszczędzać amunicję – broniliśmy się przed nacierającymi faszystami. Wierzyliśmy, że chaos i zamęt pierwszych dni wojny, spowodowane nagłym, wiarołomnym atakiem agresora, wreszcie ustaną. Kiedy jednak i gdzie się zakończą – tego nie wiedzieliśmy, nie mieliśmy wszakże wątpliwości, że na naszej ciężkiej drodze wkrótce pojawi się jakieś oparcie, swego rodzaju niedostępna twierdza, której my – żołnierze już po chrzcie bojowym – będziemy bronić do ostatniej kropli krwi, zaś zuchwały przeciwnik poczuje prawdziwą siłę rosyjskiego oręża…

Stan oblężenia wprowadzono w Odessie 8 sierpnia. Tego dnia jednostki wojskowe naszej 25. Dywizji Strzeleckiej „Czapajewskiej”, pod dowództwem pułkownika A. S. Zacharczenki, znajdowały się na linii: Bielajewka – Mannheim[2] – Brinowka. Nie poddaliśmy się naciskowi przeważającej siły wroga i nie pozwoliliśmy Rumunom przebić się na południe. Następnie odbyło się przegrupowanie wojsk radzieckich. Do połączonego oddziału S. F. Monachowa, skierowanego do wschodniego sektora obrony, oprócz 1. Pułku Piechoty Morskiej i 26. Pułku NKWD, weszła także część 54. Pułku Razina pod dowództwem podpułkownika I. I. Swidnickiego. Pierwszy batalion pozostał na poprzednich pozycjach, pełniąc funkcję batalionu szturmowego i był przerzucany z jednego odcinka frontu na drugi w celu powstrzymania naporu wroga.

Trzon batalionu stanowiła nasza 2. Kompania pod dowództwem porucznika Dmitrija Lubiwego. Otrzymując rozkaz: „Przywrócić pozycję wokół wsi X”, wsiadaliśmy do samochodów „półtoratonówek” (choć częściej szliśmy pieszo), przyjeżdżaliśmy na miejsce i ruszaliśmy do ataku z zamia-

rem wyparcia przeciwnika z dopiero co zajętych przez niego pozycji. To nam się z reguły udawało.

Obecnie kompania dysponowała świetnym uzbrojeniem, ponieważ sporą część broni zdobyliśmy podczas walk: automaty (niemieckie pistolety maszynowe MP 40, bardziej znane u nas jako Schmeissery), radzieckie pistolety TT, zagraniczne Mauser, Beretta, Steyr, rewolwery Nagant, granaty, ręczne karabiny maszynowe DP i pokaźny zapas amunicji. Nauczeni przykrym doświadczeniem przygranicznych starć, kiedy to broni ciągle brakowało, zbudowaliśmy dla naszej kompanii schrony. Trudno było to wszystko przenosić z miejsca na miejsce, nie chcieliśmy jednak niczego zdawać do magazynu pułkowego, chociaż – wypada nadmienić – w tej sprawie prowadzono z nami tak zwane rozmowy uświadamiające.

Bojowość naszego oddziału w dużej mierze wynikała z tego, że byliśmy w podobnym wieku, zostaliśmy podobnie wychowani i wykształceni. Wszyscy mieliśmy po 20–25 lat, należeliśmy do Komsomołu, pracowaliśmy w przemyśle ciężkim lub – tak jak ja – byliśmy studentami szkół wyższych, którzy ochotniczo zgłosili się na wojnę, zaś braterstwo broni zawarliśmy nad rzeką Prut. Nauczyliśmy się ufać sobie wzajemnie i wiedzieliśmy, że słynne zawołanie Suworowa „Sam zgiń, towarzysza uratuj!” niewzruszenie wśród nas funkcjonuje.

W przerwach między walkami wspólnie czytaliśmy listy, które otrzymywaliśmy z domu, wspólnie także na nie odpisywaliśmy, nawet narzeczonym. Każdy czuł się zobowiązany do podpowiedzenia koledze jakiejś trafnej albo błyskotliwej frazy. Byli wśród nas też ludzie obdarzeni słuchem muzycznym i ładnymi głosami, w związku z czym często sobie również śpiewaliśmy. Nasz repertuar stanowiły piosenki z okresu wojny domowej oraz przeboje z popularnych filmów:

Warszawianka, *Taczanka*, *Tam w oddali, za rzeką*, *Wesoły wiatr* z filmu *Dzieci kapitana Granta* W. Wajnsztoka, *Pieśń o Ojczyźnie* z filmu G. Aleksandrowa *Cyrk*, *Kręci się, obraca kula błękitna* z filmu G. Kozincewa i L. Trauberga[3] *Młodość Maksyma* i wiele innych.

Pieśni pomagały nam w walkach; bywało, że podczas potężnej strzelaniny ktoś nieoczekiwanie zachrypniętym głosem zaintonował innemu na ucho tylko jeden wers ulubionej piosenki albo, przechodząc nieopodal, krzyknął: „Trzymaj się, piechoto!" – a wtedy od razu robiło się lżej na sercu.

Przed atakiem zawsze towarzyszy ci uczucie niepokoju. W głowie panuje nieokreślona pustka, ogarnia ponury nastrój i jest to ciężkie, nieprzyjemne uczucie. W naszej kompanii próbowano radzić sobie z takim stanem: opowiadano różne zabawne historyjki, wspominano dobrze się kończące epizody wojenne i nie pozwalano ludziom oddawać się gorzkiemu oczekiwaniu. Potem rozlegał się głos porucznika Lubiwego: „Rota naprzód! Za Ojczyznę, za Stalina! Hura!". W niepodzielnym porywie rzucaliśmy się w wir walki, zapominając o wszystkim na świecie. Nienawiść do wroga brała górę nad pozostałymi odruchami ludzkimi i Rumuni uciekali przed nami jak zające. Jakaż wspaniała była nasza 2. Kompania!...

Jednakże bez względu na to, jak śmiało działaliśmy my – „Czapajewcy", surowe okoliczności bitwy o Odessę brały niekiedy górę. Przeciwnik dysponował przewagą artyleryjską oraz – co najważniejsze – potężniejszym zapasem amunicji do dział i moździerzy, czego obrońcom miasta po prostu brakowało. Na trzy niemiecko-rumuńskie salwy artyleryjskie nasi odpowiadali zaledwie jedną. Pewnego razu, 19 sierpnia o poranku, naszą kompanię nakrył wał ogniowy. Pocisk burzący trafił w przedpiersie okopu dwa metry na

lewo ode mnie, fala uderzeniowa w drobny mak roztrzaskała mój ukochany karabin, a mnie samą odrzuciła na dno transzei i zasypała ziemią. Ocknęłam się dopiero w szpitalu: jak się okazało, kolegom z pułku udało się mnie odkopać i przewieźć do Odessy, wraz z innymi rannymi i czerwonoarmistami pierwszego batalionu z zespołem powstrząśnieniowym.

Z okna mojej znajdującej się na parterze budynku szpitalnego sali rozpościerał się cudowny widok: gałęzie jabłonek, grusz i drzewek brzoskwiniowych rosnących w porzuconym sadzie kołysały się w rytm porywów morskiej bryzy. Pożółkłe liście tańczyły na wietrze, a dojrzałe owoce spadały na ziemię. Z gałązki na gałązkę przelatywały małe, szare wróble i szpaki o czarnych główkach. Pewnie coś tam sobie nawzajem podśpiewywały, ja jednak niczego nie słyszałam. Pozbawione dźwięku widowisko nadchodzącej jesieni wpływało na mnie kojąco i skłaniało do refleksji. Słuch wracał mi powoli, a bóle w stawach i kręgosłupie nie dawały spać po nocach. W czystej, uprzątniętej sali, na szeleszczących od krochmalu prześcieradłach, przy filiżance słodkiej i mocnej herbaty porannej, którą podawano równo o ósmej, i bułce maślanej, wspominałam gorący, wstrząsany wybuchami step. Teraz zaś, w absolutnej ciszy, wydawał mi się on pozbawionym związku z rzeczywistością, dalekim, dziwnym, a nawet złowieszczym snem. Tam jednak pozostali moi towarzysze broni i moje miejsce było przy nich.

Wkrótce przekazano mi z pułku kilka listów od rodziny. Moja poczciwa matuchna, Jelena Trofimowna, martwiła się o mnie i radziła, bym nie piła podczas marszów surowej wody z otwartych zbiorników wodnych. Ojciec, Michaił Iwanowicz, wspominał I wojnę światową i wojnę domową, podkreślając, że Biełowowom w czasie bitew zawsze sprzyjało szczęście. Starsza siostra Walentina dzieliła się ze mną no-

wościami dotyczącymi swej pracy w nowym miejscu. Wszyscy oni byli teraz bardzo daleko ode mnie, w Udmurcji, dokąd z Kijowa ewakuowano fabrykę „Arsenał”. Zdobywszy się na odwagę, zasiadłam do odpisywania na ich listy, starannie kaligrafując litery prawą ręką, której powoli wracały dawna siła i dokładność. Wyszło trochę koślawo, ale za to szczerze:

„Biełowa Walentina Michajłowna
Poczta Główna, poste restante
Wotkińsk, Republika Udmurcka

Witaj mój Drogi Łapserdaku!

Wczoraj wymknęłam się ze szpitala i poszłam do miasta. Dostałam widokówkę od Lenusi[4] – kartka z Kijowa do Odessy szła zaledwie półtora miesiąca. Lenusia dała mi też twój adres. Czemu nie wzięłaś jej ze sobą…? Ja już miesiąc i 10 dni jestem w wojsku. Zdążyłam solidnie zaleźć za skórę Niemcom i Rumunom, byłam na przedniej pozycji. Gadziny – ziemią mnie przysypali. Za dwa dni mnie wypisują – wracam do swojej jednostki, w której jestem snajperem. Jeśli mnie nie zabiją, to zamierzam dojść do Berlina – wytłuc Niemców i wrócić do Kijowa. Mój rachunek jest prosty: tysiąc Niemców i niżej się nie cenię. Można powiedzieć, że raz wyceniłam swoje zdolności i już nie zmienię zdania. Jednym słowem – nie nudzę się i życie mam wesołe. Jeśli ci się chce, pisz na adres: Czopak, Biblioteka Naukowa, ul. Pastera 13, Odessa – przekażą mi…”[5].

Przedostatniego dnia sierpnia 1941 roku wypisano mnie ze szpitala i wróciłam na pierwszą linię z zaświadczeniem o całkowitym wyleczeniu z ciężkiego zespołu powstrząśnieniowego. Postanowiłam najpierw odwiedzić moją koleżankę

Sofię Czopak, która nadal pracowała w bibliotece. Po drodze dwukrotnie zatrzymywał mnie patrol, żeby sprawdzić moje dokumenty. Najwyraźniej podejrzenia wzbudzała moja bluza wojskowa, wyprana w szpitalnej pralni i starannie wyprasowana, z paradnymi malinowymi naszywkami na kołnierzu, zamiast regulaminowych wówczas marszowo-polowych, czyli koloru khaki. A może i cały mój wygląd. Kobiet żołnierzy było przecież wtedy jak na lekarstwo…

W ciągu dwóch miesięcy, które upłynęły od wybuchu wojny, beztroska dotychczas i piękna Odessa oraz jej radośni mieszkańcy bardzo się zmienili. Na niektórych ulicach wzniesiono barykady z worków wypełnionych piaskiem, a na placach ustawiono działa przeciwlotnicze. Wiele sklepów zamknięto, a w pozostałych szklane witryny zaklejono na krzyż papierowymi taśmami. Zniknęli wczasowicze, a parki, bulwary, ulice i place opustoszały. Jedynie patrole narodowego pospolitego ruszenia z karabinami przewieszonymi przez ramię miarowo kroczyły po ulicznych kocich łbach. Wzmożono ochronę przedsiębiorstw przemysłowych, portu morskiego, punktów transportu i łączności oraz ujęć wody.

Mieszkańcy miasta obawiali się – skądinąd słusznie – pojawienia się dywersantów. Faszyści zaczęli regularnie bombardować Odessę. Kilkakrotnie zdarzyło się, że ktoś ze strychu domów wielopiętrowych dawał im znaki i naprowadzał bombowce na cel. Z tego przede wszystkim powodu ucierpiał port morski.

Miał miejsce także inny przypadek: nieoczekiwanie na lotnisku cywilnym Odessy wylądował niewielkich rozmiarów samolot bez widocznych znaków rozpoznawczych. Nasza obrona przeciwlotnicza – jak to się mówi – przeoczyła go. Z samolotu wyskoczyło 17 Niemców z karabinami maszynowymi i otworzyło ogień. Usiłowali oni zdobyć lotnisko, by

móc na nim przyjąć nowy, o wiele liczniejszy desant. Żołnierze batalionu niszczycielskiego okręgu iljiczowskiego oprzytomnieli jednak względnie szybko: przeciwnik został otoczony i zlikwidowany, a jego samolot przechwycony. Frycom nie udało się już więcej w tym miejscu przeprowadzić żadnego desantu.

O fakcie tym, jak również o wielu innych rzeczach, opowiedziała mi Sonia, kiedy spotkałyśmy się w Oddziale Książki Rzadkiej i Rękopisów Biblioteki Naukowej. Praca szła tam pełną parą: pakowano do wielkich drewnianych skrzyń foliały, skórzane teczki z zabytkowymi rękopisami i cennymi unikatami, od nowa je numerowano i sporządzano spisy. Po wprowadzeniu stanu oblężenia wiele miejskich instytucji kultury przygotowywano do ewakuacji na Kaukaz. Nie inaczej było z Biblioteką Naukową. Sofja Czopak nie podjęła jeszcze decyzji co do swojego wyjazdu z miasta, choć nasze spotkanie mogło być przecież ostatnim.

Resztę dnia z przyjemnością spędziłam w gronie zgodnej i gościnnej rodziny Czopaków w ich mieszkaniu przy ulicy Greckiej podczas skromnej kolacji.

25 sierpnia Komitet Wykonawczy Odeskiej Rady Obwodowej wprowadził reglamentację towarów, w związku z czym sprzedaż chleba, cukru, kaszy i tłuszczów odbywała się od tej pory w systemie kartkowym. Mimo wszystko nadal funkcjonował słynny targ „Priwoz”, gdzie można było kupić niemalże wszystko, jednak po cenie dwukrotnie albo nawet trzykrotnie wyższej.

Wieczór był spokojny. Artylerzyści przewodnika flotylli – niszczyciela „Taszkient” – 29 sierpnia zniszczyli stacjonującą nad Limanem Dużego Adżałyku rumuńską baterię artylerii, która wcześniej kierowała ogień w stronę miasta oraz portu morskiego i jego szlaków żeglownych, nie dopuszczając, by okręty Floty Czarnomorskiej dostarczały do portu

bataliony marszowe ani wyładowywały broń, amunicję, żywność i ekwipunek dla oblężonych wojsk radzieckich. Oprócz tego Samodzielna Armia Nadmorska odparła kolejny szturm rumuński, chociaż faszyści podeszli do Odessy bliżej: we wschodnim sektorze obrony – do wsi Fontanka, a w zachodnim – do wsi Freudenthal i Krasnyj Pieriesielieniec…

Wczesnym rankiem udało mi się wyjechać z miasta przypadkową ciężarówką kierującą się w stronę Limanu Kujalnickiego oraz Limanu Dużego Adżałyku. Stanowisko dowodzenia pierwszego batalionu znajdowało się w pobliżu niewielkiej wsi. Zameldowałam kapitanowi Siergijence o swoim przybyciu do jednostki w celu kontynuowania służby, a raport zakończyłam słowami: „Czerwonoarmistka Pawliczenko”. Kapitan uśmiechnął się.

– Błąd, Ludmiło.

– Jaki, towarzyszu kapitanie?

– Nie czerwonoarmistka, a już starszy szeregowy. Gratuluję.

– Ku chwale Związku Radzieckiego!

Z radości chciałam krzyknąć na całe gardło: „Hura!”, należało jednak zachować powagę i wykazać powściągliwość – jakkolwiek by patrzeć, to był mój pierwszy stopień wojskowy. Wstępując na ochotnika w szeregi RKKA, myślałam oczywiście o karierze wojskowej, nie przypuszczałam jednak, iż moją gorliwość i sukcesy na polu służby snajperskiej zwierzchnictwo doceni już po upływie półtora miesiąca. Nawiasem mówiąc, duże straty, które poniosły nasze wojska, znacznie się przyczyniły do szybkich awansów. Oczywiście tylko tych, którzy pozostali przy życiu.

Rozmowa na stanowisku dowodzenia trwała nadal i dowiedziałam się, że w czasie mojego pobytu w szpitalu w naszej 2. Kompanii zaszły spore zmiany. Po pierwsze, zginął do-

wódca mojego plutonu, porucznik Wasilij Kowtun, a razem z nim poległo jeszcze około 30 żołnierzy. Wydarzyło się to w czasie krwawych walk 24, 25 i 26 sierpnia w pobliżu Limanu Kujalnickiego. Po drugie, do pułku nadeszło uzupełnienie, które stanowili marynarze ochotnicy z Sewastopola. Pałali oni chęcią walki z wrogiem, nie mieli jednak doświadczenia służby w piechocie. Oprócz tego dołączyli do nas także inni ochotnicy – około stu mieszkańców Odessy.

– Cieszę się, że wróciłaś do pułku – powiedział Iwan Iwanowicz Siergijenko. – Bardzo na to liczyłem i nawet przygotowałem na tę okazję prezenty. Najważniejszym jest nowy karabin snajperski Mosin – zastąpi tamten zniszczony.

– Dziękuję, towarzyszu kapitanie.

– Drugi prezent jest mniejszy, ale zakładam, że także ci się spodoba. – Dowódca batalionu wręczył mi małe szare pudełeczko z tektury, podobne do tych, w które pakowane są towary w sklepach wojskowych.

Otworzyłam je. W środku znajdowały się dwa mosiężne trójkąciki – oznaki mojego nowego stopnia wojskowego, które należało umieścić na pustych, malinowych naszywkach na górnych krawędziach kołnierza. Gdzież znalazłabym teraz takie metalowe przedmiociki – w podziurawionym kulami i przeoranym transzejami oraz okopami stepie? Dowódca zatroszczył się o mnie i ta troska oddziałała na moje serce kojąco. Kapitan Siergijenko myślał zresztą nie tylko o mnie, lecz także o wszystkich pozostałych żołnierzach naszego batalionu. Był to niezwykle doświadczony, aktywny i surowy oficer oraz sprawiedliwy człowiek. Kiedy podpułkownik Swidnicki opuścił nasz 54. Pułk z powodu odniesionych ran, wszyscy oczekiwaliśmy, że stanowisko dowódcy (wraz ze stopniem majora, który należał mu się z powodu wysługi lat) otrzyma właśnie Siergijenko. Zwierzchnictwo było jednak odmiennego zdania i oddelegowało do

nas majora N. M. Matusiewicza – człowieka w latach, uczestnika wojny domowej w charakterze szeregowego żołnierza 1. Armii Konnej.

Na stanowisku dowodzenia przymocowałam do naszywek na kołnierzu munduru trójkąciki i już jako umundurowany starszy szeregowy udałam się na rubieże ogniowe 2. Kompanii. Na pożegnanie Siergijenko napomknął mi, że trzeba by także wśród rekrutów odnaleźć ludzi zdolnych zająć się pracą snajperską. Niestety w okopach zawołało mnie po imieniu jedynie kilku żołnierzy z naszego poprzedniego składu, a pozostali tylko przyglądali mi się z zaciekawieniem. Marynarze przemierzający dotąd niezmierzone przestrzenie wodne nawet nie chcieli się przebrać w uniformy w barwach ochronnych, nie myśleli zdejmować czapek ani bluz marynarskich, granatowych podkoszulków ani szerokich, czarnych spodni z rozszerzającymi się ku dołowi nogawkami. Doskonali specjaliści okrętowi nie trzymali jak dotąd karabinu w rękach, a słowo „snajper” nic im nie mówiło, tak więc zrobienie z marynarzy strzelców wyborowych w tak krótkim czasie wydawało się zadaniem niezwykle karkołomnym. Zaczęliśmy od tego, że namówiliśmy ich do noszenia hełmów, bluz wojskowych i butów z cholewami zamiast trzewików…

Tymczasem dowództwo Odeskiego Rejonu Obronnego stawiało przed snajperami określone zadania: zajmować wygodne pozycje obserwacyjne i ogniowe, nie dawać przeciwnikowi wytchnienia, pozbawiać go możliwości swobodnego przemieszczania się w kierunku tyłów znajdujących się najbliżej linii frontu, demoralizować. Zasadniczo w wytycznych tych nie było nic nadzwyczajnego, jednakże sam teatr działań bojowych – równinne, gdzieniegdzie lekko pagórkowate, prawie bezleśne stepy z nielicznymi miejscowościami nieopodal – stwarzał niewielkie możliwości do urządzania zasa-

dzek snajperskich i praktycznie uniemożliwiał próby maskowania się. Trzeba było zatem szukać innych metod skutecznej walki z okupantami.

Postanowiliśmy urządzać zasadzki z dala od naszych pierwszych linii, bardziej ku przodowi, na pasie neutralnym, który na pewnych odcinkach osiągał długość 400–600 metrów, czyli – krótko mówiąc – w możliwie bliskiej odległości od przeciwnika. Robiliśmy to po gruntownym rozpoznaniu, wnikliwie badając teren, określając jego przydatność do prowadzenia ognia i oceniając, jak będzie można następnie opuścić zasadzkę i wrócić do swojej jednostki wojskowej.

Za przykład niech posłuży pierwsza nasza akcja tego typu: wszystko zostało już rozpoznane i nocą we troje wyruszyliśmy na zadanie: żołnierz z ręcznym karabinem maszynowym DP i para: snajper-likwidator (to ja) oraz snajper-obserwator Piotr Kołokolcew[6]. Do toreb na maski przeciwgazowe spakowaliśmy naboje, a na pasach zawiesiliśmy granaty. Każdy z nas, oprócz karabinu, posiadał także pistolet TT, który ja osobiście cenię najwyżej spośród broni palnej z uwagi na siłę jego pocisku. Wyruszając w celu przygotowania zasadzki, mieliśmy świadomość tego, że nie każdy wystrzał jest dla wroga ostatni. Skuteczność naszego ognia będzie zależeć od wielu czynników, na które nie zawsze mamy wpływ.

Na miejsce zasadzki wybraliśmy zarośla, czyli dosyć wysokie i gęste krzaki. Miały one formę rombu i rozciągały się na długości 150 i szerokości 12–15 metrów. Kąt ostry owego rombu wbijał się klinem w linię obrony Rumunów i kończył niezbyt głębokim jarem w drugim eszelonie przeciwnika. Odległość zasadzki od pierwszej linii okopów 54. Pułku wynosiła około 600 metrów, czyli względnie dużo. Umówiliśmy się jednak z cekaemistami, że będą nas obserwować

i na nasz sygnał (uniesiona mała łopatka snajperska) osłonią nasz odwrót ogniem.

Wyszedłszy ze schronu podziemnego po północy, w ciągu godziny pokonaliśmy dystans dzielący nas od zasadzki. Księżyc na bezchmurnym niebie oświetlał okolicę, tak więc wszystkie ścieżki, nierówności ziemi i leje po pociskach widać było bardzo wyraźnie. Cicha i ciepła noc czarnomorska czule objęła pobliskie miejscowości. Obie strony nie prowadziły nawet typowej walki zbrojnej – wokół było tak dobrze, tak spokojnie! Jedynie możliwe spotkanie z wrogiem w samych zaroślach nie dawało nam spokoju. Trzeba było kroczyć ostrożnie i trzymać broń w pogotowiu, okazało się jednak, że Rumunów w zaroślach nie ma. Nie mogliśmy pojąć, dlaczego ich oni nie zajęli i nie ulokowali tam chociażby punktu obserwacyjnego. Ja osobiście tłumaczę to ich cygańskim bałaganiarstwem – punktualni, przezorni Niemcy uczyli swoich sojuszników prowadzić nowoczesną wojnę, jednak te nauki najwidoczniej poszły w las.

Pozostałą część nocy poświęciliśmy na umacnianie pozycji: wykopaliśmy okopy z niewielkimi przedpiersiami, które umocniliśmy kamieniami i darnią, a następnie oparliśmy o nie karabiny, wycelowaliśmy i określiliśmy odległości. Cekaemista ustawił karabin maszynowy.

Zaczęło świtać. O piątej rano w obozie przeciwnika zaczął się ruch: żołnierze przechadzali się w całej okazałości, głośno rozmawiając i nawołując się wzajemnie. O szóstej rano przybyła kuchnia polowa, w związku z czym zrobiło się jeszcze ruchliwiej. Pojawili się też oficerowie, wydający rozkazy swoimi krzykliwymi głosami. W pewnej odległości znajdował się zapewne punkt sanitarny, ponieważ w oddali migały nam białe kitle lekarzy – tak łatwe dla nas do rozpoznania. Zasadniczo rzecz ujmując, celów było sporo.

Podzieliliśmy siły w taki sposób, że lewa flanka była moja, prawa – Piotra Kołokolcewa, cekaemista zaś obserwował centrum. Czekaliśmy do godziny dziesiątej rano, wnikliwie studiując zwyczaje wroga, który znajdował się z dala od pierwszej linii. Następnie otworzyliśmy ogień.

Wśród Rumunów zapanował popłoch. Przez kilka minut nie mogli dojść do tego, z której strony padają strzały, biegali wokoło, dzikimi krzykami jeszcze bardziej podsycając panikę. My jednak mieliśmy wymierzoną odległość i uregulowane celowniki, więc praktycznie każda nasza kula dosięgała celu. W ciągu mniej więcej 20 minut ja i Kołomijec oddaliśmy po 17 strzałów, a nasze rezultaty przedstawiały się następująco: ja – 16 zabitych, Piotr – 12. Cekaemista, który miał nas osłaniać w razie ataku przeciwnika na naszą zasadzkę, w ogóle nie strzelał, ponieważ nie było takiej konieczności.

Doszedłszy do siebie, faszyści otworzyli ogień moździerzowy i karabinowy w kierunku zarośli. Nie widzieli nas jednak i dlatego strzelali niecelnie. Musieliśmy uciekać; na swoje pozycje wróciliśmy szczęśliwie, po czym złożyliśmy pisemny raport dowódcy pułku, od którego otrzymaliśmy za swoje śmiałe czyny podziękowanie w rozkazie. Po namyśle postanowiliśmy w nocy ponownie się udać do tej samej zasadzki. Szliśmy spokojnie, bez nerwów, a dotarłszy do zarośli, przeraziliśmy się nie na żarty.

Pierwszego dnia zabraliśmy ze sobą wodę w butelkach, której w drodze powrotnej nie zabraliśmy. Zamiast trzech pozostawionych przez nas butelek z wodą natknęliśmy się na sześć – przy czym wszystkie po słodkim winie. Butelki owe dały nam do myślenia: „Czy nie lepiej będzie odejść stąd na dobre?”. Oprócz tego znaleźliśmy dwa naboje i wąską bruzdę w ziemi, która powstała po stojącym w tym miejscu ciężkim karabinie maszynowym Schwarzlose. Ślady

prowadziły do obozu wroga i stało się oczywiste: w dzień znajdowało się tu stanowisko obrony. Nieprzyjaciele zrozumieli wreszcie, że zarośla są słabym punktem ich pierwszej linii, lecz nocą z jakiegoś powodu stąd odeszli – najprawdopodobniej nie oczekiwali powtórnego ataku z tej samej pozycji. Po ponownym zbadaniu miejsca upewniliśmy się, że wszystko jest w porządku i postanowiliśmy… zostać.

Otworzyliśmy ogień w samo południe i powtórzyły się wydarzenia z dnia wczorajszego: ja – 10 zabitych (w tym dwóch oficerów), Piotr – 8 celnych strzałów. Tym razem jednak faszyści pozbierali się szybko i w odpowiedzi zaczęli strzelać w kierunku zarośli z dwóch karabinów maszynowych. Serie padały coraz bliżej naszych okopów, tak więc przerwaliśmy ogień, cofnęliśmy się i niepostrzeżenie przeszliśmy na bok, zachodząc cekaemistów z flanki. Z odległości stu metrów oddaliśmy pięć strzałów z karabinów snajperskich i zlikwidowaliśmy obsługę cekaemów. Ciężka broń bardzo się spodobała Piotrowi: nowiutka, błyszcząca wszystkimi swoimi detalami. Jeden z tych karabinów zabraliśmy ze sobą, natomiast zamek od drugiego zakopaliśmy. Naprowadzani przez nas zwiadowcy pułkowi odnaleźli go potem i razem z cekaemem zabrali jako zdobycz wojenną. Oprócz tego na ziemi leżało sporo pudełek z nabojami, w związku z czym austriackie karabiny maszynowe posłużyły jeszcze Armii Czerwonej.

Zajmowanie tego samego miejsca na zasadzkę snajperską po raz trzeci wydawało się nierozsądne, toteż upatrzyliśmy sobie nowe: biały, w połowie zburzony i opuszczony dom, który również znajdował się w pasie neutralnym, w odległości około 400 metrów od zarośli. Zajmując ów budynek, następnego dnia mogliśmy z jego strychu zobaczyć taki oto widok: o wpół do ósmej rano Rumuni otworzyli szaleńczy ogień moździerzowy w kierunku zarośli i strzelali bez prze-

rwy mniej więcej przez pół godziny. To przecież też dobry znak, kiedy wróg na próżno traci amunicję…

Za 26 Rumunów, którzy na wieki pozostali na odeskich stepach (a ogólna liczba zlikwidowanych przeze mnie zbliżała się do 65), żadna nagroda mi się nie należała. Nawiasem mówiąc, w pierwszych miesiącach wojny nie oczekiwaliśmy, że nasze działania zostaną w jakikolwiek sposób nagrodzone; myśleliśmy przede wszystkim o tym, jak obronić nasz kraj ojczysty przed wściekłym okupantem. Później, w 1943 roku, po ustanowieniu żołnierskiego Orderu Sławy, trzecią i drugą jego klasę zaczęli wręczać strzelcom wyborowym, którzy unicestwili od 10 do 50–70 nieprzyjacielskich żołnierzy i oficerów. Na przykład 14 dziewcząt, absolwentek Centralnej Kobiecej Szkoły Przygotowania Snajperskiego, dostąpiło zaszczytu otrzymania podobnych nagród – w dodatku dwukrotnie. Order Sławy trzeciego, drugiego i pierwszego stopnia otrzymała jedynie Nina Pawłowna Pietrowa, starszy sierżant, która na swoim koncie ma ponad 120 zastrzelonych hitlerowców.

Podczas obrony Odessy w 54. Pułku Strzeleców Stiepana Razina nie ja jednak stałam się najsłynniejszą bohaterką, a cekaemistka Nina Oniłowa. Ta dwudziestoletnia dziewczyna, sierota wychowana w domu dziecka, a następnie pracownica jednej z odeskich fabryk, dołączyła do nas w drugiej połowie sierpnia 1941 roku razem z innymi mieszkańcami Odessy, którzy poszli na wojnę na ochotnika. Z początku trafiła do kompanii sanitarnej jako instruktor sanitarny, jednak wkrótce uzyskała zgodę na przejście do jednostki liniowej, ponieważ w jednostkach *Osoawiachimu* uczyła się sztuki strzelania z karabinu maszynowego. Włączono ją do naszego batalionu, a służbę pełniła w 1. Kompanii. Oczywiście znałyśmy się.

Nie będąc jednak świadkiem jej bohaterskich czynów, odwołam się do wspomnień uczestników obrony, którzy widzieli Ninę Oniłową zarówno na polu bitwy, jak i poza nim.

„Zaczęło się o niej mówić po walce we wsi Gildendorf – pisze wiceadmirał Azarow. – W krytycznym momencie Nina, wraz z drugim obsługującym, czerwonoarmistą Zabrodinem, wytoczyli karabin maszynowy na otwartą pozycję i otworzyli ogień w kierunku atakującego przeciwnika. Strzelali celnie. Faszyści padli, a ci, którzy pozostali przy życiu, odpełzli do swoich. Atak został odparty”[7].

„Kiedy wróciłem do siebie, przyszedł kierownik Wydziału Politycznego, starszy komisarz batalionu N. A. Bierdowski – wspomina generał porucznik T. K. Kołomijec – a wraz z nim pojawiła się niewysoka dziewczyna w mundurze czerwonoarmisty. Widząc malujące się na mej twarzy zdziwienie, Bierdowski przedstawił ją:

– Cekaemistka Pułku Razina Nina Oniłowa. W czasie obrony Odessy była ranna i została ewakuowana do szpitala tyłowego. Teraz – jak sama mówi – ma się dobrze.

Ach, więc taka była ta Nina Oniłowa, przezywana drugą Czapajewską Anką, która zabiła już setki faszystów. Z wyglądu – jeszcze dziewczynka: okrągła, opalona twarz, śmiejące się oczy, uroczy, niepewny uśmiech…

W Samodzielnej Armii Nadmorskiej nie było chyba żołnierza, który by o niej nie słyszał…”[8].

Grupowy komsomolski naszego pułku Jakow Waśkowski opisał w swoich wspomnieniach bohaterskie czyny Oniłowej bardziej szczegółowo:

„Kolejny wrogi atak zastał mnie na stanowisku dowodzenia pierwszego batalionu. Dowódca batalionu Iwan Iwanowicz Siergijenko, spoglądający na pole bitwy z okopu, nagle groźnie krzyknął do słuchawki:

– Dlaczego karabin maszynowy na lewej flance milczy? Natychmiast sprawdzić! W razie potrzeby – sami strzelajcie!

Słowa te adresowane były do dowódcy kompanii, porucznika Iwana Grincowa, który pobiegł transzeją na lewą flankę. Sytuacja rzeczywiście była groźna: atakujący faszyści, najwyraźniej dostrzegłszy, że ogień z tamtej strony jest słabszy, zaczęli nacierać właśnie na tę flankę. Obsługa cekaemu była nowa, dopiero co przybyła do batalionu, i dowódca kompanii nie zdążył poznać ludzi przed walką.

Podbiegłszy do cekaemistów, Grincow zobaczył, że pierwszy z obsługi karabinu pochylony jest do przodu i się nie rusza, natomiast drugi jak gdyby nigdy nic stoi z tyłu.

– Jeszcze za daleko – niech podejdą trochę bliżej… – powiedział cekaemista całkowicie spokojnym tonem, nawet się nie odwracając. – A do tyraliery wroga jest jakieś 70 metrów.

Grincow nie wytrzymał i krzyknął:

– Co ty wyprawiasz? Przecież oni za chwilę obrzucą cię granatami! – Gotów był odepchnąć cekaemistę i sam otworzyć ogień.

Jednak w tym momencie ciężki karabin maszynowy przemówił. Żołnierze przeciwnika zebrali się na wąskim odcinku i pierwsza seria skosiła niemal połowę z nich. Byli tak blisko, że nie mieli żadnych szans, żeby się ukryć. Ostatni padli w odległości około 30 metrów od cekaemu. W naszych okopach rozległo się »Hura!« – takiej siły ognia karabinowego w naszej kompanii nie widział chyba jeszcze nikt.

– Zuch! – wykrzyknął Grincow. – Tylko popatrz, ilu tam leży faszystów! Medal to dla ciebie za mało!

Cekaemista wreszcie odwrócił się do dowódcy kompanii i ten zrozumiał, że stoi przed nim dziewczyna – opalona, z okrągłą, wesołą twarzą, ostrzyżona krótko na chłopaka… Wkrótce o cekaemistce Oniłowej – »drugiej Czapajewskiej

Ance« – usłyszał cały pułk, a niedługo później także cała nasza 25. Dywizja Strzelców…”[9].

Nina Oniłowa rzeczywiście otrzymała Order Czerwonego Sztandaru, przy czym względnie szybko, bo już w grudniu 1941 roku – gdy stacjonowała na pozycjach pod Sewastopolem. Wtedy też za obronę Odessy w naszym dzielnym, odważnym pułku, własną piersią osłaniającym miasto i dotkniętym ogromnymi, wręcz niewyobrażalnymi stratami w walkach z faszystami, orderami nagrodzono… 10 dziewcząt.

Szczerze powiedziawszy, nie wszyscy u nas z entuzjazmem przyjęli taktyczny manewr Niny, a w szczególności kapitan Siergijenko, który bardzo się z tego powodu gniewał. Oniłowa zajmowała przecież tylko jedno gniazdo karabinów maszynowych, on zaś odpowiadał za pierwszą linię całego batalionu. Wezwawszy do siebie cekaemistkę, dowódca batalionu pochwalił ją za śmiałość, uprzedził jednak, że strzelanie z tak krótkiego dystansu podczas frontalnych ataków przeciwnika jest bardzo ryzykowne. Mało tego, że z flanki może przedrzeć się jakaś osobna grupa i obrzucić ją granatami, to jeszcze karabiny maszynowe Maxim, którymi dysponuje pułk, są dosyć stare, przedrewolucyjne, ich mechanizm podczas intensywnej eksploatacji nierzadko zawodzi, a wówczas Niny, a wraz z nią innych żołnierzy, nie uratuje nikt i nic. Przecież to nie film *Czapajew*, w którym „biali” nigdy nie dobiegną do „czerwonych” – to prawdziwa wojna, a sytuacje na polu bitwy są różne.

Dlatego też Oniłowej niezbyt często zezwalano na stosowanie jej nowatorskiej metody, zmuszano za to do ścisłego przestrzegania wytycznych służbowych. To wszystko jednak nie miało już zbyt wielkiego znaczenia. Wielkonakładowa gazeta 25. Dywizji „Krasnyj Bojec”, a w ślad za nią także inne wojenne tytuły, opublikowały pasjonujące opowieści

o czynach odważnej dziewczyny, zaś pracownicy polityczni zajmujący się w wojsku sprawami propagandy posiłkowali się obrazem niezwykłej cekaemistki zainspirowanej do działania przez romantycznych bohaterów wojny domowej.

W pracy snajpera z kolei nikt nie widział wówczas niczego romantycznego. Po pierwsze, słowo jakieś takie niezrozumiałe, obce – *sniper*. Po drugie, praca cekaemisty i jego karabinu ma charakter czynny i wygląda na dużo ciekawszą niż strzelanie z zasadzki: rozlega się seria strzałów i rzędy wrogów natychmiast padają na ziemię. Nie opisze się z kolei pięknie tego, jak strzelec wyborowy jednym strzałem trafia w oficera nacierającej tyraliery i cały atak w tej chwili zostaje zdławiony. Po trzecie, sami snajperzy – cóż to są za ludzie? Milczący, mało towarzyscy, a nawet ponurzy; nie umieją szczegółowo opowiadać o tym, jak polują na przeciwnika, czego zabrania im zresztą zobowiązanie do dochowania tajemnicy wojskowej…

W początkach września (chyba 3 albo 5 dnia tego miesiąca) dowiedzieliśmy się, że nasz pułk, pozostając we wschodnim sektorze Odeskiego Rejonu Obronnego, tymczasowo będzie wchodzić w skład ponownie formującej się dywizji strzelców, którą na początku nazywali Pierwszą Odeską, a później przydzielili jej numer 421. Razem z nami trafili tam nasi starzy znajomi: 1. Pułk Piechoty Morskiej pod dowództwem pułkownika J. I. Osipowa (obecnie 1330. Pułk), 26. Pułk NKWD (obecnie 1331.) – zasilony żołnierzami z byłego 82. rejonu umocnionego, a także pułk artyleryjski, batalion saperski i karabinowy oraz niektóre inne jednostki. Stanowisko dowódcy dywizji objął pułkownik G. M. Koczenow. Sztab tejże dywizji znajdował się w sanatorium „Kujalnik”, a jej wysunięte stanowisko dowodzenia – we wsi Ternowka. Dywizja miała za zadanie utrzymywać front o długości 17 kilometrów i stawiać opór dwóm rumuńskim dywi-

zjom piechoty w pełnym składzie. Ich ataki odpieraliśmy przez cały dzień 6 września, a 7 września sami przystąpiliśmy do natarcia. Rumuni wycofali się na północ na różnych odcinkach frontu na odległość od 0,5 do 2 kilometrów, zostawiając na polu walki około 700 zabitych i ciężko rannych żołnierzy oraz oficerów. Około 200 osób dostało się do naszej niewoli, zdobyliśmy także działa, moździerze, ciężkie karabiny maszynowe, automaty i sporo amunicji.

Następnego dnia, 8 września, Rumuni uderzyli na trzeci batalion naszego pułku, który stacjonował na przesmyku pomiędzy Limanem Chadżybejskim i Kujalnickim. Pospieszyliśmy na pomoc kolegom z pułku i wspólnymi siłami odparliśmy atak wroga. Zacięte walki z potężną kanonadą artyleryjską toczyły się 9, 10 i 11 września. Teraz naprzód posuwali się byli żołnierze straży granicznej – ludzie odważni i zdyscyplinowani (obecnie 1331. Pułk Strzelców), którzy umocnili swoje pozycje na rubieży wojennej: chutor Bołgarka – wieś Awgustowka – północny skraj wsi Protopopowka.

Czym powinien się zająć snajper, kiedy na płaskim terenie toczą się działania wojenne ogromnych mas wojsk? Odpowiedź jest prosta: razem z innymi żołnierzami powinien zająć przygotowane uprzednio fortyfikacje (a takie na tym terenie były) i prowadzić ogień ze swojego okopu. Tym bardziej że wróg naciera, nie licząc się z absolutnie żadnymi stratami.

Tutaj miałam możliwość zobaczenia niemal fantastycznego obrazu II wojny światowej. Rumuni urządzili atak „psychiczny”. Z początku mniej więcej dwadzieścia minut grzmiał nalot artyleryjski, który radzieccy żołnierze i oficerowie przeczekali w dobrze urządzonych, głębokich schronach podziemnych i okopach. Nalot nie wyrządził większych szkód 54. Pułkowi. Potem nastała cisza; żołnierze

wrócili na swoje pozycje i zaczęli się wpatrywać w dal, gdzie działo się coś absolutnie niezwykłego.

Do naszych uszu dobiegły dźwięki głośnej muzyki i dostrzegliśmy, że żołnierze piechoty w hełmach-makutrach nie rozchodzą się po stepie. Było dokładnie odwrotnie: zgrupowali się w gęste, ścisłe szeregi i stając ramię w ramię, maszerowali niczym na paradzie, wysoko unosząc nogi w takt rytmicznych uderzeń bębna.

Gdzieś w drugim albo trzecim szeregu nad głowami żołnierzy powiewał sztandar. Oficerowie, zachowując dystans i kładąc obnażone szable na ramię, kroczyli w odstępach między szeregami. Na lewej flance szedł kapłan w uroczystych szatach. Jego haftowany złotem i połyskujący w płomieniach jaskrawego jesiennego słońca ornat wyglądał dziwacznie na tle monotonnego rzędu żołnierzy. Zaraz za nim rumuńscy żołnierze nieśli trzy chorągwie cerkiewne. Jak się później wyjaśniło, duchowny ten był Ukraińcem.

Nie bez zdumienia obserwowałam przez lornetkę atakujących, którzy podchodzili coraz bliżej. Wkrótce okazało się, że żołnierze są pijani: słabo trzymali równanie i maszerowali raczej nieskładnie. Czy można zresztą zmusić ludzi trzeźwych – nawet, kiedy są oni przekonani o swojej wyższości rasowej nad tymi, których pragną unicestwić – do wyjścia na absolutnie płaski, równinny teren, na którym staną się łatwym celem?

Najwyraźniej pewność wygranej gwarantował im (ich zdaniem) także inny czynnik, a mianowicie duża przewaga liczebna. Na nasz pierwszy batalion, w którym pozostało nie więcej niż 400 ludzi, maszerował przy głośnych dźwiękach muzyki orkiestry wojskowej cywilny pułk piechoty, czyli mniej więcej dwa tysiące bagnetów.

Dystans nieubłaganie się zmniejszał; kiedy Rumuni znaleźli się w odległości 700 metrów od nas, uderzył na nich

pierwszy pocisk naszej baterii moździerzowej. Fontanna ziemi wytrysnęła w niebo wśród piaskowo-szarych szeregów. Rumuński szyk bojowy na pewien czas się załamał, jednak ci, którzy przeżyli, zwarli szeregi i pozostawiwszy poległych za swoimi plecami, kontynuowali natarcie. Na rozkaz oficerów przyspieszyli kroku, trzymając strzelby w gotowości. Ostrza bagnetów zalśniły w zakurzonej dali stepu jak błyskawice.

Ja zaś cierpliwie czekałam, kiedy pierwszy szereg przeciwnika zrówna się z płotem na skraju pola kukurydzy. „Plan ogniowy", w którym oznaczyłam odległości, naszkicowałam zawczasu. Płot znajdował się od mojego okopu w odległości 600 metrów, zarośla wilczej jagody – w odległości 500 metrów, a samotne drzewo z obłamaną koroną – w odległości 400 metrów. Żołnierze króla Michała I znaleźli się więc, nie zdając sobie z tego sprawy, w odległości strzału bezwzględnego.

A snajperski strzał bezwzględny jest rzeczą absolutnie nadzwyczajną! Po jego oddaniu tor lotu pocisku nie wznosi się powyżej celu na całej długości strzału. Kiedy na przykład (jak było w tym przypadku) ustawi się celownik na „6" i na cel weźmie obcasy maszerujących żołnierzy przeciwnika, można strzelać bez regulacji celownika optycznego. Wróg dostanie kulkę najpierw w nogę, jeśli strzelec podejdzie nieco bliżej, wówczas trafi nieprzyjaciela w brzuch, jeszcze bliżej (na odległość 300 metrów) – w pierś, a następnie w głowę. W miarę zbliżania się nieprzyjaciela do snajpera wszystko odbywa się w porządku odwrotnym: żołnierz przeciwnika zostanie trafiony w pierś, w brzuch, w nogę.

Mój ulubiony sposób strzelania wyglądał w owym czasie następująco: kula bądź to w nasadę nosa, bądź to w skroń wroga. Patrząc jednak na maszerującą przy dźwiękach bęb-

na pieszą armadę, doszłam do wniosku, że w tej sytuacji strzał tylko w głowę będzie absolutnie niedopuszczalnym luksusem. Najważniejsze teraz, to: strzelać, strzelać i jeszcze raz strzelać, byle tylko zatrzymać atak „psychiczny" pijanych i nic nierozumiejących żołnierzy i nie pozwolić Rumunom dojść do naszych okopów. Przecież oni, dysponując pięciokrotną przewagą liczebną, po prostu rozdepczą nasz dzielny batalion i unicestwią wszystkich moich towarzyszy broni.

Wróg jednak nie doszedł…

Słońce zachodziło, delikatnie oświetlając leniwie sunącymi promieniami cichnący, porośnięty ostnicą step. Wycofując się, Rumuni zabrali ze sobą rannych, zostawili jednak poległych w liczbie około trzystu osób. Pomiędzy martwymi ciałami pokonanych szłam wraz z porucznikiem Woroninem – na stanowisku dowódcy kompanii zastąpił on rannego porucznika Lubiwego, który musiał z tego właśnie powodu opuścić pole walki. Szukałam wśród ofiar „swoich" i wszystko odnotowywałam w książce snajpera, ponieważ oprócz mnie ogień z powodzeniem prowadzili cekaemiści i inni strzelcy 2. Kompanii. Naboje wszyscy mieliśmy jednakowe – karabinowe, kalibru 7,62 mm. Za „swoich" uważałam tych, którzy mieli dziury po kuli w głowie, szyi albo po lewej stronie piersi. Naliczyłam ich 19, z których 7 było oficerami i podoficerami.

– Specjalnie celowała pani do dowódców? – zapytał porucznik.

– Tak – zgodnie z instrukcją.

– Świetny wynik, Ludmiło.

– Ku chwale Związku Radzieckiego!

– Postawili na atak „psychiczny" – powiedział zamyślony Woronin. – Czyżby nie było im szkoda ludzi?

– Po prostu mają nas za słabeuszy.

– W ciągu godziny dwa ataki, a teraz odsunęli się na kilometr. Nawet ich nie słychać ani nie widać.

– Zmienna rumuńska natura – zażartowałam. – Jak napadać, to całą hordą – ze zgiełkiem i wrzawą. A jak zwycięstwa nie widać, to w te pędy uciekać…

Porucznik Andriej Aleksandrowicz Woronin w 1939 roku ukończył Lenigradzką Szkołę Piechoty imienia S. M. Kirowa, odznaczoną Orderem Czerwonego Sztandaru, przed wojną odbywał służbę w Nadwołżańskim Okręgu Wojskowym, a do Odessy trafił niedawno – wraz z uzupełnieniem jednostki żołnierzami piechoty. Doświadczenia walki na froncie nie miał, bardzo zainteresował się za to służbą snajperską i wypytywał o różne jej szczegóły. Zamiarem porucznika było nagrodzenie mnie za celne strzelanie nadaniem mi stopnia wojskowego poza kolejnością. Tak też się stało – zostałam młodszym sierżantem i nabrałam szacunku dla młodego oficera. Pochodził on z rodziny rdzennych mieszkańców Leningradu; jego ojciec, doktor historii, pracował w Ermitażu i chciał, by syn kultywował te tradycje, Andriej od dzieciństwa marzył jednak o służbie wojskowej. Niemniej jednak historię znał dobrze i czasami rozmawialiśmy sobie o czynach naszych walecznych przodków.

Nowy rozkaz dowódcy kompanii starałam się wykonać jak najlepiej. Zadanie bojowe było następujące: zniszczyć ciężki karabin maszynowy przeciwnika, który prowadził iście morderczy i celny ogień ze strony osady Gildendorf[10], nie pozwalając naszym – jak to się mówi – nawet unieść głowy.

Po 20 września radzieckie dowództwo planowało uderzenie na przeciwnika w sektorze wschodnim przy pomocy sił 421. i 157. Dywizji Strzelców. Ta druga przybyła z Noworosyjska do Odessy 17 września. W jej skład wchodziło ponad 12 tysięcy żołnierzy, natomiast artyleria liczyła 24 armaty dywizyjne kalibru 76 mm i 36 haubic kalibru 152 mm

z trzema wyposażeniami bojowymi[11]. Było to potężne wsparcie, ponieważ pułki 421. Dywizji praktycznie nie posiadały armat (trzy działa na jeden kilometr frontu przeciwko 80, którymi dysponowali Rumuni). Zakładano, iż natarcie zostanie wsparte przez nasze lotnictwo, 57. i 58. Baterię Nadbrzeżną, a także okręty Floty Czarnomorskiej wraz z ich działami. Na linii głównego uderzenia znajdowały się wsie: Gildendorf, Bołgarka, Aleksandrowka oraz sowchoz imienia Woroszyłowa. Nasze dwa bataliony 54. Pułku, wraz z pięcioma batalionami 157. Dywizji Strzelców, miały szturmować Gildendorf.

Wcześniej moi koledzy z pułku wyparli przeciwnika z cmentarza położonego 200 metrów od południowego krańca wsi. Na cmentarzu tym rosły drzewa: pięć wysokich klonów o rozłożystych koronach i grubych pniach w kolorze szaropopielatym. Zagadką pozostaje to, w jaki sposób ocalały one w czasie krwawych starć, obfitujących w bombardowania i zmasowany ostrzał artyleryjski.

Problemy związane z potrzebą maskowania się w stepie automatycznie zniknęły. Z książki *Walki w Finlandii* wiedziałam, że w karelskich lasach fińscy snajperzy (zwani kukułkami) strzelali do naszych wojsk, chowając się wśród gałęzi potężnych drzew Północy: sosen, świerków, jodeł. Dlaczego więc ja nie miałabym z tego skorzystać?

Porucznik zaakceptował mój plan.

Cały wieczór przerabiałam swoją nową zielono-brązową kurtkę kamuflażową z kapturem. Starszy sierżant dał mi strzępki sieci maskującej i czyjąś starą bluzę wojskową, którą pocięłam na wstążki i kawałki niewielkich rozmiarów. Zwichrzona wstążka nadała się do owinięcia lufy „snajperki”. Pozostałe kawałki, wraz z liśćmi klonu, gałązkami i kępami trawy, przytwierdziłam do kurtki, co spowodowało, że straciła ona wyraźny wcześniej kształt, i zaczęła bardziej

przypominać raczej odzienie diabła leśnego lub mieszkającej na błotach kikimory.

Półtorej godziny przed świtem udałam się na cmentarz. We wsi Gildendorf mieszkali ludzie niebiedni – przesiedleńcy z Niemiec. Z niemiecką pedantycznością zagospodarowali nie tylko osadę, ale i pobliski cmentarz wiejski: równe ścieżki, groby z kamiennymi nagrobkami, ogrodzenia sztachetowe wokół pomników. Drzewa rzucały cień na miejsce wiecznego spoczynku pierwszego burmistrza Gildendorfu, zmarłego w 1899 roku szanownego Wilhelma Schmidta, o czym informował napis wyryty na marmurowym monumencie. Postawiwszy stopy na czarnej płycie, zaczęłam się wspinać stamtąd na górę po pniu potężnego klonu pochylającego się nad pomnikiem nagrobkowym.

Mój ekwipunek stanowiły jedynie najbardziej nieodzowne rzeczy: karabin snajperski Mosin z celownikiem optycznym „PE”, dwie ładownice z nabojami „lekkimi” wz. 1908 oraz nabojami przeciwpancernymi wz. 1930 z główkami pomalowanymi na czarno (zamierzałam bowiem nie tylko zastrzelić cekaemistów, ale i unieszkodliwić ich piekielną maszynkę), manierka w futerale z sukna oraz nóż bojowy „finka”. Lornetki i hełmu stalowego celowo nie zabrałam, ponieważ po wstrząsie, jakiego niedawno doznałam, mój słuch nieco osłabł i hełm przeszkadzałby mi wyławiać delikatne, ciche dźwięki.

Przed wschodem słońca zerwał się silny wiatr. Klon zaszeleścił liśćmi, jednak grube gałęzie, które odchodziły od jego potężnego pnia, nawet nie drgnęły. Stanąwszy na nich, oparłam karabin na innej gałęzi, znajdującej się mniej więcej na poziomie moich ramion, i spojrzałam przez okular celownika optycznego na wieś. Teraz jej ulicę, zabudowaną kamiennymi, parterowymi domami, młyn, zbór i szkołę miałam jak na dłoni. W sadzie, otaczającym duży, w połowie

zburzony dom, dostrzegłam uniwersalny karabin maszynowy MG-34 na trójnogu, obok którego leżały taśmy nabojowe. Karabin miał celownik optyczny – tak więc w tym tkwił sekret jego niszczycielskiego działania! No, wstrętne faszystowskie psy – zaraz dam wam nauczkę…

Po szóstej rano zmieniła się ochrona, mnie jednak żołnierze z karabinami nie interesowali. Czekałam na cekaemistów. Pojawili się później: trzech Rumunów w piaskowo-szarych mundurach i w kepi ze śmieszną wstążką wyciągniętą skośnie z przodu i z tyłu. Najpierw robili coś przy cekaemie, a potem rozsiedli się pod drzewami, racząc się dużymi, złocistożółtymi gruszkami odmiany „Bera Boska”, których pełno leżało na ziemi.

Miałam zamiar oddać jedynie trzy strzały, przy czym jeden – w zamek karabinu.

Załadowałam do komory nabój „lekki”, zamknęłam zamek i spojrzałam w okular celownika. Cel – głowa postawnego żołnierza siedzącego obok trójnogu z MG-34 – znajdował się dokładnie między trzema czarnymi liniami. Do wystrzału pozostawało kilka sekund. Nagle jednak w sadzie zaczął się jakiś ruch. Cekaemiści zerwali się na nogi i zamarli w postawie zasadniczej. Za chwilę podeszli do nich oficerowie w czapkach garnizonowych. Najbardziej zaciekawił mnie jeden z nich: cygaro w ustach, daszek czapki ze złotym paskiem na krawędzi, akselbant na prawym ramieniu, przy boku brązowy, skórzany mapnik, a w dłoni – długi pejcz. Wyglądał na człowieka wyniosłego i zdecydowanego.

Odległość była mi znana – 200 metrów. Wiatr ucichł, a temperatura powietrza zbliżała się do 25 stopni. Wzięłam na cel nie żołnierza, a właśnie człowieka z akselbantem, wstrzymałam oddech, policzyłam w duchu „dwadzieścia dwa – dwadzieścia dwa” i płynnie nacisnęłam na spust.

Strzał Rumuni usłyszeli, bo jakże mieliby go nie usłyszeć w przejmującej porannej ciszy? Prawdopodobnie jednak nie od razu doszło do nich, że gdzieś poluje snajper. Adiutant (akselbanty są właśnie częścią jego uniformu) bezszelestnie osunął się na ziemię. Zaaferowani żołnierze zaczęli się krzątać wokół niego, jednak całkowicie na próżno, albowiem kula trafiła prosto w nasadę nosa. Zdążyłam załadować karabin na nowo i obaj cekaemiści także znaleźli się na ziemi. Przy czwartym z kolei wystrzale pocisk przeciwpancerny dosięgnął zamka MG-34, całkowicie go unieszkodliwiając.

Przeciwnik oprzytomniał i teraz z całą mocą strzelał w kierunku cmentarza z moździerzy i karabinów. Dookoła mnie świszczały odłamki min i kule. Przylgnęłam do grubego pnia klonu, lecz zaraz pojęłam, że jest on kiepską osłoną – pięć drzew to w końcu nie wiekowy las Karelii, w którym trudno cokolwiek dostrzec na szczytach olbrzymich sosen. Kawałki gorącego metalu latały niczym śmiercionośny rój, strącając liście i łamiąc cienkie gałęzie. Poczucie strasznego niebezpieczeństwa zmroziło mi serce, jednak nie straciłam głowy. Jedynie rekrut może pomyśleć: „Coś takiego NIE MOŻE mi się przydarzyć”. Żołnierz zaprawiony w boju myśli inaczej: „MOŻE mi się to przydarzyć, dlatego trzeba być ostrożniejszym”. Ten zaś, kto nie raz widział śmierć swoich towarzyszy, jest świadomy: „To MUSI mi się przydarzyć. Ale się nie przydarzy, jeśli tylko mnie tu nie będzie”.

Należało niezwłocznie zeskakiwać z drzewa, jednak do ziemi było około trzech metrów. Żeby nie rozbić kosztownych przyrządów optycznych, powiesiłam „snajperkę” na sterczącym nieco niżej konarze i runęłam w dół, pozorując własną śmierć. Upadłam niefortunnie, uderzając się prawym bokiem o jeden z nagrobków. Z uwagi na silny ból, który pojawił się po upadku, nie mogłam się podnieść, w związku

z czym Woronin przysłał żołnierzy, którzy pomogli mi stanąć na nogi i doprowadzili do schronu.

21 września 1941 roku rozpoczęła się ofensywa, którą poprzedzało długotrwałe artyleryjskie przygotowywanie ataku. Wydawało się, że od salw radzieckich dział i moździerzy aż trzęsie się ziemia. Moi koledzy z pułku przygotowywali się do ataku na Gildendorf, ja zaś – cierpiąc z powodu bólu w prawym boku – leżałam w schronie i rozmyślałam o tym, że w książce *Walki w Finlandii* napisano oczywiście prawdę, jednak korzystając z cudzego doświadczenia, trzeba też myśleć samemu oraz analizować na bieżąco sytuację. Teraz już wypad na cmentarz i strzelanie z drzewa wydawały mi się wybrykiem. Jednak, jak głosi przysłowie ludowe, wszystko dobre, co się dobrze kończy!

Gdzieś tak przed godziną jedenastą przeciwnik został wyparty z Gildendorfu oraz z sowchozu „Iljiczowka". Rumuni chaotycznie wycofywali wojska na północ, porzucając na polu bitwy poległych i rannych, a także rynsztunek i amunicję. Nasi zabrali się do przeglądu zdobytych pozycji: w sadzie znaleźli zniszczony niemiecki cekaem oraz martwego oficera i leżących obok niego dwóch żołnierzy z dziurami po kulach w głowach. To był mój osobisty wkład w zwycięstwo nas wszystkich. Porucznik Woronin przyznał, że bardzo pomogłam 2. Kompanii.

Nakazał on instruktorowi sanitarnemu, Jelenie Palij (studentce II roku Odeskiego Instytutu Medycznego, która na ochotnika wstąpiła do RKKA w sierpniu), by zajęła się moim leczeniem. Zdyscyplinowana Lena robiła to z dużym zaangażowaniem: dawała mi tabletki przeciwbólowe, przykładała na wątrobę zimne kompresy i karmiła mnie dietetycznym jedzeniem, które stanowiła kasza gryczana gotowana bez tłuszczu. Bardziej jednak niż kasza pomogły mi troska i życzliwość, którą otaczali mnie koledzy z pułku w nagrodę

za zniszczenie nieprzyjacielskiego cekaemu. Przynosili mi prezenty: soczyste, złote gruszki „Bera Boska” z sadu, mydło toaletowe i flakoniki z wodą kolońską zdobyte w rumuńskim taborze.

Dowódca kompanii także przyszedł do mnie w odwiedziny. Porucznik powiedział mi, że wyniosły człowiek z akselbantem, którego zastrzeliłam, pełnił funkcję adiutanta samego dyktatora Antonescu, nazywał się Gheorghe Karadża[12] i miał stopień majora. Przy zabitym znaleziono jakieś ważne dokumenty sztabowe, listy, fotografie oraz pamiętnik. Major pisał o nadwątlonej kondycji psychicznej rumuńskiej armii, która spotkała się pod Odessą z zaciekłym oporem Rosjan. Pamiętnik przekazano do sztabu Armii Nadmorskiej, skąd trafił następnie do Moskwy, gdzie jego fragmenty zostały opublikowane w październiku 1941 roku na łamach „Prawdy”.

O historii z pięcioma klonami na cmentarzu w pobliżu osady Gildendorf przypomina mi srebrna papierośnica z misternym, tłoczonym wzorem i grawerunkiem na wieczku, przedstawiającym piękną kobietę we wspaniałym kapeluszu z kokardami i piórami. Andriej Woronin wręczył mi ją jako zdobycz wojenną, znalezioną przy zastrzelonym rumuńskim majorze. Przesunęłam zamek, papierośnica się otworzyła i naszym oczom ukazały się ciasno poukładane w niej długie, brązowe papierosy. Chciałam poczęstować nimi porucznika, lecz ten odmówił:

– Nie palę. A pani od dawna pali, Ludmiło?

– Nie. Nauczyłam się na froncie. Czasami pomaga to rozładować napięcie.

– A często tak bywa? – zapytał dowódca kompanii.

– Zazwyczaj po polowaniu, kiedy przeciwnik już jest zlikwidowany. Kiedy czekam w zasadzce, nie mam żadnych uczuć.

Po prostu czekam i myślę o tym, że karabin nie odmówi posłuszeństwa.

– Myśli pani o broni?

– Oczywiście. Broń jest dla snajpera rzeczą niemal świętą.

Naszą rozmowę przerwało pojawienie się Leny Palij, która przyniosła trzy kubki gorącej herbaty, od serca posłodzonej miodem (podarek od lokalnych mieszkańców dla dzielnych żołnierzy RKKA). Oddaliśmy się wspomnieniom o życiu przed wojną. Andriej okazał się wybornym rozmówcą i zajmująco opowiadał nam o… Ermitażu. Uwielbiał to muzeum, znał znajdujące się w nim zbiory, a w szczególności kolekcję scytyjskiego złota, którym naukowo zajmował się jego ojciec. Ja zaś opowiadałam, jak po pierwszym roku na uniwersytecie wyjechałam na wykopaliska archeologiczne koło Czernihowa. Tam byłam świadkiem znalezienia żelaznego hełmu w kształcie sferycznego stożka z X wieku, wielu grotów strzał i włóczni oraz fragmentów kolczug.

Bardzo żałuję, że nie mogę sporządzić dokładniejszego portretu dowódcy 2. Kompanii, Andrieja Woronina, ponieważ nasza znajomość nie trwała długo. Był on wszakże wyrazistym przedstawicielem wspaniałego pokolenia młodzieży, która dorastała w czasach porewolucyjnych, uczyła się w radzieckich szkołach wyższych, a potem hartowała się w ogniu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Prawdziwi patrioci, ludzie szlachetni, odważni, wytrwali, bez zmrużenia oka gotowi oddać życie za wolność i niezawisłość ojczyzny. Taki był także Andriej. Stanowisko dowódcy kompanii piastował zaledwie trochę ponad miesiąc. Zginął w walkach pod wsią Tatarka, wzywając żołnierzy do kontruderzenia. Nieprzyjacielska kula przebiła jego serce i pochowaliśmy porucznika na cmentarzu wiejskim, gdzie postawiliśmy mu czerwoną gwiazdę z dykty…

Po zwycięstwie nad jednostkami rumuńskimi 21 i 22 września w sektorze wschodnim Odeskiego Rejonu Obronnego kierownictwo radzieckie planowało podobne uderzenia także w sektorze zachodnim i południowym. Dostaliśmy rozkaz przeniesienia swoich baz na linię: osada Dalnik – Tatarka – Chutory Bułgarskie i w ten sposób połączenia się w końcu z dwoma innymi batalionami 25. Dywizji „Czapajewskiej". Nasza droga prowadziła przez Odessę, tak więc cieszyliśmy się, że zobaczymy piękne, czarnomorskie miasto, którego bronimy, nie szczędząc sił.

Widok jednak absolutnie nas nie ucieszył. Z początku szliśmy osiedlem Pieriesyp, gdzie działała jedynie elektrownia, natomiast fabryki stały bezczynnie, ich hale były zniszczone, a kominy poprzewracane. Samo miasto także mocno ucierpiało na skutek bombardowań i ostrzałów artyleryjskich. Szliśmy jezdnią, chodniki zaś pozajmowane były przez matki z dziećmi. Kobiety trzymały w dłoniach czajniki, dzbanki, wiadra i dawały nam pić, częstowały też papierosami (zapamiętałam marki „Kijew" i „Litkie") i zwracały się do nas różnymi czułymi i krzepiącymi słowami. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że mieszkańcy Odessy podzielili się z nami swoim skromnym przydziałem wody, który wynosił jedno wiadro wody na dobę na jednego mieszkańca.

W nowym miejscu dano nam tydzień odpoczynku, po czym wezwał mnie do siebie kapitan Siergijenko. Zakomunikował mi, że zapoznał się z doniesieniami dowódców kompanii oraz sprawdził wszelkie dokumenty i – jak się okazuje – na moim koncie jest ponad stu zlikwidowanych faszystów. Dane te potwierdziłam. Dowódca batalionu delikatnie skarcił mnie za niepotrzebną skromność – że niby sama powinnam wspomnieć mu o takich osiągnięciach. Pomyślałam sobie: „I co by z tego wyszło? Dziesiątki razy na moich oczach zdesperowani śmiałkowie rzucali się z granatami na rumuń-

skie czołgi, ostrzeliwali się w okopach do ostatniego naboju, w walkach wręcz bagnetami i kolbami bronili się przed napierającym na nich przeciwnikiem. Czy ktoś z kierownictwa wyższego szczebla docenił kiedyś ich bohaterskie czyny? Oni jednak wcale się tym nie martwili, bo przecież nie dla medali i orderów stoimy tu, w gołym stepie, w tym ogniu piekielnym…”. Być może Iwan Iwanowicz w pewien sposób odgadł bieg moich myśli; uśmiechnął się i powiedział, że niedługo wszystko wyjaśni i że czeka mnie wyjazd do sztabu dywizji, który stacjonuje we wsi Dalnik. Nie bardzo w to wierzyłam, jednak odparłam: „Rozkaz, towarzyszu kapitanie!” i zapomniałam o naszej rozmowie.

Jechać jednak było trzeba.

O nowym dowódcy naszej dywizji, generale majorze Iwanie Jefimowiczu Pietrowie, nic wówczas nie wiedziałam, co mnie jednak szczególnie nie martwiło. Między dowódcą dywizji a dowódcą oddziału w pułku piechoty, którym za sprawą porucznika Woronina zostałam, istnieje – jak to się mówi – ogromna przepaść. Czyż zresztą generałowie mają sobie zaprzątać głowę młodszymi sierżantami?

Adiutant Pietrowa poprosił, bym weszła. W pokoju znajdował się człowiek około czterdziestopięcioletni, więcej niż średniego wzrostu, szczupły, rudawy, z twardym zarostem nad górną wargą, o twarzy władczej, mądrej i zdecydowanej. Na nosie miał binokle, a na mundurze bandolet kawaleryjski, ponieważ jeszcze niedawno Pietrow dowodził 1. Dywizją Kawalerii, która również walczyła pod Odessą.

Na pierwszy rzut oka wydał mi się urodzonym wojskowym, oficerem z rodziny oficerskiej. Dopiero potem dowiedziałam się, że miał proletariackie pochodzenie. Jego ojciec był szewcem w Trubczewsku, zdołał jednak zapewnić synowi wykształcenie. Najpierw ukończył gimnazjum, a następnie Seminarium Nauczycielskie w mieście Karaczew, z którego

w styczniu 1917 roku trafił do Aleksiejewskiej Szkoły Junkierskiej w Moskwie.

Generał popatrzył na mnie spokojnie, a nawet obojętnie.

– Towarzyszko młodszy sierżant – odezwał się niskim, lekko zachrypniętym głosem. – Za zasługi na froncie dowództwo wręcza wam imienny karabin snajperski. Likwidujcie faszystów bez litości.

Adiutant dowódcy dywizji przekazał mi nowiutki karabin SWT-40 z celownikiem optycznym „PU” – krótszym i lżejszym niż celownik „PE”. Na metalowej rurce widniał wygrawerowany napis: „100. Za pierwszą setkę mł. sierż. Pawliczenko L. M. od dow. 25. dyw. Gen. mjr. Pietrowa I. J.”.

– Ku chwale Związku Radzieckiego! – zameldowałam uroczyście, a następnie dotknęłam ustami oksydowanej lufy, po czym postawiłam karabin przy nodze.

Generał był chyba zdziwiony moją reakcją, była to przecież jednak nie tylko broń, a nagroda – święty przedmiot wręczony mi do prowadzenia świętej wojny i odwetu na zdradzieckim wrogu. Pietrow zrobił krok naprzód i wtedy spotkałam jego spojrzenie – uważne i zaciekawione.

– Dawno jest pani w wojsku, Ludmiło Michajłowna? – zapytał.

– Melduję, że nie, towarzyszu generale majorze. Wstąpiłam na ochotnika w końcu czerwca.

– A przed wojskiem kim pani była?

– Studiowałam na Uniwersytecie Kijowskim. Wydział Historii, czwarty rok.

– Doskonale radzi sobie pani z karabinem.

– Z wynikiem bardzo dobrym ukończyłam szkołę snajperską *Osoawiachimu* – też w Kijowie – doprecyzowałam.

– Ukrainka? – zapytał jakimś dziwnym, niekryjącym niezadowolenia tonem.

– Melduję, że nie, towarzyszu generale majorze – odpowiedziałam szybko, ponieważ pytania o narodowość zawsze mnie drażniły. – Jestem Rosjanką, a moje nazwisko panieńskie brzmi Biełowa. Pawliczenko to po mężu.

– Niesamowite, Ludmiło. – Pietrow przeszedł się po pokoju. – Znałem jednego Biełowa Michaiła Iwanowicza, ale w czasach wojny domowej. Był komisarzem pułku jeszcze przy Czapajewie. Człowiek niewiarygodnej odwagi. Razem otrzymaliśmy Order Czerwonego Sztandaru za atak pod Ufą i Belebejem.

– To mój ojciec, towarzyszu generale majorze.

– Znamienne spotkanie! – rzekł dowódca dywizji i z szerokim uśmiechem odwrócił się w moim kierunku. – Wychodzi na to, że tradycje rodzinne są kultywowane. Według mnie przypomina pani swojego rodzica nie tylko z charakteru, ale i z wyglądu.

– Wszyscy tak mówią, towarzyszu generale majorze.

Dowódcę dywizji czekały oczywiście niecierpiące zwłoki sprawy, jednakże uznał on za stosowne poczęstować herbatą córkę swojego starego towarzysza broni i popytać, co tam słychać w naszej rodzinie: jak układało się życie mojego ojca w czasie pokoju, jak przebiega moja służba w 54. Pułku. Odpowiadałam krótko i zwięźle – jak przystoi żołnierzowi.

– Czy ci tam nie dokuczają? – zapytał Pietrow, kończąc rozmowę.

– Nie, Iwanie Jefimowiczu. Traktują mnie dobrze, a kiedy trzeba – pomagają. Tym bardziej że służba wojskowa mi się podoba.

– Zuch córcia! – Na pożegnanie generał mocno ścisnął moją dłoń.

Niczym na skrzydłach wróciłam do punktu lokacji pierwszego batalionu i od razu zameldowałam kapitanowi Siergi-

jence o podarku od dowództwa, pochwaliłam się karabinem z pamiątkową dedykacją, jednak nic nie wspomniałam o swojej prywatnej rozmowie z Pietrowem. Uznałam, że tego rodzaju znajomość z dowódcą dywizji nie jest aż tak ważna. Lepiej już zostać strzelcem wyborowym, niż zasłynąć jako protegowana kierownictwa wyższego szczebla. Generał major nie zapomniał jednakże o naszym spotkaniu; trzy dni później ze sztabu dywizji przyszedł rozkaz o nadaniu mi kolejnego stopnia wojskowego – sierżanta.

Przypisy

[1] *Инженерные войска в боях за советскую Родину*, Москва 1970, s. 114.

[2] Obecnie: wieś Kamjanka (ros. Каменка, ukr. Кам’янка) w rejonie bielajewskim obwodu odeskiego – przyp. tłum.

[3] W oryginale błędnie: „A. Trauberga” – przyp. tłum.

[4] Mowa o Jelenie Biełowej – matce Ludmiły Pawliczenko – przyp. tłum.

[5] List L. M. Pawliczenko do starszej siostry W. M. Biełowej datowany jest na 27 sierpnia 1941 roku. Obecnie znajduje się w Centralnym Muzeum Sił Zbrojnych w Moskwie, zespół nr 4/18680 – przyp. red. ros.

[6] W następnych partiach tekstu w odniesieniu do tej samej osoby pojawia się nazwisko Kołomijec i najprawdopodobniej chodzi właśnie o Piotra Iwanowicza Kołomijca (1914–1943?) – przyp. tłum.

[7] И. И. Азаров, *Осаждённая Одесса*, Москва 1966, s. 81.

[8] *Сборник военных мемуаров. У черноморских твердынь*, Москва 1967, s. 205.

[9] *Сборник военных мемуаров. У черноморских твердынь*, Москва 1967, s. 135.

[10] Obecnie – wieś Krasnosiołowka rejonu kominternowskiego w obwodzie odeskim – przyp. red. ros. W rzeczywistości chodzi o wieś, która w języku rosyjskim nazywa się Krasnosiołka (a nie Krasnosiołowka), natomiast w języku ukraińskim i polskim funkcjonuje jako Krasnosiłka. Rejon kominternowski, w którym znajduje się wieś Krasnosiłka, obecnie nosi nazwę rejonu łymanskiego – przyp. tłum.

[11] И. И. Азаров, *Осаждённая Одесса*, Москва 1966, s. 141, 143.

[12] Imię w przekładzie na język polski zostało zapisane zgodnie z tradycją pisowni imion rumuńskich, natomiast nazwisko przetranskrybowane z języka rosyjskiego, ponieważ tłumaczowi niniejszego tekstu nie udało się ustalić, o kogo chodzi. Żadne dokumenty znane tłumaczowi nie wskazują także na to, by Ion Antonescu miał adiutanta o takim właśnie imieniu i nazwisku – przyp. tłum.

Rozdział 5

BITWA POD WSIĄ TATARKA

Dało się to odczuć wszystkimi zmysłami – nadciągało coś bardzo poważnego.

Porządek bitewny w naszej 25. Dywizji zaczęto intensyfikować: do pułków trafiło przybyłe drogą morską z Noworosyjska uzupełnienie z kompanii marszowych. Linię obrony o długości 8 kilometrów zajęły obok nas jednostki dzielnej 157. Dywizji, z którymi ramię w ramię walczyliśmy w bitwach o Gildendorf, sowchoz „Iljiczowka" oraz osady Fontanka, Aleksandrowka i Bołgarka. Przybyły także dwa nowe pułki artyleryjskie z haubicami i armatami oraz czołgi – 35 maszyn bojowych, wśród których były nie tylko pojazdy własnej konstrukcji, przerobione z ciągników odeskie NI (*Na Ispug* – Do Zastraszania), ale i będące w standardowym wyposażeniu wojska BT-7 i T-26. Wraz z czołgistami, jak to bywało na manewrach jeszcze przed wojną, do natarcia przygotowywali się także kawalerzyści, a konkretnie 2. Dywizja Kawalerii. Wreszcie zdradzono też, że na naszych pozycjach pojawiła się nowa broń, szczegóły jednak na razie owiane były tajemnicą. Chodziło o zamontowane na podwoziu ciężarówki ZiS-6 wyrzutnie rakietowe BM-13, które dostarczono do Odessy z Noworosyjska pod koniec września. Mogły one wystrzeliwać po 16 pocisków o wadze 42,5 kilograma co 8–10 sekund. W środku znajdowała się płynna substancja wybuchowa, za której sprawą na miejscu upadku takiego pocisku paliło się dosłownie wszystko: i ziemia, i kamienie, i metal.

O poranku 2 października 1941 roku nasza armada wojenna przystąpiła do działania. W sektorze południowym i za-

chodnim na pierwszą linię przeciwnika uderzył dywizjon moździerzy gwardyjskich pod dowództwem kapitana Niebożenki. Były to właśnie owe wyrzutnie rakietowe, które w wojsku nazywano katiuszami.

W pierwszej chwili wydawało się, że nadchodzi burza, choć niebo pozostawało czyste – bez chmur czy nawet obłoków. Dźwięk, przypominający uderzenie gromu gdzieś w oddali, szybko zmienił się w ogłuszający ryk. Okolicę rozświetliły jaskrawe błyski, a nad drzewami zawisły kłęby dymu. Z sykiem i zgrzytem ogniste strzały jedna za drugą pomknęły w kierunku wroga. Zobaczyliśmy, jak ogromne, żółte języki płomieni objęły pozycje Rumunów na zachód od wsi Tatarka i dalej – w kierunku południowo-zachodnim, nieopodal Chutorów Bułgarskich. O dziesiątej rano pożary ustały.

„Czapajewcy" przystąpili do ataku. Po naszej lewej stronie nacierała 2. Dywizja Kawalerii. Radzieckie baterie nadbrzeżne, dwa pociągi pancerne i pułk haubic z działami kalibru 152 mm prowadziły nieprzerwany ogień, wspierając natarcie. Na wyłomy ruszyły czołgi, które sprasowały okopy dwóch wrogich batalionów karabinowych, przegnały żołnierzy i skierowały się w stronę wioski Lenintal. Tu broniła się Dywizja Pograniczna Królestwa Rumunii – wojska wyborowe i doświadczone. Jednak po uderzeniach „katiusz" także one zostały zmuszone do odwrotu…

Potykając się, kroczyliśmy po czarnej, spalonej piekielnym ogniem ziemi. Jeszcze godzinę temu w tym miejscu znajdowały się umocnione pozycje rumuńskiego batalionu karabinowego, schrony podziemne, kręte transzeje i punkty ostrzału. Na polach wokół rosły wysoka trawa, krzaki leszczyny i drzewka dzikiej jabłoni – wszystko to obróciło się teraz w popiół. Widzieliśmy niemało spalonych niemal do kości trupów, a dziwny słodkawy zapach powoli mieszał się z duszącym swądem spalenizny. Na zburzonych pozycjach

gdzieniegdzie sterczały lufy zniszczonych karabinów maszynowych: niemieckich MG-34, przestarzałych austriackich Schwarzlose i nowych czeskich ZB-53[1].

Wojna to śmierć, ból i cierpienie milionów ludzi. Jeśli jednak wróg zdradziecko łamie granice kraju ojczystego, wówczas należy się przygotować do stawienia mu zdecydowanego odporu. Trzeba wytrzymać ciężar przemiany z pokojowych mieszkańców rozkwitających miast i wsi w nieznających strachu żołnierzy, zdolnych do wyrzeczeń i znoju długotrwałej walki. Wojna obnaża prawdziwą naturę każdego człowieka: tchórze i łajdacy dokonują na niej najbardziej nikczemnych postępków, zaś ludzie odważni, prawi i dobrzy – wzniosłych, bohaterskich czynów.

Za mną kroczyli żołnierze mojego oddziału – w sumie 10 osób odzianych w płaszcze-namioty i w hełmach na głowach. Po tym, jak generał major Pietrow wręczył mi karabin imienny, dowódca naszego pułku, N. M. Matusiewicz, polecił mi niezwłocznie i w przyspieszonym trybie przygotować grupę strzelców zdolnych bez pudła trafić przeciwnika. Gdy zauważyłam, że dokonanie tego w ciągu trzech–czterech dni jest nierealne, major Matusiewicz wspaniałomyślnie dał mi… tydzień, pozwolił wybrać z całego pułku najzdolniejszych żołnierzy i wydał 500 nabojów z „lekkimi” kulami, żebyśmy mogli trenować strzelanie do tarczy.

Trzeba było sięgnąć pamięcią do czasów zajęć w szkole snajperskiej w Kijowie. Starałam się spojrzeć na nowicjuszy oczyma swojego Drogiego Nauczyciela: na nic zdali mi się nadto pewni siebie, zbyt porywczy i niecierpliwi. A dobre oko zauważyć wcale nie jest trudno: tu masz karabin, pięć nabojów, tam jest tarcza – strzelaj!

Nie byłabym jednak do końca szczera, gdybym pominęła jedno wydarzenie dotyczące mojej służby na stanowisku dowódcy. Z początku przyszli strzelcy (z innych kompanii) nie

wiedzieli, że sierżant Pawliczenko to kobieta i zareagowali na moje pierwsze pojawienie się przed szykiem – nazwijmy to – specyficznie. Dosyć ostro, jednak bez niecenzuralnych słów. Ja jednak szybko ich usadziłam i w przyszłości stosowałam bardzo surowe metody radzenia sobie z leniwymi, niedbałymi i niepojętnymi młodymi żołnierzami. Po swojej stronie miałam dyscyplinę wojskową i subordynację, tak więc wkrótce dowiodłam swoim podwładnym, że porzekadła ludowe w stylu „Kura – nie ptak, baba – nie człowiek", „Babska droga od pieca do proga", „Baby mają długie włosy, a krótki rozum" i inne w podobnym, głupim tonie, tutaj racji bytu nie mają. Ja strzelam najlepiej, wiem bardzo dużo o wojnie i należy mi się bezwzględnie podporządkowywać.

Jasne, że w grupie dało się wyróżnić żołnierzy bardziej zdolnych do nauki, jak też tych utalentowanych nieco mniej, którzy jednak byli w stanie przyswoić sobie podstawowe nauki strzeleckie. Pozostałych odesłałam z powrotem do ich oddziałów. Spośród osób, które nadawały się – moim zdaniem – do zostania prawdziwym snajperem, wyróżniłabym dwie: Fiodora Siedycha – młodego myśliwego z Syberii, i Kazacha Azata Bazarbajewa – jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało – mieszkańca Saratowa. Obydwaj chłopcy zostali przez naturę obdarzeni świetnym okiem i bardzo spokojnym charakterem, a więc idealnie nadawali się do pracy snajperskiej. Niestety Bazarbajew zginął wcześnie, gdy trafił pod ostrzał moździerzowy, natomiast Fiodor Siedych walczył wraz ze mną pod Sewastopolem.

Idąc po wypalonych polach, posępnie rozglądaliśmy się wokoło. Straty i zniszczenia wśród wojsk rumuńskich z jakiegoś powodu nas nie cieszyły. W tak przerażającym triumfie śmierci nad życiem nie ma niczego, co mogłoby radować wzrok – nawet jeśli jest to śmierć śmiertelnego wroga. „Zobaczyć i zapomnieć!" – myślałam, pokonując zawalone tran-

szeje i omijając żarzące się pozostałości schronów podziemnych i betonowych schronów ogniowych oraz zwęglone szczątki ludzkie.

Za jakiś czas na obszarze przeoranym salwami gwardyjskich moździerzy z pewnością zacznie się nowa bitwa. Generał major Pietrow, który został dowodzącym Armii Nadmorskiej, nie bez kozery zatrzymał natarcie naszych wojsk właśnie tutaj. Przeciwnik wycofał się na odległość kilometra–półtora, wciąż jednak dysponował ogromną przewagą liczebną: na cztery radzieckie dywizje przypadało aż 18 rumuńskich. Na mapie-trzywiorstówce, którą pokazał mi kapitan Siergijenko, kluczowa pozycja 76,5 oznaczona była jako stanowisko dowodzenia batalionu karabinowego wroga – „chutor Kabaczenków". Teraz przeciwnik opuścił to miejsce, a strategicznie ważnym punktem pozostawała wieś Tatarka[2], znajdująca się mniej więcej pół kilometra od niego. Leżała ona przy szerokiej i nowoczesnej szosie prowadzącej z Owidiopola do Odessy, zaś niedaleko znajdowały się tory kolejowe, które nasz 54. Pułk miał za zadanie ochraniać. Najpierw jednak należało urządzić tu wysunięte posterunki i punkty obserwacyjne. Właśnie na jeden z nich dowódca wybrał chutor Kabaczenków. Trzy zamalowane kwadraciki świadczyły o tym, że miejsce jest zamieszkane. Przez lornetkę widać było parterowy budynek z dachem pokrytym czerwoną dachówką, płot, duży sad i łagodnie pochyłe wzniesienie na południowy wschód od domu. Obsadziwszy je, można było obserwować drogę i w razie natarcia wroga prowadzić ogień z karabinów snajperskich. Siergijenko rozkazał, żeby wydano nam po 200 nabojów dla każdego, a następnie poprosił, bym utrzymywała się tam tak długo, jak tylko będzie to możliwe. Tatarka była bliskim przedmieściem Odessy, jej odległość od granic miasta wy-

nosiła ponad 10 kilometrów i należało o nią zaciekle walczyć. Przyłożyłam dłoń do hełmu.

– Rozkaz, towarzyszu kapitanie!

Zbliżając się do chutoru, zobaczyliśmy prawie doszczętnie spaloną ciężarówkę i przewrócony motocykl z koszem. Trupy żołnierzy w hełmach-makutrach walały się zarówno tu, jak i na poboczach zniszczonej przez pociski wąskiej drogi polnej. Prowadziła ona wprost do otwartych na oścież wrót, przed którymi stał dwutonowy transporter opancerzony Malaxa z rozerwaną lewą gąsienicą. Zamocowana do niego była przyczepka (także na gąsienicach), na której leżały beczki, worki, skrzynki i sporych rozmiarów brezentowe zawiniątko. Podobnie jak budynki chutoru, transporter opancerzony praktycznie nie ucierpiał od ognia, załogi jednak w środku nie było. Obie półkoliste kopuły pancerne były otwarte, a benzynowy silnik jeszcze ciepły.

Zbliżyliśmy się do domu i zapukaliśmy do drzwi. Długo nikt nie otwierał. Dopiero kiedy krzyknęłam, że to Armia Czerwona, drzwi się w końcu otworzyły i zobaczyliśmy w nich kobietę mniej więcej pięćdziesięcioletnią w szarej chuście na głowie. Wyjaśniłam jej, kim jesteśmy, ona zaś wyraziła zdumienie, że żołnierzami dowodzi kobieta. Potem nasza rozmowa potoczyła się już swobodniej. Wysłuchałam gorzkich skarg gospodyni na okupantów, którzy panoszyli się w chutorze przez dwa tygodnie, a także jej zarzutów pod adresem jednostek wojskowych RKKA, które we wrześniu zbyt szybko opuściły to miejsce, pozostawiając mieszkańców na pastwę faszystów.

Kobieta ta miała rację.

Przeprosiłam ją za ludowego komisarza spraw zagranicznych, towarzysza Mołotowa, który ni z tego, ni z owego podpisał z Niemcami pakt o nieagresji; za to, że hitlerowcy bezczelnie go zerwali; za dowództwo Armii Czerwonej, któ-

re nie zdołało rozgromić wojsk agresora w przygranicznych starciach; za tych naszych żołnierzy i dowódców, którzy wycofywali się pod naporem niespodziewanych ataków dywizji czołgowych i bombardowań ze strony lotnictwa nieprzyjaciela. Wojna się jednak jeszcze nie skończyła – dodałam – ona się dopiero zaczyna. Stacjonujemy pod Odessą trzeci miesiąc i tysiące okupantów znalazły już za naszą sprawą miejsce wiecznego spoczynku w stepach czarnomorskich. Niedaleko jej chutoru my, snajperzy 54. Pułku imienia Stiepana Razina, urządzimy zasadzkę i rozłożymy tu jeszcze 100, 200 albo i 300 zdziczałych żołnierzy rumuńskiego króla Michała I.

– Nazywam się Serafima Nikanorowna. – Kobieta szeroko otworzyła przede mną drzwi. – Proszę wejść, czym chata bogata…

Tak właśnie zawarłam znajomość ze zwyczajną chłopską rodziną Kabaczenków, składającą się z męża, żony i trojga dzieci: dwóch synów, między którymi był rok różnicy, oraz starszej córki. Żyli oni ani dostatnio, ani ubogo; mieli sad, ogród, na polach uprawiali pszenicę, hodowali też bydło i ptactwo domowe. Kiedy rozpoczęły się działania wojenne, postanowili pozostać na miejscu, ponieważ szkoda im było zostawiać gospodarstwo, wymagające przecież stałego nadzoru. Za to wszystko przyszło im zapłacić: Rumuni wywrócili cały dom do góry nogami w poszukiwaniu złota i innych kosztowności (którymi okazały się maszyna do szycia marki „Singer” oraz rower), wyłapali wszystkie kury, zarżnęli prosięta i ukradli krowę z cielakiem. Najwyraźniej żołnierze armii królewskiej nigdy nie byli karmieni jak należy.

Dopuścili się także innych występków, o których Serafima Nikanorowna opowiedziała mi ze łzami w oczach. Okrutne poniewieranie żon, sióstr i córek zwyciężonych ma swoje początki w tradycji plemion pierwotnych, zamieszkujących

Ziemię wiele lat temu. Kobiety uważano wówczas za prawowitą zdobycz wojenną, a ich los był nie do pozazdroszczenia. Czytałam opisy tych bestialskich czynów, nie przypuszczałam jednak, że „cywilizowana Europa” sprowadzi i na nasze ziemie te barbarzyńskie obyczaje. Oczy Marii, siedemnastoletniej córki właścicielki chutoru, pełne cierpienia, niby przyprószone popiołem, patrzyły na mnie z nadzieją. Jakich jednak słów spodziewała się ode mnie usłyszeć – tego nie wiedziałam. Postanowiłam opowiedzieć o naszej niedawnej walce.

Za wrotami domu widniało wypalone przez reaktywne pociski „katiusz” pole. Ze wściekłych rumuńskich samców w hełmach-makutrach pozostały jedynie czarne prochy. Spłonęli oni w ogniu niczym pochodnie i spadli na ziemię jako strużki popiołu. Nikt ich nie pochowa, bo nikomu nie jest to potrzebne, nikt też nie będzie pamiętał ani ich twarzy, ani imion. Ich plugawe nasienie zmieszało się z kurzem, wniknęło w glob ziemski i nigdy już nie wyda potomstwa. Właśnie tak powinni kończyć faszyści – nie pozostawiając żadnego śladu swojego pobytu na naszej wspaniałej planecie.

– Dobrze strzelasz? – nieoczekiwanie i ze smutkiem zapytała Maria.

– Tak, mam karabin ze specjalnym celownikiem.

– Zabijaj ich. Ile razy zobaczysz – tyle razy też zabij.

– Obiecuję, że tak zrobię.

– Pan nasz Jezus Chrystus wie wszystko. – Dziewczyna jak przystoi gorliwie się przeżegnała i skierowała wzrok na wiszącą w rogu izby ikonę. – Będę się modliła za ciebie i On ci wybaczy…

W naszej komunistycznej rodzinie wyrośliśmy oczywiście na ateistów, tak więc słowa modlitwy Marii Kabaczenko o wybaczeniu mi przez Boga w zamian za moje celne strzały

do nieprzyjaciela absolutnie nic dla mnie nie znaczyły. Później jednak, już w czasie pokoju, kiedy słyszałam opowieści o snajperach – niby o mordercach z zimną krwią polujących na biednych i bezbronnych fryców – przypominałam sobie prośbę nieszczęsnej dziewczyny: „Zabij ich!”. Być może cichy głos Marii, podobnie jak tysięcy takich samych ofiar tej wojny, zabrzmi raz jeszcze i zostanie odebrany nie jako usprawiedliwienie naszego postępowania, ale jako bezwzględny rozkaz, który my przysięgliśmy w tych dniach święcie wykonywać. I wykonywaliśmy, nie szczędząc własnego życia.

W posępnym nastroju wyszłam z domu, żeby zobaczyć, jak idą przygotowania moich ludzi do odparcia ataku przeciwnika. Dwóch żołnierzy majstrowało przy transporterze opancerzonym Malaxa – pierwotnie wykwintnym francuskim wyrobie Renault UE. Próbowali go odpalić, silnik jednak milczał. Starszy szeregowy Siedych zameldował mi, że na gąsienicowej przyczepce znaleziono wartościowe rzeczy: oprócz dwóch beczek z benzyną i skrzynki z jakimiś częściami zamiennymi znajdowało się tam brezentowe zawiniątko z nowiutkim, fabrycznie naoliwionym niemieckim karabinem maszynowym MG-34. Obok niego leżały dwie zapasowe lufy, azbestowa rękawica (przeznaczona do wymiany lufy w czasie walki), trójnóg i pudełka z taśmami nabojowymi.

Znalezisko było po prostu wspaniałe!

Od dawna już umieliśmy korzystać ze zdobycznej broni. Karabin w znaczący sposób wzmocnił moc ogniową powierzonego mi oddziału, więc ja i Siedych zaczęliśmy myśleć o optymalnej pozycji jego umiejscowienia. Fiodor zaproponował wykopanie głębokiego okopu na zboczu wzniesienia, skąd mielibyśmy widok na dolinę i drogę. Przystałam na jego plan.

Oprócz cekaemu, benzyny i części zamiennych na przyczepce były trzy worki: z kaszą, mąką i cukrem. Żołnierze pytająco na mnie spojrzeli. Artykuły wydają się użyteczne, cóż jednak możemy z nimi zrobić, nie mając nawet kociołków? Postanowiłam przekazać znalezisko gospodyni chutoru. Serafima Nikanorowna początkowo nie mogła uwierzyć w naszą hojność, więc w zamian za podarek poprosiłam, by przygotowała dla żołnierzy gorący posiłek.

Wyruszyliśmy z Fiodorem na porośnięte młodniakiem pochyłe zbocze i rzeczywiście – cała dolina i przecinająca ją droga były doskonale widoczne. Z lewej strony do drogi przylegał niewielki zagajnik, z prawej zaś – kilka wzgórz, spoza których gdzieniegdzie wyłaniały się dachy domów wsi Tatarka.

Ostrożnie krocząc po wyschniętej jesiennej trawie, podeszliśmy do pierwszego okopu. Żołnierze słusznie wybrali dla niego miejsce właśnie tutaj: za plecami mieli pagórek z rozrośniętymi krzewami dzikiej róży. Słońce oświetlało go z boku, wskutek czego na ziemię padał gęsty cień, który maskował zarówno okop, jak i znajdujących się w nim żołnierzy. Okop osiągnął już głębokość jednego metra, ja jednak rozkazałam kopać dalej – do głębokości półtora metra, a następnie umocnić jego przedpiersie kamieniami – tak, aby można było strzelać z pozycji stojącej i z podpórki. Od okopu odchodziła niezbyt głęboka transzeja, którą strzelcy (czołgając się po ziemi) mogli się wycofać na inną pozycję. Zbudowanie pozycji ogniowej z prawdziwego zdarzenia – z wieloma punktami ostrzału i transzejami – nie wydawało się w tym momencie możliwe, nie wiedzieliśmy bowiem, ile mamy czasu, i spieszyliśmy się, by urządzić coś choćby na kształt fortyfikacji.

Po południu, zostawiwszy na posterunku wartowników, skorzystaliśmy z zaproszenia i odwiedziliśmy gospodynię

w jej domu. Można powiedzieć, że nakryła stół i przygotowała obiad z iście świątecznym rozmachem: butelka mętnego, wiejskiego piwa domowej roboty, talerze i graniaste szklanki, a na zakąskę kapusta kiszona i ogórki małosolne. Nie tylko jedzenie, ale i samo nakrycie stołu oraz obecność całej rodziny Kabaczenków rozgrzały serca żołnierzy – przecież w czasie walk i marszów często z tęsknotą myśleliśmy o cieple domowego ogniska.

Rumuni nie przystąpili do ataku i dzień ten zakończył się cicho, miło i w pokojowej atmosferze.

Przez następne dwie doby naszego pobytu na chutorze trzymaliśmy drogę na muszce i spowodowaliśmy straty w obozie nieprzyjaciela: zmusiliśmy do zatrzymania dwie wojskowe ciężarówki, strzelając im pociskami przeciwpancernymi w koła, ogniem zdobycznego karabinu maszynowego zapędziliśmy wysiadającą z nich piechotę do zagajnika, a następnie ze „snajperek” ostrzelaliśmy trzy motocykle z koszami. W końcu na drodze pojawiły się rumuńskie czołgi LT vz. 35 produkcji czechosłowackiej. Okazuje się, że obrońcom Odessy nie udało się zniszczyć wszystkich egzemplarzy tych wozów bojowych, mimo że z powodzeniem obrzucali je „koktajlami Mołotowa”. Czołgi otworzyły ogień w kierunku zboczy wzniesienia, na których znajdowały się nasze okopy. Strzały, nawiasem mówiąc, nie były zbyt celne, ponieważ snajperzy zdążyli się dobrze zamaskować, jednakże walka z czołgami, bez granatów i wspomnianych „koktajli Mołotowa”, była absolutnie niemożliwa. Wozy przejechały obok nas, a później, już pod samą Tatarką, rozprawiła się z nimi nasza pułkowa artyleria.

Zacięte działania bojowe pod wsią, przeprowadzone nieco później: 9, 10, 11, 12, i 13 października 1941 roku, przebiegały ze zmiennym powodzeniem. Rumunom raz udawało się zmusić nas do odwrotu, a kiedy indziej odważni radzieccy

żołnierze rzucali się naprzód i wypierali wroga z chat położonych na skraju wsi. Uczestnikiem tych starć był nasz nieposkromiony grupowy komsomolski Jasza Waśkowski, który opisał je na stronicach swoich wspomnień:

„9 października pierwszy batalion „Razinców” był w trakcie wypierania wroga z podmiejskiej osady Tatarka. Nieprzyjaciel stawiał opór, jednak walka wręcz przechyliła szalę zwycięstwa na naszą stronę. Pozostałości wypartych z Tatarki oddziałów zaczęły się wycofywać w kierunku Chutorów Bułgarskich, jednak my odcięliśmy im już drogę i 60 żołnierzy przeciwnika zmuszono do podniesienia rąk. Między Tatarką a wsią Suchy Liman otoczono tego dnia 33. Pułk Piechoty Rumunii. Zacięte starcia, ataki i kontrataki trwały dwie godziny. Przeciwnik pozostawił na polu bitwy 1300 zabitych i rannych, a 200 żołnierzy się poddało. Zdobyliśmy sztandar pułkowy, dokumenty operacyjne, pieczęć i sporo uzbrojenia…”[3]. Można w tym miejscu dodać, że sukcesy moich kolegów z pułku pod wieloma względami były w tej materii zasługą dywizjonu moździerzy gwardyjskich kapitana Niebożenki. Rumuni, którzy nie wytrzymywali obstrzału rakietowego, zaczęli się wycofywać.

Bardzo ciężkie warunki panowały w dniach 10–13 października w sektorze południowym Odeskiego Rejonu Obronnego. 10. Dywizja Rumuńska w pełnym składzie podjęła decyzję o natarciu na Tatarkę i próbowała się przedrzeć na styku naszej 25. „Czapajewskiej” Dywizji Strzelców i 2. Dywizji Kawalerii. Po intensywnym ostrzale artyleryjskim trzy wrogie bataliony zdołały opanować pierwszą linię transzei, przedarły się na nasze tyły i znalazły przy torowisku linii kolejowej Odessa–Owidiopol. Poprzez wyłom w każdej chwili mogły wtargnąć dużo większe siły przeciwnika. Pierwszy batalion 54. Pułku, batalion 3. Pułku Piechoty Morskiej, 80. Oddzielny Batalion Rozpoznawczy pod do-

wództwem kapitana Antipina oraz dywizja strzelców zmotoryzowanych w samochodach pancernych otrzymały rozkaz natychmiastowego powrotu z odwodu na miejsce działań bojowych. W kierunku wroga skierowały ogień także trzy baterie: 1, 39, 411 oraz pociąg pancerny nr 22 „Za Rodinu!”.

Odbiliśmy transzeje i radziecka piechota zajęła swoje poprzednie pozycje ogniowe. Na pewien czas zapanowała cisza, Rumuni przygotowywali się jednak do ataku i wkrótce rozpoczęli ostrzał moździerzowy. Początkowo miny spadały z tyłu pierwszej linii, następnie przed nią, a kolejna salwa nakryła ją, unosząc nad ziemią obłoki kurzu i kłęby dymu. Starałam się osłonić połą płaszcza-namiotu prezent od dowódcy dywizji Pietrowa – karabin snajperski SWT-40, który wzięłam ze sobą na akcję, ponieważ przewidywaliśmy atak frontalny na nasz batalion. W takim przypadku „Swieta” (tak nazywano samopowtarzalny karabin Tokariewa w wojsku) zapewniała oczywistą korzyść dzięki swojej szybkostrzelności i pudełkom magazynkowym na 10 nabojów, które można było w trakcie walki łatwo i szybko wymienić.

Nasz pułk posiadał tego typu broń, jednak w ograniczonej ilości. Według stanu na rok 1940 karabinów SWT-40 było 984, a „triochliniejek” – 1301, mimo iż Mosiny wz. 1891/1930 miały zostać zastąpione właśnie tymi pierwszymi. Opinie o „Swiecie” były różne: jedni doceniali jej automatykę – opartą na odprowadzaniu gazów prochowych, które zawsze towarzyszą mknącej w lufie kuli. Gazy trafiały następnie do znajdującej się nad lufą komory gazowej i naciskały na cylinder z długim trzpieniem. Trzpień łączył się z popychaczem, który opierał się przeciwległym końcem na trzonku zamka. Ktoś jednak słusznie powiedział o nadmiernym skomplikowaniu tego urządzenia i trudnościach z dbaniem o niego w warunkach polowych. Być może gdzieś

w krajach Północy albo na flocie samopowtarzalny karabin był najlepszym rozwiązaniem, jednak w czarnomorskich stepach, w okopach i transzejach zbudowanych na suchej, miękkiej i pulchnej ziemi ryzyko zanieczyszczenia jego mechanizmu (składającego się ze 143 niedużych, małych i bardzo małych elementów) było dosyć wysokie.

Jeśli ciśnienie gazów ulegało zmianie, karabin zaczynał kaprysić (na przykład nie dawał się ponownie załadować albo ledwie wyrzucał łuski nabojów). Ciśnienie zależało między innymi od pogody i temperatury powietrza – strzelec musiał wówczas ręcznie wyregulować otwór w komorze gazowej, czyli bądź to zwęzić go, bądź też rozszerzyć. Oprócz tego „Swieta” odmawiała posłuszeństwa, kiedy była naoliwiona zbyt gęstym smarem albo gdy do wnętrza jej mechanizmu dostał się kurz. Do wad SWT-40 zaliczyłabym również wyraźny błysk po oddaniu strzału (z powodu krótszej o 100 mm lufy w stosunku do „triochliniejki”) oraz głośny dźwięk, który natychmiast demaskował oddającego strzał. Idealnie nadawała się za to do starć na polach, gdzie funkcjonuje artyleria, karabiny maszynowe czy broń moździerzowa. Jednak, mówiąc zupełnie uczciwie, narażała strzelca wyborowego na większe niebezpieczeństwo, bo mógł zostać przez wroga zauważony w samotnych zasadzkach, na przykład w lesie.

Tak czy inaczej, „Swieta” miała swoich zwolenników wśród snajperów.

Latem 1942 roku starszy lejtnant W. N. Pczelincew, który walczył na Froncie Leningradzkim, podarował mi swoją broszurę *Jak zostałem snajperem*, którą wydano w niewielkim nakładzie w Moskwie, a następnie rozpowszechniono na froncie jako pomoc dydaktyczno-propagandową[4]. W publikacji znajduje się fotografia, na której Pczelincew pokazuje SWT-40 rekrutom. Odnotowuje on:

„Za odniesione sukcesy zobowiązany jestem w pierwszej kolejności swojej broni. Karabin jest dla wojownika jego najlepszym przyjacielem. Kiedy będzie się o niego troszczyć i poświęcać mu uwagę – nigdy nie zawiedzie. Karabinu należy strzec, utrzymywać go w czystości, eliminować najdrobniejsze usterki, OLIWIĆ Z UMIAREM, wyregulować wszystkie elementy i dokładnie przystrzelić. Taki właśnie powinien być stosunek snajpera do swojej broni. Nie zaszkodzi przy tym wiedza, że chociaż karabiny są konstruowane standardowo, to jednak zasadniczo nie istnieją dwa identyczne modele. Jak to się mówi – każdy z nich ma swój charakter. Przejawem tego może być stopień prężności poszczególnych sprężyn, i praca zamka karabinu, i miękkość albo twardość języka spustowego, i jakość przewodu lufy, stopień jego zużycia itd. Nierzadko wracałem z »polowania« głodny i zziębnięty i w pierwszej kolejności brałem się do czyszczenia broni i doprowadzenia jej do porządku. To jest dla snajpera podstawa…”

Wszystko się zgadza: „strzec karabinu, utrzymywać go w czystości, eliminować najdrobniejsze usterki…”. Usiłowałam osłonić płaszczem-namiotem „Swietę” przed opadającym na mój okop obłokiem kurzu, ale najwyraźniej nie zdążyłam – po naciśnięciu spustu zamek karabinu nie zareagował. Trzeba było usunąć to uszkodzenie. Pochyliłam się nad bronią, jednak przeszkadzał mi hełm. Zakląwszy siarczyście, zdjęłam stalowy hełm i położyłam go na dno okopu, a następnie zabrałam się do rękojeści zamka. Wyglądało na to, że mechanizm zaczął ustępować.

Wtem gruchnęła nowa salwa moździerzowa, a odłamki z gwizdem pomknęły w różne strony. Jeden z nich przeciął mi skórę głowy z lewej strony, pod włosami. Krew obficie spływała po czole, zalewając lewe oko i wpadając do ust. Poczułam jej metaliczny, słonawy smak. Udało mi się wyjąć

z kieszeni bluzy apteczkę wojskową i jakoś obandażować głowę. Krew ciekła już mniej, za to pojawił się ból: rana paliła, piekła i niejako ściągała skórę na całej głowie.

Otaczające mnie przedmioty zaczęły się pogrążać we mgle. Przycisnęłam niesprawny karabin do piersi i oparłam się plecami o krawędź okopu, nad którym wciąż słychać było świst nieprzyjacielskich min i kul. Gdzieś z boku zaterkotał należący do naszej kompanii ciężki karabin maszynowy i z głośnym „Bum!” wkroczyła do akcji bateria 45-milimetrowych armat przeciwpancernych. Sądząc po odgłosach, Rumuni przystąpili do ataku, którego ja nie mogłam niestety odpierać. Dziwne, ciężkie myśli zaczęły chodzić mi po głowie: „Trzeba czekać… Trzeba czekać… Trzeba czekać…”.

– Towarzyszko sierżant, żyje pani? – usłyszałam głos instruktora sanitarnego, Leny Palij.

– Żyję, ale jestem ranna w głowę.

– O Boże! Zaraz pani pomogę.

Kapitan Siergijenko, zobaczywszy moją twarz i bluzę wojskową zalane krwią oraz zabandażowaną głowę, rozkazał Lenie natychmiast jechać ze mną do batalionu medyczno-sanitarnego, ponieważ tam pełnili służbę lepsi lekarze. Oprócz tego przypisany do 25. Dywizji batalion medyczny nr 47 znajdował się w odległości jedynie 5 kilometrów od pozycji 54. Pułku. Mój imienny karabin, który nadal trzymałam w dłoniach, nieoczekiwanie zakończył swoją służbę. W punkcie klasyfikacyjnym batalionu Lena Palij wskazała na napis na metalowej rurce celownika i dodała, że żołnierza 2. Kompanii pierwszego batalionu, sierżant Ludmiłę Pawliczenko, osobiście zna sam generał major Pietrow – głównodowodzący Samodzielnej Armii Nadmorskiej. Lekarz wojskowy bez pytania wręczył jej czerwony numerek, który oznaczał skierowanie na natychmiastową operację.

Przypisy

[1] W oryginale błędnie: „ZD-53” – przyp. tłum.

[2] Obecnie – wieś Prilimannoje rejonu owidiopolskiego obwodu odeskiego – przyp. red. ros. Właściwa nazwa w języku rosyjskim to Prilimanskoje (a nie Prilimannoje), natomiast w języku ukraińskim i polskim wieś ta funkcjonuje pod nazwą Pryłymańskie – przyp. tłum.

[3] *Сборник военных мемуаров. У черноморских твердынь*, Москва 1967, s. 135.

[4] В. Пчелинцев, *Как я стал снайпером*, Москва 1943.

Rozdział 6

PRZEZ MORZE

Lekarze zwrócili mi ten odłamek. Miał on formę płaskiego, sczerniałego kawałeczka metalu o długości odrobinę większej niż zapałka, z ostrymi, poszczerbionymi brzegami. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby odłamek leciał trochę niżej; pewnie, podobnie jak półtorej setki moich towarzyszy z pułku, leżałabym z przestrzeloną głową w wilgotnej ziemi na cmentarzu pod wsią Tatarka – tam gdzie na zawsze pozostał nasz odważny dowódca kompanii porucznik Woronin i mój podwładny – czerwonoarmista Bazarbajew – świetny strzelec i dobry człowiek. Pochowaliśmy ich późnym wieczorem 11 października, kiedy odgłosy walk ucichły i Rumuni cofnęli się na swoje poprzednie pozycje.

Nie pamiętam dobrze momentu operacji, ale mój wygląd po jej zakończeniu absolutnie nie przypominał bojowego: ostrzyżono mi połowę głowy, skórę zasmarowano zielenią brylantową, po wyjęciu odłamka ranę zszyto, a głowę zabandażowano. Kiedy działanie morfiny ustąpiło, znowu odczuwałam bóle. Dokuczały mi skronie, potylica, samo miejsce, z którego wyciągnięto odłamek, pojawiły się też silne zawroty głowy. Chirurg powiedział, że nie ma mowy o natychmiastowym powrocie do pułku i że muszę spędzić w batalionie medycznym 10–12 dni.

Należałam jednak do pacjentów „chodzących” i już następnego dnia, 15 października, zezwolono mi na odbycie spaceru. Narzuciłam więc na siebie szynel, na zabandażowaną głowę włożyłam czapkę pilotkę i poszłam obejrzeć okolicę i poodychać trochę świeżym powietrzem.

Jeszcze 14 października na błękitnym niebie mocno świeciło słońce, ogrzewając swoimi promieniami stepy wokół Odessy, jednak już 15 października ciepła, kryształowa jesień czarnomorska nieoczekiwanie się zakończyła. Horyzont zasnuły niskie, ołowianoszare chmury i zerwał się zimny, północny wiatr. Niedługo też na klomby i ścieżki przytulnego skweru, który rozciągał się wokół wiejskiej szkoły, spadły pierwsze krople deszczu. Batalion medyczno-sanitarny nr 47 miał swoją siedzibę właśnie w budynku szkoły, co było wielkim osiągnięciem. O wiele częściej bowiem wojskowe jednostki medyczne stacjonowały albo w polu, albo w lesie – w dużych, brezentowych namiotach. W nich też odbywały się klasyfikacja, operacje i leczenie chorych. Przypadki cięższe (amputacje, oparzenia, złamania) przewożono na dalekie tyły ambulansami. Po wyjściu ze szkoły zobaczyłam, jak nosze z takimi pacjentami umieszczają w dwóch „półtoratonówkach" oznaczonych czerwonym krzyżem. Samochody odjechały w kierunku Odessy, gdzie w porcie czekały już na nie statki towarowe.

Wojna jak dotąd nie dotarła do wiejskiej szkoły, jednak nie dawała o sobie zapomnieć, grzmiąc oddaloną kanonadą gdzieś na południowym zachodzie. Sądząc po potężnym łoskocie, ogień prowadziły nasze baterie nadbrzeżne i działa dalekiego zasięgu okrętów Floty Czarnomorskiej. Momentami do chóru tego przyłączały się także armaty mniejszego kalibru – z dwóch pociągów opancerzonych, które ostrzeliwały pozycje faszystów, zbliżając się do nich na niewielką odległość.

Pod moimi stopami szeleściły opadłe liście; krzaki dzikiej róży i derenia straciły je całkiem niedawno i teraz osierocone wyciągały ku niebu swoje cienkie, czarne gałązki. Majestatycznie zieleniący się jałowiec nie bał się ani wiatru, ani deszczu, a na klombach, gdzie rosły mieczyki, tulipany

i róże, widać było brązową ziemię. Ktoś, nie bacząc na bombardowania i ostrzał artyleryjski, pielęgnował skwer i skopał ową ziemię dzień czy dwa temu. Upór i pracowitość ludzi, którzy nie chcieli się godzić z chaosem wojennym, zasługiwały na najwyższe uznanie. Podniosłam skręcony, suchy, purpurowożółty liść i spróbowałam go rozprostować, na nic się to jednak nie zdało. Niestety – jego życie dobiegło końca.

Przez otwarte wrota na skwer wjechał pomalowany w barwy ochronne generalski samochód osobowy, który skierował się ku szkole. Takim autem zwykle jeździł generał major Pietrow. Podeszłam do drogi i stanęłam na baczność, przykładając palce do czapki. „Emka” zatrzymała się prawie obok mnie i rzeczywiście wysiadł z niej dowodzący Armiią Nadmorską Iwan Jefimowicz Pietrow i zwrócił się do mnie:

– Ludmiła? A co ty tu robisz?

– Jestem na leczeniu, towarzyszu generale majorze.

– Rana głowy? – Pietrow zbliżył się do mnie.

– Melduję, że tak, towarzyszu generale majorze.

– Dawno?

– Melduję, że nie. Trzynastego października, na pozycjach pierwszego batalionu pod wsią Tatarka. Odpierałam atak piechoty rumuńskiej, aż tu nagle odłamek miny…

– Czemu hełmu nie nosisz, córciu? – surowo zapytał generał.

– Przypadkiem tak wyszło, Iwanie Jefimowiczu.

– Leczą cię dobrze? – z troską zapytał Pietrow.

– Doskonale! – zameldowałam.

– No to się zbieraj, Luda. Płyniemy do Sewastopola. Okrętami.

– A co z ukochaną, bliską naszym sercom Odessą, Iwanie Jefimowiczu?! – Nie mogłam się powstrzymać przed bole-

snym okrzykiem. – Czy naprawdę pozwolimy faszystom złupić i zbezcześcić miasto? Przecież oni tu nawet kamienia na kamieniu nie zostawią…

– Taki rozkaz Stawki, Ludmiło. – Próbując w jakiś sposób mnie pocieszyć, Pietrow po ojcowsku dotknął mojego ramienia. – Rozumiesz przecież, że obowiązkiem żołnierza jest zawsze wykonywać rozkazy… Mój rozkaz dla ciebie: nie tracić ducha, wierzyć w zwycięstwo, walczyć dzielnie. A tak przy okazji, ilu wrogów masz już na swoim koncie?

– Stu osiemdziesięciu siedmiu.

– Jesteś wprost niesamowita! – wykrzyknął generał major z niekłamanym zachwytem. – Dobrze strzelasz…

– No ale ci idioci idą do ataku gęstą tyralierą – odparłam, pomyślawszy, że Pietrow oczekuje wyjaśnień. – Nawet spudłować trudno.

Otrzymanie wysokiego stanowiska głównodowodzącego Samodzielnej Armii Nadmorskiej zupełnie nie zmieniło Iwana Jefimowicza: pozostał on skromnym, spokojnym i opanowanym człowiekiem i myślał nie tyle o władzy nad ludźmi, którą dawało mu stanowisko, ile właśnie o odpowiedzialności za wszelkie pozostające pod jego zwierzchnictwem osoby. Na jego barki spadło wówczas niezwykle trudne zadanie: ewakuacja wszystkich jednostek wojskowych z Odessy do Sewastopola drogą morską. Wszystko to trzeba było przygotować w jak najkrótszym czasie, w tajemnicy przed przeciwnikiem, któremu należało uniemożliwić podążanie za naszymi wycofującymi się pułkami. Pietrow całymi dniami krążył swoim samochodem po pozycjach Odeskiego Rejonu Obronnego i osobiście sprawdzał, jak odbywają się przygotowania do operacji w danych jednostkach. Twarz jego była teraz zmęczona i szara od ulicznego pyłu. Moje słowa potraktował jednak jako żarcik, który mu się zresztą

bardzo spodobał. W oczach generała zabłysły szelmowskie iskierki, po czym roześmiał się.

– No, Luda, z takimi żołnierzami jak ty nie ma się czego bać – powiedział Pietrow. – I morze przepłyniemy, i Krym obronimy. Wszystko będzie dobrze – zobaczysz…

Pietrow pospiesznie się udał do szkoły, ja zaś pozostałam na skwerku, analizując nowinę, którą usłyszałam od generała. Szczerze powiedziawszy, po prostu nie mieściło mi się to w głowie – przecież my, obrońcy Odessy, utrzymując pozycje ogniowe, nigdy nie myśleliśmy o odwrocie. Byliśmy pewni, że Stawka Najwyższego Naczelnego Dowództwa w Moskwie nie wyda takiego rozkazu i będzie – jak dotychczas – posyłać walczącemu miastu uzupełnienia, broń, amunicję, ekwipunek i żywność. Oblężona Odessa, od 1941 roku znajdująca się na tyłach wroga, była przykładem wytrwałego, heroicznego oporu wobec okupanta niemiecko-rumuńskiego w tych trudnych chwilach, kiedy niemieckie dywizje zbliżały się do stolicy naszej Ojczyzny.

„Nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, że tak szybko, za osiem dni, otrzymamy decyzję Stawki, nakazującą opuścić Odessę i ewakuować armię na Krym, nad którym zawisła groźba zajęcia go przez zbliżające się do Perekopu zastępy faszystowskie” – wspominał później członek Rady Wojennej Armii Nadmorskiej, generał major F. N. Woronin. – „Być może za sprawą tego, że wytężone walki z wrogiem na odeskim przyczółku w jakimś stopniu przesłoniły nam wydarzenia rozgrywające się na innych frontach, decyzja owa była dla nas zupełnie nieoczekiwana… Musiał on (I. J. Pietrow – przyp. red. ros.) przede wszystkim podjąć decyzję co do tego, jak zorganizować wycofanie wojsk i ewakuację armii. W tym czasie pracowników wydziału operacyjnego sztabu nie opuszczała pewna myśl: czy nie dałoby się dokonać odwrotu wojsk z pozycji obrony nie po kolei, jak to było po-

czątkowo zaplanowane, a wszystkich naraz? Pietrow przystał na ten pomysł, a ja go w tym poparłem. Sztab otrzymał rozkaz modyfikacji planu ewakuacji. Rada Wojenna Odeskiego Rejonu Obronnego zatwierdziła nowy plan, którego centralnym punktem było opuszczenie Odessy przez wszystkie wojska równocześnie. Było to około 50 tysięcy ludzi, którzy musieli w ciągu jednej nocy – z 15 na 16 października – wraz z bronią wsiąść na transportowce i opuścić Odessę…”[1].

Powyższy plan został zrealizowany doskonale i w historii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej stanowi unikatową (biorąc pod uwagę stopień swojego skomplikowania) operację desantową.

15 października po zachodzie słońca pułki i baterie trzech Dywizji Strzelców (25., 95. i 421.) oraz jednej Dywizji Kawalerii przystąpiły do opuszczania swoich pozycji i w absolutnej ciszy formowały się w kolumny, kierując się w stronę portu morskiego. By zapobiec ewentualnemu zgubieniu się żołnierzy w ciemności i błądzeniu przez nich po zakrętach i skrzyżowaniach, za pomocą tłuczonego wapna oraz kredy porobiono w tych miejscach specjalne oznaczenia. Bataliony tyłowe pozostawały w okopach jeszcze przez dwie godziny i prowadziły w kierunku wroga odwracający uwagę ogień z automatów, karabinów maszynowych i moździerzy. Następnie wycofały się i one. Ich miejsce na przedniej pozycji zajęły drużyny zwiadowcze i miejscowi partyzanci, których zadaniem było inscenizowanie życia piechoty w warunkach polowych: rozpalanie ognisk, od czasu do czasu oddawanie strzałów, maszerowanie w transzejach. Rumuni i Niemcy nie podejmowali żadnych prób przypuszczenia ataku ani też przekroczenia linii frontu.

Batalion medyczno-sanitarny nr 47 rozlokował się w samochodach, zajmując w swojej dywizji „Czapajewskiej” miej-

sce zaraz za batalionem saperskim. Z uwagi na spore zniszczenia drogi nie można było rozwinąć zbyt wielkiej prędkości, a jednak przedmieścia Odessy pokonaliśmy w ciągu zaledwie godziny. Po samym mieście jechało się jeszcze wolniej, na ulicach walało się bowiem pełno porzuconych samochodów wojskowych i furmanek z przeróżnej maści sprzętem wojskowym. Szczególnie duży zator powstał przy głównej bramie portu morskiego – Celnej, wychodzącej na Skwer Celny.

Ostatni raz żołnierze i dowódcy 54. Pułku przechadzali się po odeskich ulicach pod koniec września, teraz zaś zobaczyłam, że sytuacja bardzo się pogorszyła. Mimo że jesienny zmierzch otulał ulice, place, parki i bulwary miasta, to jednak zniszczenia spowodowane przez wrogie lotnictwo bardzo rzucały się w oczy – szczególnie w centrum miasta. Wiele budynków straciło dachy, pierwsze i drugie piętra, a czarne wyrwy zamiast okien z bólem patrzyły na swoich odchodzących obrońców.

Trasa 25. Dywizji przebiegała ulicami centralnego wodnotransportowego rejonu Odessy: od ulicy Prieobrażenskiej do Greckiej, a dalej skręcała w Polskie Zejście do Skweru Celnego. Kiedy nasza kolumna po raz kolejny zatrzymała się na zablokowanym przez jakiś tabor artyleryjski skrzyżowaniu, po lewej stronie ulicy dostrzegłam piętrowy dom Wojskowej Komendy Uzupełnień, a ściśle mówiąc to, co z niego zostało po uderzeniu bomby lotniczej. Jeszcze nie tak dawno byłam w tym miejscu, żeby na ochotnika wstąpić w szeregi RKKA, a zmęczony komendant przekonywał mnie, że wojsko nie jest miejscem dla kobiet. Tutaj w sejfie został mój dowód osobisty ze stemplem potwierdzającym moje małżeństwo z A. B. Pawliczenką, teraz zaś dokument strawiły języki ognia, a ja mogłam zapomnieć o swoim głupim, młodzieńczym wybryku. Nie ma ani sejfu, ani dowodu oso-

bistego – pozostały jedynie okopcone ściany, zdewastowane dźwigary i powykręcane pozostałości metalowych schodów, po których swego czasu wchodziłam do gabinetu, gdzie miały się rozstrzygnąć moje dalsze losy.

Póki nasz ambulans stał na skrzyżowaniu, obserwowałam ruiny Komendy Uzupełnień – nie ma żadnej wątpliwości co do tego, że wojna wywarła jakiś magiczny wpływ na moje życie. Początkowo planowałam, że zostanę nauczycielką historii w szkole średniej albo pracownikiem naukowym w bibliotece czy archiwum, a w efekcie zostałam snajperem frontowym – wytrawnym myśliwym polującym na ludzi ubranych w rumuńskie i niemieckie mundury. Po co jednak ludzie ci przyszli tu, na moją ziemię? Dlaczego zmusili mnie do rezygnacji z mojego pokojowego zawodu…?

Odeski port morski, największy na całym wybrzeżu, z pięcioma kilometrami dobrze urządzonych cumowisk, ze świetnym wyposażeniem i obrotem ładunków osiągającym – zdaje się – ponad 10 tysięcy ton rocznie, późnym październikowym wieczorem przypominał biblijne miasto Babilon w ostatnich godzinach przed swoją nieuchronną katastrofą. Na terytorium portu znajdowały się tysiące ludzi w mundurach wojskowych. Były tam też ciężarówki wojskowe, ciągniki z ciężkimi haubicami, czołgi, samochody pancerne, kuchnie polowe, furmanki, do których zaprzęgnięto konie, a także należące do żołnierzy i dowódców 2. Dywizji Kawalerii osiodłane wierzchowce.

Jednakże tylko na pierwszy rzut oka wydawało się, że panuje tu chaos. Skład osobowy Odeskiej Bazy Wojskowo-Morskiej podczas załadunku wojsk na okręty wykazywał się najwyższym stopniem zdyscyplinowania. Kolumny wojskowe, wchodzące na teren portu, szybkim krokiem kierowały się po ustalonych wcześniej trasach na cumowiska statków Czarnomorskiej Żeglugi Parowej oraz okrętów Floty Czar-

nomorskiej wyznaczonych do przewozu określonych jednostek wojskowych.

Co się tyczy nas, „Czapajewców”, to przecisnąwszy się przez Bramę Celną, skierowaliśmy się w stronę Mola Platonowskiego i Nowego oraz Nowej Przystani, gdzie zacumowane były statki motorowe do przewozu suchych ładunków „Jean Jaurès”, „Kursk” i „Ukraina”. Zaczęło się rozlokowywanie. Po spuszczonych ze statków trapach na pokład co 45 minut wchodziło tysiąc żołnierzy, a co półtorej godziny – dwa tysiące. Po trapach ładowano także karabiny maszynowe i niewielkie działa moździerzowe kalibru 50 mm. Armaty i działa przeciwlotnicze, umieszczone na drewnianych podstawach, czekały na swoją kolej na pirsie, ponieważ zabrać je na pokład były w stanie tylko wysięgniki towarowe motorowców, które działały bez ustanku.

Nigdy wcześniej nie brałam udziału w wyprawach morskich i nie byłam na statku, w związku z czym chciałam się wszystkiemu dokładnie przyjrzeć. Przeszkadzał mi w tym jednak proces załadunku, odbywający się w iście szalonym tempie.

„Jean Jaurès”, na który załadowano nasz batalion medyczno-sanitarny wraz ze sztabem 25. Dywizji i niektórymi innymi jej jednostkami (w szczególności z 69. Pułkiem Artylerii, 99. Pułkiem Haubic i 193. Baterią Przeciwlotniczą), pojawił się przede mną jako wysoka i długa czarna burta, pionowo wznosząca się przy cumowisku. Nad nią majaczyły biała nadbudówka z szalupami i gruby komin z czerwoną płachtą, na której widniał żółty emblemat sierpa i młota. Na mostku znajdował się kapitan – postawny, barczysty mężczyzna w czarnej czapce marynarskiej ze złotym „krabem” nad daszkiem. Kierował on wszystkich rannych do mesy, samochody i haubice opuściły na jego rozkaz znajdujące się w części dziobowej statku ładownie nr 1 i nr 2. Cztery dzia-

ła przeciwlotnicze kapitan pozostawił na górnym pokładzie, słusznie zakładając, że mogą się przydać podczas odpierania ataków lotnictwa niemieckiego w czasie drogi z Odessy do Sewastopola.

W jadalni dla załogi udało mi się zająć miejsce przy dużym iluminatorze, skąd było widać niemalże całą Nową Przystań. Rwetes na jej molach powoli ustawał, a wojska wchodziły na statki. Trzy motorowce-drobnicowce „Jean Jaurès", „Kursk" i „Ukraina", każdy o nośności pięciu-sześciu tysięcy ton, planowo rozlokowywały ludzi i sprzęt na swoich pokładach oraz w ładowniach.

Mniej więcej o godzinie dziesiątej wieczorem 15 października 1941 roku holowniki rozpoczęły odholowywanie naszego drobnicowca od cumowiska. Następnie zaczęły pracę okrętowe silniki Diesla i „Jean Jaurès" już swoimi siłami wyszedł w otwarte morze. Zapanowała nieprzejrzana ciemność, zaś odeski port odpływał w dal jak żółto-purpurowy punkt – to płonęły ogromne magazyny portowe. Najwidoczniej nie było ludzi do gaszenia pożaru, a zresztą i tak nikt nie widział w tego typu działaniu większego sensu. Zostawiliśmy zatem miasto przeciwnikowi, jednakże z wiarą, że jeszcze tu powrócimy.

Rano, po śniadaniu, skierowałam się na górny pokład. Wiatr był tego dnia słaby i prawie nie odczuwało się kołysania. Słońce wyjrzało zza chmur, a jego promienie pomknęły po grzbietach niskich fal, mieniąc się białymi, jaskrawymi odblaskami. Nieskończona morska równina rozścieliła się po obu stronach „Jeana Jaurès'a" i odeski brzeg zniknął niczym miraż na pustyni.

Oparłszy się ramieniem o metalową ścianę nadbudówki statku, połą szynela osłoniłam się od wiatru, wyciągnęłam z kieszeni srebrną papierośnicę, pstryknęłam zapalniczką i zaciągnęłam się gorzkawym dymem. Zdobyczna papieroś-

nica – oto wszystko, co pozostało mi na pamiątkę po poruczniku Andrieju Aleksandrowiczu Woroninie. Ucichły i przebrzmiały te niezapomniane bitwy: pod Bielajewką, Gildendorfem, Tatarką. Każda z nich dodawała odrobinę siebie do doświadczenia wojennego, czegoś uczyła: żołnierskiej smykałki, cierpliwości, wytrwałości. Jednakże nie tylko: pomogła zrozumieć, czym tak naprawdę jest człowiek na wojnie.

Moją zadumę przerwał groźny okrzyk dochodzący z góry:

– Towarzyszu, na statku można palić tylko w specjalnie wyznaczonych do tego miejscach!

– A gdzie się takowe znajdują? – Podniosłam głowę.

Oparłszy się o poręcz mostka kapitańskiego, patrzył na mnie nawigator wachtowy – trzeci pomocnik kapitana, człowiek mniej więcej trzydziestoletni, w skórzanej kurtce marynarskiej i czarnej czapce z daszkiem na głowie. Wyraz jego twarzy z początku był bardzo surowy – pewnie zamierzał solidnie zbeształ lądowego nieroba, czyli mnie, nie przypuszczał jednak, że człowiek w wojskowym szynelu i czapce pilotce oraz z zabandażowaną głową może być kobietą. Umilkł więc zmieszany, a następnie uśmiechnął się i już całkowicie innym, uprzejmym tonem odpowiedział:

– Miejsce to znajduje się na jucie, czyli na rufie.

– A, to tam nie idę. – Zaciągnąwszy się po raz ostatni, wyrzuciłam niedopalonego papierosa za burtę.

– Pani ze szpitala? – Marynarz nie przestawał mi się przyglądać.

– Tak, z batalionu medyczno-sanitarnego.

– A rana skąd?

– Z bitwy pod wsią Tatarka.

– Wynosiła pani z ognia walki rannych żołnierzy? – nadal wypytywał nawigator, nie dopuszczając prawdopodobnie myśli, że kobiety w wojsku mogą uczestniczyć w działaniach bojowych na równi z mężczyznami.

– Coś w tym stylu. – Wzruszyłam ramionami, nie zamierzając się wgłębiać w opowieści o mojej służbie snajpera.

– Chce pani popatrzeć przez lornetkę na naszą karawanę statków? – zapytał nawigator z nadzieją na kontynuację znajomości. – Proszę wejść po trapie – stąd widać prawie wszystkie okręty…

Na początku marynarz uprzejmie objaśnił mi, jak należy korzystać z lornetki. Pryzmatyczna lorneta polowa z sześciokrotnym powiększeniem stanowi nieodzowny ekwipunek strzelca wyborowego, ja jednak uważnie wysłuchałam objaśnień i nawet zadałam kilka pytań. Przecież tak naprawdę instruktor sanitarny nie może znać budowy ani zasady działania tego typu rzeczy.

Lornetka w końcu trafiła w moje ręce i spojrzałam w jej okulary. Olbrzymi dwumasztowy krążownik „Czerwona Ukraina” w szarobłękitnych barwach podpływał do nas z dużą prędkością: działo na pokładzie dziobowym, dosyć wysoka nadbudówka, trzy kominy, osiem dział pokładowych dużego kalibru. Potężny, majestatyczny okręt był prawdziwą dumą Floty Czarnomorskiej. Nikt nie wiedział jednak wówczas, że pozostało mu tak niewiele czasu.

„Czerwona Ukraina” i krążownik „Krasnyj Kawkaz” płynęły jako pierwsze, wyraźnie się wyróżniając na tle błękitnego nieba. Mogły one rozwijać prędkość do 60 kilometrów na godzinę, jednak 16 października o poranku poruszały się trzy razy wolniej, dostosowując prędkość do pozostałych statków karawany. Niszczyciele „Bodryj” i „Smyszlonyj”, trzy trałowce, dwie kanonierki i jeden okręt patrolowy osłaniały duże transporty, na które składały się: nasz „Jean Jaurès”, „Ukraina”, „Kursk”, „Kalinin”, „Kotowskoj” i „Wasilij Czapajew”.

W czasie kiedy ja obserwowałam statki przez lornetkę, nawigator pokrótce je opisywał: wyporność, instalacja siłowa,

rozmiary. Ze szczególną pasją mówił o swoim transporterze „Jean Jaurès” – dowiedziałam się na przykład, że motorowiec ten został zbudowany w Stoczni Północnej w Leningradzie w 1931 roku wraz z trzema innymi podobnymi statkami, a następnie odbył podróż wokół Europy, jako że należał do Czarnomorskiej Żeglugi Parowej. W 1934 roku na pokładzie „Jeana Jaurès’a” przypłynął z Genui do ZSRR słynny pisarz Maksym Gorki z rodziną. Następnie statek odbywał rejsy do Nowego Jorku i przewoził różnego rodzaju ładunki do Włoch, Francji oraz na Kaukaz – do Batumi. Nasza zajmująca rozmowa na mostku zakończyła się zaproszeniem na filiżankę herbaty do mesy oficerskiej i zawarciem znajomości: marynarz nazywał się Konstantin Podyma i urodził się w Noworosyjsku.

Wypić herbaty jednak nie zdążyliśmy.

Około godziny jedenastej, kiedy karawan mijał Kosę Tendrowską, został zaatakowany przez pierwszą grupę wrogich bombowców. Nasze okręty były jednak osłaniane przez kilka par samolotów myśliwskich „I-153”, „I-16” i „Jak-1”, które bez wahania rzuciły się na niemieckie dwusilnikowe samoloty „Junkers Ju 88” i jednosilnikowe bombowce nurkujące „Junkers Ju 87”, nazywane u nas – z powodu stałego podwozia – łapciami. W powietrzu zawirowała prawdziwa karuzela latających i ryczących silnikami maszyn z towarzyszeniem terkotu serii karabinowych, salw dział przeciwlotniczych i wybuchów bomb, które fryce zrzucali do morza. Nasze myśliwce, ryzykując dostanie się pod ostrzał własnej artylerii, nie pozwalały im na celne bombardowanie, a także nawiązywały walkę z niemieckimi samolotami myśliwskimi „Messerschmitt Bf 109”, które osłaniały masywne i ociężałe bombowce własnej armii.

Jeden z epizodów tej bitwy rozegrał się tuż przed naszym motorowcem. „Junkers Ju 87”, zestrzelony celną serią my-

śliwca z emblematem czerwonej gwiazdy, zaczął dymić, ostro poszybował w dół i na płask uderzył w taflę wody mniej więcej dziesięć metrów od naszego statku. Jednakże nie od razu zatonął w morskich odmętach; wydawało mi się, że dostrzegłam wykrzywioną grymasem przerażenia twarz pilota. Fala, która podniosła się po upadku samolotu, mocno zakołysała „Jeanem Jaurès'em" i przekręciła go w prawo, jednakże statek, liczący sto jedenaście metrów długości, szybko powrócił na poprzedni kurs. Jego załoga donośnym i zgodnym okrzykiem „Hura!" wyraziła uznanie dla zwycięstwa radzieckiego lotnika.

Gdy obserwowałam manewry dziesiątków żółtonosych „łapci" z czarnymi krzyżami na skrzydłach i kadłubach, które pikowały na okręty i przemykały nad nami na wysokości 200–300 metrów, przypomniał mi się mój karabin – schowany w futerał i zostawiony w jadalni załogi „Jeana Jaurès'a". Moim najskrytszym marzeniem jeszcze w czasach, kiedy wycofywaliśmy się po drogach Besarabii i kiedy faszyści na naszych oczach z powietrza bezkarnie rozstrzeliwali ludność cywilną, było zestrzelenie tych padlinożerców ze „snajperki". Wówczas jednak nie miałam w rękach nawet zwykłego karabinu Mosin.

Strzelanie do celów ruchomych jest najtrudniejszym elementem służby frontowej strzelca wyborowego. Trudność polega nie tylko na tym, że obliczenia balistyczne należy wykonywać szybko i dokładnie, ale trzeba oprócz tego umieć się obchodzić z ruchomym karabinem. Mierzyć należy nie w cel, a w przestrzeń przed nim, obliczając czas i odległość do punktu, w którym dwa poruszające się przedmioty – kula i cel – się spotkają. Taka metoda nazywa się strzelaniem z wyprzedzeniem i uczyliśmy się jej w szkole snajperów. Potapow opowiadał nam nawet, że pod koniec

1915 roku w jego pułku z karabinu zestrzelono nisko lecący niemiecki samolot „Fokker”.

Konieczna jest znajomość prędkości, z jaką porusza się cel. Bombowce nurkujące „Junkers Ju 87” przystępowały do bombardowania najprawdopodobniej przy prędkości nie mniejszej niż 400 kilometrów na godzinę, ale „Jean Jaurès” także przecież nie stał w miejscu. Płynął on raczej szybko, a przy tym manewrował, starając się unikać ataków faszystów. Cztery zainstalowane na pokładzie statku działa przeciwlotnicze praktycznie bez przerwy prowadziły ogień i fryce nierzadko zbaczali z celu. Mnie pozostawało jedynie podziwiać śmiałe czyny załogi motorowca.

Nalot nie zapewnił Niemcom sukcesu – nie zdołali zatopić ani jednego statku. Za to nasze myśliwce z czerwonymi gwiazdami strąciły ponad 15 bombowców, a pokładowe działa przeciwlotnicze „zatopiły” jeszcze trzech faszystów. W tych walkach powietrznych polegli jednak także i nasi piloci, a marynarzom udało się uratować trzech rannych z trafionych samolotów.

Po południu na niebie nad karawaną pojawiła się jeszcze jedna grupa nieprzyjacielskich samolotów: około 40 „Junkersów Ju 87” i „Junkersów Ju 88”. Na spotkanie z nimi z baz lotniczych na Krymie i Kosie Tendrowskiej wyruszyły nasze myśliwce – ogółem 56 maszyn latających. Znowu więc mogliśmy obserwować barwny karnawał walk powietrznych, w czasie których przeciwnik ponownie nie był w stanie osiągnąć zamierzonych celów. Dopiero późnym wieczorem Niemcom udało się zniszczyć stary transportowiec „Bolszewik”, który zamykał karawanę. Trafiła weń torpeda i statek zatonął, jednak tych członków załogi, którzy zdążyli spuścić szalupy na wodę, wyłowiły radzieckie trałowce i kutry torpedowe.

Karawana przybyła do Sewastopola 17 października 1941 roku o godzinie siódmej wieczorem i zacumowała w Zatoce Strzeleckiej. Rozpoczął się proces wyładunku. Konstantin Podyma, zdawszy wachtę, wyszedł mnie odprowadzić i ze zdumieniem dostrzegł, że oprócz worka na rzeczy niosę na ramieniu jakiś długi przedmiot w futerale. Szarmancki marynarz natychmiast zaproponował swoją pomoc, ja jednak odparłam, że osobistej broni nie mogę powierzyć nikomu.

– To pani ma broń, Ludmiło? – z zapytał niedowierzaniem.

– Karabin snajperski – odparłam zgodnie z prawdą.

– To pani nie jest lekarzem! Niewiarygodne! Pani jest – strzelcem? Nigdy bym nie przypuszczał!

– A to dlaczego, Kostia?

– Wojna nie jest dla kobiet – z przekonaniem stwierdził Konstantin.

Nie miałam ani czasu, ani ochoty spierać się z nawigatorem. Na tej strasznej wojnie o przetrwanie, którą prowadził wówczas nasz naród, każdy, kto choćby w znikomym stopniu dysponował wiedzą wojskową i umiejętnościami w tym zakresie, niezależnie od płci i przynależności narodowej, winien stanąć w szeregu i w miarę możliwości wnieść swój wkład w likwidację faszystowskiego okupanta. Tylko wtedy mogliśmy bowiem pokonać wroga.

Przypisy

[1] *Сборник военных мемуаров. У черноморских твердынь*, Москва 1967, s. 51–52.

Rozdział 7

LEGENDARNY SEWASTOPOL

Przepiękne białe miasto, jeszcze niespalone gorącym oddechem walk, przywitało nas zmęczonymi obliczami żołnierzy Armii Nadmorskiej. Było tu dziwnie cicho i spokojnie: ani ostrzału artyleryjskiego, ani linii frontu, gdzie toczą się ciągłe boje – jedynie z rzadka przelatujące samoloty faszystowskie, które jednakże nie spowodowały w Sewastopolu tak wielkich strat jak w Odessie. W promieniach ciepłego krymskiego słońca zarówno cieniste ulice miasta, jak i delikatnie muśnięte jesienią parki i skwery z bujnymi, mieniącymi się feerią barw klombami cieszyły wzrok wytwornym, w pełni przedwojennym widokiem.

Miasto rozciągało się na brzegach kilku zatok, a wejścia do głównej z nich strzegły dwa stare forty: Konstantinowski i Michajłowski. Ich potężne ściany z białego kamienia z otworami strzelniczymi wyraźnie się odbijały w portowych wodach. Na szczycie Wzgórza Centralnego połyskiwała błękitna kopuła soboru św. Włodzimierza – miejsce wiecznego spoczynku czterech admirałów – bohaterów pierwszej obrony miasta. Pośród krętych alejek Bulwaru Historycznego stały skromne pomniki poległych żołnierzy Czwartego Bastionu, Reduty Jazonowskiej i Baterii Kostomarowa, a także pomnik z brązu generała Totlebena w otoczeniu jego bohaterskich saperów, z powodzeniem prowadzących walki podziemne z wojskami koalicji brytyjsko-francusko-turecko-włoskiej, które w 1854 roku dokonały oblężenia Sewastopola.

Nigdy wcześniej tu nie byłam. Po hałaśliwej i kolorowej Odessie, która przed wojną liczyła ponad sześćset tysięcy mieszkańców, Sewastopol wydał mi się mały i prowincjonal-

ny. W Odessie rytm życia dyktował wielki handlowy port morski, do którego zawijały dziesiątki statków z różnych krańców świata. W tym samym czasie zagraniczne liniowce pasażerskie, drobnicowce czy tankowce nie mogły się nawet zbliżać do Głównej Bazy Wojskowej Marynarki Wojennej Floty Czarnomorskiej. Jedynie szare, wąskie kadłuby radzieckich niszczycieli, trałowców i statków patrolowych cumowały w Zatoce Południowej albo były remontowane przy molach Fabryki Morskiej imienia Sergo Ordżonikidze.

Bohaterska przeszłość w jakiś niepojęty sposób wpływała na wygląd współczesnego Sewastopola, na jego mieszkańców oraz ich usposobienie i obyczaje. Bardzo mi się to podobało. Miasto nie wydało mi się rezolutnym marynarzykiem, który zszedł z pokładu zamorskiego „kupca” (jak miało to miejsce w Odessie), a jawiło się raczej jako mężny wojownik dzierżący w dłoni broń i bacznie wpatrujący się w dal. Na południowych rubieżach Ojczyzny stało jako nieugięty wartownik będący gwarantem pokoju i bezpieczeństwa kraju ojczystego.

Mieszkańcy Sewastopola gościnnie przyjęli obrońców Odessy.

Na statkach wchodzących w skład naszej karawany przybyło bardzo wielu (prawie trzy tysiące) rannych, których niezwłocznie umieszczono w znajdujących się w różnych rejonach miasta szpitalach: w zatoce Holandia, Zatoce Strzeleckiej, Bałakławie oraz w szpitalach miejskich. Ja, podobnie jak inni pacjenci batalionu medyczno-sanitarnego nr 47, trafiłam na leczenie szpitalne do Zatoki Strzeleckiej. Moich kolegów z pułku, którzy nie wymagali leczenia, a jedynie odpoczynku, zabrano na przechadzkę na znajdujący się w centrum miasta Bulwar Historyczny. Jednak główne siły Armii Nadmorskiej znajdowały się na Stronie Okrętowej,

a spora ich część także na terytorium Szkoły Obrony Przeciwlotniczej.

Ludzi wysyłano do łaźni, zmieniano im pościel i umundurowanie, karmiono w stołówce i wydawano im po 500 gramów chleba. Wypoczynek ten był absolutnie niezbędny żołnierzom, którzy zaledwie dwa dni wcześniej wrócili z pola walki. „Czapajewcy” mieli nadzieję, że zwierzchnictwo pozwoli im wytchnąć przynajmniej przez tydzień, jednak nadzieje te okazały się płonne: już 21 października nasza dywizja zajęła miejsca w pociągu na dworcu kolejowym i udała się na północne krańce Półwyspu Krymskiego, by tam powstrzymać natarcie Niemców na Pozycjach Iszuńskich.

Ja zostałam w Sewastopolu, ponieważ rana na głowie jeszcze się nie zagoiła. Opatrunek zmieniano mi raz na dwa dni i obiecano, że już wkrótce będzie można zdjąć szwy. Mimo tego uzyskałam pozwolenie na odbywanie półgodzinnych spacerów nad morzem, a kiedy szwy były już zdjęte i trafiłam do batalionu dla rekonwalescentów (znajdował się on w budynku oddziału lądowego Floty Czarnomorskiej), otrzymałam przepustkę do miasta.

Przepustkę wypisał mi major N. A. Chubieżew – człowiek wesoły i elokwentny. Kiedy mu się przedstawiłam, zaciekawiła go nagroda, którą swego czasu otrzymałam – imienny karabin snajperski – po czym zaproponował mi on przejście z 25. Dywizji, która nie wiadomo gdzie się teraz znajduje, do piechoty morskiej ze stopniem bosmanmata, solennie zapewniając, że w czarnej kurtce marynarskiej z mosiężnymi guzikami będzie mi nieporównywalnie bardziej do twarzy niż w bluzie wojskowej koloru khaki. Major wychwalał pod niebiosa swoich przyjaciół-naczelników: w 16. Batalionie Piechoty Morskiej – kapitana Lwowskiego, w 17. – starszego lejtnanta Unczura, w 18. – kapitana Jegorowa i w batalionie 19. – kapitana Czernousowa.

Mimo zachęcających słów majora piechota morska nie wydawała mi się jednak wcale lepsza od wojsk lądowych. Bardzo się przyzwyczaiłam do 54. Pułku Strzelców imienia Stiepana Razina, z którym przeżyłam swoją odeską epopeję. Na wojnie bywa przecież różnie: pułk nie jest igłą w stogu siana – odnajdzie się on wraz z całą Armią Nadmorską, która wycofawszy się pod naporem fryców z Pozycji Iszuńskich, przedostawała się do Głównej Bazy Wojskowej Marynarki Wojennej Floty Czarnomorskiej po drogach polnych przez Południowe Pasmo Krymu.

Wybrawszy się z koszar do miasta, spacerowałam sobie samotnie i napawałam się spokojem Sewastopola. Po ulicach jeździły tramwaje, czynne były sklepy, stołówki, łaźnie, zakłady fryzjerskie, różne pracownie: naprawy akcesoriów metalowych, krawieckie, szewskie. Co prawda Sewastopol, który przed wojną liczył ponad sto tysięcy mieszkańców, teraz wydawał się wyludniony. Wiele osób, przede wszystkim z dziećmi, ewakuowano na Kaukaz i do Kraju Krasnodarskiego, a jednak po pracowitym dniu, wieczorem, elegancko ubrani sewastopolanie spacerowali po Bulwarze Nadmorskim i Historycznym, chodzili do teatru miejskiego imienia A. W. Łunaczarskiego, gdzie wciąż wystawiano spektakle, albo wybierali się do jednego z trzech kin, w których wyświetlano najlepsze przedwojenne filmy rodzimej produkcji: *Czapajew*, *Traktorzyści*, *Na tyłach wroga*, *Minin i Pożarski*, *Konik Garbusek* i inne.

W pierwszej kolejności postanowiłam odwiedzić te instytucje kultury, które jeszcze funkcjonowały: znajdujące się w starym budynku okazałe muzeum Floty Czarnomorskiej, przed którego wejściem stały armaty, oraz panoramę na Bulwarze Historycznym *Obrona Sewastopola 6 czerwca 1855 roku* – niesamowite ze względu na swój realizm i siłę oddziaływania na widzów płótno pędzla Franza Roubauda.

Obraz ów tak magnetyzował, że nawet nie chciało się od niego odchodzić – wydawało się, że czas zatoczył krąg i oglądający go naprawdę znajduje się pośród obrońców Kurhanu Małachowa. Mimowolnie zaczynało się rozmyślać o konieczności powtórzenia bohaterskich wyczynów naszych przodków i obrony miasta do ostatniej kropli krwi.

Jednakże Sewastopol, założony na mocy dekretu carycy Katarzyny II, szczycił się długą historią. Pojechałam tramwajem do Bałakławy, osady rybackiej znajdującej się 12 kilometrów od miasta, żeby zwiedzić tam ruiny twierdzy genueńskiej Czembalo. Byłam także w Chersonezie Taurydzkim, założonym jeszcze w V wieku przed naszą erą, gdzie zobaczyłam pozostałości miasta z czasów antycznej Grecji: fundamenty domów, fragmenty bazyliki, teatru, wież i murów fortecznych, które tworzyły specjalną przestrzeń do walki z piechotą nieprzyjaciela w razie przedostania się jej do fortyfikacji.

Wszystko to mogłam zobaczyć tylko dlatego, że dysponowałam własnymi pieniędzmi – wypłacanym mi od czterech miesięcy żołdem. Szeregowy w pierwszym roku służby otrzymywał 10 rubli i 50 kopiejek, ale snajper starszy szeregowy – już 30 rubli, zaś snajper w stopniu sierżanta, a przy tym dowódca oddziału – 35 rubli. Mniej więcej 20 rubli wydałam na czekoladki „Wiesna”, które – ku mojemu zdziwieniu – sprzedawano w sewastopolskim sklepie „Wojentorg” po przedwojennej cenie.

Tymczasem wydarzenia na Krymie nabierały rozpędu. Już 26 października 1941 roku 11. Armia pod dowództwem generała pułkownika Ericha von Mansteina wkroczyła na tereny półwyspu. Po upływie czterech dni, 30 października, w czwartek rozpoczęły się działania bojowe na przedpolach Głównej Bazy Wojskowej Marynarki Wojennej Floty Czarnomorskiej. Czterodziałowa bateria obrony nadbrzeżnej nr 54

otworzyła ogień w kierunku kolumny niemieckich transporterów opancerzonych, ciężarówek przewożących piechotę, motocykli oraz samobieżnych artyleryjskich dział pancernych Sturmgeschütz III, które kierowały się w stronę wsi Mikołajówka. Kolumna, dzięki celnym strzałom wojsk radzieckich, została zatrzymana. To właśnie ten dzień uznawany jest za początek obrony Sewastopola.

Rozkaz naczelnika garnizonu miasta z dnia 30 października 1941 roku, kontradmirała G. W. Żukowa, odczytano nam, kiedy ustawiliśmy się w szyku na placu oddziału lądowego piechoty morskiej. Zaczynał się on tak: „1. Przeciwnik przedarł się przez linię frontu, a jego jednostki zmechanizowane wkroczyły do rejonu Eupatoria-Saki, zagrażając Sewastopolowi… 3. Jednostki garnizonu, przy współudziale okrętów i artylerii nadbrzeżnej, mają za zadanie nie dopuścić przeciwnika do Głównej Bazy Wojskowej Marynarki Wojennej i zlikwidować go, nim dotrze do Sewastopola…”. W rozkazie była mowa o rozmieszczeniu naszych jednostek wojskowych na przednich pozycjach rubieży od wsi Kamara do ujścia rzeki Kaczy. Ubezpieczać obronę lądową ma 16 batalionów piechoty morskiej, pospolite ruszenie i inne oddziały, które w tym czasie będą stacjonować w mieście. Mnie rozkaz ten nie dotyczył, ponieważ wciąż wchodziłam w skład pierwszego batalionu 54. Pułku Strzelców, o którego miejscu dyslokacji nikt nie wiedział. Major Chubieżew nie wydał mi jednak tego dnia przepustki i znowu zaproponował przejście do piechoty morskiej. Później, wraz z innymi rekonwalescentami, sprzątałam teren.

Nie żałowałam zresztą, że tak wyszło. Po obiedzie odwiedziły nas dwie młode pracownice Biblioteki Morskiej, które – jak co tydzień – prowadziły swoisty obchód jednostek Marynarki Wojennej, zbierając książki, które wcześniej zostawiły żołnierzom, i proponując im wypożyczenie kolejnych.

Wokół dziewcząt momentalnie zgromadził się tłum: żołnierze wymieniali książki, rozmawiali z bibliotekarkami na temat tego, co ostatnio przeczytali, zamawiali nowe pozycje. Ja także wzięłam podniszczoną broszurę w miękkiej okładce z kolorowym rysunkiem przedstawiającym scenkę na Czwartym Bastionie w 1854 roku: wielka armata na lawecie z małymi kółeczkami, wokół niej żołnierze i oficer, a na górze nazwisko autora: Lew Tołstoj – i tytuł: *Opowiadania sewastopolskie*. Były tam też książki innych pisarzy: Czernyszewskiego, Czechowa, Aleksieja Tołstoja, Szołochowa, Maksyma Gorkiego, jednakże to właśnie Lew Tołstoj cieszył się największą popularnością.

Dawno już nie trzymałam w dłoniach książek – wiernych towarzyszy studentów. Przyszło mi o nich zapomnieć wraz z przywdzianiem munduru wojskowego i wstąpieniem w szeregi czerwonoarmistów 25. Dywizji „Czapajewskiej". Książki zostały tam – w życiu przedwojennym, a teraz przypominały o pokoju, stabilizacji i harmonii. Ze wzruszeniem otworzyłam książkę. *Opowiadania sewastopolskie* oczywiście czytałam, jednak było to bardzo dawno temu – pewnie jeszcze w dzieciństwie. Bibliotekarka nawiązała ze mną rozmowę na temat tego utworu, gorąco zachęcając do zapoznania się z jego treścią – niezwykle zajmującą, a przy tym nader aktualną. Zgodziłam się z nią: nie minęło nawet sto lat, kiedy kolejni zdobywcy zbliżyli się do legendarnego miasta, mając te same co niegdyś zakusy.

Lektura pozwoliła przyjemnie spędzić czas. Uczestnik pierwszej obrony miasta, młody porucznik artylerii hrabia Tołstoj, pisał o wydarzeniach wojennych ze znajomością rzeczy. W młodości nie byłam zapewne zdolna docenić całej głębi psychologicznej twórczości wielkiego pisarza, teraz zaś, wspominając walki o Odessę, zdumiało mnie to, z jaką przenikliwością oddaje pisarz nastroje człowieka, który po

raz pierwszy doznaje w czasie walki uczucia śmiertelnego niebezpieczeństwa:

„Kiedy zaczniemy wchodzić pod górę, nieprzyjemnie uderzy nas bliski gwizd pocisku. I nagle zrozumiemy, i to całkiem inaczej, niż rozumieliśmy dotąd, znaczenie strzałów, które słyszeliśmy w mieście. Błyśnie nagle w pamięci jakieś ciche, miłe wspomnienie; nasza własna osoba zacznie interesować nas bardziej niż obserwacje; mniej zwracać będziemy uwagi na otoczenie i raptem ogarnie nas jakieś przykre uczucie niezdecydowania. Mimo tego podluchnego głosu, który nagle odezwał się w nas w obliczu niebezpieczeństwa, wypinamy instynktownie pierś i zmuszamy ów głos do milczenia, zwłaszcza gdy popatrzymy na żołnierza, który macha rękami i ślizgając się w rzadkim błocie, mija nas śmiejąc się i biegnie pod górę; podnosimy więc głowę wyżej…”[1].

Tołstoj kreślił wyraziste portrety swoich towarzyszy broni – żołnierzy i oficerów Armii Imperium Rosyjskiego, którzy walczyli w owym czasie na bastionach. Niejako czynił tych bohaterów bliższymi nam, objaśniał ich myśli, marzenia i czyny. Sądzę, że nikt wcześniej nie mówił tak przekonująco o źródłach wojowniczej duszy rosyjskiej:

„Być może, iż oficer marynarki, z próżności albo po prostu chcąc zrobić sobie przyjemność, zechce przy nas trochę postrzelać. »Wysłać do armaty celowniczego i obsługę!«. Wtedy ze czternastu marynarzy żwawo, wesoło – jedni wsuwając fajkę do kieszeni, inni dogryzając suchara – podejdzie, stukając po platformie podkutymi butami, do armaty i naładuje ją. Przypatrzmy się twarzom, postawie i ruchom tych ludzi: w każdej zmarszczce tej opalonej, o wystających kościach twarzy, w każdym mięśniu, w szerokości tych pleców, w grubości tych nóg, obutych w olbrzymie buty, w każdym spokojnym, pewnym siebie i powolnym ruchu widać główne

cechy stanowiące siłę Rosjanina – jego prostotę i upór; ale wydaje się nam, że tutaj niebezpieczeństwo, okrucieństwo i cierpienia wojny wycisnęły na każdym obliczu, oprócz tych głównych cech, jeszcze znamię poczucia własnej godności oraz wzniosłych myśli”[2].

Bardzo zaciekawił mnie przedstawiony przez Tołstoja opis przyrody i klimatu Sewastopola oraz tutejsza toponimika: Strona Północna, Strona Okrętowa, Kurhan Małachowa, góra Sapun, Góry Mackenzie, Parów Sucharowy, Wąwóz Martynowski, rzeka Czorna, Cypelek Pawłowski, Kulikowe Pole. Dotychczas działałam, przystosowując się do równinnych przestrzeni stepowych, skąd widoczność była z reguły doskonała i łatwo można było obliczyć odległość do celu. Celne strzelanie w górach jest jednak rzeczą zupełnie inną.

4 listopada o poranku major Chubieżew obwieścił mi dobrą nowinę: głównodowodzący Armią Nadmorską generał major Pietrow przybył do Sewastopola wraz ze swym sztabem i rozlokował się na stanowisku dowodzenia obrony nadbrzeżnej w Koszarach Chersońskich. Postanowiłam się z nim spotkać, jednak sierżantowi wcale nie jest łatwo dostać się do generała. Zobaczyłam Iwana Jefimowicza takiego, jak zwykle: poważnego i energicznego. Biały kurz z dróg krymskich osiadł na jego mundurze z gwiazdkami generalskimi na naszywkach. Brązowy kawaleryjski bandolet z dwoma pasami naramiennymi dokładnie opinał jego szczupłą sylwetkę, a kabura należącego do dowódcy pistoletu TK była mocno zsunięta na prawy bok. W dłoniach z przyzwyczajenia trzymał Pietrow szpicrutę, chociaż objeżdżał rubieże ogniowe, zapoznawał się z jednostkami wojskowymi, które na nich stacjonowały, badał teren i jego zabudowania wojskowo-inżynieryjne, ma się rozumieć, przemieszczając się samochodem[3]. Wyszedłszy z „Emki”, do-

wódca zatrzymał się. Zrobiłam krok w jego kierunku, przyjęłam postawę zasadniczą i zameldowałam:

– Sierżant Pawliczenko, towarzyszu generale majorze. Proszę o pozwolenie zwrócenia się do pana generała.

– Dzień dobry, Ludmiło. – Uśmiechnął się. – Jak się czujesz?

– Doskonale, towarzyszu generale majorze.

– Czyli będziemy niszczyć faszystów w Sewastopolu?

– Bezwzględnie, towarzyszu generale majorze.

– Informuję cię, że jesteś teraz starszym sierżantem i będziesz od teraz dowodziła plutonem snajperskim. – Pietrow zdjął binokle i przetarł je śnieżnobiałą chusteczką. – Kiedy przybędzie uzupełnienie piechotne, dobierz odpowiednich ludzi i przekaż im zalecenia dla strzelców wyborowych.

– Rozkaz, towarzyszu generale majorze! – zameldowałam energicznie, po czym – ściszając głos – zapytałam z niepokojem: – Ale gdzie jest mój pułk, Iwanie Jefimowiczu?

– Myślę, że „Razincy” znajdują się w drodze między Jałtą i Gurzufem, a do Sewastopola dotrą za jakieś pięć dni. Poczekasz?

– Tak jest, towarzyszu generale majorze! Od pierwszego dnia służby całym sercem związana jestem z pierwszym batalionem kapitana Siergijenki i moją ukochaną 2. Kompanią.

– Za wierność wojskową należy ci się pochwała. – Pietrow ponownie się uśmiechnął.

Zgodnie z rozporządzeniem dowódcy Armii Nadmorskiej w sztabie względnie szybko dopełniono wszelkich formalności związanych z wydaniem mi niezbędnych dokumentów, wydano skierowanie do pułku oraz magazynu, gdzie miałam pobrać elementy umundurowania zimowego, na przykład czapkę uszankę, waciak i ciepłą bieliznę. Ze szczególną satysfakcją przytwierdziłam do naszywek na bluzie wojskowej

po trzy ciemnorubinowe trójkąciki, świadczące o moim nowym stopniu wojskowym – „starszy sierżant”. Oprócz tego przysługiwał mi skórzany bandolet z pasem naramiennym i mosiężną sprzączką zaopatrzoną w jedną szpilę, a także kabura i wycior do pistoletu.

Potem nigdy się już nie rozstawałam z ową ręczną bronią palną, otrzymaną w Sewastopolu – „Tulskim Tokariewa”: zabierałam ją ze sobą do urządzanych zasadzek snajperskich, na przepustki do miasta, co zrozumiałe – na defilady, a podczas ewakuacji przewiozłam pistolet do Noworosyjska, a następnie do Moskwy. TT stał się moim najcenniejszym talizmanem; polując na fryców w lasach krymskich, w przypadku niepowodzenia liczyłam nie tyle na granat, który zawsze wisiał na pasie, ile właśnie na „totoszę”[4] (tak nazywali pistolet Tokariewa u nas w wojsku). Przecież snajperów nie brali do niewoli ani Rosjanie, ani Niemcy – rozstrzeliwano ich na miejscu. W przypadku kobiet możliwy był jeszcze jeden wariant – grupowy gwałt przed śmiercią[5]. Tak więc granat – wrogowi pod nogi, siedem kul z TT – tym, którzy podejdą bliżej, ósma kula zaś – we własną skroń.

Nie ukrywam, że pistolet ważący 825 gramów bez magazynku (na osiem nabojów) jest trochę za ciężki jak na kobiecą rękę. Niektórzy nawet stawiali rosyjskiemu konstruktorowi Tokariewowi zarzut, że jego broń zbytnio przypomina wynalazek „króla pistoletowego” – pana Johna Mosesa Browninga, a w szczególności model z 1910 roku produkcji belgijskiej. Jednak czyż my – ludzie uprawiający praktyczne strzelectwo – mamy się wsłuchiwać w oderwane od życia spory teoretyków? Najważniejsze pozostaje to, że TT odpowiadał wszelkim wymogom walki na froncie: silna amunicja kalibru 7,62 mm, która przebijała ceglaną ścianę o grubości

100 mm, oksydowana lufa, niezawodny mechanizm spustowy, wygodna rękojeść ze żłobionymi nakładkami…[6].

Moi towarzysze pułkowi dotarli do Sewastopola dopiero 9 listopada 1941 roku i wraz z całą 25. Dywizją Strzelecką zajęli pozycje o długości 12 kilometrów w trzecim sektorze obrony, czyli w Górach Mackenzie – między rzekami Belbek i Czorna – mniej więcej 20–25 kilometrów od miasta. Były to porośnięte lasami wzniesienia występujące na przemian z dosyć głębokimi dolinami, które nazywano tu parowami, na przykład: znajdujący się nieopodal Doliny Kamyszłowskiej Ciemny Parów albo Martynowski Parów, który leży w pobliżu Doliny Martynowskiej. Było tam też kilka wsi tatarskich: Kamyszły, Belbek, Bijuk-Otarkoj, Zalinkoj, Duwankoj, a także węzeł kolejowy „Góry Mackenzie”. Na wysokości ponad 300 metrów nad poziomem morza znajdował się chutor Mackenzie, czasami oznaczany na mapach jako „Leśniczówka nr 2”. W końcu XVIII stulecia chutor rzeczywiście należał do kontradmirała Marynarki Wojennej Imperium Rosyjskiego Thomasa Mackenzie – z pochodzenia górala ze Szkocji.

W owym czasie były już gotowe rubieże ogniowe dla obrońców Sewastopola: okopy, transzeje, ziemianki, schrony podziemne, a także betonowe i drewniane schrony ogniowe. Żołnierze i dowódcy 54. i 287. Pułku Strzelców, 3. Pułku Piechoty Morskiej i 7. Brygady Piechoty Morskiej, którzy obecnie wchodzili w skład naszej dywizji, otrzymali rozkaz stacjonowania w odległości kilometra–dwóch na zachód od zajętego przez Niemców chutoru Mackenzie.

Miałam nadzieję, że po dotarciu na pozycje pułku zastanę wszystkich moich kolegów całych i zdrowych, ponieważ nie wiedziałam, jak wyglądały działania bojowe pod koniec października na północnych krańcach półwyspu. Jednak na stanowisku dowodzenia zamiast majora Matusiewicza, którego

wszyscy znaliśmy z czasów obrony Odessy, zastałam majora Wasilija Iwanowicza Pietrasza, przeniesionego do nas z 31. Pułku, w którym dowodził batalionem. Na moje pytanie o Matusiewicza odparł, iż został on ranny, jednak najprawdopodobniej już niedługo powróci do pułku. Następnie skierowałam się na stanowisko dowodzenia pierwszego batalionu, gdzie zamiast kapitana Siergijenki zobaczyłam nieznanego mi porucznika – chudego, wysokiego, w wieku około 35 lat, bez wątpienia rezerwisty. Przedstawiwszy się, przekazałam mu dokumenty, które ten pobieżnie przejrzał, a następnie rzucił w moim kierunku surowe, pełne niezadowolenia spojrzenie.

– Chcecie zostać dowódcą plutonu, towarzyszko starszy sierżant? Ale czy zdołacie?

– Nie mnie o tym decydować, towarzyszu poruczniku – a dowództwu.

– A jakie dowództwo macie na myśli? Ja na przykład jestem przeciwny temu, by kobiety zajmowały ważne stanowiska w wojsku. Jesteście snajperem, tak więc strzelajcie do faszystów, a dowodzić będą ci, którzy powinni. – Z lekceważeniem rzucił moje dokumenty na stół.

– A kto powinien, towarzyszu poruczniku? – Nie zamierzałam się poddawać.

– Oczywiście mężczyźni…

Porucznik Grigorij Fiodorowicz Dromin zmuszony był jednak pohamować swoje ambicje. Niezwykle klarownie wyłuszczono mu, że decyzję o mianowaniu mnie na stanowisko podjął nawet nie dowódca 25. Dywizji, generał major Kołomijec, a głównodowodzący Armii Nadmorskiej – generał major Pietrow. Ma się rozumieć, że z tego powodu moje relacje z ówczesnym dowódcą pierwszego batalionu nie poprawiły się. Prawdą jest jednak to, że zostawił mnie w spo-

koju, choć od tej pory ani mnie nie chwalił, ani nie ganił, a tym bardziej nie zamierzał nagradzać.

Z punktu dowodzenia pierwszego batalionu do pozycji 2. Kompanii prowadziła leśna ścieżynka. Solidne, głęboko wkopane w ziemię schrony podziemne w Górach Mackenzie wyposażyli saperzy wojskowi. Podczas wchodzenia do jednego z nich natknęłam się na starszego szeregowego Fiodora Siedycha. To była niespodzianka! Starym rosyjskim zwyczajem trzykrotnie objęliśmy się na powitanie. Mój dawny towarzysz broni wyglądał jednak nie najlepiej: mocno schudł, zmizerniał i był lekko ranny w lewą rękę. Natychmiast więc zaparzyliśmy w kociołku wodę na herbatę, wyjęliśmy cukier i sucharki i zaczęliśmy rozmowę.

Fiodor rysował wszystko w czarnych barwach. Na pozycjach Armii Czerwonej pod Iszuniem faszyści starli się z naszymi jednostkami 24 października. Nasi wytrwale odpierali ataki, a nawet przechodzili do kontrataku, jednak stopniowo przewaga artyleryjska i lotnicza przeciwnika dały o sobie znać. Oprócz tego same rubieże ogniowe zostały niewłaściwie przygotowane – wojska radzieckie rozlokowane były praktycznie na otwartym stepie. Na przykład kapitan Siergijenko, który w wyniku zrzucenia miny dokładnie na stanowisko dowodzenia batalionu (a znajdowało się ono w zwykłym okopie) doznał ciężkiej rany w nogę wraz ze zmiażdżeniem kości, został odesłany na dalekie tyły. W ogniu artyleryjskim przeciwnika poległa niemalże połowa 2. Kompanii. O plutonie snajperskim nawet nie warto wspominać. W pułku pozostało 600–700 ludzi, podczas gdy w czasie pokoju personel etatowy liczył ponad trzy tysiące żołnierzy i dowódców.

„Na lewo od 95. Dywizji nacierał Pułk Razina 25. Dywizji… – wspominał potem jeden z uczestników tej operacji bojowej – L. P. Boczarow[7]. – „Razincy” zaczęli dobrze: pod

zgodny okrzyk „Hura!” wzięli faszystów na bagnety. 2. Kompanię poderwał do ataku sekretarz biura partyjnego pułku Siemiaszkin. Ponad stu hitlerowców zlikwidowała 3. Kompania, której dowódca, starszy lejtnant Jeriomienko, mimo odniesionych ran, nadal prowadził ludzi do walki… Żołnierze Nadmorskiej bili się na Krymie tak samo zaciekle, jak i pod Odessą, gdzie byli jeszcze osiem dni temu, jednakże dało się odczuć, że pierwszy nasz sukces ma charakter nietrwały. Artyleria za słabo wspierała piechotę: ściągnięto za mało baterii, a oprócz tego brakowało do niej pocisków. Atak poprzedzał jedynie piętnastominutowy nalot ogniowy, a w powietrzu nie było naszego lotnictwa. Wszystko to świadczyło o pośpiechu i słabym przygotowaniu rozpoczętego natarcia. 26 października w południe nadciągały już wojska niemieckie, wspierane przez dużą liczbę samolotów i czołgów. W kolejnych dniach wróg, gromadząc coraz większe siły, dalej odnosił sukcesy…”[8]

Ciepło wspominaliśmy z Fiodorem kapitana Siergijenkę. Kiedy on dowodził pierwszym batalionem, żyło nam się nie najgorzej, choć nawet nie zastanawialiśmy się, dlaczego tak było. Doświadczony, wytrawny i wrażliwy na potrzeby podwładnych, choć jednocześnie wymagający oficer cieszył się wśród żołnierzy bezgranicznym szacunkiem. Nawet dowódcy pułku – podpułkownik Swidnicki, a potem major Matusiewicz – brali pod uwagę jego zalecenia.

Dla mnie Iwan Iwanowicz był niczym anioł stróż, przy czym dotyczyło to nawet spraw bardzo delikatnych. Nie ujawnię nic nowego, jeśli powiem, że żołnierska służba kobiet jest na swój sposób specyficzna. Ich zachowanie w męskim kolektywie winno być zrównoważone, srogie i nienaganne: żadnej kokieterii w stosunku do nikogo. Życie jest jednak tylko życiem i bywało, że trudności się pojawiały. Nie stwarzali ich bynajmniej szeregowi żołnierze, a „towa-

rzysze oficerowie”, korzystając ze stanowiska i podpierając się punktem *Regulaminu*, który nakazywał bezwzględnie wykonywać rozkazy dowódcy, w razie nieposłuszeństwa zaś przewidywał poniesienie odpowiedzialności w zgodzie z regułami czasu wojny. Nazywaliśmy to wpadnięciem w oko, dlatego też ja osobiście wolałam spędzać więcej czasu na przednich pozycjach – nawet za cenę ewentualnego dostania się pod ogień przeciwnika. Tutaj szansa rzucenia się w oczy jakiemuś kochliwemu posiadaczowi trzech czy czterech gwiazdek albo belek na naszywkach kołnierza (czyli dowództwa średniego i starszego szczebla) była minimalna. Jeśli już nawet coś takiego miało miejsce, to dowódca batalionu Siergijenko pytał niepoprawnego absztyfikanta wprost: „Czego od niej chcesz?”. Z jakiegoś powodu nikt nie miał odwagi odpowiedzieć mu na to pytanie szczerze. Na tym z reguły historia zalotów, pikantnych tekścików i nieprzyzwoitych propozycji się kończyła.

Nie znam niestety dalszych losów tego odważnego i szlachetnego człowieka…

Póki nasz 54. Pułk znajdował się w rezerwie dywizji, wraz ze starszym szeregowym Siedychem zajmowaliśmy się różnymi sprawami organizacyjnymi. Trzeba było zatem przyjąć uzupełnienie, odebrać i dokonać przeglądu nowych karabinów („triochliniejki” z celownikiem „PE”) oraz zapoznać się z powierzonym 2. Kompanii posterunkiem obrony. Rzucało się w oczy to, że okopy nie były głębokie (do 50 centymetrów), zaś transzei w niektórych miejscach nie było wcale, tak więc żołnierze musieli trochę popracować i potrzebowali do tego nie „snajperek”, lecz małych łopatek saperskich. Dowódcę naszej dywizji, T. K. Kołomijca, mieliśmy zaszczyt zobaczyć 10 listopada rano – przyjechał na rekonesans terenu, dokonał obchodu pozycji i surowo wytknął wszelkie niedostatki: źle wykonane fortyfikacje ziemne.

Pluton strzelecki, zgodnie ze stanem etatów zatwierdzonym przez Ludowy Komisariat Obrony 5 kwietnia 1941 roku, stanowi względnie duża grupa ludzi, bo 51 osób. Dowodzi nim porucznik uzbrojony w pistolet, ma zastępcę w stopniu starszego sierżanta dysponującego pistoletem maszynowym (PPD-40) i gońca (do łączności z dowództwem) wyposażonego w karabin Mosin. Pluton składa się z czterech oddziałów strzeleckich, na których czele stoją sierżanci (wszyscy uzbrojeni w SWT-40), zaś przy plutonie funkcjonuje oddział moździerzowy (czterech ludzi wraz z sierżantem plus działo kalibru 50 mm). Piszę o tym tak szczegółowo, żeby zaznaczyć, że ja niczego takiego do swojej dyspozycji nie miałam.

Obecnie kompaniami i batalionami dowodzili porucznicy, a praktyka ta zrodziła się jeszcze w Odessie, kiedy to dowództwo średniego szczebla w oddziałach RKKA ginęło przeważnie w ciągu dwóch–trzech tygodni walk. O plutonach liczących 50 ludzi niezręcznie jest mi nawet mówić: w różnych okresach obrony Sewastopola żołnierzy bywało od 20 do 25 i nigdy więcej. Pistolety maszynowe, które żołnierze nazywali automatami (PPD-40, a później PPSz-41), z magazynkiem bębenkowym na 71 nabojów, bez wątpienia stanowiły skuteczną broń w walce na bliskie odległości, której jednak w pierwszych miesiącach wojny oddziałom strzeleckim chronicznie brakowało. 25–30 sztuk PPD-40 miały w swoim wyposażeniu chyba tylko dwa plutony rozpoznawcze naszego pułku, a o dziale moździerzowym kalibru 50 mm w ogóle utarło się mówić, że należy do kompanii. Według stanu w pułku było 27 sztuk tej broni. Ale to tylko według stanu…

W ciągu dwóch dni (10–11 listopada) do naszego pułku przybyło uzupełnienie. W większości byli to ludzie z batalionów piechoty morskiej, które w pośpiechu formowały się

w Sewastoplu pod koniec października. Teraz zaś powinni oni szybko przyswoić sobie zasady służby lądowej i stanąć w jednym szeregu z nami – „Razincami”, którzy przeszliśmy już przez ogień wojny. Nowi żołnierze gotowi byli walczyć z okupantem faszystowskim do ostatniej kropli krwi, jednakże mieli nikłe wyobrażenie o mających nastąpić bojach. Marynarze, którzy trafili do mojego plutonu, szczególnie się dziwili i podczas zawierania znajomości czasami miały miejsce zabawne scenki.

I tak na przykład czterech dziarskich młodzianów w czarnych czapkach uszankach, w kurtkach i spodniach marynarskich o szerokości – jak to się mówi – Morza Czarnego, wpakowało się do schronu podziemnego i oznajmiło, że zostało skierowanych do oddziału starszego sierżanta Pawliczenki. Ja w tym czasie kartkowałam książkę Drogiego Nauczyciela, studiując jego zalecenia dotyczące strzelania w warunkach górskich. Fiodor Siedych, który razem z trzema szeregowcami testował zamki nowych karabinów, poprosił, by nowo przybyli usiedli. Położyli oni swoje worki na rzeczy na ziemi, niespiesznie zajęli miejsca na ławach, trochę się porozglądali, a dostrzegłszy mnie, wymienili spojrzenia i zgodnie się uśmiechnęli.

– Panienko, a panienka też odbywa tu służbę? – zapytał jeden z nich.

– Tak, odbywam – odpowiedziałam.

– Super! – Mrugnął porozumiewawczo do swoich towarzyszy. – No to dobrze trafiliśmy. Instruktor sanitarny pierwsza klasa. Słowo honoru – ślicznotka – oczu nie można oderwać. Poznajmy się: jestem Leonid. A pani jak ma na imię?

– Ludmiła.

– No, Luda, nie chmurz się. Bądź bardziej życzliwa dla marynarzy, a i my nie pozostaniemy ci dłużni.

– W takim razie musicie stanąć przede mną na baczność i zameldować dowódcy o swoim przybyciu, jak przewiduje to *Regulamin*.

– A gdzie jest dowódca? – Leonid obejrzał się.

– To ja.

– Nie wygłupiaj się, Luda. Co to za żarty nie na miejscu?

Musiałam surowym tonem wyjaśnić chłopcom, kto tu jest szefem. Bardzo zdziwieni, przyjęli jednak postawę zasadniczą, przedstawili się jak należy i wysłuchali moich pierwszych instrukcji. Wyraz zdziwienia nie opuszczał ich twarzy – marynarze liczyli zapewne na to, że lada chwila przykre nieporozumienie się wyjaśni i wszyscy zgromadzeni, łącznie z nimi, wybuchną śmiechem z powodu tej niedorzecznej – ich zdaniem – sytuacji. Przecież w wojsku to nie do pomyślenia: kobieta dowódcą plutonu snajperskiego.

W rezultacie zarówno Leonid Burow, jak i trzej jego koledzy w czasie walk pokazali się z jak najlepszej strony. Oczywiście po tygodniu treningów nie mogli zostać prawdziwymi strzelcami wyborowymi, jednak podstawowe umiejętności podczas korzystania ze „snajperki” sobie przyswoili i strzelali pod moim kierunkiem (a obliczałam odległość do celu i demonstrowałam im, jak należy regulować bębny na celowniku optycznym) całkiem nieźle, a w szczególności podczas wrogich ataków frontalnych. Dzielni to byli ludzie i wielka szkoda, że Burow zginął tak wcześnie…

Chutor Mackenzie, inaczej „Leśniczówka nr 2”, znajdował się na płaskim szczycie góry o wysokości 310 metrów nad poziomem morza. Otaczał go las z gęstym podszyciem, na które składały się typowe krymskie zarośla: jałowiec, grab wschodni, dwukolczak śródziemnomorski, dereń i dzika róża. Gospodarstwo leśniczego składało się z kilku niewielkich, parterowych zabudowań oraz przylegających do nich ogrodu i sadu. Stary dom jegiera, od dawna już zrujnowany,

znajdował się niedaleko gospodarstwa, jednak z uwagi na obecność drzew był prawie niewidoczny. Złożyło się tak, że pozycje zarówno nasze, jak i wojsk niemieckich nieopodal chutoru były głównym punktem w trzecim sektorze Sewastopolskiego Rejonu Obronnego. Znajdował się on na ważnej w planie strategicznym drodze, która prowadziła do doliny Kara-Koba. Po jej zajęciu przeciwnik mógłby się przedostać na tyły obrońców miasta od strony wschodniej, a oprócz tego, po odepchnięciu naszych jednostek daleko od chutoru, Niemcy utorowaliby sobie drogę także do stacji kolejowej „Góry Mackenzie", a stamtąd – do północnego brzegu największej i najdłuższej zatoki, co przesądziłoby o losie miasta.

W pierwszych dniach listopada faszyści zdobyli sam chutor Mackenzie, jednak na razie nie posuwali się dalej, lecz gromadzili siły do nowego uderzenia. Dowództwo radzieckie uważało za niezbędne wyparcie stamtąd przeciwnika, i zacięte walki o leśniczówkę trwały przez dwa tygodnie – praktycznie do końca października 1941 roku. Tutaj żołnierze i dowódcy 54. Pułku Strzelców Stiepana Razina po raz pierwszy przelali swoją krew za legendarny Sewastopol. Zdarzyło się to o świcie 12 listopada: nasz batalion prowadził walki na pozycjach ogniowych znajdujących się na północ od chutoru. Dowódca dywizji, generał major Kołomijec, przyjechał na stanowisko dowodzenia, by śledzić rozwój walk. Dokonawszy oceny sytuacji, wyznaczył „Razincom" zadanie bojowe: rankiem 14 listopada mieli zaatakować fryców, otoczyć ich w chutorze i zlikwidować, by zdobyć kontrolę nad punktem.

„Był to nasz pierwszy poważny kontratak pod Sewastopolem" – pisał później dowódca słynnej 25. Dywizji „Czapajewskiej" Trofim Kalinowicz Kołomijec. – „Cała artyleria trzeciego sektora otworzyła ogień w kierunku przednich po-

zycji przeciwnika i jego najbliższych tyłów w rejonie Czerkies-Kermenu (obecnie: wieś Kriepkoje – przyp. red. ros.). Zawczasu przedostałem się na stanowisko dowodzenia drugiego batalionu »Razinców«, by stamtąd obserwować uderzenie. Atak rozpoczął się obiecująco: kompanie nagłym manewrem dostają się do pierwszej linii okopów niemieckich i w ciągu kilku minut przeciwnik zostaje zniszczony. W czasie kiedy 2. i 3. Kompania ścigają uciekających lasem hitlerowców, pierwsza przecina drogę Czerkies-Kermen – Chutor Mackenzie. Następuje oblężenie leśniczówki.

Stacjonujący tam faszyści stawiają zaciekły opór i otwierają taki ogień, że nasi żołnierze zmuszeni są do padnięcia na ziemię. Grossman (dowódca 25. Dywizji Strzelców – przyp. red. ros.) wspomaga ich artylerią, jednak póki artylerzyści naciskają na stawiających opór hitlerowców w leśniczówce Mackenzie, piechota niemiecka pojawia się od strony Czerkies-Kermenu. „Razincy” trzymają się jednak dzielnie i atak faszystów zostaje zdławiony. Następnie od strony Czerkies-Kermenu nadchodzą kolejne jednostki niemieckie i wszystko zaczyna się od początku. Nasza strona wprowadza do ataku dwa plutony rezerwowe, to jednak w sposób oczywisty nie wystarcza. Major Matusiewicz postanawia ściągnąć z przedpoli chutoru jedną kompanię, by za jej pomocą przeprowadzić kontratak na rezerwy wroga… Walka trwa ponad trzy godziny. »Razincy« mimo wszystko nie zdołali do końca wykonać powierzonego im zadania, Niemcy odnieśli jednak na tyle poważne straty, że później z pięć dni nie podejmowali przeciwko naszej dywizji aktywnych działań…”[9]

Przypisy

[1] Л. Н. Толстой, *Севастопольские рассказы*, Москва 1969, s. 20. Cytowany fragment przytaczam w przekładzie Tadeusza Łopalewskiego. W książce Ludmiły Pawliczenko

fragment *Opowiadań sewastopolskich* (a konkretnie *Sewastopol w grudniu*) różni się jednak w dwóch miejscach od oryginału Tołstoja: „недалёкий свист” (bliski gwizd) zmienia się u niej w „медленный свист” (powolny gwizd), natomiast bezokolicznik „молчать” („milczeć” – w przekładzie: „zmuszamy […] do milczenia”) pojawia się w formie dokonanej: „замолчать” („zamilknąć”) – przyp. tłum.

[2] Л. Н. Толстой, *Севастопольские рассказы*, Москва 1969, s. 22. Przekład autorstwa Tadeusza Łopalewskiego.

[3] W ustępie tym najprawdopodobniej chodzi o to, że szpicruta była atrybutem przede wszystkim człowieka jeżdżącego konno, a nie samochodem – przyp. tłum.

[4] Pol. pot. „tetetka” – przyp. tłum.

[5] Tak zginęła snajper T. N. Baramzina, pośmiertnie odznaczona tytułem honorowym Bohatera Związku Radzieckiego – przyp. red. ros. Tłumacz niniejszego tekstu nie dotarł jednak do wiarygodnych źródeł, potwierdzających, że Tatiana Baramzina przed śmiercią była gwałcona. Dostępne źródła rosyjskojęzyczne sporo mówią za to o bestialskich torturach, jakich przed śmiercią zaznała z rąk okupantów radziecka snajperka – przyp. tłum.

[6] Wzmiankowany pistolet TT wz. 1933, wyprodukowany w roku 1940, o numerze seryjnym PA 945, jak również pozostałe pistolety (Mauser, Colt, Luger Parabellum, Browning) z kolekcji własnej L. M. Pawliczenko, znajdują się w Centralnym Muzeum Sił Zbrojnych w Moskwie, zbiór nr 2/3776 – przyp. red. ros.

[7] W oryginale niewłaściwie: L. N. Boczarow – przyp. tłum.

[8] *Сборник военных мемуаров. У черноморских твердынь*, Москва 1967, s. 182–183.

[9] *Сборник военных мемуаров. У черноморских твердынь*, Москва 1967, s. 203–204.

Rozdział 8

LEŚNYMI ŚCIEŻKAMI

Leśniczówka Mackenzie okazała się jednak trudnym przeciwnikiem.

Ostatni atak na nią jednostki radzieckie przypuściły 22 listopada o poranku. „Razincy” nacierali wraz z 2. Perekopskim Pułkiem Piechoty Morskiej, nieprzyjaciel jednak zaciekle się bronił. Piechota morska zdołała opanować drogę od chutoru do wsi Czerkies-Kermen, nie posunęła się jednak ani o krok dalej. Przed południem działania bojowe po obydwu stronach ustały i leśniczówka pozostała w rękach fryców, „Czapajewcy” zaś umocnili się na wysokościach 319,6–278,4–175,8 – kilometr na zachód od owej nieszczęsnej leśniczówki.

Tak zakończył się pierwszy szturm Sewastopola, który trwał 25 dni. Okupanci nie odnieśli praktycznie żadnego sukcesu – udało im się odeprzeć obrońców o 3–4 kilometry w pierwszym sektorze obrony osady rybackiej Bałakława i o 1–2 kilometry w trzecim sektorze Sewastopolskiego Rejonu Obronnego nieopodal wsi Duwankoj, Czerkies-Kermen i chutoru Mackenzie.

Rozpoczęło się względnie spokojne życie na rubieżach obronnych, które rozciągały się na długości 46 kilometrów wzdłuż krymskich dolin i porośniętych lasami gór, od brzegu morza w Bałakławie aż do płytkiej, ale rwącej rzeki Belbek. Taką samą długość miał także pas neutralny, który z obu stron wytyczały głębokie okopy, kręte transzeje, gniazda karabinów maszynowych, odcinki z rowami przeciwczołgowymi i polami minowymi oraz ogrodzenia z drutu kolczastego (w lesie „kolczatkę” naciągano od razu na pnie

drzew). Pas miał szerokość od 100 do 200 metrów i nie było przez niego przejścia. My, snajperzy, jak również zwiadowcy naszych pułków i dywizji, mogliśmy (szczególnie nocą) całkowicie niezauważeni przekroczyć go w Górach Mackenzie, czyli idąc po wysokich grzbietach Doliny Kamyszłowskiej (która rozciągała się na długości kilku kilometrów, poczynając od sporych rozmiarów wsi Duwankoj[1] i kierując się na południowy zachód w stronę chutoru Mackenzie), a także po zboczach Ciemnej Belki, sąsiadującej z doliną, której dno rzeczywiście porosło sitowiem[2].

Z tych samych przejść korzystały także niemieckie grupy zwiadowcze. Bywało, że przez las przedzierało się do nas około 20 strzelców z pistoletami maszynowymi MP 40, bardziej znanymi u nas jako Schmeissery, chociaż w istocie słynny niemiecki konstruktor Hugo Schmeisser nie miał z tą bronią nic wspólnego, produkowała ją bowiem firma „Erma”. Natknąwszy się na nasze punkty obrony, Niemcy pospiesznie się wycofywali. Nie dostaliśmy rozkazu podążania za nimi, jednak „w celach treningowych” mogliśmy oddawać strzały snajperskie do czasu, aż faszyści znikną za drzewami.

Tak było i tym razem. Dym z karabinów jeszcze unosił się nad górami, jeszcze w jarach i uroczyskach dźwięczało echo ostatnich wystrzałów, kiedy z gęstwin leśnych wyszedł i pojawił się przy okopach 2. Kompanii siwy jak gołąbek człowiek w cywilnej kurtce i z sakwą na ramieniu. Przygarbiony, chudy i ze zmierzwioną, sięgającą niemalże oczu brodą, przypominał diabła leśnego. Żołnierze plutonu strzeleckiego o mało co go nie zastrzelili, ten jednak uniósł wysoko ręce i z przerażeniem krzyknął: „Swój!”. W dłoniach trzymał otwarty radziecki dowód osobisty i jakąś legitymację w brązowej obwolucie i z fioletową pieczątką.

Opuściwszy karabin, zapytałam go, kim jest, co robi na pozycjach bojowych 54. Pułku i jak udało mu się ominąć patrole nieprzyjaciela. Starzec odpowiedział, że nie było to trudne, albowiem Niemcy ze strachu nie zapuszczają się w głąb lasu, on zaś jest tutejszym leśniczym i udało mu się trafić do nas słabo widocznymi ścieżkami, które zna tylko on. Wtem staruszek rozpłakał się, a łzy popłynęły po jego białej brodzie i spadały na przepasaną kurtkę, na której wisiała pusta ładownica. Nie ukrywam, że w pierwszej chwili wpadłam w zakłopotanie, ponieważ nieoczekiwane zdarzenie wydało mi się dziwne. Fiodor Siedych jednak z jakiegoś powodu od razu uwierzył staruszkowi i przekonał mnie, żebym przepuściła leśniczego, byśmy mogli wysłuchać wspólnie jego historii.

Chwilę później, podczas gorącego śniadania, które do okopów dostarczył starszy sierżant, poznaliśmy historię Anastasa Wartanowa. Była ona, podobnie jak inne wydarzenia tej straszliwej wojny, na wskroś tragiczna. Faszystowska grupa zwiadowcza wkroczyła do leśniczówki nr 2, wyprzedzając swoje jednostki liniowe. Z jakiegoś powodu nie spodobali im się syn Wartanowa oraz jego wnuk – podobnie zresztą, jak i pozostali członkowie rodziny. Nie namyślając się zbyt długo, hitlerowcy rozstrzelali wszystkich obok domu. Sam Anastas, na szczęście albo na nieszczęście, rano wyjechał do znajdującej się w mieście administracji w celu złożenia tam zapotrzebowania na owies i siano na zimę dla zwierząt leśnych.

Teraz zaś, według słów leśnika, w leśniczówce Mackenzie rozlokował się jakiś sztab niemiecki. Pod drzewami obok domu stały transportery opancerzone na kołach i gąsienicach, z antenami i karabinami maszynowymi na dachach kabin, ciągniki z działami, samochody osobowe i motocykle z koszami. Przyjeżdżali tam ludzie ubrani nie tylko w szaro-

zielone mundury, lecz także noszący krótkie, czarne kurtki i berety (czyli czołgiści).

Najczęstszym gościem był postawny, około czterdziestoletni mężczyzna o błękitnych oczach. Leśniczy widział go odzianego w mundur galowy z plecionymi, srebrzystymi naramiennikami oraz znajdującym się pod kołnierzykiem orderem – czarno-białym krzyżem. Zajmował on pomieszczenie rozstrzelanego syna Wartanowa i codziennie rano oblewał się wodą ze studni, wycierał czerwonym ręcznikiem frotte i energicznie gimnastykował.

– Używają życia – mówił Anastas, wybierając łyżką resztki kaszy jęczmiennej z dna kociołka – a przecież powinni się bać.

– Kogo? – zapytałam.

– Rosjan – odpowiedział Wartanow. – Mówili mi, że macie broń ze specjalnymi celownikami.

– Tak, mamy.

– To trzeba strzelać. Pokażę wam miejsce, skąd będzie bardzo dobrze widać leśniczówkę. To zresztą niedaleko stąd – lasem raptem pięć kilometrów. W ciągu nocy bez problemu dotrzemy.

– Chce pan iść z nami?

– Bardzo. Jeśli tego nie zobaczę, nie będę już miał po co żyć na tym świecie…

Dobrze rozumiałam starego leśnika, pałającego żądzą odwetu na mordercach swojej rodziny. Uważałam to za naturalne i uzasadnione: nie może być mowy o wybaczeniu okupantom ich bestialskich czynów i bezmyślnego zabójstwa ludności cywilnej. Ziemia powinna płonąć pod ich stopami, a ich samych trzeba tropić wszędzie i likwidować wszelkimi możliwymi sposobami. Anastas zwrócił się o pomoc do nas – strzelców wyborowych – i my spełnimy jego prośbę, jeśli podane przez niego fakty znajdą swoje potwierdzenie w szta-

bie Sewastopolskiego Rejonu Obronnego. Odpowiedź przyszła dwa dni później: Wartanow mówił prawdę.

Zapytanie wysłałam nie ja, a pomocnik naczelnika sztabu pułku rozpoznawczego (czyli PNSz-2), kapitan Michaił Biezrodny. W 54. Pułku służył chyba od czerwca 1941 roku i dowodził dwoma plutonami rozpoznawczymi: konnym i pieszym. Z plutonu konnego obecnie nie zostało nic, ponieważ konie pozostawiono w Odessie, pluton pieszy zaś, zredukowany z 46 ludzi do 25, nadal funkcjonował. Wcześniej, czyli podczas obrony Odessy, współpracowałam ze zwiadowcami, na przykład osłaniając ich przemarsz przez linię frontu, wówczas jednak bataliony naszego pułku nierzadko walczyły oddzielnie, na różnych odcinkach frontu, tak więc z oficerami sztabu pułkowego praktycznie się nie stykałam. Teraz zaś, kiedy „Razincy" zebrali się wszyscy razem, w dodatku na względnie zwartych pozycjach, spotkania z nimi (przynajmniej z kapitanem Biezrodnym) były częstsze i dawały lepsze rezultaty.

Kapitan zaakceptował mój plan wypadu do chutoru Mackenzie, pod warunkiem że przewodnikiem grupy zostanie leśniczy Wartanow. Wcześniej należało jednak ściśle określić, którędy będzie przebiegała trasa, jak wygląda teraz sytuacja wokół leśniczówki i z czym może się tam zetknąć grupa snajperów. Na zwiady wyruszyłam wraz z leśnikiem przez porastający Góry Mackenzie las.

Miałam w tym jeszcze jeden cel. W czasie kiedy Niemcy przeprowadzali swój pierwszy szturm, należało myśleć o odpieraniu ich ataków na nasze fortyfikacje, działać wspólnie i pozostawać w ciągłej gotowości. Podczas stabilizacji frontu nastawał czas, który sprzyjał „polowaniu" snajperskiemu. Jak jednak do niego przystąpić, kiedy ja zupełnie nie znam terenu i nie przywykłam do prowadzenia ognia w porośniętych gęstym lasem górach? I czym jest w ogóle ów las

– stojący niczym targana porywami niespokojnego wiatru znad morza ściana zieleni…?

Dopiero zaczynało świtać. Znienacka zerwał się wiatr i korony drzew zakołysały się, postukując nagimi gałęziami. W blednącym półmroku można je było wziąć za żywe istoty leśne, a krótkie postukiwanie – za ich tajemnicze dysputy. Wsłuchując się w to, podniosłam głowę. Nad ścieżką pochylał się osobliwy, wygięty, szarobury pień klonu, nazywany tu jaworem. Wisiało na nim na długich ogonkach kilka dużych, pomarańczowych, rozłożystych liści, przypominających trochę ludzką dłoń. Nagle jeden z nich się urwał i wirując w powietrzu, spadł na ścieżkę prosto przed moimi stopami. Wartanow wskazał na niego ręką i rzekł: „Podnieś – to na szczęście”.

Piękny klonowy liść absolutnie nie przystawał do jesiennego stroju snajperskiego – kurtki kamuflażowej w kolorze brudnej żółci z brązowymi pasami. Schowałam go do kieszeni, gdzie znajdowały się już przenośna apteczka i kostka cukru, szczelnie zawinięta w folię wraz z kilkoma szczyptami herbaty. Jeśli przeżuje się cukier wraz z suchymi liśćmi herbaty, pozwala to solidnie wzmocnić siły w czasie wielogodzinnego oczekiwania w zasadzce.

Jaka zasadzka mnie teraz czeka – tego nie wiedziałam. Szłam po prostu za leśnikiem po ledwie zauważalnym szlaku myśliwskim i przyglądałam się lasowi. Po bezkresnych, pustynnych stepach odeskich wydawał mi się idealnym miejscem do maskowania się, jednakże wcale nie idealnym do celnego strzelania. Nie wiadomo, dokąd poleci kula – nie jest ona przecież zającem, żeby kluczyć pomiędzy drzewami. I jak właściwie należy obliczyć odległość do celu w wąwozach, które zasłaniają wszędobylskie zarośla?

– Od krzywego klonu do studni jest 85 metrów – cicho zauważył stary leśniczy. – Zapamiętaj, dziecino – to ci się

przyda.

Anastas po prostu czytał w moich myślach. Być może przed nastaniem świtu, w subtelnej leśnej ciszy myśli po prostu samoistnie trafiały do bliskich sobie ludzi. Przecież jeszcze tydzień temu nie miałam pojęcia o istnieniu Wartanowa, człowieka urodzonego na Krymie w minionym stuleciu w rodzinie zrusyfikowanych Ormian, od stu lat wiernie służących carskiej rodzinie Romanowów, którzy posiadali na półwyspie rozległe tereny łowieckie.

Całe życie Wartanowa i jego zgodnej rodziny upłynęło w leśniczówce nr 2 – chutor Mackenzie. Znajdowało się tam całe gospodarstwo: dom z czterema pokojami, kuchnia letnia, łaźnia, drewniane szopy i budynki gospodarcze oraz stajnia i cieplarnie, z którymi sąsiadował ogród. A ponieważ las wymaga stałej opieki, leśniczy w pocie czoła pracował od świtu do zmierzchu, a mimo to uważał się za człowieka spełnionego: szczęśliwy dom, starszy syn już pomaga, żona dobra i pracowita, dzieci dopilnowane, ubrane i obute. Co się zatem tego listopadowego dnia tak nie spodobało Niemcom w jego leśniczówce…? Niechaj będą przeklęci!

Od klonu z krzywym pniem ścieżynka rozwidlała się w dwóch kierunkach. Gdyby nie Wartanow, nawet nie zauważyłabym skrętu w prawo. Dwumetrowe zarośla mocno się w tym miejscu rozrosły i – niczym gęsty woal – zasłaniały całe podszycie. Stary leśniczy wskazał na nie ręką i nazwał ową roślinę dwukolczakiem śródziemnomorskim albo cierniem Chrystusa. Jak głosi legenda, z jego gałązek wykonano koronę cierniową dla Jezusa Chrystusa. Dwukolczak rośnie w strefie śródziemnomorskiej oraz na północy Afryki, ale dawno już się przyjął też na ziemiach krymskich.

Roślina ta gubi liście z końcem października i zimą dwukolczak w całej okazałości prezentuje swoją główną broń – kolce. Całe mnóstwo dłuższych i krótszych zygzakowatych

pędów ze sterczącymi kolcami odchodzi od szarawego pnia: jedne są ostre jak igła, inne przypominają haczyki wędkarskie – są ostre i zakrzywione.

Niefortunnie się odwróciłam i jeden z takich złośliwych pędów natychmiast wczepił się w rękaw mojej kurtki kamuflażowej. Cierń głęboko wniknął w tkaninę. Musiałam złamać całą gałąź, wskutek czego suchy trzask rozległ się w porannej ciszy niczym bicie na alarm. Z najbliższej akacji zerwało się stadko sikorek. Wartanow odwrócił się w moją stronę.

– Ostrożnie, towarzyszko dowódco!

Wkrótce naszym oczom ukazał się stary wodociąg – pordzewiała rura o średnicy około 20 centymetrów. Prowadziła ona do porzuconej studni, o której istnieniu świadczył unoszący szyję w niebo „żuraw”. Zagajnik robił się coraz gęstszy, a drzewa stały stłoczone obok źródła życiodajnej wilgoci. Wtem dobiegł stamtąd chrypliwy odgłos. Leśnik momentalnie zamarł w miejscu, a ja – nie obliczywszy odległości – wpadłam na niego.

Do studni, czarnej dziury w ziemi, byle jak ogrodzonej dużymi kamieniami i częściowo zakrytej deskami, wpadł dzik – warchlak o jasnobrązowej sierści, jeszcze bez kłów. Nijak nie mógł się wydostać z tej pułapki sam, chociaż bardzo się starał. Zobaczywszy nas, mieszkaniec lasu rozpaczliwie próbował wyskoczyć ze studni, lecz i to na nic się nie zdało. Obróciwszy głowę, popatrzył na leśniczego swoimi ciemnobrązowymi, smutnymi oczyma i żałośnie chrząknął.

– Chcesz strzelić? – zapytał Anastas. – Świeżutkie kotlety wieprzowe to uczta dla żołnierza…

– Nie – odpowiedziałam, z zainteresowaniem spoglądając na dziczka. – Podoba mi się. Jest jeszcze mały – niech sobie żyje.

Leśnik wyraźnie się rozchmurzył. Podniósł leżącą nieopodal studni długą żerdź, wsunął ją pod brzuch wieprzka, pod-

niósł go w ten sposób i postawił zwierzę na ziemi. Uratowany warchlak nie od razu pojął jednak, co się stało: obróciwszy się z jednego boku na drugi, kwiknął – jakby nie wierząc w swoje ocalenie – po czym zerwał się na równe nogi, otrząsnął się i łamiąc chrust, ruszył z kopyta byle dalej od tego przeklętego miejsca. Jedynie dziarsko zakręcony ogonek mignął nam w krzakach.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

Polowań na zwierzęta nigdy nie pochwalałam i teraz jest tak samo. Zwierzęta leśne są, według mnie, nieszczęśliwymi, całkowicie bezbronnymi istotami podczas spotkania z uzbrojonym w broń palną człowiekiem. Inaczej sprawy miały się w dawnych czasach, kiedy to książę sam wychodził uzbrojony tylko we włócznię, by zmierzyć się z niedźwiedziem. Takie starcie jest, moim zdaniem, bardziej uczciwe i sprawiedliwe.

Zawierzyłam mapie, w którą wyposażył mnie kapitan Biezrodny: wynikało z niej, że za studnią pas neutralny się kończył, a zaczynało się terytorium zajęte przez Niemców. Usiedliśmy, żeby trochę odpocząć, chociaż picie wody ze studni, w której przed chwilą kąpał się warchlak, odpadało. Miałam ze sobą manierkę z przegotowaną wodą. Suchy prowiant, wydany mi w kuchni kompanii, składał się z pajdy żytniego chleba i dwóch plasterków różowawej słoniny, posypanej gruboziarnistą solą i mielonym pieprzem. Tym też się raczyliśmy. Wartanow, który również dostał taki sam prowiant, zaczął opowiadać mi o krymskim lesie.

Leśniczy uwielbiał go i doskonale znał, a wiedzę tę przekazał mu jego ojciec. Anastas powiedział, że postąpiłam słusznie, wypuszczając na wolność młodego dzika, i że las odpłaci mi za to dobrem, ponieważ w lesie, podobnie jak i w świątyni, należy przestrzegać odwiecznych obyczajów i nigdy nie zabijać zwierzyny dla rozrywki. Zapytałam leśni-

ka, czy łatwo będzie znaleźć drogę w gęstwinie i nie zabłądzić pośród drzew.

– Łatwo – odparł starzec. – Przecież one są jak ludzie i każde z nich ma swój charakter. Drzewa różnią się gatunkiem, wiekiem, porą kwitnienia i owocowania. Umiem dostrzegać ich twarze i sylwetki, które są bardzo różne. Jeśli zechcesz, ty także je zobaczysz…

Trudno było brać na poważnie te rozważania, ponieważ przypominały bajkę albo legendę, ja jednak nie przerywałam Wartanowowi. Niech mówi, niech uczy mnie życia leśnego. Jak na razie nic z tego nie rozumiałam i z pewnym zakłopotaniem oglądałam opasłe pnie otaczających studnię wiązów i klonów, którym ponury, chłodny poranek nadawał jeszcze bardziej mroczne barwy. Nie bardzo wierzyłam, że będę w stanie oswoić się z lasem i z powodzeniem zgłębiać zagadkową leśną księgę…

Do chutoru Mackenzie doszliśmy od strony północno-zachodniej o wschodzie słońca. Aby lepiej zobaczyć to miejsce, trzeba było wejść na drzewo. Dość długo obserwowałam przez lornetkę niespieszne życie na tyłach niemieckiej 11. Armii. Po trasie między chutorem a wsią Zalinkoj regularnie przemieszczał się transport niemiecki oraz ludzie w kurtkach i szynelach mysiego koloru. Świetnie czuli się tu Tatarzy krymscy z białymi opaskami kolaboranckich policjantów na rękawach, którzy ochraniali szlaban obok strażnicy i oddawali frycom cześć w pozycji na baczność.

Około południa pojawiła się kuchnia polowa i do naszych nozdrzy doszedł kuszący zapach kartoflanki z mięsem. Około 50 żołnierzy z menażkami stłoczyło się w kuchni, a po otrzymaniu swoich porcji nie rozeszli się od razu, tylko rozmawiali, palili papierosy i czekali na wydanie kawy. Niższym rangą żołnierzom należała się jednak nie prawdziwa

kawa, a jedynie jej zamiennik, którego zapach nie był szczególnie przyjemny.

Po obiedzie wyszedł z domu wspomniany wcześniej niebieskooki oficer z plecionymi, srebrzystymi naramiennikami. Na mundurach nieprzyjaciela już się wówczas znałam – był to major artylerii, odznaczony orderem Krzyża Rycerskiego, a także posrebrzaną Odznaką Szturmową Piechoty. Drzwi domu, z którego wyszedł, znajdowały się w odległości około stu metrów od drzewa, na którym się znajdowałam, a w dodatku dokładnie naprzeciwko, czyli po stronie niemieckich tyłów. Wszystko to zanotowałam na kawałku papieru nazywanym kartą ogniową, przytwierdzonym do płaskiej raportówki.

Major zapalił cygaro i wraz z ordynansem, który trzymał w dłoniach jakąś teczkę, wsiadł do samochodu osobowego marki Opel Kapitän. Podskakując na wybojach, samochód skierował się w stronę miejscowości Czerkies-Kermen, gdzie – zgodnie z doniesieniami naszego wywiadu – mieściła się Kwatera Główna 11. Armii i mieszkał jej dowódca – generał pułkownik Erich von Manstein. Prawdopodobnie major spieszył się na naradę do swojego szefa – generała.

Na kartce naszkicowałam z grubsza całe domostwo leśniczego: kwadracik symbolizował dom, trójkąciki – oborę i szopy, kręta, długa linia – drogę polną, a dwie kreski – szlaban na drodze. Odległości między nimi określiłam na oko. W centralnej części byłej posiadłości leśniczego znajdowała się bardzo widoczna wskazówka – biaława, pocięta wgłębieniami i spękana bryła. W taki sposób pojawiają się na powierzchni ziemi skały wapienne, co nierzadko zdarza się na zboczach i szczytach wzgórz oraz gór krymskich – szczególnie tych, odnoszących się do typu „kuesty”.

Wiatr jest w górach zjawiskiem występującym praktycznie bezustannie. Zwróciłam uwagę na to, że gałęzie rosnących

w pobliżu leśniczówki drzew się kołyszą, liście energicznie obracają, a nad drogą wiruje biały kurz. Oznacza to, że prędkość wiatru jest umiarkowana i wynosi około 4–6 metrów na sekundę. Nie bez kozery snajperskie przysłowie brzmi tak: „Człowiek strzela, a wiatr kule nosi”. Jeśli obierzemy tę pozycję, wówczas dostaniemy boczny wiatr, wiejący pod kątem 90 stopni. W tego typu warunkach i odległości do celu wynoszącej 100 metrów obliczenia snajpera są proste: poprawka boczna wynosi 3 centymetry (w częściach tysięcznych – 0,15). Co prawda istnieje jeszcze jedna prawidłowość: wraz ze wzrostem wysokości nad poziomem morza zmienia się ciśnienie atmosferyczne (maleje gęstość powietrza) i w takim przypadku wydłuża się tor lotu i zwiększa zasięg oddziaływania pocisku. Potapow pisał jednak w swojej książce *Nauki dla strzelców wyborowych*, że w górach o wysokości poniżej 500 metrów (a w naszym przypadku nie przekraczała ona 310 metrów) wiatrem poprzecznym można się nie przejmować, natomiast wiatr boczny należy bezwzględnie wziąć pod uwagę, ponieważ powoduje on znaczne odchylenie toru pocisku od płaszczyzny.

Zeszłam z drzewa i pokazałam swoje „dzieło” Wartanowowi. Bardzo się zdziwił. Nie było sensu objaśniać leśnikowi rysunku, chociaż pomógł mi on w dokładnym obliczeniu odległości od bramy swojego gospodarstwa do wapienia, która wynosiła 43 metry. Zapytałam go o wiatr, na co ten odpowiedział, że w listopadzie i grudniu wieją tu silne wichry z północy i północnego wschodu, które przynoszą deszcze i mgły.

Postanowiliśmy nie zwlekać z przygotowaniem operacji, ponieważ warunki w każdej chwili mogły się zmienić. Po złożeniu przeze mnie raportu kapitan Biezrodny uprzedził, że podczas wypadu do chutoru Mackenzie będę kierować akcją całej grupy strzelców, ponieważ w plutonie jest wielu

nowicjuszy. Jak na razie nie znają oni jeszcze na pamięć tabel balistycznych, nie widzieli na oczy świetnej książki A. Potapowa i nie znają szczegółów prowadzenia celnego ognia w górach. Atak tymczasem ma być niespodziewany, przeprowadzony szybko i każda kula powinna trafić do celu. To był klucz do sukcesu całej operacji.

Skład grupy ustalono natychmiast. Ma się rozumieć, trafił do niej Fiodor Siedych, którego niedawno po mojej rekomendacji mianowano młodszym sierżantem. Fiodor, człowiek odważny, sprawdzony w wielu akcjach, orientował się nawet trochę w tabelach balistycznych, a jego siła fizyczna i wytrwałość zasługiwały na najwyższy podziw. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy wziąć ze sobą nowego żołnierza Leonida Burowa – byłego żołnierza piechoty morskiej, który wykazywał wielką gorliwość w pełnieniu służby i żarliwą chęć do nauki. Prawdopodobnie chciał w ten sposób zatrzeć wrażenie wywołane podczas naszego pierwszego spotkania. Wypada odnotować, że to mu się udało, a oprócz tego miał uzdolnienia snajperskie. Trzecim snajperem został rodak Fiodora – także Sybirak, Iwan Pieriegudow, który na mocy uzupełnienia dołączył do pułku jeszcze w Odessie.

Kapitan Biezrodny dał nam dwóch żołnierzy z pieszego plutonu rozpoznawczego. Umieli oni strzelać z każdego rodzaju broni ręcznej, znali chwyty walki wręcz i niejednokrotnie zapuszczali się na tyły wroga. Ja osobiście ich nie znałam, jednak PNSz-2 zapewnił mnie, że są to jego najlepsi ludzie. W zwiadzie pułkowym najlepsi ludzie są z reguły jednocześnie indywidualistami, w związku z czym poprosiłam kapitana, aby objaśnił im, że podczas akcji żadnych wybryków nie mam zamiaru tolerować i że żołnierze mają mi się bezwzględnie podporządkować. Kapitan zrobił to w typowy dla siebie ironiczny sposób: „Panowie, uprzedzam was, że starszy sierżant Ludmiła Pawliczenko to dziewczę

poważne i żartów nie lubi. Jak coś wyjdzie nie tak – od razu dostajecie »finką« w nogę”.

Na rozkaz Biezrodnego zwiadowcom wydano dwa nowiutkie automaty PPSz-41 oraz ręczny karabin maszynowy DP z trzema zapasowymi magazynkami, ja zabrałam ze sobą swoją „Swietę”, a snajperzy karabiny Mosin z celownikami optycznymi „PE”. Długo się zastanawialiśmy, w co wyposażyć Wartanowa, który umiał strzelać tylko z jednostrzałowego karabinu Berdan nr 2 z czterotaktowym zamkiem ślizgowo-obrotowym. Ponieważ starych „berdanków” nie mieliśmy, ma się rozumieć, w naszym wyposażeniu, zaopatrzyliśmy leśniczego w zwykłą „triochliniejkę”. Oprócz broni zabraliśmy ze sobą łopatki snajperskie, noże bojowe „finka”, manierki z wodą, suchy prowiant, zapas 200 sztuk amunicji i po pięć granatów na każdego. Na pasie miałam, jak zwykle, pistolet TT z dwoma magazynkami, czyli na 16 strzałów. Nawiasem mówiąc, jeśli podczas takiej akcji przyjdzie zrobić użytek z pistoletu, będzie to oznaczało, że sprawy przyjęły zły obrót…

Pistolet jednak nie okazał się potrzebny.

O świcie doszliśmy do chutoru i zajęliśmy pozycje na tyłach hitlerowców zgodnie z opracowanym wcześniej planem. Ja i stary leśniczy znajdowaliśmy się naprzeciw domu, trzymając na muszce wejście, trzej snajperzy czekali w odległości 15 kroków na lewo od wejścia, a dwaj zwiadowcy – 15 kroków na prawo, zaś celem ich był środek polany z kamieniem wapiennym, przy którym pojawia się kuchnia polowa. Porywisty wiatr zerwał się nieco później, momentami osiągając prędkość 8–9 metrów na sekundę i wiał w stosunku do naszych pozycji pod kątem 90 stopni. Obliczyłam poprawkę dla skali bębna bocznego na rurce celownika optycznego i dałam podwładnym znak palcami, żeby i oni wyregulowali celowniki swoich karabinów.

Niemcy, żołnierze niezwykle zdyscyplinowani, zebrali się we właściwym miejscu, o właściwym czasie i we właściwej liczbie. Kuchnia pojawiła się o jedenastej trzydzieści siedem, a o jedenastej pięćdziesiąt przystąpiono do wydawania posiłków. Obserwując ich przez lornetkę, czekałam, aż zgromadzą się wokół kuchni. Na muszce trzymałam chudego, wysokiego oficera z dwoma poprzecznymi belkami na naramiennikach, czyli kandydata do stopnia oficerskiego. Spośród pozostałych wyróżniało go to, że mówił bardzo głośno, a szeregowi żołnierze go słuchali. W końcu podoficer podszedł do nalewającego zupę kucharza i jego głowa w czapce wojskowej z sukna znalazła się dokładnie między trzema liniami okularu mojego celownika. Nadszedł odpowiedni moment.

Dowódca zawsze strzela pierwszy i jest to sygnał dla pozostałych członków grupy, którzy czekają na niego z niecierpliwością i bezzwłocznie przystępują do wykonania wydanego w taki niecodzienny sposób rozkazu.

Otworzyliśmy ogień huraganowy z trzech punktów. Kule poleciały w stronę szarozielonego tłumu, zaczęły rozdzierać go na kawałki i powalać wroga na ziemię. Niemcy nie mieli w tym momencie broni, w związku z czym nie mogli natychmiast odpowiedzieć ogniem. Ponadto wielu poległo już w pierwszych minutach – wśród nich podoficer i kucharz, którzy otrzymali w głowy gorący prezent od mojej „Swiety”.

Major artylerii, usłyszawszy strzały i krzyki, wybiegł z domu. Kula trafiła mu prosto w nasadę nosa – nie na darmo poświęciłam tyle czasu na dokładną analizę tej pozycji. Stary leśniczy także strzelał, przy czym nawet dość celnie: z jego ręki poległ ordynans. Przez pokrytą trupami faszystów polanę podeszliśmy do domu. Wyciągnęłam dokumenty majora z kieszeni jego munduru, odcięłam „finką” jeden naramiennik oraz metalową odznakę Krzyża Rycerskiego,

a z czarnej, skórzanej kabury zawieszonej na pasie zastrzelonego wyjęłam oficerski pistolet Walther. Zwiadowcy tymczasem wdarli się do budynku, strzelając z automatów – mieli w planach zabranie dokumentów sztabowych.

– *Partisanen!* – rozległ się stamtąd krzyk.

Łącznościowiec w stopniu starszego szeregowego nie zdążył już zwierzchnictwu przekazać nic więcej, ponieważ dostał kulę w pierś. Wszystko co znajdowało się na stojącym przed nim stole: mapy, rozkazy, raporty, książka kodów – dostało się odważnym żołnierzom 54. Pułku Strzelców imienia Stiepana Razina. Uciekając stamtąd, zabrali ze sobą także wypełniony plecak, który wisiał na ścianie, i zdjęli z piersi leżącego na progu wartownika pistolet maszynowy MP 40.

Grupa opuściła pole walki tak szybko, jak zaatakowała. Biegliśmy przez las prawie półtora kilometra, kierując się na południowy wschód szlakiem myśliwskim, znanym Wartanowowi. Prowadził on w stronę pasa neutralnego, którego za dnia nie należało przekraczać. Leśniczy planował dotarcie do pewnej oddalonej, w połowie wrośniętej w ziemię drewnianej chatki, znajdującej się w pobliżu źródła, wśród wysokich drzew z gęstym podszyciem złożonym z dwukolczaków śródziemnomorskich i jałowców kolczastych. Tam, niewypowiedzianie zmęczeni, legliśmy na ziemię. Anastas, który nie wchodził do domu, obserwując nasze działania z polany, szlachetnie podjął się pełnienia funkcji wartownika. Pozostali, położywszy się na miękkim, rdzawym igliwiu, zasnęli twardym, żołnierskim snem.

Mniej więcej za trzy godziny coś – niczym budzik – wyrwało mnie ze snu. Otworzyłam oczy i dostrzegłam, że w lesie coś się zmieniło. Ucichł wiatr i bardzo się ochłodziło – temperatura nie przekraczała pięciu stopni powyżej zera, a gęsty obłok mlecznego koloru z wolna opuszczał się na zbocza góry. Drzewa, oczekując pogrążenia się w nim, niejako

zdrętwiały wyprostowane ku górze. Prawdę mówił stary leśniczy: boją się jesiennej mgły.

Wartanow razem z Fiodorem Siedychem krzątali się nieopodal zdroju. Wykopali zagłębienie w ziemi, w którym rozpalili nieduże ognisko. Jego dym mieszał się z mgłą, dlatego też nie czuliśmy się z tego powodu niczym zagrożeni. Nad ogniskiem wisiał sporych rozmiarów kociołek, w którym zaczynała się gotować woda. Na płaskim kamieniu żołnierze ustawili kubki, manierki, pokrojony grubo chleb i brykiety z suszoną zupą grochową, które zamierzaliśmy rozpuścić we wrzątku.

Fiodor z uśmiechem pokazał mi niemiecki plecak, zdjęty przytomnie podczas całego zamieszania przez zwiadowców ze ściany w leśniczówce. Zdobycz pojawiła się w samą porę, ponieważ zawierała artykuły całkowicie niedostępne dla szeregowych obrońców Sewastopola. Wydałam polecenie skorzystania z nich właśnie teraz. Zakładam, że był to przydział pana majora: puszki sardynek w oleju, kilka tabliczek czekolady, opakowania sucharów, pęto kiełbasy wędzonej i owinięta w folię półtoralitrowa butelka koniaku. W oczekiwaniu na ucztę zwiadowcy radośnie zacierali ręce – teraz już zdobycie wrogiego sztabu wydawało im się nadzwyczaj udane. Ich zdaniem, miałam bezpośredni wpływ na odniesienie sukcesu, dlatego też żołnierze podczas rozmów odnosili się do mnie z szacunkiem.

W czasie kiedy nasz obiad się przygotowywał, zajęłam się własnymi zdobyczami. Na początek uważnie przyjrzałam się pistoletowi Walther, ponieważ tego typu broń znalazła się w moich rękach pierwszy raz. Po oficerach rumuńskich najczęściej zostawały mi niezgrabne austriackie Steyry wz. 1912, lekkie włoskie Beretty, wz. 1934, mocne niemieckie Luger Parabellum wz. 1908 albo belgijskie rewolwery

Nagant wz. 1895, których w ogóle nie lubię z powodu kłopotliwego ładowania bębenka.

Walther P38 z całą pewnością stanowił jeden z najlepszych wyrobów niemieckiego przemysłu okresu II wojny światowej. Był poręczny, prosty w obsłudze i konserwacji oraz wielozadaniowy, a także odznaczał się niezawodnym bezpiecznikiem i miękkim spustem. Umożliwiał strzelanie zarówno z użyciem mechanizmu spustowego z samonapinaniem, jak też za sprawą napinania kurka przed każdym z wystrzałów. Jak się potem okazało, także kapitan Biezrodny wyrażał się o Waltherach w samych superlatywach.

Z dokumentów faszystowskiego oficera udało nam się coś niecoś wyczytać: jego imię, nazwisko, datę urodzenia, bitwy, w których major uczestniczył. Uwieńczony laurami szlak bojowy: Czechosłowacja, Francja, Polska. Piękna, jasnowłosa kobieta obejmowała dwóch nastolatków i patrzyła z uśmiechem prosto w obiektyw aparatu. Na odwrocie fotografii widniały wyraźne litery: *„Mein Herz! Mit Liebe, Anna…”.* Dość długi list od niej leżał obok. Nie umiałam go przeczytać, ale zobaczyłam, że major odpisał żonie, nie zdołał już jednak wysłać korespondencji.

„Tak, mój drogi baronie Clemencie Carlu Ludwigu von Steinheil – to nie Francja. Rosjanie bez walki nie oddają swoich głównych miast. Tak więc niepotrzebnie się pan tutaj pojawił – ze swoimi czołgami i działami…” – pomyślałam, chowając dokumenty nieprzyjaciela do swojej raportówki.

Wartanow z Siedychem urządzili prawdziwy stół na płaskim kamieniu, otworzyli puszki z sardynkami, pokroili kiełbasę, do znalezionych misek aluminiowych nalali zupę, a do kubków żołnierskich – koniak, który po bratersku podzielili na siedem porcji. Leonid Burow uprzejmie podał mi kubek, a żołnierze w milczeniu oczekiwali moich słów.

– Świetna robota, chłopaki! Oby nam się zawsze tak powodziło – powiedziałam.

Koniak pali w gardle i rozgrzewa wnętrze, cudze jedzenie wyostrza smak, a ugotowana na otwartym ogniu zupa polowa z suchego koncentratu nabiera niezwykłego smaku w otoczeniu ludzi, którzy dopiero co otarli się o śmierć wraz z tobą. Na takiej uczcie panuje zadziwiające poczucie jedności, które ja osobiście cenię sobie bardzo wysoko. Nie na próżno nasi dziadowie, rozgromiwszy nieprzyjaciół, zasiadali do wspólnej biesiady, przekazując sobie z rąk do rąk wielką czarę napełnioną winem albo piwem, by każdy mógł w niej zwilżyć usta słodkim nektarem zwycięstwa.

Dobrą godzinę Wartanow w milczeniu wsłuchiwał się w nasze ciche rozmowy na temat tego, kto i jak strzelał, dokąd biegł i co widział w czasie tych kilku minut walk. Wtem stary leśniczy przemówił: zwrócił się do nas z uroczystą prośbą o przyjęcie go w szeregi plutonu strzelców i nauczenie chociażby podstaw sztuki snajperskiej, by mógł – na równi z nami – likwidować wrogów na pozycjach nieopodal swojego domu, na grobach swoich bliskich. Mówił, że od teraz w jego sercu panuje już spokój i w podzięce nauczy nas – odważnych i młodych żołnierzy, którym we wszystkim się wiedzie – jak żyć i polować w lasach krymskich.

Podobne zdanie wyraził kapitan Biezrodny, kiedy przedłożyłam mu raport i pokazałam nasze trofea: niemieckie papiery sztabowe, dokumenty znalezione przy zastrzelonym majorze, jego order i naramiennik. PNSz-2 nie ukrywał zadowolenia ze zdobytych przez nas informacji. Korzystając z jego dobrego nastroju, zapytałam o leśniczego i zarekomendowałam przyjęcie go do czynnej służby wojskowej mimo zdecydowanie niepoborowego wieku. Prośbę swoją wzmocniłam prezentem – pistoletem barona von Steinheila – co zresztą wywołało pożądany skutek. Kapitan schował

podarunek do szuflady stołu i obiecał omówić sprawę z dowódcą pułku – majorem Matusiewiczem.

W końcu Anastas Artaszesowicz Wartanow, który na ochotnika wstąpił w szeregi RKKA, został żołnierzem naszego plutonu. Niedługo później, w rozkazie dla 54. Pułku, wyrażono nam podziękowanie za męstwo i spryt, którymi wykazaliśmy się podczas wypadu na tyły przeciwnika. Na konto wszystkich snajperów (w tym także na moje) zapisano po siedmiu zlikwidowanych faszystów, choć któż mógł teraz zliczyć wszystkich żołnierzy i podoficerów w szarozielonych mundurach, którzy na zawsze spoczęli przy kuchni polowej? Według moich obliczeń było ich nie mniej niż 60: zabitych, ciężko rannych (w brzuch) i lekko rannych…

W początkach grudnia 1941 roku nad Sewastopolskim Rejonem Obronnym ukształtowała się ponura, słotna pogoda, a w nocy panowały przymrozki, co nie przeszkadzało obrońcom miasta w doskonaleniu fortyfikacji polowych, które ucierpiały w czasie pierwszego szturmu. Schrony podziemne zostały odbudowane, zainstalowano w nich linię telefoniczną, a okopy i transzeje pogłębiono. Prace, które trwały na przednich pozycjach naszej 25. Dywizji „Czapajewskiej”, obserwowało nawet najwyższe dowództwo. Często bywali u nas generał major Pietrow, wiceadmirał Oktiabrski oraz członkowie Rady Wojennej Armii Nadmorskiej i Floty Czarnomorskiej.

„Pośród zielonej gęstwiny schodzę do transzei i prowadzę swoich zwierzchników w kierunku pierwszej linii obrony” – wspominał później nasz dowódca dywizji T. K. Kołomijec. – „Kręta transzeja pozostaje z góry praktycznie niezauważalna, ponieważ przebiega pod rozłożystymi krzewami. Jedynie gdzieniegdzie należało zamaskować przejście kłodami i kamieniami. Natrafiamy na rozwidlenie i aparat telefoniczny. Tabliczka wskazuje drogę do najbliższego punktu sanitarne-

go… Schylać się nie trzeba, ponieważ transzeja ma wysokość wzrostu człowieka. Dyżurny żołnierz melduje, że w jego punkcie obserwacyjnym przeciwnik zachowuje się spokojnie. Transzeja prowadzi do pasa neutralnego, starannie zamaskowanego wiecznie zielonymi krzakami jałowca przywiązanymi do kołków.

– Znajduje się tam podwójny okop – wyjaśniam. Budujemy je pięć–sześć metrów z przodu. Takie okopy redukują straty w przypadku ostrzału artyleryjskiego, ponieważ przeciwnik strzela w kierunku transzei, a nasi ludzie są w tym czasie z przodu. Oprócz tego z takiej pozycji wygodniej jest prowadzić obserwacje.

W okopie znajduje się dwóch żołnierzy, a nad nimi jest swego rodzaju daszek. Na drewnianych podstawkach leżą granaty i zapasowe magazynki talerzowe do karabinów, a na wbitym w ścianę kołku wisi manierka z wodą”[3].

Pojawiły się w naszej kompanii także dosyć pojemne ziemianki, które zbudowano w odległości 400–500 metrów od przednich pozycji. Zainstalowano w nich po dwa–trzy piece „kozy”, a wzdłuż wzmocnionych deskami ścian – długie ławy. W efekcie powstało coś na kształt klubu, gdzie wieczorami gromadzili się żołnierze, którzy akurat nie pełnili wtedy służby, odbywały się tam zebrania komsomolskie i partyjne, przekazywano informacje polityczne, w tym miejscu dochodziło także do spotkań dowódców.

Życie na froncie znacząco poprawiło pojawienie się na Stronie Północnej łaźni i pralni. Budynek, w którym funkcjonowały owe instytucje, znaleźli intendenci i z pomocą miejscowej ludności wyremontowali go. Teraz już wyjścia do łaźni żołnierzy z przednich pozycji odbywały się regularnie, a przy tym zaczęto zmieniać pościel, w związku z czym prawdziwa plaga przebywania w okopach podczas obrony

Sewastopola (wszy) na szczęście zbytnio się nie rozprzestrzeniła.

Cisza i przejście do wojny pozycyjnej wymusiły na snajperach zmianę taktyki, ponieważ stawali się oni coraz istotniejszym ogniwem w walce z frycami. Do naszych zadań należały obecnie: ciągła obserwacja pasa neutralnego, prowadzenie rozpoznania, a także polowanie na wrogich żołnierzy i oficerów na ich pierwszej linii. W pierwszej kolejności należało zatem szczegółowo zbadać rubież ogniową powierzoną naszemu pierwszemu batalionowi, teren znajdujący się przed nią, włączając w to pas neutralny, oraz pozycje, które zajęli faszyści 132. Dywizji Piechoty Wehrmachtu.

Znajdowaliśmy się na północnym zboczu Doliny Kamyszłowskiej, mniej więcej kilometr–półtora na zachód od wysokości 278,4. Długie, pochyłe zbocze miało niezwykłą powierzchnię: niewielkie zagłębienia, pagórki i kamienie wapienne. Las porastał owo zbocze nierówno i występowały tam zarówno sporych rozmiarów polany, jak i trudne do pokonania zarośla oraz powalone przez pociski pnie drzew. Miejsca te porastała typowa krymska roślinność: dąb skalny, wiąz szypułkowy, klon hyrkański, jabłoń dzika, robinia akacjowa, bez czarny (nawiasem mówiąc, drzewo dosyć duże – osiągające wysokość do sześciu metrów) oraz jałowiec – tak drzewa, jak i krzewy. Całą tę wiedzę przekazał mi Wartanow, który towarzyszył mi i Fiodorowi Siedychowi – mojemu snajperowi-obserwatorowi – w wędrówkach po pasie neutralnym i przylegających doń niektórych odcinkach na terytorium zajętym przez Niemców. Poszukiwaliśmy miejsc do zorganizowania zasadzek snajperskich: zamkniętych, otwartych, głównych, zapasowych, fałszywych, pozycji „z doskoku” oraz takich, z których można by przystąpić do natychmiastowego wycofania się.

Rozwidlające się, głębokie transzeje, wykopane w kamienistej glebie przez saperów radzieckich i żołnierzy piechoty, wychodziły wprost na pas neutralny. Pomagały nam one niepostrzeżenie dostać się nań nawet w ciągu dnia, chociaż najlepsza pora do działania strzelca wyborowego to półtorej godziny po północy. Braliśmy ze sobą małe łopatki saperskie, a czasami także kilof, siekierę i duże noże. Do urządzenia zamkniętej zasadzki wykorzystywaliśmy rozkładane konstrukcje metalowe, tarczki opancerzone i sztuczne pnie, które robiliśmy z dostępnych nam materiałów – w szczególności z pociętych opon samochodowych oklejonych korą. Na fałszywych pozycjach znalazło się również miejsce dla „kukły” – manekina w szynelu z kaskiem na głowie, a także dla lusterka zamocowanego do drewnianego kołka.

Były też miejsca, które lubiłam szczególnie, na przykład głęboki okop w zaroślach jałowca, gdzie składająca się z kilku warstw sinozielonego igliwia ziemia jest nie tylko miękka i ciepła, ale także przyjemnie pachnie. Zapachu tego nie tolerują z kolei wszelkiego rodzaju pasożyty leśne, w związku z czym nie ma tu ani komarów, ani mrówek, ani korników, nie uświadczy się os, much ani innych tego typu wrogów snajpera, które przeszkadzają mu się skoncentrować w czasie wielogodzinnych oczekiwań.

Za białawo-szarą bryłą wapienną, doskonale osłaniającą pozycję z lewej strony, leżał powalony przez wiatr i powyginany ze starości dąb skalny. Bluszcz przedziwnie oplatał jego rozchodzące się na różne strony potężne gałęzie. Oksydowana lufa broni, wsunięta między guzkowate pędy drzewa, niewprawnemu oku mogła się wydawać oczywiście sękiem. Pośród gałęzi można było wygodnie umieścić karabin i zająć komfortową pozycję leżąc, opierając się o drzewo, kiedy ziemia w lesie była wilgotna.

Bardzo polubiłam dwukolczaka śródziemnomorskiego z jego wstrętnymi kolcami – to rzeczywiście wspaniała i nadzwyczajna roślina. Jego krzewy (a te cienkie i niewysokie drzewka zawsze rosną w grupach) tworzyły coś na kształt zasłony z tiulu, która otulała podnóża wiązów, klonów i akacji. Wszelkie rozróżnialne zarysy znikały i bardzo szybko rozpływał się w nich dym wystrzału…

Do polowań w lesie moja imienna SWT-40 się nie nadawała. Wyczyściłam ją więc dokładnie (łącznie z przemyciem przewodu lufy roztworem sody kalcynowanej), naoliwiłam i zawinęłam prezent od generała majora Pietrowa w tkaninę workową, a następnie spakowałam do futerału i powiesiłam na ścianie swojej ziemianki. Niech sobie „Swieta” odpocznie i na jakiś czas zostanie bronią galową, ja zaś w tym czasie będę używać niezawodnej i sprawdzonej „triochy”. Strzela się z niej ciszej, ma lepszą koncentrację wystrzałów, no a oprócz tego posiada celownik „PE” z czterokrotnym powiększeniem.

Z karabinem Mosin na ramieniu, wyposażona w ładownicę z dodatkowymi nabojami, pistolet TT, nóż „finkę” w metalowej pochwie, manierkę, małą saperską łopatkę w futerale i dwa granaty, wyruszyłam po północy w towarzystwie Fiodora Siedycha na pas nautralny do jednej z naszych „lisich nor” (tak nazywaliśmy swoje posterunki snajperskie albo zasadzki). Drogę odnajdywaliśmy dzięki nacięciom na pniach drzew i innych znakach, które zawczasu przygotowywaliśmy. Jednakże teren trzeba było znać na pamięć – jak wiersze Puszkina w szkole.

Na stanowisku spędzaliśmy z reguły kilka godzin, obserwując przez lornetkę przednią pozycję fryców. Wszystko, co się tam działo (pojawianie się konkretnych żołnierzy i oficerów, prace na szańcach podczas umacniania albo tworzenia nowych gniazd karabinów maszynowych, przejazd pojaz-

dów, zmiany warty, przybycie kuchni polowej, pojawienie się ordynansa w ziemiance sztabu, doprowadzenie łączności telefonicznej między różnymi odcinkami, praca saperów na nowym polu minowym i inne tego typu rzeczy) zapisywaliśmy, nanosiliśmy na mapę, a następnie przekazywaliśmy dowódcy naszego batalionu – porucznikowi Drominowi.

Wypada odnotować, że w początkach grudnia 1941 roku zachowanie Niemców na pierwszej linii było dość beztroskie: przechadzali się w całej okazałości po swoich pozycjach, zakładając zapewne, że Rosjanie nie mają własnych snajperów i że pas neutralny o szerokości 150–200 metrów stanowi dla kul barierę nie do pokonania. Wyprowadziliśmy ich z błędu niemal natychmiast, w ciągu dwóch dni likwidując 12 ludzi: 10 żołnierzy i 2 oficerów. W odpowiedzi otrzymaliśmy trwający godzinę czy dwie szalony ostrzał z granatników l.Gr.W.36, które faszyści posiadali w każdym plutonie piechoty.

Z jednej „lisiej nory" natychmiast przenosiliśmy się do znajdującej się w głębi lasu kolejnej, skąd obserwowaliśmy, jak granaty o masie 910 gramów wybuchają w miejscu naszego poprzedniego schronienia, rozbłyskując małymi, pomarańczowymi kulami i rozrzucając wokoło dziesiątki drobnych odłamków. Takie działanie przeciwnika nazywałam koncertem niemieckiej muzyki klasycznej.

Bywało i tak, że na tyły wroga zapuszczałam się sama. Można było tego dokonać tylko na jednym, w dodatku bardzo niewielkim odcinku pasa neutralnego, na którym las przeistaczał się w nieprzebrany gąszcz. Stary leśniczy wskazał mi tam ledwie dostrzegalną ścieżkę, schowaną wśród porastających ją krzewów dzikiej róży i grabów wschodnich. Przez podszycie to trzeba było bądź to się przeczołgiwać, bądź schylać aż do samej ziemi, bądź też ścinać pochylone ku ziemi gałęzie, za to ścieżka wychodziła

wprost na drogę polną znajdującą się w odległości mniej więcej pół kilometra od pierwszej linii Niemców. Jak się potem okazało, drogę tę bardzo cenili sobie żołnierze 132. Dywizji Piechoty Wehrmachtu, ponieważ łączyła ona (sądząc po znalezionych przy zabitych dokumentach) stanowiska dowodzenia dwóch jego pułków: 436. i 438.

Jako pozycję strzelecką obrałam miejsce za zakrętem drogi, której pobocza porastały krzaki dzikiej róży. Pod zaroślami zrobiłam niezbyt głęboki okop, jego przedpiersie wyłożyłam kamieniami i przykryłam darnią. Ziemia była w tym miejscu miękka, dlatego praca nie zajęła mi zbyt wiele czasu. Oprócz tego zastosowałam pewien chwyt, znany mi jeszcze z czasów nauki w szkole snajperskiej *Osoawiachimu*: wkopałam w ziemię do połowy napełnioną manierkę, a w jej szyjce umieściłam gumową rurkę, której drugi koniec przyłożyłam do ucha, albowiem ziemia dobrze niesie odgłos kroków, ruch samochodów czy prace na szańcach.

Aby rozpoznać te dźwięki (a właściwie jedynie ich kontury), strzelec wyborowy musi – mówiąc obrazowo – zamienić się w słuch, czyli zapomnieć o całym otoczeniu i jak najbardziej się skoncentrować, co wymaga sporego nakładu energii. Nie mniejszych wyrzeczeń wymaga także sam las: trzeba się w nim zatopić, oniemieć i znieruchomieć niczym istota „drzewopodobna”. Wartanow umiał czuć las podskórnie, oddychać z nim w jednym rytmie i pierwszorzędnie odczytywał wszystkie jego sygnały i zjawiska w nim zachodzące. Mnie, dziewczynie z miasta, trudno było osiągnąć podobny stan. Potrzebowałam nieprawdopodobnej siły woli…

Warkot silnika motocyklowego usłyszałam przez rurkę dużo wcześniej, zanim pojazd pojawił się na drodze. Wyjęłam więc z wewnętrznej kieszeni waciaka nabój z „ciężką” kulą i umieściłam go w komorze nabojowej. Żołnierz w czarnej, skórzanej kurtce zatrzymał się przy krzaku dzi-

kiej róży, by skosztować jego ciemnoczerwonych owoców. Tak na marginesie, owoce dzikiej róży najlepiej zbierać późną jesienią, a potem ususzyć i pić napar z nich przyrządzony jak herbatę, czego jednak fryc najwyraźniej nie wiedział. Całkowicie skupił się na zrywaniu podmrożonych owoców, próbując je następnie rozgryźć.

W ciszy chłodnego poranku zimowego rozległ się głośny strzał, jednakże droga była w tym momencie pusta i nic mi nie groziło. Szybko wyciągnęłam z kurtki zabitego dokumenty i zdjęłam z jego ramienia wybrzuszoną od papierów raportówkę na długim pasku. Zdobyłam także pistolet maszynowy MP 40[4] i dwa zapasowe magazynki do niego. Żadnych innych rzeczy, oprócz paczki papierosów i zapalniczki, motocyklista przy sobie nie miał. Jego pojazd – lekki, jednocylindrowy motocykl DKW RT 125 stojący na poboczu – należało niezwłocznie zniszczyć. Musiałam strzelić w silnik, ponieważ strzał w bak przyciągnąłby uwagę wroga, ja zaś musiałam się stąd niezwłocznie ewakuować.

Trafienie do celu jest tylko połowicznym sukcesem samotnego snajpera; druga połowa – i to nie mniej istotna – to szczęśliwy powrót na pozycje własnej jednostki wojskowej. W sierpniu 1941 roku pisałam do siostry, że chcę mieć na swoim koncie tysiąc hitlerowców, jednak żeby zlikwidować tysięcznego zbója faszystowskiego, trzeba 999 razy pozostać przy życiu po oddaniu celnego strzału do przeciwnika, który także za wszelką cenę chce się z tobą rozprawić.

Chciałabym oczywiście postępować zgodnie z powziętym zamiarem: ani jednego dnia bez zlikwidowania wroga, jednak nie zawsze niestety było to możliwe.

Po pierwsze, fryce zrobili się dużo ostrożniejsi i zaczęli, podobnie jak my, ukrywać się w okopach. Po drugie, przeciwnik wzmocnił obserwację pasa neutralnego: w nocy faszyści często odpalali rakiety sygnałowe, za dnia zaś prowa-

dzili uporczywy ogień karabinowy i moździerzowy. Na terytorium tym zaczęły również działać niemieckie grupy zwiadowcze, które w przypadku natknięcia się na urządzone przez nas zasadzki niszczyły je lub zaminowywały. Na jednej z takich przeciwpiechotnych min, zamaskowanej w konarach powalonego dębu, 11 grudnia wyleciała w powietrze nasza para snajperów – Leonid Burow i jeszcze jeden żołnierz z mojego plutonu, który także przeszedł do 54. Pułku z piechoty morskiej.

Pierwsza połowa grudnia 1941 roku minęła na przednich rubieżach Sewastopolskiego Rejonu Obronnego mimo wszystko względnie spokojnie.

Kiedy pogoda sprzyjała, lotnictwo – zarówno nasze, jak i niemieckie – dokonywało nalotów. Okręty Floty Czarnomorskiej: krążownik „Krasnyj Krym" i „Krasnyj Kawkaz", przewodnik flotylli – niszczyciel „Charków" oraz niszczyciele „Żelezniakow", „Sposobnyj" i „Niezamożnik" prowadziły regularny ostrzał tyłów wroga z dział dalekosiężnych. Bardzo cieszył nas widok przelatujących z sykiem nad naszymi głowami pocisków kalibru 180 mm i 102 mm. Bywało, że jednostki radzieckie w liczbie jednej albo dwóch kompanii przeprowadzały zwiad, walcząc na niektórych odcinkach frontu. Podobnie zresztą postępowali fryce. 8 grudnia na przykład potężna kanonada zagrzmiała dużo bardziej na zachód od naszego batalionu, za kamyszłowskim mostem kolejowym – niedawno wysadzonym w powietrze. To żołnierze 8. Brygady Piechoty Morskiej przy solidnym wsparciu ze strony artylerii najpierw wyparli przeciwnika z zajmowanych przezeń pozycji, jednak już następnego dnia, kiedy fryce wprowadzili na pole bitwy swoje lotnictwo szturmowe i czołgi – wycofali się.

Przypisy

[1] Obecnie: wieś Wierchniesadowoje w rejonie nachimowskim Sewastopola – przyp. red. ros.
[2] Rosyjskie „kamysz” (vide: „Dolina Kamyszłowska”) jest odpowiednikiem polskiego słowa „sitowie” – przyp. tłum.
[3] *Сборник военных мемуаров. У черноморских твердынь,* Москва 1967, s. 219–220.
[4] W oryginale błędnie: „PM-40” – przyp. tłum.

Rozdział 9

DRUGI SZTURM

Na 16 grudnia zaplanowano uroczystą imprezę. Dowódca dywizji, generał major Kołomijec, na stanowisku dowodzenia 54. Pułku (zlokalizowanym w Dolinie Kamyszłowskiej obok wsi Kamyszły) zamierzał wręczyć nagrody rządowe za obronę Odessy dziesięciu wyróżniającym się żołnierzom z mojego pułku. Tego dnia wróciłam dość późno ze snajperskiej warty w lesie i od razu poszłam spać, jednakże porucznik Dromin rozkazał mi, abym tam pojechała i w imieniu całej 2. Kompanii złożyła gratulacje nagrodzonym. Oprócz mnie uczestniczyli w tym również przedstawiciele innych naszych pododdziałów – ogółem około czterdziestu osób.

Pierwszy wystąpił T. K. Kołomijec. Mówił o tym, że nasza Wielka Ojczyzna zawsze docenia bohaterskie czyny dowódców i żołnierzy Armii Czerwonej i wezwał do równie mężnej jak pod Odessą walki pod murami Sewastopola. Następnie przemówił komendant pułku, major Matusiewicz. Zapewnił on generała, że „Razincy” zrobią wszystko, co w ich mocy, by stać się godnymi zaszczytu, którego dziś dostąpili. Trzeci wystąpił komendant komendy wojskowej naszego pułku, komisarz batalionu Malcew. Mówił o komunistach i komsomolcach będących przykładem męstwa i wytrwałości na polu walki.

Potem odbyło się wręczenie nagród. Takim oto sposobem na własne oczy zobaczyłam triumf odważnej sierżant kompanii karabinowej Niny Oniłowej, która otrzymała Order Czerwonego Sztandaru, a kiedy nadeszła moja kolej, wygłosiłam pod jej adresem przemowę – co prawda bardzo krótką, jednak stosowną do okazji.

Dzień był jasny, słoneczny i lekko mroźny. Zimowy wieczór szybko dobiegał końca. Wróciwszy na pozycje 2. Kompanii, siadłam na powalonym drzewie i zapaliłam fajkę[1], którą podarował mi Anastas Wartanow po udanym ataku na chutor Mackenzie. Był to jedyny cenny przedmiot, który pozostał po splądrowaniu jego domu przez Niemców. Stara fajka turecka wykonana z drewna gruszowego z bursztynowym ustnikiem rzeczywiście prezentowała się niezwykle. Można ją oczywiście potraktować jako nagrodę, tyle że od prostego człowieka. Z łatwością nauczyłam się nią posługiwać: prawidłowo nabijać, niespiesznie rozpalać i podtrzymywać powolne tlenie suchych skrawków tytoniu w drewnianej, wypolerowanej główce z ciemnobrązowego drewna. Główka przyjemnie ogrzewała rękę. Ustnik niejako zmiękczał moc dymu i przedłużał palaczowi przyjemność palenia, co mimowolnie zmuszało do rozmyślań.

Skoro dzisiaj towarzysze dowódcy wspomnieli bitwę o Odessę, to i moje myśli powędrowały do tych niedawnych wydarzeń. Pierwsze lekcje w trudnej i niebezpiecznej wojennej szkole życia przyniosły nam dużo korzyści: dorośliśmy, zmądrzeliśmy, zahartowaliśmy charaktery, przyzwyczailiśmy się spokojnie patrzeć śmierci w oczy i zmyślnie ją oszukiwać. Taka umiejętność jest niezbędna każdemu prawdziwemu żołnierzowi.

Czyżbym miała się mierzyć z Niną Oniłową w liczbie zlikwidowanych wrogów? W sztabie 25. Dywizji Strzelców naliczono jej 500 faszystów wyprawionych na tamten świat. Ja w połowie grudnia 1941 roku na swoim koncie miałam nieco ponad 200. Najważniejsze było jednak to, że przestali walczyć, deptać naszą ziemię i zabijać naszych rodaków. Być może ich niespodziewana zagłada nauczyła rozumu innych agresorów przybyłych tutaj w nadziei na łatwą i szybką zdobycz...

– Pierwszy raz w życiu widzę dziewczynę z fajką – rozległ się przyjemny baryton za moim plecami.

Obejrzałam się. Do powalonego drzewa zbliżał się podporucznik. Już go gdzieś widziałam. Nie w 54. Pułku, ale całkiem możliwe, że w 287. lub w 31., także podlegających naszej dywizji i walczących pod Odessą. Był to przystojny, postawny, barczysty człowiek o błękitnych oczach i włosach koloru ciemny blond, w wieku około 35 lat. Usiadł obok mnie na powalonym konarze, z kieszeni szynela wyjął papierośnicę i otworzył ją. Miał w niej papierosy „Kazbek" z oficerskiego przydziału. Podporucznik wyciągnął papierośnicę w moim kierunku. Zawahałam się, jednak wzięłam jednego. On także wziął papierosa, a następnie pstryknął zapalniczką. Zapaliliśmy.

– Czym pani nabija fajkę? – zapytał oficer.

– Machorką – odpowiedziałam.

– Nie jest za mocna?

– Jest, ale już przywykłam.

– Zabawne… – kontynuował. – Piękne dziewczyny zwykle nie palą fajek.

– To znaczy, że jestem niepiękna i niezwykła.

– O pani niezwykłości wie cały 54. Pułk, Ludmiło Michajłowna – odrzekł z szacunkiem, spoglądając na mnie. – Kwestia kobiecej urody to jednak rzecz dość złożona. To czasy, moda i obyczaje dyktują, jak ma wyglądać nasz ideał. Ja na przykład uważam, że jest pani piękna…

Podczas naszej pierwszej rozmowy był powściągliwy, uprzejmy i delikatny. Od razu się przedstawił: Aleksiej Arkadjewicz Kicenko z Doniecka, wcielony do wojska w czerwcu 1941 roku, walczył w szeregach 287. Pułku. Zdobył średnie wykształcenie techniczne (technik elektryk), był sierżantem, potem starszym sierżantem, a oficerem został niedawno, bo 30 listopada tego roku, ukończywszy przyspieszone

kursy dla dowództwa średniego szczebla przy sztabie Armii Nadmorskiej. Przyczyna naszej znajomości była nad wyraz prozaiczna: Kicenko został mianowany dowódcą naszej 2. Kompanii, więc obchodził porządki bitewne, by zapoznać się z zespołem i obiektami, których należało bronić.

Mowa Aleksieja Arkadjewicza był składna, poprawna gramatycznie, a nawet błyskotliwa. Swoją narrację zakończył śmiesznym opowiadaniem o egzaminach końcowych na kursach oficerskich. Jego kolega podczas składania pistoletu TT tak się rozemocjonował, że zgubił jakąś część. Pistolet złożył, lecz później nie dało się ani go rozłożyć, ani też z niego strzelać. Po długotrwałych debatach komisja ogłosiła werdykt, że egzamin zdał: ma wiedzę o broni osobistej, a przyszłość zdającego już nie leży w gestii komisji.

Krótko mówiąc, zrobił na mnie dobre wrażenie. Miałam nadzieję, że nie wyparuje ono w czasie wspólnej służby. Mogę dodać, że mężczyźni tego pokroju: wysocy, postawni, niebieskoocy blondyni zazwyczaj wzbudzali we mnie sympatię. Na własny użytek nazywałam ich wikingami, śmiałymi wojownikami z dalekich, północnych mórz…

Skąd mogliśmy wiedzieć, że tego spokojnego wieczoru okupanci kończyli przygotowania do drugiego szturmu na Sewastopol, dostarczając ostatnie sztuki z 645 dział artylerii polowej i 252 armat artylerii przeciwpancernej? Oprócz tego w pasie neutralnym rozstawili 378 moździerzy różnych kalibrów i w tej chwili na jeden kilometr frontu mieli 27 dział, a my tylko 9. Do szturmu na pozycje radzieckie zgromadzono ponad 200 bombowców i niszczycieli, my zaś mieliśmy zaledwie 90 samolotów.

Za wierzchołkami Gór Mackenzie, porośniętych zmierzwionymi lasami, formowały się w porządek bitewny trzy niemieckie dywizje piechoty: 22., 24. i 132. Przygotowywały się one do uderzenia na styk trzeciego i czwartego sektora

obrony sewastopolskiej, czyli na wąski odcinek między chutorem Mackenzie a górą Aziz-Oba, żeby przedrzeć się stamtąd na Stronę Północną do największej zatoki Głównej Bazy Marynarki Wojennej Floty Czarnomorskiej. Jeśli faszyści dotrą do jej brzegów, to miasto, całkowicie otoczone z lądu, nie zdoła im się przeciwstawić. Przez morze (a była to ostatnia droga) już nie będą mogły docierać posiłki, amunicja, broń ani żywność.

17 grudnia 1941 roku o godzinie szóstej dziesięć fryce otworzyli huraganowy ogień artyleryjski i moździerzowy w kierunku pozycji obrońców miasta. Ziemia zadrżała. Huk, wycie, świst pocisków i min ogłuszały i wydawały się nie do zniesienia. Ukrywszy się w naszych głębokich schronach ziemnych, czekaliśmy na koniec tej strasznej kakofonii. Amunicja wrogów, nawet tak przezornych jak Niemcy, musi się kiedyś skończyć. Atak artyleryjski rzeczywiście trwał około 20 minut. Potem nieprzyjacielska piechota rozpoczęła ofensywę wzdłuż całego frontu. Na niebie pojawiły się dwusilnikowe Junkersy i Heinkle, które zrzucały bomby już nie tylko na miasto, ale także na przednie rubieże wojsk radzieckich.

O tym miałam okazję napisać już po wojnie:

> „…Wróg zamierzał zadać teraz główny cios w innym kierunku: z okolic Duwankoj przez dolinę rzeki Belbek i wieś Kamyszły na północno-wschodni kraniec Zatoki Północnej. Okupanci planowali przerwanie frontu obrony, okrążenie jednostek czwartego sektora i wtargnięcie do Sewastopola. Hitlerowcy skoncentrowali główne siły swojej 11. Armii w okolicy góry Aziz-Oba, na północ od Gór Mackenzie. Ponadto, aby zapewnić sukces operacji wojskowych, zgromadzono tam rezerwy po-

mocnicze… Wróg zamierzał ukończyć tę operację za cztery dni – do 21 grudnia”[2].

Wykorzystując warunki naturalne terenu, na niektórych odcinkach frontu faszystowskim strzelcom udało się przeniknąć na tyły naszej obrony. Liczyli na otoczenie pododdziałów radzieckich, jednakże ten manewr im się nie udał. Nasze grupy niszczycielskie, składające się głównie z komunistów i komsomolców, zlokalizowały przeciwnika i dzięki temu strzelcy nieprzyjaciela zostali otoczeni i zlikwidowani.

Pierwszy dzień drugiego szturmu nie przyniósł nazistom sukcesu. W bitwach powietrznych i za sprawą działania ognia artylerii przeciwlotniczej stracili 9 samolotów. Zniszczyliśmy także wiele czołgów i siły żywej. Przeciwnik napotykał stale rosnący opór jednostek strzeleckich i pododdziałów piechoty morskiej, które prowadziły trudną, nieustanną walkę.

Wśród jednostek Armii Nadmorskiej wspaniale walczyli żołnierze pułku artyleryjskiego z podpułkownikiem Bogdanowem na czele, którzy wcześniej toczyli heroiczne boje pod Odessą.

Artylerzyści „Bogdanowcy” zawsze byli blisko pierwszej linii walki, a bywały i takie przypadki, że musieli się mierzyć z atakującą piechotą wroga. W trudnych chwilach potężnego natarcia Bogdanow osobiście wychodził na pas neutralny i korygował ogień swojego pułku. Nieustraszoność i męstwo były głównym znakiem rozpoznawczym artylerzystów.

Walki toczyły się nie tylko na lądzie, lecz także na morzu. Odważnie walczyli w tych dniach marynarze z krążownika „Krasnyj Krym”, którymi dowodził kapitan II rangi Zubkow. Jego załoga – artylerzyści, maszyniści,

elektrycy i torpedziści – ofiarnie odpierała rozszalałe naloty faszystowskich bombowców. Pływająca forteca osłaniała statki radzieckie, które płynęły do Zatoki Sewastopolskiej, oraz prowadziła niszczycielski ogień w kierunku wrogiej piechoty i sprzętu. Artylerzyści pokładowi nie znali znużenia: z ogromnym poświęceniem zadawali śmiertelne ciosy i oszałamiali przeciwnika niespodziewanymi atakami.

Pewnego dnia, w apogeum bitwy, pocisk wroga eksplodował obok armaty starszego sierżanta, Michajlenki. Działonowy i część artylerzystów zostali ranni. Wystrzały nie milkły. Starszego sierżanta zastąpił marynarz. Nie zważając na straty, artyleria okrętowa funkcjonowała bez zarzutu.

Wielu bohaterów obrony Sewastopola mieszkańcy znali z nazwiska. Dużą popularnością cieszył się dowódca trałowca Dmitrij Andriejewicz Głuchow. Jego kuter pierwszy wyszedł w morze, aby trałować miny morskie. Wyławianie min to bardzo niebezpieczne zadanie. Miny takie nazywane są akustycznymi, ponieważ eksplodują nawet w czasie nieznacznych wibracji. Nie zważając jednak na zagrażające niebezpieczeństwo, minowiec Głuchowa je neutralizował. Załoga śmiałków potrzebowała zaledwie kilku godzin, aby oczyścić drogę statkom zawijającym do zatoki.

Pamiętam jeszcze jeden wyczyn tej załogi. Sznur ciężko załadowanych radzieckich transportowców płynął do Sewastopola. Ochraniał je szereg kutrów pod dowództwem Głuchowa. Faszystowskie samoloty zwiadowcze namierzyły statki i skierowały na nie swoje lotnictwo bombowe. Bomby spadały ze świstem, wznosząc ogromne słupy wody. Niemcy wiele razy próbowali atakować transportowce, lecz ogień z naszych kutrów

przepędził samoloty i w efekcie radzieckie transportowce bez szwanku dopłynęły do celu.

Chwalebnych obrońców Sewastopola inspirowały pierwsze zwycięstwa Armii Czerwonej pod Moskwą.

Dążąc do zmniejszenia wagi naszych zwycięstw i odbudowania legendy o „niezwyciężoności” swojej armii, hitlerowskie dowództwo postawiło przed swoimi stacjonującymi pod Sewastopolem wojskami kolejne zadanie: za wszelką cenę zająć miasto.

21 grudnia był wyznaczoną przez faszystów datą zajęcia Sewastopola, którego zdobyciem chcieli uczcić sześciomiesięczną wojnę ze Związkiem Radzieckim. Wróg nacierał. Sewastopol znalazł się w niezwykle trudnej sytuacji, w zasadzie rozstrzygał się los jego dalszej obrony. 20 grudnia wysłano raport do Stawki Najwyższego Naczelnego Dowództwa, który opisywał obecne trudne położenie. Po upływie czterech godzin udzielono odpowiedzi: Naczelne Dowództwo wydało rozkaz, by dowódca Floty Czarnomorskiej wysłał do Sewastopola oddział piechoty morskiej, uzupełnienie piechotne i amunicję”[3].

Rankiem 17 grudnia, pierwszego dnia szturmu, w wyjątkowo trudnej sytuacji znaleźli się żołnierze i dowódcy 287. Pułku Strzeleckiego z 25. Dywizji „Czapajewskiej”, którzy zajmowali pozycje u podnóża góry Jajła-Basz i na południowym krańcu Doliny Kamyszłowskiej. Natarła na nich niemiecka piechota, złożona z kilku batalionów i wspierana przez dziesięć czołgów. Wkrótce w okopach 5. Kompanii drugiego batalionu tego pułku rozpoczęła się walka wręcz. Wyróżnił się w niej młodszy kierownik polityczny Gołubniczy. Pchnął bagnetem sześciu faszystów, odniósł rany, ale pozostał w wojskowych szeregach.

Jednakże w południe żołnierze 287. Pułku musieli się wycofać do wioski Kamyszły i o piątej po południu znajdowali się już 800 metrów na wschód od niej. 9. Kompania została nawet otoczona, ale wciąż bohatersko odpierała ataki hitlerowskich cekaemistów. Pod wieczór pułk odszedł jeszcze dalej – na północno-wschodnie zbocze Doliny Kamyszłowskiej.

Bardzo silny atak wytrzymali również żołnierze 2. Perekopskiego Pułku Piechoty Morskiej, który wchodził w skład naszej dywizji. Aby powstrzymać Niemców, rzucali się do walki z bagnetami w dłoniach, lecz zmuszeni byli do stopniowego wycofywania się i zatrzymali na zachodnim zboczu na wysokości 264,1 metrów. Artylerzyści z 69. Pułku pomogli im się uwolnić od wroga. Strzelali płaskotorowo z armat kalibru 76 mm i zniszczyli dziesięć wrogich czołgów.

Takie zacięte starcia rozgrywały się około kilometra na lewo od 54. Pułku. „Razincy” także uczestniczyli w strzelaninie z hitlerowcami, lecz nie doświadczyli tak zaciętego naporu wroga. Wprawdzie kilka razy Niemcy tyralierą wchodzili na oczyszczony z drzew i krzewów pas neutralny, lecz napotkawszy gęsty ogień karabinów, automatów i strzelb wspomaganych przez moździerze, padali na ziemię i czołgając się, wycofywali na swoje pozycje.

Przez dwa dni w Górach Mackenzie rozbrzmiewała kanonada. Faszyści nie mogli przełamać naszego frontu i uzyskać decydującej przewagi nad obrońcami Sewastopola. Rosjanie rzucali się do kontrataku i odbijali zajęte przez Niemców swoje rubieże ogniowe.

Poranek 19 grudnia na pozycjach pierwszego batalionu był spokojny. Nagle jednak wróg rozpoczął intensywny ostrzał z armat i moździerzy dużego kalibru. Przywykliśmy już do tego, toteż schowaliśmy się w naszych ziemiankach z dachami składającymi się z trzech rzędów belek. Następnie

ochrona wojskowa zgłosiła pojawienie się sprzętu niemieckiego. Na polanę, szczękając gąsienicami, wtoczyło się działo samobieżne StuG III z krótką, dokładnie obrębioną armatą, oraz transporter opancerzony Sd.Kfz.250/1, który nieprzerwanie prowadził ogień z karabinu maszynowego zainstalowanego za tarczą pancerną na dachu kabiny. W ślad za wozami bojowymi posuwały się ze dwa bataliony strzelców i cekaemistów. Nasza bateria przeciwpancerna wzięła na cel działo samobieżne, piechota zaś miała za zadanie rozprawić się z półgąsienicowym transporterem opancerzonym.

Zgodnie z planem dowódcy batalionu Dromina, podczas zmasowanej ofensywy Niemców na pozycje pierwszego batalionu żołnierze plutonu snajperskiego powinni się znajdować w grupie z cekaemistami, by wspierać ich w defensywie i atakować oficerów oraz podoficerów przeciwnika. Pozwolono mi zająć zawczasu przygotowany i zakamuflowany okop na pasie neutralnym, aby z zasadzki prowadzić ogień na skrzydło nadchodzących napastników, zdusić gniazda karabinowe i pozycje moździerzowe.

W tym momencie gniazdo karabinu maszynowego zbliżało się do mnie
z prędkością około 25 kilometrów na godzinę. Przysadzisty i niezbyt duży, o wadze prawie 6 ton, samochód pancerny Sd.Kfz.250/1 w kolorze beżowym z brązowymi i zielonymi pasami, obracał się lewym bokiem i nieprzerwanie zasypywał pociskami przestrzeń przed okopami pierwszego batalionu. Na jego boku wyraźnie widniały czarno-biały krzyż i numer boczny 323, co oznaczało: trzeci transporter opancerzony drugiego plutonu 3. Kompanii. Odległość się zmniejszała. Pojazd podjeżdżał do punktu orientacyjnego, czyli dawno przestrzelonego, obłamanego prawie przy zie-

mi pnia młodego wiązu. Spojrzałam w okular celownika optycznego „PE” na swojej „triochliniejce”.

W ciągu minuty należało rozwiązać zadanie balistycznie. Po pierwsze, pokład transportera opancerzonego znajdował się dość wysoko, więc głowy cekaemistów, tak nieustraszenie strzelających z MG 34, znajdowały się ponad dwa metry nad ziemią. Mój okop, osadzony głęboko pod ziemią, miał przedpiersie o wysokości 20 centymetrów i leżała na nim „snajperka”. Pomiędzy linią celowania a poziomą wylotu utworzył się kąt 35 stopni, nazywany kątem położenia celu i w tym momencie był dodatni, dlatego też celownik należało obniżyć. Po drugie, transporter opancerzony się poruszał. To oznaczało, że konieczne jest „wyprzedzenie”, a więc, że lufę broni należy przesuwać w kierunku ruchu celu do przodu, odpowiednio do prędkości. Łatwo jest obliczyć „wyprzedzenie” na dystansie 200 metrów. Kula z „triochliniejki” dotrze do celu w 0,25 sekundy. W tym czasie niemiecki samochód pancerny przejedzie cztery metry. Stosując w obliczeniach pojęcie „jednej tysięcznej”, obróciłam boczny bęben na metalowej rurce celownika o kilka podziałek, po czym miękko nacisnęłam palcem wskazującym spust. Karabin jak zwykle uderzył kolbą w ramię, a z lufy momentalnie wydarł się rozbłysk.

Ustały strzały z karabinu maszynowego na dachu Sd.Kfz.250/1. Żołnierze padli na dno transportera – hełmy ich nie uratowały. Radzieckie kule poleciały z dołu, trafiając prosto między oczy. Bardzo nieroztropnie postąpił podoficer – dowódca załogi samochodu pancernego. Zdziwiony wychylił się z kabiny do kadłuba, aby zobaczyć, dlaczego umilkł karabin maszynowy – przecież wróg strzelał tylko od frontu, a przednia część pojazdu była chroniona blachami pancernymi o grubości około półtora centymetra. Nie miał czasu pomyśleć o snajperze: moja kula trafiła go w skroń.

Ci, którzy uważnie obserwowali ten atak ze stanowiska dowodzenia niemieckiego batalionu zwiadowczego, oczywiście wszystkiego się domyślili. Dosłownie minutę później na zagajnik, w którym się znajdowałam, runęły salwy z niemieckich moździerzy 8 cm Granatwerfer 34 kalibru 81 mm. Miałam zapasowe, głębokie i dobrze wyposażone schronienie. Trzykrotnie przeturlałam się przez lewy bok i prawie do niego dotarłam. Jednak nie mina, a ciężki pocisk nagle rozerwał powietrze, uniósł w powietrze grudy ziemi, gałęzie drzew i opadłe liście. Jak gdyby gorąca łapa ogromnego zwierza uderzyła mnie w prawe ramię, ostry ból przeniknął prawą łopatkę, a potem nastała ciemność…

Obudził mnie chłód. Szynel i strój kamuflażowy na prawym ramieniu i plecach zmieniły się w łachmany. Obok walał się hełm z rozszarpanym paskiem. Drewniane łoże karabinu zostało złamane, lufa wygięta, a celownika optycznego w ogóle nie było. Najgorzej, że rozerwana przez pocisk korona akacji runęła wprost na mnie, przycisnęła do ziemi i unieruchomiła. Ból skoncentrował się między kręgosłupem a prawą łopatką. Nie mogłam się dostać do rany, by samodzielnie ją opatrzyć. Czułam tylko, że leci mi krew i wsiąka w koszulę i bluzę wojskową.

Nadchodził zmierzch. W lesie było bardzo spokojnie. Gdzieniegdzie echo powtarzało dudnienie odległej kanonady, jednak tutaj walki prawdopodobnie już się zakończyły. Jak się jednak one zakończyły? Gdzie są teraz moi towarzysze z pułku? Dokąd udało się dojść frycom? Czy ktoś w ogóle spróbuje mnie odszukać…?

W otumanionym bólem mózgu, z powodu dużej utraty krwi i w przenikliwym chłodzie słowa rozpadały się na sylaby, zatracały sens, zanikały. Zastąpiły je przywidzenia. Najpierw były niejasne i niewyraźne, a następnie pokazały się inne – posiadające zarysy, figury i twarze. Przygotowywałam się

na śmierć i myślałam, że teraz powinnam zobaczyć tych, których straciłam w ciągu ostatnich miesięcy wojny. Jednakże zwróciła się do mnie matka, Jelena Trofimowna, pieszczotliwie nazywana w naszej rodzinie Lenusią – mój doradca i wierna przyjaciółka, obecnie przebywająca w dalekiej Udmurcji. Pojawiło się też surowe oblicze ojca. „Biełowowie tak łatwo nie odchodzą!” – jego słowa nie zabrzmiały, a niejako odcisnęły się piętnem w moim mózgu. Oto i mój syn Rostisław, mój drogi i ukochany Morsik, który bardzo wyrósł w ciągu ostatniego półrocza, kiedy się nie widzieliśmy. Nie był już dzieckiem, lecz niezgrabnym nastolatkiem. Wyciągnął do mnie rękę i rzekł: „Mamusiu!”. Jego ręka była ciepła. Poczułam ów dotyk i z trudem otworzyłam oczy.

Nagie gałęzie drzew, okaleczone przez artylerię, czerniały na tle szarego, zimowego nieba. Ostatnie promienie zachodzącego słońca przebijały się przez ich smętną plątaninę i padały na błyszczącą zbroję wikinga. Jaskrawe odblaski zajaśniały na jego hełmie z podniesioną przyłbicą.

Był to ostatni przebłysk zamroczonej świadomości. W rzeczywistości pochylał się nade mną podporucznik Aleksiej Kicenko, ubrany w szynel, w hełmie ciut zsuniętym na tył głowy i z automatem przerzuconym przez ramię. Coś do mnie mówił, usłyszałam jego słowa:

– Lusiu, nie umieraj! Lusiu, błagam cię! Lusiu, no proszę!

Nie mogłam sobie wyobrazić, jak dowódca 2. Kompanii zdołał mnie znaleźć w tym lesie. W ślad za nim pojawili się żołnierze. Odciągnęli fragmenty akacji, a Aleksiej wziął mnie na ręce i wyniósł z zagajnika do okopów. Nasz instruktor sanitarny Jelena Palij rozcięła mój szynel i bluzę wojskową, a następnie dokładnie obandażowała ranę, by w ten sposób zatrzymać krwotok. Kicenko poprosił dowódcę pułku o jego samochód osobowy. Po 20 minutach przewieziono mnie z Doliny Kamyszłowskiej do Inkermanu, gdzie w sztol-

niach mieścił się batalion medyczno-sanitarny nr 47, a także szpitale polowe nr 316, 76 i 356.

W ciągu trzech dni drugiego szturmu znalazły się tutaj prawie trzy tysiące rannych żołnierzy i dowódców Samodzielnej Armii Nadmorskiej. To ogromne, podziemne centrum medyczno-sanitarne było jednak przygotowane na niesienie pomocy takiej liczbie rannych. Znajdowały się tam dwie świetnie wyposażone sale operacyjne, sale opatrunkowe, izolatki, różne gabinety medyczne (fizjoterapeutyczny, dentystyczny itp.) i sale chorych.

Rannych w sali przyjęć szybko kwalifikowano, więc znalazłam się na sali operacyjnej, gdzie jednocześnie na czterech stołach wykonywano operacje żołnierzom rannym w brzuch lub klatkę piersiową. Poszczęściło mi się. Chirurg z naszego dywizjonowego batalionu medyczno-sanitarnego Władimir Fiodorowicz Piszeł-Gajek, znakomity lekarz i nadzwyczajny człowiek, wyciągnął odłamek z pleców i nałożył trzy szwy na moją ranę. Z powodu dużej utraty krwi mój ogólny stan zdrowia był ciężki i lekarz zamierzał wysłać mnie na ląd. Późnym wieczorem 19 grudnia z Kamiennej Przystani w Zatoce Północnej odpływał statek transportowy „Czechow”, na który załadowano już ponad 400 ciężko rannych żołnierzy i oficerów zoperowanych w sztolniach.

Jeśliby się tak stało, to już nigdy nie zobaczyłabym Aleksieja Kicenki. Całkiem możliwe, że i moja kariera wojskowa też potoczyłaby się zupełnie inaczej. Dowódca 2. Kompanii doczekał jednak końca operacji, odprowadził mnie do sali i poszedł porozmawiać z chirurgiem. Bardzo prosił go, aby nie odsyłał starszego sierżanta Pawliczenko z Sewastopola, zaręczając, że krew dla mnie – i nie tylko dla mnie – chętnie oddadzą czerwonoarmiści nie tylko z 2. Kompanii, ale również z całego pierwszego batalionu 54. Pułku Strzelców. Na

początek podporucznik zaproponował chirurgowi, aby ten pobrał krew właśnie od niego.

Propozycja dotycząca oddania krwi przez żołnierzy z kompanii i batalionu była mało prawdopodobna. Nikt nie pozwoliłby na to, aby żołnierze z pierwszej linii frontu przeszli na tyły, dopóki faszyści prowadzą natarcie. Widocznie jednak Aleksiej Kicenko miał dar przekonywania i Piszeł-Gajek mu zaufał. Nie wiem, jakich argumentów użył Aleksiej podczas rozmowy z lekarzem – być może podpowiedziała mu je miłość, a lekarz w lot to wychwycił i zmienił zdanie. Zostałam w szpitalu na dwa i pół tygodnia. W tym czasie podporucznik odwiedził mnie kilka razy.

Nasze krótkie spotkania upływały w serdecznej atmosferze. Dowódca kompanii pojawiał się u mnie z różnymi prezentami: to ze zdobyczną tabliczką belgijskiej czekolady, znalezioną w torbie zabitego niemieckiego oficera, to z maleńkim flakonikiem perfum „Krasnaja Moskwa” (w oblężonym Sewastopolu niektóre sklepy były czynne), a to z pół tuzinem batystowych chusteczek do nosa obszytych koronką, które otrzymał w prezencie od cudownych kobiet z Sewastopola. Szczegółowo i fascynująco opowiadał o frontowym życiu naszego rodzimego 54. Pułku Strzelców imienia Stiepana Razina.

20 grudnia na przykład duża grupa wrogich cekaemistów pod osłoną czołgów przebiła się na radzieckie tyły na styku 54. Pułku, 3. i 2. Perekopskiego Pułku Piechoty Morskiej, lecz została rozgromiona przez w porę przybyłych z odsieczą żołnierzy piechoty morskiej z 7. Brygady. Niemcy nie uspokoili się i w nocy z 21 na 22 grudnia niemiecki batalion znowu przedarł się na styk „Razinców” i piechoty morskiej z 3. Pułku. Nasi zamknęli wyłom z pomocą rezerwy dywizjonowej, którą przysłał generał major Kołomijec. Była to kompania marynarzy z Pułku Perekopskiego. Pomimo mrozu

żołnierze mieli na głowach tylko czapki marynarskie bez daszku, a poza tym przywieźli ze sobą… materace. Zostawili je na swoich stanowiskach i od razu ruszyli do ataku. Niemcy otworzyli wściekły ogień, a marynarze na przekór wszystkiemu parli do przodu, by w końcu pokonać faszystów. Na placu boju zostało 300 zabitych okupantów, a także ich broń: 11 ciężkich karabinów maszynowych, 7 ręcznych karabinów maszynowych, 2 moździerze i 300 karabinów. „Razincy" również uczestniczyli w tej chwalebnej bitwie i rzucili się do ataku z bagnetami. Dowódca Armii Nadmorskiej przysłał jeszcze trzy tankietki do pomocy. Żadnego pożytku z nich jednak nie było, gdyż utknęły w lesie wśród powalonych drzew, a potem trzeba było je wyciągać za pomocą holowników.

Genialnie za to wykazali się 22 grudnia żołnierze i oficerowie z dywizjonu 265. Pułku Korpusu Artylerii. Bez osłony piechoty prowadzili ogień płaskotorowo z armat i haubic z odległości 300–400 metrów w masy napierających hitlerowców i powstrzymali wroga.

24 grudnia faszyści wznowili swoją ofensywę na pozycje 54. Pułku i sytuacja stała się dramatyczna, nasi jednakże i tym razem wytrzymali. W tym samym czasie ze sztabu armii przyszedł rozkaz, aby zebrać pozostałą na polu walki broń – zarówno swoją, jak i nieprzyjacielską. Wieczorem 29 grudnia dwa niemieckie bataliony niespodziewanie zaatakowały nasze pozycje, zlokalizowane na północny wschód od chutoru Mackenzie. Ten atak również został odparty za pomocą artylerii pułkowej.

Nie powiodły się plany dowódcy 11. Armii Wehrmachtu, generała pułkownika Ericha von Mansteina, który chciał powitać nowy, 1942 rok, w Sewastopolu. Szkoda, że nie udało mi się dorzucić swojej cegiełki do obrony miasta, aby

na wieki pozostawić w ziemi krymskiej ze dwa tuziny zwolenników „cywilizacji europejskiej”.

Nie miałam nic ciekawego do powiedzenia Aleksiejowi Kicence. O moich celnych strzałach w transporter opancerzony, co poskutkowało atakiem artyleryjskim, i tak już wiedział, gdyż w przeciwnym razie nie szukałby mnie w lesie. Dziwne omamy ciężko rannego snajpera raczej nie będą mieć dla niego żadnej wartości. Nigdy nie przyznałabym mu się do swoich fantazji, które do tej pory dziwią mnie swoim podobieństwem do rzeczywistości. W uszach dźwięczały mi jego słowa: „Lusiu, nie umieraj!”, a do moich oczu mimowolnie napływały łzy, chociaż nie jestem osobą sentymentalną.

Wszystko potoczyło się tak jakoś samoistnie. Po wypisaniu ze szpitala Aleksiej odwiózł mnie na pozycje naszego pierwszego batalionu bezpośrednio do swojej dowódczej ziemianki. Udekorował ją: na nakryty płóciennym obrusem stół, zbity ze świeżo wystruganych desek, postawił łuskę po 45-milimetrowym pocisku, w którą włożył zimowy bukiet z zielonych pędów jałowca i gałązki klonu z cudownie ocalałymi na niej żółto-czerwonymi listkami. W pomieszczeniu piwnicznym, oświetlonym mglistym światłem żarówki akumulatorowej, płonęły one jak dwie latarnie. Znajdowała się tam również zastawa stołowa: cynowe talerzyki z cienko pokrojonym ciemnym chlebem i kiełbasą, otwarta puszka mielonki, ugotowane w kociołku ziemniaki i manierka z wódką.

– Dzisiaj jest szczególny dzień, Lusiu – powiedział nader uroczyście, pochylił się w kierunku wazonu, zerwał jeden liść w kształcie ludzkiej dłoni i podał mi go. – Maleńki prezent dla ciebie, moja jedyna. Niniejszym proszę cię o rękę.

Powiedziałam „Tak”. Nie da się ukryć, że wydarzenia rozwijały się szybko, lecz na wojnie inaczej się nie da. Dzisiaj żyjemy, a jutro… Nikt nie wie, co przyniesie jutro. Miałam

tylko jedną prośbę i Kicenko na początku był nią zaskoczony. Powiedziałam, że mój pierwszy mąż też miał na imię Aleksiej. Nie chcę pamiętać tego człowieka, dlatego podporucznika będę nazywać inaczej, a mianowicie „Lonia”. Kicenko roześmiał się, przytulił mnie i się zgodził: „Nazywaj mnie jak chcesz, kochanie!”.

Rzeczywiście wystosowaliśmy do dowództwa wniosek o zalegalizowanie naszego związku. Wniosek podpisali dowódca batalionu, porucznik Dromin, i dowódca pułku, major Matusiewicz. Dokument opatrzono pułkową pieczęcią i przyjęto go do realizacji w siedzibie 25. Dywizji „Czapajewskiej”. Towarzysze broni napomykali o weselu, lecz bardziej dla żartów niż na serio[4]. Sewastopol odparł drugi atak, ale poniósł wielkie straty – 23 tysiące zabitych, rannych lub zaginionych. W niektórych kompaniach naszego pułku zostało po 60–70 żołnierzy. Bardzo ucierpiała na przykład 8. Brygada Piechoty Morskiej, która walczyła niedaleko od nas, w czwartym sektorze obrony u podnóża góry Aziz-Oba i obok wsi Aranczi. Na początku drugiego szturmu liczyła około 3500 osób, a 31 grudnia zostało niewiele ponad 500. W tych okolicznościach bardziej na miejscu byłoby urządzenie stypy niż uczty weselnej…

Mój mąż Aleksiej Arkadjewicz Kicenko był starszy ode mnie o 11 lat. Jego życie rodzinne, podobnie jak i moje, na początku nie układało się zbyt dobrze. Pod naciskiem swojej apodyktycznej matki ożenił się w młodości z kobietą, którą rodzicielka sama dla niego wybrała. Rozwiódł się w atmosferze skandalu, obfitującego w różne nieprzyjemne sytuacje. Niemniej jednak, w wieku 36 lat jego charakter, dobry i łagodny z natury, całkowicie się już uformował i nic nie mogło zawrócić podporucznika z raz obranej drogi. Jako dowódca cieszył się niepodważalnym autorytetem wśród swoich podwładnych, a jako mąż zawsze troszczył się o mnie

i chronił od wszelakich ataków – oczywiście na ile było to możliwe na pierwszej linii frontu. Przy nim po raz pierwszy poczułam, czym jest wzajemna miłość, w której człowiek zatraca się bez reszty. Jakże szaleńczo szczęśliwa byłam w tych dniach…

Schron z ziemnymi ścianami i niskim dachem, wykonanym z trzech rzędów drewnianych kłód, miał zapewne niewiele wspólnego z przytulnym gniazdkiem dla nowożeńców, jednak nam mieszkało się w nim doskonale – w komforcie, na jaki mogli sobie pozwolić oficer frontowy i jego żona. Ze schronu udawałam się do lasu, aby polować na wrogów, do niego też wracałam, wiedząc, że o każdej porze dnia i nocy będzie na mnie czekało na „kozie” naczynie z gorącą wodą, kubek słodkiej herbaty, świeża koszula i prycza zaścielona flanelowym kocem, a ordynans dowódcy 2. Kompanii przyniesie nam z kuchni obiad lub kolację.

Miesiąc miodowy wpłynął pozytywnie na moje rezultaty strzelania z karabinu snajperskiego. Pociski latały dokładnie i tylko zgodnie z określoną trajektorią – same niejako odnajdując cel. Czasami wydawało mi się, że zaczarowany las zaakceptował moje małżeństwo i pomaga mi, naprowadzając zadufanych fryców to na zaśnieżoną polanę, aby sprawdzić rozlokowanie min, to na drogę, by naprawić rozerwany przewód telefoniczny, to z kolei na najwyższe drzewo, by korygować ogień artylerii. Z wyziębionej styczniowym wiatrem gęstwiny miłość prowadziła mnie z powrotem do ziemianki. Wróg często towarzyszył mi w marszu przez pas neutralny swoim zwykłym „koncertem niemieckiej muzyki klasycznej” w wykonaniu moździerzy. Wtedy prosiłam o pomoc naszych cekaemistów, wołając ich lub pokazując znad krzaków małą saperską łopatkę. Zaczynali strzelać, a wtedy ja wydostawałam się z lasu bez szwanku.

Szeregowi żołnierze z plutonu snajperskiego w sposób należyty odnosili się do moich osobistych sukcesów: starali się brać ze mnie przykład, szybciej przyswajać różne metody kamuflażu i doskonalić posługiwanie się bronią. Znaczną część podstawowego szkolenia żołnierzy trafiających do nas z kompanii marszowych przywożonych z Noworosyjska prowadził obecnie Fiodor Siedych, który za wykazanie się nadzwyczajną odwagą w czasie drugiego szturmu otrzymał stopień sierżanta. Pomagał mu szeregowy Anastas Wartanow, który już dawno opanował posługiwanie się „snajperką" i wykorzystywał swoje zmyślne umiejętności myśliwskie przeciwko okupantowi. Czasami brałam ze sobą do lasu w roli snajperów-obserwatorów nowicjuszy, którzy mieli smykałkę do celnego strzelania, by tam szkolić ich w warunkach naturalnych. W końcu takie subtelne rzemiosło łatwiej przyswoić, pracując u boku zawodowca.

Wiem, co żołnierze o mnie mówili. Po pierwsze, myśleli, że chroniła mnie swoim zaklęciem jakaś babka-znachorka z chutoru pod Odessą, którą uratowałam przed Rumunami. Po drugie, twierdzili, że nikt nie może mnie znaleźć w lesie, ponieważ chodzi za mną sam gospodarz lasu – diabeł leśny. To on osłania mnie swoim ogromnym, drewnianym ciałem przed wrogiem i rękami-pniami ściąga na siebie lecące w moją stronę kule i odłamki. Trzecia legenda (moim zdaniem wszystkie wymyślił stary leśniczy) dotyczyła moich zdolności. Jakoby od owego diabła nauczyłam się słyszeć na kilometr, widzieć nocą tak samo, jak w dzień, stąpać po leśnych ścieżkach całkowicie bezszelestnie, ukrywać się tam, gdzie nikt inny nie dałby rady. Z tego zapewne powodu otrzymałam w swoim pułku dziwny pseudonim „RYŚ".

Przypisy

[1] Fajka, kapciuch i dwie srebrne papierośnice L. M. Pawliczenko przechowywane są w Centralnym Muzeum Sił Zbrojnych w Moskwie, zbiór nr 2/3776 – przyp. red. ros.

[2] Tu zapewne kończy się cytat, bowiem w oryginale cudzysłów nie zostaje zamknięty w żadnym miejscu – przyp. tłum.

[3] Jest to fragment broszury *Bohaterska historia prawdziwa. Obrona Sewastopola*, którą L. M. Pawliczenko napisała na zlecenie Państwowego Wydawnictwa Politycznego w 1958 roku, s. 23–25 – przyp. red. ros.

[4] We wspomnieniach Ludmiły Pawliczenko nie ma jednak ani słowa o rozwodzie z pierwszym mężem – Aleksiejem Pawliczenką. W czerwcu 1941 roku, zgłaszając się na ochotnika na wojnę, Pawliczenko bez wątpienia była jeszcze mężatką, o czym świadczy pieczątka w jej dowodzie osobistym (zob. rozdział 3), tak więc albo jej pierwsze małżeństwo z jakichś przyczyn w czasie wojny unieważniono, albo też orzeczono rozwód zaocznie, mało prawdopodobne jest bowiem, by do rozwodu doszło jeszcze przed wojną, a fakt ten nie byłby odnotowany w dowodzie osobistym samej zainteresowanej – przyp. tłum.

Rozdział 10

POJEDYNEK

Pierwsze dni stycznia 1942 roku przyniosły na froncie względny spokój, jednak wymiana ognia artyleryjskiego między radzieckimi a niemiecko-faszystowskimi wojskami trwała nadal. Słychać było tu i armaty dalekonośne kalibru 305 mm, na przykład z baterii nadbrzeżnej nr 30 (Fort Maksym Gorki I) i nr 35 (Fort Maksym Gorki II), i haubice kalibru 152 mm, i armaty 122 mm 134 oraz 265. Pułku artylerii, stacjonujących w naszym trzecim sektorze obrony, i wreszcie działa okrętowe krążowników oraz niszczycieli przywożących do Sewastopola uzupełnienie, zapasy amunicji, żywność i sprzęt. Podczas sprzyjającej pogody aktywnie działało lotnictwo: bombardowało tyły wroga, prowadziło wywiad powietrzny i korygowało ogień artylerii nadbrzeżnej, osłaniało Główną Bazę Marynarki Wojennej przed nalotami faszystów, a nawet… rozrzucało ulotki nad okopami niemieckich i rumuńskich pułków.

Czasami jednostki lądowe dokonywały rozpoznania w bitwie na różnych odcinkach frontu w celu analizy przedniej linii przeciwnika, jego broni ogniowej oraz punktów i węzłów oporu. Takie starcia nie wyróżniały się długotrwałością ani zaciętością, jednak pozwalały się zorientować, co się dzieje u fryców.

Zdarzały się jednak także smutne historie. W czwartek 8 stycznia 1941 roku szef sztabu Armii Nadmorskiej generał major Nikołaj Kryłow pojechał samochodem osobowym do trzeciego sektora, aby skontrolować lokalizację jednostek bojowych. Towarzyszył mu adiutant dowódcy armii – starszy lejtnant Kocharow. Odwiedziwszy sztab 79. Brygady Strzel-

ców, ruszyli polną drogą do nas – 25. Dywizji. Nagle generał zatrzymał samochód. Chciał spojrzeć z małego wzniesienia na malownicze odgałęzienie pasma górskiego Doliny Kamyszłowskiej, będącej pod koniec grudnia miejscem zaciętych walk. Po chwili za jego plecami eksplodowała mina, po niej z boku druga, a zaraz z przodu trzecia. Kocharow zginął na miejscu, a trzykrotnie ranny odłamkami min Kryłow został przewieziony tym samym samochodem do szpitala, gdzie przeszedł kilka operacji. Na szczęście generał major przeżył i powrócił na front.

Dolina Kamyszłowska, przez którą przepływał kręty potok, w niektórych miejscach porośnięta sitowiem, w innych – ukryta za sadami jabłoniowymi, obecnie jest terytorium neutralnym. Dwa jej stoki: północny o łagodnym spadku i południowy – stromy i zalesiony – utworzyły między sobą głęboką dolinę. Grzbiet południowego zbocza w niektórych miejscach osiągał wysokość ponad 300 metrów nad poziomem morza. Zajmowali go „Czapajewcy”: nasz 54. Pułk – dwa kilometry na północ od chutoru Mackenzie; półtora kilometra na północ od nas – 2. Perekopski Pułk Piechoty Morskiej; za nim – 287. Pułk Strzelców prawie na wysokości 198,4 metra. Na północnym zboczu znajdowały się jednostki brandenburskie 50. Dywizji Piechoty Niemców. Mogły one z bliskiej odległości ostrzeliwać z moździerzy i karabinów maszynowych zarówno dno wąwozu, jego południowe zbocze, jak i nasze pozycje na grzbiecie. My, naturalnie, nie pozostawaliśmy im dłużni – za oburzający atak na szefa sztabu Armii Nadmorskiej fryce dostali od nas dużo gorących „prezentów”.

Piękny krajobraz górski, który tak zainteresował generała, dopełniał most. Nazywał się Kamyszłowski i łączył dwa wysokie zbocza tego wąwozu. Został zbudowany w dawnych czasach carskich, kiedy to z Moskwy do Sewastopola dopro-

wadzono sieć kolejową i zaczęły po niej jeździć pociągi osobowe oraz towarowe. Podczas obrony miasta most nie był jednak potrzebny ani Rosjanom, ani Niemcom i został wysadzony w powietrze. Na szarych, betonowych podporach piętrzyły się w nieładzie poskręcane, zniszczone i połamane metalowe konstrukcje. Środkowa część dosyć długiego mostu runęła, ocalały tylko dwa czy trzy przęsła z jednej i drugiej strony. Wspaniała budowla przeistoczyła się w ruinę – dowód bezlitosnej i bezsensownej siły wojny.

Czasami patrzyłam nań przez lornetkę. Oczywiście zrujnowany most z wojskowego punktu widzenia był istotną pozycją wojskową, gdyż wznosił się nad okolicą. Z jednej strony mostu, nazwijmy ją północną, w odległości
600–800 metrów doskonale było widać przednią linię frontu i tyły naszych wojsk. Z drugiej – odpowiednio, południowej – niemieckie. Wśród jego wznoszących się nad wąwozem żelaznych szczątków bez problemu dało się znaleźć odpowiednie miejsce na zasadzkę snajperską. Myślałam o tym. Przyzwyczajenie do krajobrazu krymskich lasów nie pozwoliło mi na szybkie podjęcie decyzji. Widok drzew nie był mi obcy, jednak skupiska poskręcanego metalu wymagały dogłębnej analizy. Poza tym most znajdował się w strefie odpowiedzialności 79. Brygady około czterech kilometrów na północny zachód od naszego pułku.

W tym przypadku interesujące jest to, że profesjonaliści myślą i oceniają okoliczności w przybliżeniu tak samo…

Tego dnia rano razem z Fiodorem Siedychem prowadziłam w naszym plutonie zajęcia dotyczące budowy karabinu SWT-40 (trzy tysiące sztuk dostarczono do Sewastopola pod koniec grudnia ubiegłego roku, my dostaliśmy osiem sztuk z celownikami „PU” wraz ze wspornikiem). Jak wiadomo, karabin samopowtarzalny Tokariewa ma dosyć złożoną konstrukcję. Nawet niepełne rozłożenie go wymaga wielu

umiejętności, dokładności, staranności i – powiedziałabym nawet – ostrożności.

Lekcję przygotowaliśmy w taki sposób, że ja opowiadałam żołnierzom, z jakich części składa się broń, a sierżant Siedych powoli pokazywał, jak należy ją rozkładać. Zaczęliśmy oczywiście od odłączenia magazynka na 10 nabojów. Następną czynnością było zdjęcie pokrywy komory zamkowej, którą Fiodor skierował ku przodowi i w ten sposób wyjął urządzenie powrotne, a następnie suwadło z zamkiem. Następnie należało wymontować wycior, wcisnąć nim zatrzask bączka i zsunąć go w przód. Potem pozostało tylko zdjęcie dwóch nakładek: blaszanej, a następnie drewnianej i już można było pociągnąć tłoczysko do tyłu, wysunąć je najpierw z tłoka, a potem z popychacza suwadła i wyjąć. Kolejną czynnością było zdjęcie z króćca komory gazowej tłoka i wyjęcie popychacza ze sprężyną. Katalog rozłożonych na stole części – dużych, małych i bardzo drobnych – stopniowo się powiększał, a wraz ze zwiększaniem liczby elementów rosły także obawy naszych żołnierzy. Nie byli oni jednak jeszcze świadomi tego, że aby rozłożyć SWT-40, należy wykonać 14 operacji, z których ostatnią było oddzielenie iglicy od zamka.

Dało się odczuć, że lekcja nie będzie łatwa. Zupełnie nie chciałam się od niej odrywać, jednak ordynans, który pojawił się w schronie podziemnym, przekazał rozkaz majora Matusiewicza, aby dowódca plutonu natychmiast wyruszył na stanowisko dowodzenia pułku. Tam, oprócz majora, był jeszcze jeden oficer – średniego wzrostu, o mocnej budowie ciała, około trzydziestoośmioletni, ubrany w czarny mundur marynarski z czterema złotymi naszywkami na rękawach. Matusiewicz przedstawił mnie oficerowi: starszy sierżant Ludmiła Michajłowna Pawliczenko, dowódca plutonu 2. Kompanii pierwszego batalionu. Następnie przedstawił

jego: dowódca 79. Morskiej Brygady Strzelców Aleksiej Stiepanowicz Potapow. Pułkownik przyjrzał mi się uważnie.

– Powiadają, że jest pani najlepszym snajperem Dywizji „Czapajewskiej”. Widziałem pani zdjęcie na tablicy honorowej dywizji.

– Niedawno zostało tam umieszczone, towarzyszu pułkowniku.

– Mam do pani ważną sprawę. Wygląda na to, że na naszym posterunku obrony pojawił się znakomity strzelec niemiecki. W ciągu dwóch dni nasze straty to pięciu zabitych. Dwóch z nich było dowódcami, z czego jeden to dowódca drugiego batalionu. Wszyscy dostali strzał w głowę.

– Czy odkryto jego lokalizację? – zapytałam.

– Przypuszczamy, że strzela ze zrujnowanego mostu kolejowego.

– Z mostu?! – nie mogłam się powstrzymać od krzyku.

– Czyżby znała pani to miejsce? – zdziwił się Potapow.

– Nie żebym znała, towarzyszu pułkowniku, ale myślałam o nim.

– I jakie ma pani przemyślenia? – Potapow gestem zaprosił mnie do stołu, na którym leżała mapa „trzywiorstówka”, przedstawiająca tutejsze tereny i lokalizację jednostek wojskowych trzeciego sektora obrony. Pułkownik wskazał ołówkiem Dolinę Kamyszłowską i cienką, czarną linię, przecinającą jej najwęższą część na północnym zachodzie.

– To bardzo dogodna pozycja – powiedziałam. – Zwłaszcza jeśli znajdzie się miejsce w ocalałym przęśle i ukryje się wśród zdewastowanych konstrukcji metalowych. Strzelać celnie można z odległości od 600 do 800 metrów. Przednią pozycję196. i niedalekie tyły 50. Dywizji Piechoty fryców widać jak na dłoni. Z tamtej strony prawdopodobnie są również wyraźnie widoczne linie ostrzału waszej brygady. Dlatego strzelało mu się łatwo.

– Czy może pani wstrzymać swoje ćwiczenia?

– Mogę – odparłam stanowczo. – Oczywiście pod warunkiem, że towarzysz major wyrazi zgodę.

– Nie ma problemu. – Nikołaj Michajłowicz Matusiewicz, przysłuchujący się naszej rozmowie, uśmiechnął się szeroko. – Dla piechoty morskiej wszystko!

– Potrzebujemy snajpera-obserwatora. Najlepiej, jeśli to będzie sierżant Fiodor Siedych – mój stały i doświadczony partner.

– Zgoda. – Matusiewicz skinął głową. – Dziś przyjdzie rozkaz dotyczący przekazania starszego sierżanta Pawliczenko i sierżanta Siedycha do dyspozycji dowódcy 79. Brygady.

Podczas kolacji jak zwykle omawiałam z mężem bieżące sprawy służbowe. Pojawienie się niemieckiego snajpera Aleksiej Kicenko uznał za wydarzenie naturalne. Na ostatniej naradzie dowódców kompanii i batalionów trzeciego sektora, w której miał okazję uczestniczyć, mówiono o nowych metodach w taktyce hitlerowców, którzy podczas pierwszego szturmu liczyli na natychmiastowe przełamanie obrony miasta. Ich atak został odparty w listopadzie 1941 roku, jednak nie porzucili oni nadziei na szybkie zwycięstwo i zaczęli wzmacniać jednostki szturmowe oraz przygotowywać je do drugiego uderzenia. Niepowodzenie przeprowadzonego w grudniu ataku wyraźnie ostudziło ich zapał i zmusiło do gruntownej analizy sytuacji. „Sewastopol okazał się pierwszorzędną twierdzą” – zawiadomił Führera w swoim sprawozdaniu generał pułkownik Erich von Manstein, dowódca wojsk niemieckich na półwyspie.

Twierdza wymaga odpowiedniego oblężenia. Wojna pozycyjna to najlepsza arena dla strzelców wyborowych, dlatego w styczniu 1942 roku w szeregach fryców znacznie zwiększyła się ich liczebność. Z ich działalnością jednostki radzieckie zetknęły się już na innych odcinkach frontu. Nie-

którzy zostali zneutralizowani. Ich dokumenty wojskowe świadczyły o tym, że niemieckie dowództwo przekierowywało na Krym snajperów z dywizji stacjonujących w Polsce i we Francji. Trafiali się tam także nowicjusze, którzy ukończyli krótkoterminowe szkolenia na tyłach samej 11. Armii. Nie mieliśmy pojęcia, kto będzie moim przeciwnikiem. Małżonek poprosił mnie, abym była ostrożna i uważna, oraz zaakceptował mój wybór snajpera-obserwatora. Jego zdaniem sierżant Fiodor Siedych najlepiej ze wszystkich żołnierzy mojego plutonu nadawał się do roli pomocnika w tej operacji, która zapowiadała się na trudną, skomplikowaną i długotrwałą. W rzeczywistości znane jest miejsce tylko jednej zasadzki Niemców, no i wciąż nie wiemy, czy nie mają przygotowanych jeszcze innych pozycji.

Rano pułkownik Potapow przysłał po nas samochód. Fiodor i ja, obładowani sprzętem snajperskim, z plecakami wojskowymi, z karabinami Mosin na ramionach, w szynelach i czapkach uszankach, rozsiedliśmy się na tylnych siedzeniach „Emki” i pojechaliśmy na teren 79. Morskiej Brygady Strzelców. Po drugim szturmie nazistom udało się nieco wyprzeć obrońców z miasta; od tej pory piechota morska zajmowała granice na grzbiecie południowego zbocza Doliny Kamyszłowskiej od 195,2 metrów wzwyż, na wschodnich skarpach od wysokości 145,4 metrów, a bardziej na wschód i północ – bliżej linii kolejowej, rzeki Belbek i wsi tatarskiej o tej samej nazwie – wysokość 124 metry. Ukształtowanie terenu było nam znane: wzgórza, pagórki, głębokie jary ze stromymi zboczami zarośniętymi gęstymi krzakami i gdzieniegdzie lasem, doliny z winnicami i sadami z niewielkimi osadami. W tym miejscu stacjonował posterunek obrony 79. Brygady, liczący cztery kilometry długości oraz dwa i pół kilometra szerokości.

Żołnierze i dowódcy tej jednostki wojskowej pojawili się w Sewastopolu stosunkowo niedawno, ponieważ oddział okrętów Floty Czarnomorskiej przetransportował ich tutaj z Noworosyjska 21 grudnia ubiegłego roku. Licząca cztery tysiące ludzi brygada przybyła w pełnym uzbrojeniu i natychmiast została skierowana na najtrudniejszy odcinek frontu – w Góry Mackenzie. Od razu po zejściu z okrętów piechota morska ruszyła do walki i 22 grudnia dzięki odważnemu atakowi odepchnęła faszystów z zajmowanych przez nich wcześniej wysokości 192,0 metrów i 104,5 metra, co w dużym stopniu przyczyniło się do odparcia drugiego szturmu niemieckiego. Jednakże 79. Brygada poniosła wielkie straty: do 31 grudnia jej skład został uszczuplony o ponad dwie trzecie. W tej sytuacji brygada musiała zostać uzupełniona i należało odbudować zniszczoną w zaciekłych walkach linię obrony. Zobaczyliśmy pierwszą transzeję, która ciągnęła się wzdłuż przedniej pozycji. W wyposażeniu trzech batalionów strzeleckich znajdowały się działa moździerzowe kalibru 50 mm i 82 mm, ciężkie karabiny maszynowe i ręczne karabiny maszynowe. Były także okopy, dobrze wyposażone punkty ostrzału oraz składane, trwałe umocnienia żelbetowe z otworami strzelniczymi. Na długości kilku kilometrów rozciągały się transzeje o głębokości około dwóch metrów.

Stanowisko dowodzenia 79. Morskiej Brygady Strzeleckiej znajdowało się dość daleko od pierwszej linii obrony, kilometr na południe od granicy leśnej nr 1 „Góry Mackenzie”, w ulokowano je w małym, niepozornym białym domku w pobliżu szosy. Najpierw przyjechaliśmy tam i przedstawiliśmy się pułkownikowi Potapowowi i komendantowi brygady wojskowej, komisarzowi pułku Slesariewowi, a następnie w eskorcie dwóch oficerów trzeciego batalionu udaliśmy się

na wysokość 124,0 metrów i znaleźliśmy się w pobliżu mostu Kamyszłowskiego.

Na pierwszy rzut oka stało się dla mnie jasne, że zorganizowanie zasadzki snajperskiej na południowym krańcu mostu będzie niemożliwe, ponieważ poważnie uszkodził go wybuch. Tylko jedno przęsło ocalało, lecz także ono zostało uszkodzone. Całkowicie inaczej sytuacja przedstawiała się po stronie wroga – na północnym krańcu mostu, gdzie uchowały się trzy przęsła. Trzymały się dosyć mocno, choć otaczały je zgięte metalowe belki, poskręcane pręty, poderwane szyny, spalone i rozłamane podkłady kolejowe. Ukrycie się w tym żelazno-drewnianym chaosie to bułka z masłem. Nie miałam wątpliwości, że fryc strzelał właśnie stamtąd. Ale czy wróci na pozycję, z której już dwukrotnie prowadził udane polowanie?

Ze szczegółowym raportem udałam się do Potapowa i tym pytaniem zakończyłam swój meldunek. Pułkownik uważnie mnie wysłuchał. Zastanawiał się przez długi czas i wreszcie zapytał:

– A pani sama wróciłaby na taką pozycję?

– Prawdopodobnie tak. To bardzo dobre miejsce. Wręcz marzenie snajpera.

– Jeśli to taka doskonała pozycja, to w jaki sposób pokona pani wroga?

– Starym rosyjskim sposobem: przebiegłością, uporem i cierpliwością –
odpowiedziałam.

W składzie 79. Brygady funkcjonowała kompania saperska, licząca około stu osób. Saperzy pomogli mi i Fiodorowi urządzić zasadzkę. Nocą na neutralnym pasie wśród gąszczy jałowca i leszczyny na podstawie mojego rysunku szybko i solidnie wykopali transzeję o głębokości około 80 centymetrów i długości 10 metrów przed pierwszą linią obrony

trzeciego batalionu. Transzeja prowadziła do dużego, głębokiego okopu. Nad nim ustawiliśmy ruchomy metalowy szkielet, który obrzuciliśmy gałęziami i śniegiem. W ten sam sposób zakamuflowaliśmy transzeję, by wyglądała jak zwykły rów. Ponadto przygotowaliśmy „kukłę", czyli manekin na kiju, w hełmie, w szynelu, z karabinem przywiązanym do pleców, co miało dodawać mu autentyczności.

Przez dwa dni obserwowałam przez lornetkę wysadzony most. Wypatrzyłam tylko dwa miejsca, które idealnie nadawały się dla człowieka z karabinem. Obserwowaliśmy je na zmianę ja i Fiodor, a szczególnie wnikliwie robiliśmy to przed świtem. Chytry Niemiec się jednak nie pojawił. Już zaczęłam się obawiać, czy nie wykończyli go gdzieś w lesie nasi, dokąd udał się w poszukiwaniu nowej zdobyczy. Siedych powiedział mi coś w stylu: faszyści będący ludźmi niezwykle roztropnymi, po prostu nie mogli porzucić mostu z takim doskonałym widokiem na front i najbliższe tyły 79. Morskiej Brygady Strzelców. Strzelec się pojawi. Ważne, by w porę go zauważyć.

Oparłszy się ramieniem o ścianę okopu, drzemałam, siedząc w kucki. Zimowy mundur: ciepła bielizna, bluza wojskowa, pikowany watowany bezrękawnik i spodnie, szynel i biały strój maskujący chroniły przed zmarznięciem, jednak nie ogrzewały zbyt dobrze. Nagle sierżant dotknął palcem mojego ramienia, a następnie wskazał most. Szybko wyjęłam lornetkę z wiszącego na klatce piersiowej futerału i zbliżyłam ją do oczu. Styczniowa noc stopniowo odchodziła. Most majaczył we mgle jutrzenki. Ciemna sylwetka człowieka, przedzierającego się przez zniszczone belki, ukazała się na tle jaśniejącego nieba i natychmiast zniknęła. Fiodor i ja wymieniliśmy spojrzenia. Skierował kciuk w dół. Skinęłam głową na znak zgody ze swoim snajperem-obserwatorem: obiekt przybył na miejsce walki. Teraz musimy dać mu

możliwość rozejrzenia się, ustawienia i załadowania broni oraz znalezienia znajomych punktów orientacyjnych w przestrzeni, w której już wcześniej przecież działał. Niełatwo będzie frycowi odkryć naszą pozycję. Wykonaliśmy kawał dobrej roboty i bezwzględnie dostosowaliśmy się do wszystkich zasad kamuflażu, których nas uczono w kijowskiej szkole *Osoawiachimu*.

Z wyprzedzeniem – jeszcze przed wejściem do okopu – uzgodniliśmy dalszy plan działania. Gdy sierżant wyjdzie z okopu przez transzeję i znajdzie się blisko naszej przedniej linii, weźmie „kukłę" i zaczeka na sygnał, że jestem gotowa do strzału. Przygotowanie to prosta i znana mi czynność. Będzie to strzał z dołu do góry z poprawką na „kąt miejsca celu".

Minęło pół godziny.

Piątek 23 stycznia 1942 roku zaczynał się wyjątkowo spokojnie. Na granicach lądowych obrony Sewastopola żadna ze stron nie prowadziła operacji wojskowych: milczały armaty, moździerze i karabiny maszynowe. Nie wzbiły się w niebo ani bombowce, ani szturmowce, ani też myśliwce. Wojna sprawiała wrażenie uśpionej i przyczajonej. W takich minutach i godzinach – a zdarzały się one ostatnio często – wydawało się, że przelew krwi dobiegł końca, powraca życie w pokoju, a zapotrzebowanie na nasz fach się skończy. Niestety na razie wiara w to była niebezpieczna. Przysłuchując się niezwykłej ciszy, przyłożyłam dwa palce do ust i gwizdnęłam. Siedych odpowiedział takim samym krótkim gwizdnięciem. Nie spuszczałam oczu z mostu i wiedziałam, że Fiodor, ukrywając się w transzei, już zawlókł „kukłę" na pas neutralny. Z daleka wydawało się, że to radziecki wartownik, opuściwszy okop, sprawdzał teren przed nim. Czy Niemiec połknie haczyk i nabierze się na dawną sztuczkę stosowaną jeszcze na frontach I wojny światowej?

Strzał z mostu wydawał się głuchy, jakby ktoś uderzył żelaznym prętem po drewnianej desce. Krótki błysk widać było dokładnie tam, gdzie się spodziewałam. Szczerze mówiąc, ja również wybrałabym ten zakamarek. Z lewej strony metalowa belka doskonale osłaniała pozycję strzelca, karabin leżał wygodnie na zgiętym pręcie, a sam snajper siedział na pięcie prawej nogi (której kolano oparte było na zniszczonym podkładzie kolejowym), lewy łokieć zaś oparł na lewym kolanie. Nareszcie cię dopadłam, faszystowska kanalio! Myślałam, że zamarznę! W okularze celownika optycznego zobaczyłam jego głowę. Fryc szarpnął zamek karabinu, wyciągnął łuskę, włożył ją do kieszeni i wyjrzał ze swojej kryjówki. Dobrze mówił Drogi Nauczyciel: „Nigdy nie myśl, że twój strzał jest ostatni. Nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz!”.

Wstrzymałam oddech i delikatnie pociągnęłam za spust. Niemiec spadł z wysokości pięciu metrów na lekko podtopione wodą ze strumienia, gęsto zarośnięte sitowiem dno Doliny Kamyszłowskiej. Po nim spadł jego karabin. Ku mojemu zaskoczeniu nie używał niemieckiego karabinu snajperskiego Kar98k, tylko broni opartej na systemie Mosina, mającej celownik „PE” – oczywiście zdobyczny. Wiele naszej doskonałej, całkowicie sprawnej broni (której my, czerwonoarmiści, nazywani Razincami, nie mogliśmy otrzymywać) w pierwszych miesiącach wojny dostało się agresorom. Fiodor, wziąwszy do rąk automat PPSz-41, pozostał w okopie, skąd osłaniał mnie w drodze do trafionego między oczy wroga. Po kwadransie biegu i czołgania się przez trzcinowe zarośla znalazłam się w pobliżu trupa. Nie lubię patrzeć na twarze martwych wrogów, a tym bardziej myśleć później o nich.

Liczyła się każda minuta. Szybko przeszukałam hitlerowca, ubranego w ocieplany mundur i strój maskujący. Znala-

złam jego książeczkę wojskową, obszyte srebrnym galonem naramienniki, czerwoną wstęgę orderową z czarno-białym obramowaniem z drugiego sznura na mundurze oraz order Krzyż Żelazny. Ostrą jak brzytwa finką odcięłam te przedmioty. Kapitan Biezrodny będzie zadowolony – ceni sobie podobne zdobycze i mówi, że doskonale uzupełniają one jego sprawozdania z działalności wywiadu w terenie.

Oprócz tego, kobiecie – przyznajmy to szczerze – nigdy za wiele zapasów bandaża i waty. A fryc je miał: duża siata – w wewnętrznej kieszeni prawej poły, trochę mniejsza paczka z pięcioma metrami bandaża – w prawej kieszeni na piersi. Znalazł się również prezent dla mojego ukochanego męża – płaska manierka z koniakiem i papierośnica wypełniona papierosami.

W metalowym cylindrze, przeznaczonym do noszenia maski przeciwgazowej, w rzeczywistości żadnej maski przeciwgazowej nie ma. Jest za to snajperski suchy prowiant, najprawdopodobniej na dobę: cztery paczki sucharów, dwie tabliczki czekolady w folii aluminiowej, sardynki w oleju w puszce z zawleczką do otwierania.

Zarzuciłam na ramię „triochliniejkę” z celownikiem optycznym (teraz już faszyście zupełnie niepotrzebną) i wróciłam do swojego okopu. Fiodor Siedych czekał na mnie z niecierpliwością. Pomógł mi się dostać przez przedpiersie z powrotem do okopu i zapytał z uśmiechem:

– Kogo tym razem kropnęłaś, towarzyszko starszy sierżant?

– Grubą rybę. Patrz, jakie miał odznaczenia. – Wyciągnęłam z kieszeni zdobyczny order.

– No, najważniejsze – odparł Fiodor – że nasi marynarze trochę się uspokoją.

– Zauważ, że wokół jest cicho. To znaczy, że sam ruszył na polowanie – taki był pewny siebie. – Wyciągnęłam niemiec-

ką książeczkę wojskową i przeczytałam na głos. – Helmut Bommel, 121. Pułk Piechoty 50. Brandenburskiej Dywizji Piechoty, *Oberfeldwebel*. Dobra, ewakuujemy się stąd, póki nie zauważyli jego nieobecności…

Siedych wziął ode mnie oba karabiny – mój i zdobyczny – i szybko przeczołgaliśmy się po transzei do linii frontu trzeciego batalionu 79. Brygady. Zostaliśmy powitani przez wartowników. Pomachał do nas również cekaemista, któremu polecono, aby nas osłaniał w przypadku wykrycia przez wroga naszej pozycji. Jak tylko znaleźliśmy się między wysokimi, ziemnymi murami transzei, od razu nad mostem Kamyszłowskim usłyszeliśmy wybuchy min i huk serii z karabinów maszynowych. Niemcy ocknęli się i zaczęli zalewać pas neutralny deszczem ognia. Nasi nie pozostali dłużni. Piątek 23 stycznia witaliśmy w błogości i spokoju, a jednak wojna się obudziła…

Pułkownik Potapow, siedząc przy stole, długo przyglądał się książeczce wojskowej Helmuta Bommla (wraz z dołączonym rosyjskim tłumaczeniem) i orderowi Krzyża Żelaznego. Staliśmy przed nim z Fiodorem na baczność.

– Kto z was zdjął snajpera? – zapytał Potapow, z jakiegoś powodu patrząc na sierżanta Siedycha – mężczyznę wysokiego i silnego, choć z dobroduszną fizjonomią.

– Ja, towarzyszu pułkowniku – moja szybka odpowiedź zabrzmiała wyraźnie i głośno.

– Jak to się pani udało?

– To rutynowa czynność, towarzyszu pułkowniku – odpowiedziałam.

– Przeczytałem tutaj – niespiesznie kontynuował dowódca 79. Brygady – że ten Bommel został niedawno przeniesiony. Wcześniej walczył w Polsce, Belgii i Francji oraz służył jako snajper-instruktor w Berlinie. Ma na koncie dwustu piętna-

stu zabitych żołnierzy i oficerów. A pani ilu, Ludmiło Michajłowna?

– Dwustu dwudziestu siedmiu.

– A więc walka była wyrównana, trafił swój na swego.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

– Miał dwa ordery. A pani, towarzyszu starszy sierżant, ma nagrody rządowe?

– Melduję, że nie, towarzyszu pułkowniku.

W pokoju zapanowała cisza. Aleksiej Stiepanowicz przypatrywał mi się, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. Zawsze przy takich rozmowach z kierownictwem starałam się milczeć. Podczas półrocznej służby w Siłach Zbrojnych doszłam do wniosku, że przydługie debaty ze starszym dowództwem nie przynoszą młodszemu dowództwu żadnych korzyści, dlatego nie patrzyłam na pułkownika, tylko na kolorowy plakat nad jego głową, z którego spoglądała surowa, młoda kobieta z czerwoną chustką przewiązaną na szyi: „Tss! Wróg nasłuchuje!”.

– Szykujcie się, towarzysze sierżanci! – przerwał nagle ciszę Potapow. – Jedziemy do Kwatery Głównej Armii Nadmorskiej z raportem o waszych dokonaniach.

Aleksiej Stiepanowicz cieszył się wielkim szacunkiem wśród dowództwa Armii Nadmorskiej. Służbę wojskową zaczął jako szeregowy w 3. Krymskiej Dywizji Strzelców, a następnie został oficerem. W 1939 roku ukończył Czerwonosztandarowe Wyższe Strzelecko-Taktyczne Kursy Doskonalenia Kadry Dowódczej „Wystrieł”, a potem wykładał w Szkole Marynarki Wojennej Obrony Wybrzeża im. Leninowskiego Komunistycznego Związku Młodzieży Ukrainy.

Podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej objawił się jego talent dowódczy. Powierzona mu 79. Brygada Morska okryła się niegasnącą sławą w bitwach o Sewastopol, a jego żołnierze i dowódcy stali się wzorem bohaterstwa. Potapow

miał opinię dowódcy surowego, ale sprawiedliwego. Pułkownik regularnie wysuwał kandydatury swoich podwładnych do nagród, gdyż uważał, że ci, którzy pod Sewastopolem odpierają ataki 11. Armii, mającej dwukrotną przewagę liczebną nad obrońcami miasta, zasługują na medale i ordery oraz otrzymywanie stopni wojskowych poza kolejnością.

Rozumie się samo przez się, że wymiany zdań między pułkownikiem Potapowem a generałem majorem Pietrowem ani Fiodor, ani ja nie słyszeliśmy. Kiedy skończyli swoją dosyć energiczną rozmowę, adiutant dowódcy Armii Nadmorskiej zaprosił nas do gabinetu. Iwan Jefimowicz uśmiechnął się do mnie jak do starej znajomej, zapytał o ojca i uścisnął mi dłoń, po czym dodał z uśmiechem:

– Wygląda na to, że przechytrzyłaś fryca, córciu.

– Tak jest, towarzyszu generale majorze.

– Więc znasz już ich wszystkie chwyty?

– Nie ma w nich nic skomplikowanego, Iwanie Jefimowiczu.

– Zuch! Jestem dumny z twoich dokonań i szczerze gratuluję. Wydaje mi się, że jestem ci winny przeprosiny, Ludmiło. Ale to nic, wkrótce się poprawię…

Sierżantowi Siedychowi również uścisnął dłoń i pochwalił go za męstwo w starciu ze słynnym niemieckim snajperem. Dowódca wyraził także nadzieję, iż żołnierze 54. Pułku Strzeleckiego imienia Stiepana Razina nie spoczną na laurach, tylko będą likwidować wrogów socjalistycznej Ojczyzny aż do całkowitego zwycięstwa. Według słów dowódcy armii ten chwalebny czyn należy nagłośnić wśród wszystkich jednostek Sewastopolskiego Okręgu Obronnego, więc Fiodora i mnie sfotografują, żeby wydać specjalne foldery ze szczegółowym opisem starcia żołnierzy radzieckich z faszystowskim zabójcą przy moście Kamyszłowskim.

Nie przywiązywaliśmy wówczas do tych słów zbytniej wagi. Po dwudniowej warcie w zimnym okopie bardzo chcieliśmy wrócić do naszej kompanii, położyć się w ogrzewanym „kozą” schronie na ławie, i napić się gorącej, słodkiej herbaty (nawiasem mówiąc, teraz mieliśmy też czekoladę) i zjeść pajdę żytniego chleba, upieczonego w sewastopolskich sztolniach. Dowództwo pozwoliło nam wrócić do domu i było tak wspaniałomyślne, że samochodem przetransportowano nas na stanowisko dowodzenia pierwszego batalionu naszego pułku. Stamtąd wraz z sierżantem Siedychem dziarsko pomaszerowaliśmy po leśnej ścieżce, przytrzymując brezentowe pasy naszych przerzuconych przez ramię „snajperek”.

Następnego ranka podczas śniadania, które spożywałam wraz z mężem, pojawił się w naszych progach nieznany mi starszy kierownik polityczny. Przedstawił się jako Nikołaj Kuroczkin, redaktor wielkonakładowej gazety Armii Nadmorskiej „Za Rodinu!”, i powiedział, że muszę mu opowiedzieć o swojej walce z niemieckim okupantem. On zaś – na polecenie generała majora Pietrowa – ma napisać o tym interesujący reportaż do kolejnego numeru gazety. Im więcej szczegółów mu przedstawię, tym bogatszy będzie artykuł. Ponadto zaraz pojawi się tu fotoreporter, który zilustruje tekst moim portretem. Rzeczywiście, za chwilę zawitał do nas energiczny młody człowiek (nie pamiętam jego nazwiska) z aparatem Leica i z progu powiedział, że jestem bardzo fotogeniczna. Natychmiast zapragnęłam, by obydwaj impertynenci opuścili mój „dom”. Niech „Anka Cekaemistka”[1] z 1. Kompanii udziela wywiadów i się fotografuje. Snajper nie powinien skupiać na sobie uwagi, albowiem głównym warunkiem odnoszenia przezeń sukcesów jest zachowanie anonimowości. A gazeta „Za Rodinu!” ma nakład kilku tysięcy egzemplarzy, więc nie wiadomo, w czyje ręce

trafi. Należy pamiętać, iż – zgodnie z rozporządzeniem Komisarza Ludowego Obrony ZSRR – informacje dotyczące zasad szkolenia strzelców wyborowych, typów karabinów snajperskich, optyki, metod kamuflażu i wpływania na przeciwnika są tajne i przeznaczone WYŁĄCZNIE dla profesjonalistów. Być może w sposób stanowczy wytłumaczyłabym dziennikarzom tę okoliczność, ale w tym momencie do naszego schronu weszli kolejni goście: komendant komendy wojskowej 54. Pułku Malcew w towarzystwie komendanta komendy wojskowej pierwszego batalionu Nowikowa. Nigdy wcześniej ani ja, ani Lonia nie dostąpiliśmy takiego zaszczytu, toteż zrozumiałam, iż mój trafny strzał przy moście Kamyszłowskim miał pewne szczególne konsekwencje. Czas pokaże, czy wyjdzie mi to na dobre. Rankiem 24 stycznia 1942 roku w obecności dwóch komendantów odpowiadałam krótko na pytania Kuroczkina, a następnie ze swoim karabinem reprezentacyjnym SWT-40 pozowałam do zdjęć fotografowi *en face*, z profilu, na stojąco, a także leżąc w pobliskich zaroślach ze „Swietą” na ramieniu, trzymając ją jak karabin maszynowy, czyli lewą ręką za kolbę.

Moje spotkania z prasą miały ciąg dalszy. Odwiedzali mnie korespondenci gazety miejskiej „Majak Kommuny”, gazety Floty Czarnomorskiej „Krasnyj Czernomoriec” i gazety Krymskiego Komitetu Obwodowego Partii „Krasnyj Krym”. Wojskowy operator filmowy Władysław Mikosza spędził pół dnia na pozycjach naszej 2. Kompanii, nagrywając różne wydarzenia. Szczególnie dokuczało mi to, że szukał – jak się wyraził – „udanego ujęcia” i ostatecznie zmusił mnie do wejścia na drzewo z karabinem SWT-40 i przyjęcia pozy snajpera celującego do wroga. Na próżno mówiłam mu, że w Sewastopolu z drzew nie strzelam i że będzie to przekłamanie, filmowiec jednak uparcie obstawał przy swoim. Aby się go jak najszybciej pozbyć, wspięłam się z bronią na sta-

rą jabłoń, która rosła w pobliżu ziemianki „klubowej”, w odległości 500 metrów od przedniej pozycji obrony. Nawiasem mówiąc, z bracią pisarską było jeszcze trudniej. Korespondenci nie szczędzili tuszu dla Helmuta Bommla: rozdęty jak żaba, mętny wzrok, żółte włosy, masywna szczęka. Ja oczywiście nic takiego im nie powiedziałam, gdyż nie zapamiętuję aparycji ludzi, do których strzelam. Oni dla mnie nie istnieją – są po prostu celami. Niektórzy moi koledzy z pułku mówią o wielkiej nienawiści do agresorów, ale nawet takie określenie uważam za przesadzone, bardziej nadające się do ulotek propagandowych. Strzelec wyborowy o tym nie myśli; udaje się na pozycję ogniową ze spokojnym sercem i głębokim przekonaniem o swojej słuszności. W przeciwnym razie może chybić i w pojedynku paść ofiarą okrutnego i nikczemnego wroga.

Z liczbą ofiar na koncie faszystowskiego snajpera literaci również się nie patyczkowali: i 300, i 400, i nawet 500 zabitych, choć na początku 1942 roku były to liczby absolutnie nierealne. Reporterzy nie zdawali sobie sprawy z tego, że wojna Niemiec z krajami europejskimi odbywała się szybko i bez żadnej walki pozycyjnej, a przecież tylko w niej snajper ma możliwość znacznego zwiększenia liczby swoich zwycięstw. Jednak w Związku Radzieckim walki trwały zaledwie pół roku, a atakowali głównie hitlerowcy. Większą rolę odgrywały tu czołgi i lotnictwo, więc fryce nie potrzebowali zbytnio strzelców wyborowych, a i nasi z reguły obywali się bez karabinów snajperskich. Naprawdę skutecznie mogą działać snajperzy w czasie długiego oblężenia miasta, jak miało to miejsce pod Odessą, Sewastopolem, Leningradem, a następnie pod Stalingradem.

Ku mojemu zaskoczeniu, starcie na wysadzonym moście z jakiegoś powodu nie było inspiracją dla korespondentów. Może należało zawieźć ich do Doliny Kamyszłowskiej, poka-

zać niezwykłość tego miejsca i wyjaśnić, że wybór Helmuta Bommla był słuszny, ale ze względu na tradycyjną niemiecką pewność siebie nie spodziewał się on szybkiego kontrataku. Jednak czy warto tracić czas na ludzi niezorientowanych, ale przekonanych o swojej słuszności...? I tak będą pisać po swojemu. Oto przykład:

> „Leżeli bez ruchu przez dobę. Rano, kiedy się rozjaśniło, Luda zobaczyła, jak snajper, ukrywając się za makietą pniaka, porusza się prawie niezauważalnie. Jest coraz bliżej niej. Ruszyła naprzód, trzymając karabin przed sobą i nie odrywając wzroku od celownika optycznego. Sekunda ciągnęła się w nieskończoność. Nagle Luda uchwyciła mętny wzrok, żółte włosy i masywną szczękę. Wrogi snajper zerknął na nią i ich spojrzenia się skrzyżowały. Napiętą twarz wykrzywił grymas – zrozumiał, że to kobieta! W mgnieniu oka trzeba było zdecydować o swoim być lub nie być. Pociągnęła za spust. Luda wyprzedziła wroga o zbawienną sekundę. Wyczekiwała. Niemieckie karabiny maszynowe milczały. Dopiero wtedy doczołgała się do snajpera. Zastygł, celując w jej kierunku. Luda wyciągnęła książeczkę wojskową snajpera-hitlerowca, przeczytała: Dunkierka. Obok zapisano cyfrę, jeszcze więcej cyfr... Ponad 400 Francuzów i Anglików poniosło śmierć z jego ręki... ”[2]

Potem, kiedy na chłodno się nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, iż reporterzy, pisząc te bzdury po rozmowie ze mną, bądź co bądź przyczyniają się do propagowania ruchu snajperskiego w Sewastopolskim Okręgu Obronnym. Główna zasada pracy strzelca wyborowego w czasie wojny została przedstawiona poprawnie: umiejętnie się zakamuflować, cierpliwie czekać, aż wróg popełni błąd, natych-

miast skorzystać z okazji i oddać celny strzał. Żadnych informacji o obchodzeniu się ze specjalną bronią strzelecką i urządzeniami optycznymi, ani słowa o obliczaniu trajektorii lotu pocisku w różnych warunkach geograficznych i pogodowych, o niezmiennych prawach balistyki i innych czysto wojskowych dziedzinach wiedzy, pozwalających zwykłemu śmiertelnikowi zostać snajperem. Zainteresowani naszym fachem dowiadują się szczegółów tego rzemiosła, kiedy trafiają na dwu- czy trzytygodniowe szkolenie dla strzelców wyborowych, organizowane dla zwykłej piechoty w kwaterach głównych niektórych dywizji.

Wymysły dziennikarzy są tylko jednym z elementów propagandy. Aby przekonać ludzi, potrzebny jest żywy bohater. Wydaje się, że do tej roli w Wydziale Politycznym Armii Nadmorskiej, kierowanym przez komisarza pułku L. P. Boczarowa, wybrali teraz mnie. Przynajmniej tak to wyglądało, kiedy do schronu mojego i Aleksieja dostarczono ze sztabu rozkaz: „2 lutego 1942 roku dowódca plutonu starszy sierżant L. M. Pawliczenko ma się udać z linii frontu do miasta i wziąć udział w konferencji kobiet-aktywistek Obrony Sewastopolskiej, która odbędzie się w Domu Nauczyciela”. Moje wystąpienie, poświęcone pracy snajperów, zostało przewidziane na 15 minut. Po przeczytaniu rozkazu byłam zdezorientowana. Nasze zasadzki leśne wyostrzyły mi wzrok i słuch, ale nauczyły również milczenia, zachowania ciszy. Kontakty z podwładnymi w plutonie także nie wymagały umiejętności krasomówczych. A tutaj referat na piętnaście minut! Ileż słów trzeba wygłosić! W dodatku jeszcze przed licznie zgromadzoną publicznością, w gwarnej sali i w świetle reflektorów.

Jednak mój drogi mąż, człowiek zaradny i pomysłowy, próbował mnie uspokoić i w jakiś sposób zdopingować. Lonia powiedział, że już najwyższy czas, bym się udała na tyły, do

pięknego Sewastopola, otrząsnęła się i pobyła wśród ludzi, co zwykle znacząco poprawia nastrój żołnierzy walczących na froncie. Zwłaszcza że do przemówienia zostały trzy dni. Przez tyle czasu można przygotować nawet dziesięć referatów.

– Ale skąd mam wziąć mundur galowy? – zapytałam męża.

– O to się nie martw. Zaraz zadzwonię do starszego sierżanta. Niech poszuka w magazynie pułku – odpowiedział dowódca 2. Kompanii.

O sukience mundurowej w kolorze khaki z wykładanym kołnierzykiem, paskiem i rozciętymi kieszeniami, przepisowym stroju kobiety-żołnierza, nie mogłam nawet pomarzyć. Jedyne, co mógł zdobyć starszy sierżant, to spódnica, nowa bluza wojskowa z galowymi malinowymi patkami i stosunkowo nowe kozaki, na które poszło pół opakowania czarnej pasty do butów. Dwie pary cielistych pończoch z dzianiny, które trzymałam w worku wojskowym (jako niezwykły przedwojenny skarb), w końcu się przydały.

Rankiem 2 lutego pojechaliśmy do miasta samochodem osobowym dowódcy pułku. My – to znaczy ja wraz ze starszym sierżantem 1. Kompanii, cekaemistką Niną Oniłową. Gdy Nina zobaczyła mnie w samochodzie, bardzo się zdziwiła, albowiem to siebie uważała za prawdziwą bohaterkę, a tu nagle za nieokreślone bliżej osiągnięcia skierowano na tę konferencję mnie. Była to dla niej rzecz niezrozumiała. Jednakże ta prosta dziewczyna o dobrym usposobieniu już po dziesięciu minutach wesoło ze mną rozmawiała. Oniłowa nie po raz pierwszy uczestniczyła w takich wydarzeniach, toteż przez całą drogę entuzjastycznie opowiadała mi, jaką postawę należy przyjąć na trybunie, jak wygłaszać referat i jak odpowiadać na pytania uczestników konferencji, jeśli takowe się pojawią. Przez całą drogę nie pozwoliła mi się skoncentrować. No cóż, to tak, jak w piosence: „Tak-tak-tak

– mówi cekaemista, tak-tak-tak – odpowiada cekaem!”. Nigdy nie uważałam się za wybitnego oratora, dlatego wszystkie tezy przemówienia – za radą męża – miałam zapisane na kartce. Dobrze by było niczego nie pomylić, przedstawić nasz zawód w sposób przekonujący, by ludziom nieobeznanym z naszym fachem ukazać go w jak najlepszym świetle…

Na konferencję przybyło wiele osób. Przyszły kobiety z różnych przedsiębiorstw, szkół, szpitali. Pośród ich kolorowych sukienek i bluzek jednolite mundury personelu wojskowego – łącznościowców, instruktorów sanitarnych, lekarzy z batalionów medyczno-sanitarnych i szpitali polowych – wyglądały siermiężnie. Nina ze swoim orderem Czerwonego Sztandaru na piersi cieszyła się ogromną popularnością. Wszyscy się z nią witali, wypytywali o wydarzenia na pierwszej linii, wymieniali żartobliwe riposty. Mnie nie znał nikt. Skromnie zajęłam miejsce przy oknie, aby jeszcze raz zerknąć do swoich notatek.

Dowodzący Armią Nadmorską generał major Pietrow przedstawił w swoim referacie na konferencji przegląd wydarzeń wojennych. Kobiety powitały go gromkimi brawami. Iwana Jefimowicza naprawdę kochano w Sewastopolu za ogromny wkład, jaki wniósł w obronę Głównej Bazy Marynarki Wojennej. Po jego odczycie nastąpiły kolejne przemówienia: jedne barwne i treściwe, inne – nieco mniej. Kobiety rozmawiały o pracy, o swoich odczuciach i przemyśleniach związanych z miastem rodzinnym. Wszystko wydawało mi się interesujące. Wcześniej nie wyobrażałam sobie, jak można uczyć dzieci w szkole, która została zorganizowana w schronie, jak stać dwanaście godzin na dobę przy obrabiarce w warsztacie, tłocząc korpusy granatów ręcznych, w ciągu dnia pracować w szwalni, wytwarzając komplety bielizny dla armii, a wieczorami chodzić do szpitali podziemnych i opiekować się rannymi żołnierzami.

Kobiety z Sewastopola zastąpiły w fabrykach mężczyzn, którzy poszli na wojnę, przy czym radziły sobie w pracy nie gorzej od nich. Należy tu wspomnieć o mojej rówieśniczce Anastasii Czaus, pracującej w Specjalnym Kombinacie nr 1. W czasie bombardowania odniosła poważną ranę: dziewczyna straciła lewą rękę, ale pozostała w mieście i wkrótce poszła do pracy. Opanowała zawód tłoczarza i jedną ręką wypracowywała 200 procent normy.

Życie mieszkańców Sewastopola było trudne. Wprowadzono kartki na chleb, którego robotnicy i pracownicy inżynieryjno-techniczni przedsiębiorstw obronnych otrzymywali 800 gramów, urzędnicy i emeryci – 600 gramów, zaś osoby niezdolne do pracy – 300 gramów. Dużą pomoc mieszkańcom Sewastopola nieśli rybacy: w czasie ostrzału artyleryjskiego wypływali w morze, przedzierali się przez pola minowe, by łowić i dostarczać stołówkom i sklepom setki kilogramów ryb, głównie sardele i flądry.

Uczestnicy konferencji rozmawiali również o kłopotach, ale jakby mimochodem. Wydawało się, że wszystkie problemy zostawiono poza murami Domu Nauczyciela. Kobiety w różnym wieku i wykonujące różne zawody spotkały się tutaj nie dla dyskusji – chciały dać sobie nawzajem coś innego. Niewykluczone, że pragnęły uwierzyć w zwycięstwo nad faszystami, dodać sobie otuchy i nadziei na szybką zmianę sytuacji w ich ukochanym mieście. Czasami brzmiało to tak: „Ja, maleńka jednostka, nazywana tyłami, robię wszystko, co umiem, a chcę zrobić jeszcze więcej. Oddawszy swoich czterech synów do walki z wrogiem, nie lituję się nad sobą i pójdę na dowolny odcinek frontu…” (nauczycielka szkoły średniej nr 14 – Aleksandra Siergiejewna Fiedorinczik).

Po tak żarliwych przemówieniach suchy raport na temat liczby zlikwidowanych hitlerowców brzmiałby po prostu śmiesznie albo i nawet bezsensownie. Odłożyłam więc kart-

kę z przygotowanymi zawczasu tezami na bok i zaczęłam mówić o tym, co mi leży na sercu i co tak naprawdę gnębi moją duszę...

Przypisy

[1] Mowa tu o wspomnianej wcześniej Ninie Oniłowej, która – jak wynika z dostępnych źródeł – lubiła pozować fotoreporterom – przyp. tłum.

[2] Ten fragment z publikacji w gazecie „Za Rodinu!” został zacytowany w zbiorku „Боевые звёзды киевлян”, Kijów 1977, reportaż „Snajper Czapajewskiej”, s. 363 – przyp. red. ros.

Rozdział 11

NA WZGÓRZU BEZIMIENNYM

Zima w Sewastopolu jest zmienna. Dwa dni temu niebo było pokryte niskimi chmurami, padał śnieg, trzaskał mróz, a temperatura spadła do minus piętnastu stopni, a dziś wszystko się już odmieniło: śnieg się roztopił, na niebie świeci słońce i temperatura powietrza jest dodatnia. Na łagodnych stokach krymskich wzniesień znowu widać brunatnożółtą, zwiędniętą trawę, a na jej tle jaskrawą zielenią płoną krzewy jałowca, strzeliste cyprysy i niskie drzewka tui. Siadłam przy otworze strzelniczym betonowego schronu ogniowego i patrzyłam przez lornetkę na panoramę Bałakławskiej Doliny w pobliżu wsi Wierchnij Czorguń[1]. W oddali widniała szara wstęga drogi Sewastopol–Jałta, bliżej mnie: wąska, wijąca się wśród wzgórz rzeczka Czorna, pola z równym szpalerem winorośli, strome zbocza pięknej Góry Gasforta, gdzieniegdzie porośnięte dębowymi zagajnikami, a także zniszczony przez pociski biały mur wokół Cmentarza Włoskiego i dach jego kaplicy, z prostymi i krótkimi ścianami, przypominający klocek, którymi zwykle bawią się dzieci.

Podczas drugiego szturmu przebiegała tutaj pierwsza linia drugiego sektora obrony z okopami, fortyfikacjami drewniano-ziemnymi, placami ze stanowiskami dla moździerzy i głębokimi transzejami. Żołnierze i dowódcy 7. Brygady Piechoty Morskiej, 31. i 514. Pułku Strzelców bohatersko bronili jej przed atakami wroga. Góra (na mapie oznaczona jako „Wzgórze Bezimienne”), wraz z leżącymi nieopodal niej pagórkami, kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk. W końcu, po odepchnięciu stamtąd naszych, zajęła ją grupa nazistow-

skich snajperów, którzy z odległości 500 metrów zaczęli celnie ostrzeliwać polną drogę od wioski Kamara do wioski Szuli, która biegła przez tyły drugiego sektora obrony i odgrywała ważną rolę w zaopatrywaniu naszych wojsk w żywność, uzbrojenie i amunicję.

Ich ostatnie bezczelne występki: zabili i ciężko ranili ponad połowę zespołu obsługującego baterie dział przeciwpancernych kalibru 45 mm i zaprzęgów składających się z 24 koni, transportujących te działa po drodze. Wszystkie próby rozbicia wroga za pomocą artylerii i dział moździerzowych zakończyły się niepowodzeniem. Snajperzy zmieniali pozycje na wzgórzu i wznawiali ostrzał, więc tutaj, daleko od rodzimej Dywizji „Czapajewskiej", znalazłam się nieprzypadkowo.

Po kilku udanych wyprawach na pas neutralny i tyły wroga dowództwo Armii Nadmorskiej uznało, że w pierwszym batalionie 54. Pułku sformowała się odważna i dobrze wyszkolona grupa strzelców wyborowych, którą można wykorzystać nie tylko w trzecim sektorze obrony, ale także na innych odcinkach frontu sewastopolskiego. Zaczęliśmy „występować gościnnie" na całej przedniej linii obrony, wykonując zadania o szczególnie dużym stopniu trudności. Tym razem otrzymaliśmy polecenie przeprowadzenia operacji na Wzgórzu Bezimiennym w pobliżu Góry Gasforta i Cmentarza Włoskiego.

Najpierw w sztabie armii wzięłam udział w spotkaniu z komendantem drugiego sektora, pułkownikiem Nikołajem Filipowiczem Skutielnikiem – dowódcą 386. Dywizji Strzelców, która odpowiadała za ten odcinek frontu, oraz szefem sztabu dywizji, podpułkownikiem Dobrowem. Następnie pojechałam do wsi Wierchnij Czorguń, aby zbadać okolice i opracować stosowny plan działań grupy snajperskiej, mającej przejąć wzgórze i rozgromić hitlerowców. Góra Gas-

forta o wysokości zaledwie 217,2 metra nad poziomem morza, nazwana na cześć bohatera pierwszej obrony Sewastopola pułkownika W. G. Gasforta, dowódcy Kazańskiego Pułku Piechoty, który walczył tutaj w latach 1854–1855 przeciwko sprzymierzonym siłom brytyjsko-francusko-włosko-tureckim, znajdowała się na piętnastym kilometrze drogi z Sewastopola do Jałty. Górę tę otaczały mniejsze wzniesienia i przeplatane polanami doliny. Cmentarz Włoski zajmował część Góry Gasforta. W tym miejscu w 1882 roku, za zgodą rosyjskiego rządu, zostały ponownie pochowane szczątki ponad dwóch tysięcy włoskich żołnierzy i oficerów Korpusu Sardyńskiego, którzy zginęli w bitwach lub zmarli z powodu epidemii cholery.

Mocno pofałdowany teren dawał nadzieję na sukces akcji, jednak należało przeprowadzić skrupulatne rozpoznanie i przeanalizować siły wroga oraz jego system obrony. Powiedziałam o tym pułkownikowi Skutielnikowowi, a on zgodził się ze mną i obiecał, że jednostki wojskowe drugiego sektora udzielą snajperom niezbędnego wsparcia. Wróciłam do 2. Kompanii i zebrałam dowódców drużyn mojego plutonu w należącym do mnie i Aleksieja schronie. Trzeba było coś wymyślić. W biały dzień wejście na Wzgórze Bezimienne jest nierealne. Niemcy będący na górze łatwo nas – tych na dole – odkryją, a potem wystrzelają jak kaczki. Według obserwacji prowadzonych stale przez ludzi z 386. Dywizji miejsca zasadzki snajperów nie były widoczne. Prawdopodobnie fryce zorganizowali tam niejeden tuzin zamaskowanych gniazd dla strzelców wyborowych. W tym czasie (jak i wcześniej) dowódcą pierwszej drużyny był sierżant Fiodor Siedych, a drugiej drużyny – młodszy sierżant Władimir Wołczkow, przeniesiony do plutonu z 3. Kompanii na rozkaz porucznika Dromina. Wołczkow jako strzelec osiągnął doskonałe wyniki w likwidowaniu batalionu niemieckiego, któ-

ry przedarł się na nasze tyły podczas drugiego szturmu, a konkretnie 22 grudnia. Trzecia drużyna funkcjonowała tylko na papierze: wraz ze starszym szeregowym Anastasem Wartanowem liczyła pięć osób, więc czekaliśmy na przybycie uzupełnienia z Noworosyjska. Najpierw udzieliłam głosu staremu leśniczemu, bo był wśród nas najniższy rangą. Anastas wyraził ubolewanie, iż obszar Doliny Bałakławskiej nie jest mu tak dobrze znany, jak leśniczówka nr 2 w Górach Mackenzie, gdyż zaprowadziłby nas tam ścieżkami myśliwskimi.

Przed nami na stole leżała mapa „trzywiorstówka" drugiego sektora obrony, którą wydano mi w sztabie 386. Dywizji. Będąc we wsi Wierchnij Czorguń, zrobiłam na niej dodatkowe notatki i adnotacje, więc próbowałam w obecności zebranych uzupełnić informacje o Wzgórzu Bezimiennym. Jednak wiele szczegółów, a zwłaszcza odległość, pozostało nieznanych, ponieważ nie udało mi się zbliżyć do celu przyszłego ataku, jako że teren przed nim był ostrzeliwany.

Patrzyliśmy na tę mapę przez dłuższy czas. Teraz już nie pamiętam, który z sierżantów zauważył, że zachodnie zbocze, gęsto porośnięte jałowcem, dziką różą, bzem i dwukolczakiem śródziemnomorskim, ma wiele nierówności. Używając ich do maskowania, można w nocy dostać się do podnóża wzniesienia, a następnie odciąć kilka gałązek tych krzewów i przenieść je wyżej, „posadzić" tam, a samemu ukryć się za blokami kamienia wapiennego, które gdzieniegdzie wystawały nad powierzchnię ziemi. Co zrobią fryce, kiedy odkryją nowe krzewy, które wyrosły przez noc na pustym stoku? Oczywiście otworzą do nich ogień. Wtedy zobaczymy, ilu ich jest i skąd strzelają.

– A po co ścinać gałęzie krzaków na górze? – zapytał Fiodor. – Przygotujmy je wcześniej i zanieśmy tam. Tak będzie bezpieczniej, no i wyglądać będą naturalnie…

„Produkcję” krzaków zleciłam Wartanowowi. Doskonale znał rośliny z krymskich lasów i szybko stworzył sześć makiet z gałęziami jałowca o długości około 40 centymetrów, z ciemnozielonymi kłującymi liśćmi i okrągłymi, niebieskawymi owocami. Niektóre z tych ozdób musiał nawet przymocować drutem, ale – zasadniczo rzecz ujmując – wyroby wyglądały dosyć wiarygodnie i zostały solidnie przytwierdzone do ostrych bolców, za których pomocą planowaliśmy „zasadzić” je na zboczu.

W skład grupy, oprócz mnie, weszło jeszcze siedem osób. Aleksiej Kicenko, będący dowódcą kompanii, sprawdził każdą z nich. Nie chciał, abyśmy zginęli w nierównym starciu, mieliśmy wrócić zwycięsko, gdyż wygrana była w naszym zasięgu. Wszak doświadczenie, zdobyte podczas poprzednich rajdów, nauczyło nas wszystkich ostrożności, wzajemnej pomocy i skrupulatności w wykonywaniu rozkazów. Moja opinia o zaletach żołnierzy zwykle pokrywała się ze zdaniem porucznika, dlatego natychmiast i jednogłośnie wybraliśmy Fiodora Siedycha (z czego ten się bardzo ucieszył), Władimira Wołczkowa (znałam go słabo, lecz Aleksiej zapewnił mnie, że na sierżancie można w pełni polegać) oraz Anastasa Wartanowa (oczywiście nie wątpiliśmy w jego męstwo i odwagę, a raczej w siłę i wytrzymałość, gdyż leśniczy niedawno skończył 50 lat). Pozostali uczestnicy wypadu służyli w plutonie snajperskim około trzech miesięcy (a to wystarczający czas, gdy się uczestniczyło w sewastopolskich bojach i potyczkach) i strzelali wręcz idealnie.

O wyposażeniu grupy należy opowiedzieć oddzielnie. Z szyneli i czapek uszanek zrezygnowaliśmy na korzyść watowanych kurtek i spodni, hełmów i czapek pilotek. Na wierzch włożyliśmy jesienne kurtki kamuflażowe z kapturami w kolorze musztardowym z ciemnobrązowymi pasami

i takie same spodnie, dosyć luźne, by łatwo można było je włożyć w buty. Przy pasie – cztery skórzane ładownice, trzy granaty, kabura z pistoletem TT, nóż „finka” w metalowej pochwie, mała saperka w futerale, manierka z wodą również w futerale, a na ramię – wodoszczelna torba na suchy prowiant na trzy dni (ciemny chleb, słonina, puszka mielonki). Dodatkowo zabraliśmy ze sobą lornetkę, latarkę na baterie i rakietnicę. Nie zastanawialiśmy się długo nad kwestią uzbrojenia – cztery karabiny Mosin z celownikiem „PE”, cztery SWT-40 z celownikiem „PU” i po 200 nabojów do każdego oraz trzy automaty PPSz-41 z dwoma zapasowymi magazynkami. Nasz ulubiony ręczny karabin maszynowy Diegtiariowa tym razem postanowiliśmy zostawić. Zamiast niego spakowaliśmy do plecaka starannie przewiązane sznurkami makiety krzaków.

Nie lubię długich pożegnań. Długie pożegnania zasmucają serce – zwłaszcza na wojnie. W schronie Lonia mocno mnie przytulił i pocałował. Krok przez próg i już nie byliśmy małżonkami, lecz kolegami z pułku. Wraz z innymi żołnierzami poszliśmy na stanowisko dowodzenia batalionu, gdzie na grupę czekała półtoratonowa ciężarówka – w końcu mieliśmy przed sobą kawał drogi, bo aż na drugi koniec Sewastopolskiego Okręgu Obronnego. Ostatni uścisk dłoni i życzenia od dowódcy kompanii, jego ostatnie spojrzenie i słowa: „Wracajcie szczęśliwie!”.

Pierwszy dzień minął nam na dokładnym badaniu terenu. Nie znaleźliśmy tu nic, co by nas cieszyło. Zarośla nie dawały schronienia, a zresztą rozpościerały się dość daleko od Wzgórza Bezimiennego. Niemcy kontrolują całą przestrzeń, cyklicznie otwierają w dolinie ogień z karabinów maszynowych i moździerzy. Nasi odpowiadają serią, lecz muszą oszczędzać amunicję. Na moją prośbę cekaemiści z 7. Brygady Piechoty Morskiej obiecali, że o godzinie trzeciej tej

nocy rozpoczną ostrzał wzniesienia i będą go kontynuować przez 20–30 minut, aby osłaniać naszą drogę po zboczu na górę. Byłoby dobrze jeszcze poprosić (ale kogo?) o ciemną noc, umiarkowany wiatr i temperaturę powietrza co najmniej pięć stopni powyżej zera…

Nastała noc. Bezksiężycowa, bezwietrzna i ciepła. Nasza akcja rozpoczęła się o godzinie trzeciej nad ranem pod osłoną serii z karabinów maszynowych, których ogień rozlegał się od strony rubieży radzieckich. Doczołgaliśmy się niemal do szczytu i fryce nas nie zauważyli. Ich okopy mieliśmy przed sobą w odległości 70 metrów. Tam wetknęliśmy nasze makiety krzewów w ziemię i wycofaliśmy się 30 metrów niżej – w kierunku biało-szarych skał wapiennych, za którymi rosły krzewy dzikich róż.

Wraz z pierwszymi promieniami słońca hitlerowcy otworzyli wściekły ogień z automatów i karabinów maszynowych w kierunku makiet starego leśniczego Wartanowa. Rozerwali je dosłownie na strzępy – krzaki rozpadły się na malutkie kawałki drewna, kory i liści. Zryli kulami 2–3 metry ziemi wokół nich i nie uspokoili się, dopóki nie wzniosły się nad nimi wielkie kłęby kurzu. Kiedy nastała cisza, faszyści wyszli z okopów i przez lornetkę obserwowali zbocze wzgórza. Prawdopodobnie chcieli ujrzeć ciała rosyjskich snajperów, których tak szybko udało im się zlikwidować. Podczas ostrzału z łatwością zorientowaliśmy się, gdzie znajdują się ich pozycje ogniowe. Teraz należało celować tak, aby ani jedna z naszych kul nie chybiła. Odległość nie przekraczała stu metrów. Cel znajdował się znacznie wyżej niż pozioma wylotu, więc należało celować pod kątem 50 stopni. Zgodnie z zasadami balistyki, w takich warunkach trajektoria lotu pocisku zaczyna się wyrównywać, a przyciąganie ziemskie coraz słabiej przesuwa pocisk w kierunku poziomym. Ponadto w rozrzedzonej górskiej atmosferze na kulę oddzia-

łuje mniejszy opór powietrza. Wszystko to zostało wzięte pod uwagę w specjalnych tabelach, których nie mogli znać moi podwładni, ponieważ nie skończyli szkół snajperskich. Dowódca jednak musi mieć głowę na karku. Jeszcze przed wyjściem na rubież kazałam im skalibrować celowniki, dokonać poprawek na podziałce minus ½ przy załadowanych nabojach kalibru 7,62×53 mm R z „lekkimi” pociskami na wzór tych z 1908 roku.

Jak zwykle to ja oddałam pierwszy strzał. Potem gruchnęło jeszcze siedem, a po kilkunastu sekundach, które były nam potrzebne do ponownego załadowania naszych „triochliniejek” – kolejne osiem. Jednak ich dźwięk w dużym stopniu zagłuszyła kanonada. Odezwała się artyleria dalekosiężna wroga, uderzając w dzielnice miasta. Nasza artyleria zaczęła odpowiadać ogniem, aby stłumić baterie wroga. Na niebie zaryczały silniki i pojawiły się samoloty z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach. Poleciały w kierunku Ałuszty. Od strony morza rozległ się dźwięk kilku potężnych salw armatnich. Prawdopodobnie ogień pochodził z przewodnika niszczycieli „Charków”, stojącego po rozładunku w Zatoce Południowej. Taki huk przyczynił się do zatuszowania prawdziwego obrazu bitwy. Niemcy pospadali: jedni – bezpośrednio na dno okopów, drudzy – na przedpiersia, a jeszcze inni nawet stoczyli się w dół stoku. Ani jednego chybienia. Zlikwidowaliśmy wszystkich 15 hitlerowców. Obrona przeciwnika przestała istnieć.

– Naprzód, chłopaki! – krzyknęłam, wskazując na Wzgórze Bezimienne.

Ciężko dysząc, pokonaliśmy 70 metrów stromego zbocza i wskoczyliśmy do okopów wroga. Zdobyliśmy dobrze wyposażoną pozycję z głębokimi transzejami, umocnionymi deskami i belkami, z gniazdami karabinowymi i prowadzącymi do nich transzejami, z czterema schronami o głębokości 2,5

metra. Leżało tam mnóstwo broni: karabiny (w tym snajperskie), automaty, granaty porozkładane w występach okopów, trzy karabiny maszynowe MG34 zasilane taśmami nabojowymi. Ze wzniesienia rozpościerał się doskonały widok na okolice, nic więc dziwnego, że fryce tak zawzięcie bronili swojego terenu i nie chcieli opuścić tego miejsca. Wystrzeliliśmy czerwoną rakietę, aby dać naszym sygnał: „Bezimienne zostało zajęte”. Odpowiedziano nam jedną zieloną: „Gratulacje, dobra robota!”. Wkrótce na polnej drodze z wioski Kamara do wioski Szuli rozpoczął się intensywny ruch. Sztab drugiego sektora prowadził przegrupowanie wojsk i przystąpił do dostarczania amunicji i żywności. Musieliśmy się rozejrzeć.

Wcześniej snajperzy, dokonawszy nieoczekiwanego ataku na Niemców, pospiesznie się wycofywali, a teraz trzeba było zostać na podbitych rubieżach i czekać na rozkaz dowództwa. Pozycja pozwalała na przeprowadzanie udanych akcji obronnych. Trzeba tylko wszystko poznać, dowiedzieć się, jakie są jej mocne i słabe strony, zmierzyć długość transzei własnymi krokami, dostosować się do wykopanych w twardej krymskiej glebie cudzych okopów, zorientować się, na jakie obiekty są skierowane karabiny maszynowe, jakie jest ich pole rażenia itd. Wkrótce dotarliśmy także do schronów. Tam odbyło się jeszcze jedno starcie. Na progu ostatniego schronu ziemnego rzucił się na nas starszy szeregowy z pistoletem Walther w dłoni. Trzeba go było zastrzelić. Dalej, za drzwiami, ukrył się podoficer, więc w ruch poszła finka, którą doskonale posługiwał się Władimir Wołczkow. Znaleźliśmy się w niewielkim podziemnym pomieszczeniu, podobnym do mieszkania oficera lub kwatery głównej.

Na stole stała dość duża, prawie półmetrowa wojskowa radiostacja plecakowa Torn.Fu.b1 z urządzeniem nadawczo-

odbiorczym i skrzyneczką na baterie. Jej antena wystawała ponad dach schronu. Na stole leżały słuchawki i gruby, zapełniony zapiskami notatnik. Czerwone litery na lewym boku radiostacji głosiły: „Feind hört mit", czyli „Wróg nasłuchuje". Oznaczało to, iż nie jest to tylko pozycja snajperów, ale najprawdopodobniej posterunek obserwacyjny niemieckiego wywiadu i obserwatorów.

Sprawna radiostacja była cennym trofeum, chociaż nie mogliśmy jej użyć, gdyż w naszej grupie nie było ani radiotelegrafistów, ani ludzi choćby trochę zaznajomionych ze środkami łączności. Pozostawało nam odłączyć radiostację od baterii i przygotować ją do transportu. Zdecydowaliśmy się zabrać ją ze sobą, kiedy będziemy wracać, choć ważyła niemało – prawie 40 kilogramów. Przeszukaliśmy zwłoki. W moje ręce trafiła cała masa dokumentów: książeczki wojskowe, listy, fotografie należące do 12 szeregowców, starszego szeregowego, podoficera i jednego sierżanta 170. Dywizji Piechoty. Sierżant został odznaczony Krzyżem Żelaznym II klasy, więc na mundurze miał przyszytą do patki kolorową baretkę. Teraz wszystko to trafi do kapitana Biezrodnego, a potem do tłumacza. Listy nigdy nie dotrą do adresatów w niemieckich miastach…

Swoje zwycięstwo uczciliśmy śniadaniem składającym się z niemieckich parówek i rosyjskiego ciemnego chleba. Na stole znalazły się też konserwy z sardynkami w oleju, tak cenione przez sierżanta Siedycha. Z bunkra sztabu wyciągnęliśmy drewnianą skrzynkę z 12 półlitrowymi butelkami rumu (fryce ukryli je pod stołem), a ja rozmyślałam, jak można by je wykorzystać. Jedną wypiliśmy przy śniadaniu, a resztę postanowiliśmy przelać do aluminiowych niemieckich manierek i zanieść kolegom z pułku. Co prawda, w smaku zdobyczny rum bardzo przypominał naszą wiejską siwuchę.

Po nieprzespanej nocy snajperzy potrzebowali odpoczynku. Wyznaczyłam dwóch wartowników i udałam się do oficerskiego schronu. Nie zdejmując watowanej kurtki, położyłam się na pryczy i nawet nie zauważyłam, kiedy zasnęłam. Pod wieczór obudził mnie wartownik obserwujący wschodnie zbocze Bezimiennego, które było skierowane na front wroga:

– Towarzyszko starszy sierżant, mamy gości!

W oddali pojawiła się grupa niemieckich strzelców z automatami, pewnie około 20 osób. Wspinali się po wąskiej ścieżce, która przecinała zarośla leszczyny. Przez lornetkę było widać, że żołnierze idą spokojnie, nie rozglądając się, palą papierosy i rozmawiają ze sobą. Nie trzymali broni w pogotowiu, a nieśli ją przerzuconą przez ramię. Wszystko wskazywało na to, że wróg jeszcze się nie domyślił, że zajęliśmy jego posterunek obserwacyjny. Strzelcy wspinali się na Bezimienne raczej w celu zwiadowczym, niż szykując się do prawdziwej walki. Teraz musieliśmy strzelać z góry ku dołowi z takiej samej odległości. Podobnie jak strzelanie z dołu do góry, jest to również bardzo skomplikowana czynność, związana z regulacją celownika optycznego. Podczas strzelania z góry do dołu powietrze gęstnieje, ale jednocześnie wzrasta prędkość pocisków, które ciągnie w dół siła ciężkości. Średni punkt trafienia zwiększa się znacząco, dlatego konieczne jest obniżenie (to znaczy zmniejszenie) celownika lub obniżenie punktu celowania.

Dokonałam obliczeń i wydałam rozkaz podwładnym. Wyczekiwaliśmy, aż strzelcy znajdą się w odległości stu metrów od nas, a następnie otworzyliśmy ogień. Oddział poradził sobie z tym zadaniem nie mniej dokładnie niż przy strzelaniu z dołu do góry. Wyprawiliśmy – i to bardzo szybko – na tamten świat wszystkich Niemców z karabinami maszynowymi. Okazało się, że ośmiu strzelców wyborowych

w ciągu jednego dnia zlikwidowało około 35 osób. Całkiem nieźle. Przez następne cztery dni snajperzy działali równie umiejętnie. Udawało nam się odpierać ataki wroga, korzystając z dogodnej pozycji na Wzgórzu Bezimiennym. Pewnego dnia fryce dokonali nalotu artyleryjskiego. Przeczekaliśmy go w schronach – tak solidnie urządzonych przez dzielnych żołnierzy Führera.

Nie mogłam zliczyć, iluż ich teraz leżało z przestrzelonymi głowami na zboczach wzgórza. Niektórzy pozostali w gęstych zaroślach jałowca i dzikiej róży, inni stoczyli się w zagłębienia między pagórkami, a niektórych wynieśli nacierający na wzgórze pobratymcy. Na pewno było ich ponad stu.

Dowództwo wysłało kompanię strzelecką, by zastąpiła jednostkę snajperską. Kiedy czerwonoarmiści wspinali się na wzniesienie, my ich osłanialiśmy. Przekazaliśmy im obiekt w stanie nienaruszonym, życzyliśmy powodzenia i wróciliśmy tą samą półtoratonówką do 25. Dywizji.

Nikt nas specjalnie nie witał. Na rubieżach ogniowych Sewastopolskiego Okręgu Obronnego żołnierze i dowódcy radzieckich jednostek dokonywali wyczynów każdego dnia. Dobrym wynikiem było nawet najzwyklejsze wypełnienie obowiązków służbowych w czasie regularnych bombardowań wroga i ostrzału artyleryjskiego oraz praca w głęboko ukrytych w inkermańskich sztolniach przedsiębiorstwach.

Przygotowałam raport o wypadzie na Wzgórze Bezimienne i przekazałam go kapitanowi Biezrodnemu wraz z dokumentami niemieckimi, radiostacją i innymi interesującymi przedmiotami (na przykład manierką z rumem). Ich liczba bardzo zaskoczyła pomocnika szefa sztabu. Porozmawiałam z nim jeszcze o tej historii i zapytałam go, czy możliwe jest zgłoszenie uczestników akcji do nagród rządowych, ponieważ snajperzy wykazali się ogromną odwagą, wytrwałością

i doskonałym wyszkoleniem. Biezrodny uśmiechnął się tajemniczo.

– Dowództwo rozważa taki plan – odpowiedział.

Kapitan nie kłamał. Na początku marca wręczono mi Dyplom Snajpera-Likwidatora od Rady Wojennej Armii Nadmorskiej, który poświadczał, że starszy sierżant PawlUczenko (popełnili taki błąd w zapisie mojego nazwiska) zlikwidowała 257 faszystów. Dyplom został opatrzony podpisem dowódcy armii, generała majora Pietrowa i członków Rady Wojennej: komisarza dywizji Czuchnowa i komisarza brygady Kuzniecowa. To było pierwsze oficjalne uznanie moich skromnych zasług. Ponadto w kwietniu wraz z Fiodorem Siedychem i Władimirem Wołczkowem otrzymaliśmy medale „Za zasługi bojowe”.

Wraz z moim mężem przez długi czas omawiałam naszą wyprawę, ale debatowaliśmy raczej nad tym, jak radzili sobie poszczególni snajperzy. Dyscyplina wojskowa moich podwładnych była bez zarzutu i właśnie to, moim zdaniem, tłumaczyło fakt, że wykonaliśmy rozkaz bez strat w ludziach. Dla mnie – jako dowódcy – był to najważniejszy probierz sukcesu. Strata towarzyszy na wojnie jest bardzo przygnębiająca – zwłaszcza tych zaprawionych w bojach. Myślałam wtedy (i do tej pory tak myślę), że wojna z całym swym okrucieństwem jest najlepszym sposobem na poznanie drugiego człowieka. Ci, którzy byli przy mnie pod Sewastopolem, to ludzie najwyższej wartości. Dopiero później losy każdego z nich potoczyły się inaczej.

Przypisy

[1] Obecnie: Wierchnieje Czernorieczenskoje w rejonie bałakławskim w Sewastopolu – przyp. red. ros.

Rozdział 12

WIOSNA CZTERDZIESTEGO DRUGIEGO ROKU

A jednak otrzymaliśmy nagrodę za Wzgórze Bezimienne – była to przepustka do miasta. Aleksiejowi Kicence i mnie poradzono zwiedzić muzeum, które zostało otwarte 23 lutego w pomieszczeniach galerii przy ulicy Frunze. Powoli przechadzaliśmy się po salach i oglądaliśmy eksponaty. To była prawdziwa podróż w czasie: od pierwszego oblężenia Sewastopola w latach 1854–1855, poprzez czasy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i Wojny Ojczyźnianej, aż do wydarzeń i sylwetek bohaterów drugiego oblężenia. Wśród zdjęć i dokumentów odnalazłam informacje o Dywizji „Czapajewskiej”, o cekaemistce Ninie Oniłowej, a nawet… o sobie. W oddzielnym pomieszczeniu organizatorzy zgromadzili broń i amunicję wykonane dla Armii Nadmorskiej w przedsiębiorstwach Sewastopola oraz umieścili portrety przodowników pracy. Wśród eksponatów były również trofea: broń niemiecka, wraki zestrzelonych nad miastem samolotów, listy i dzienniki okupantów, zdobyte w bitwie sztandary pułków faszystowskich, a także rozkazy hitlerowców skierowane do miejscowej ludności, w których dominowało słowo „rozstrzelać”.

Pomimo walk mieszkańcy Sewastopola stale pracowali przy odbudowie zniszczonej gospodarki, dzięki czemu miasto nie wyglądało na porzucone, brudne ani opuszczone. Czynne były sklepy, przychodnie, łaźnie, zakłady fryzjerskie, różne warsztaty. Jeździły także tramwaje. Teraz otworzono nowe muzeum, które chętnie odwiedzali wszyscy: sami mieszkańcy Sewastopola, ludzie, którzy przybyli tu niedaw-

no z „Wielkiej Ziemi”, żołnierze na przepustce. Ludność cywilna odnosiła się bardzo serdecznie do żołnierzy frontowych: pucybut zaoferował nam bezpłatne czyszczenie butów, kobiety, które spotkaliśmy na placu Komuny obok kina „Udarnik” – pranie i prasowanie ubrań. A przecież woda w mieście była reglamentowana!

Z zimą rozstawaliśmy się bez żalu. Minęła na walkach w atmosferze strachu, ale utwierdziła obrońców w przekonaniu, że są w stanie przetrzymać wszystkie wściekłe ataki hitlerowców. Z nadzieją czekaliśmy na wiosnę. Wkrótce zazielenią się lasy w Górach Mackenzie, listowie ukryje przed przeciwnikiem schrony, okopy, transzeje i pozycje ogniowe, a wtedy straty będą mniejsze. Od morza powieje ciepły, południowy wiatr i przestaniemy już tak marznąć, kiedy nocami będziemy osłaniać naszych towarzyszy. Spadną deszcze – nawet, jeśli nie okażą się zbyt obfite, to i tak poziom wody w górskich potokach się podniesie. Zza chmur coraz częściej będzie przezierać słońce, a my wszyscy zyskamy niezbite przekonanie, że jest to słońce naszego Zwycięstwa.

Poranek 3 marca 1942 roku powitał nas tak piękną pogodą, takim wiosennym ciepłem, że aż trudno było usiedzieć w schronie. Aleksiej i ja postanowiliśmy zjeść śniadanie na świeżym powietrzu, słuchając świergotu wszędobylskich sewastopolskich wróbli. Usiedliśmy razem na powalonym drzewie. Mój mąż objął mnie i opowiadał różne śmieszne historie z dzieciństwa. Atak artyleryjski nieprzyjaciela na pozycje 54. Pułku zaczął się niespodziewanie. Rozpoczął się ostrzał z dział dalekiego zasięgu. Pierwsze pociski eksplodowały daleko na tyłach, druga salwa doleciała w okolice celu, ale trzecia…

– Nie jesteś zmęczona? – zdążył zapytać mnie Kicenko, kiedy trzeci pocisk wybuchł tuż za naszymi plecami. W powietrzu zaświszczały dziesiątki odłamków. Podporucznik osłonił

mnie przed nimi, ale sam nie zdołał uniknąć obrażeń. W pierwszej chwili wydało mi się, że rana nie jest poważna. Aleksiej złapał się za prawe ramię i jęknął. Ale potem krew spłynęła obficie wzdłuż rękawa jego bluzy wojskowej, ręka zwisała bezwładnie, a twarz rannego przybrała blady kolor.

– Lonia, trzymaj się! Lonia, zaraz cię opatrzę! – Otworzyłam apteczkę i zaczęłam pospiesznie owijać bandażem jego ramię. Kolejne warstwy białej gazy pokrywały się krwią – rany okazały się głębokie.

Przybiegł nam na pomoc Fiodor Siedych. Położyliśmy dowódcę na kocu i biegiem zanieśliśmy go do punktu pierwszej pomocy medycznej. Na szczęście instruktor sanitarny kompanii Jelena Palij była na miejscu. Powóz zaprzężony w parę koni również. Ułożyliśmy dowódcę kompanii na ławie i pospiesznie udaliśmy się do naszego chirurga w batalionie medyczno-sanitarnym dywizji, znajdującym się w Inkermanie. Doktor Piszeł-Gajek niezwłocznie zabrał Lonię na operację, a ja wyczekiwałam, aż się ona zakończy.

Z nadzieją w sercu czekałam na cud. W czasie półtoragodzinnej operacji rozmyślałam nad wieloma sprawami, wspominałam moje pierwsze spotkanie z przyszłym mężem, las u schyłku dnia, kiedy podporucznik znalazł mnie pod roztrzaskanym drzewem, jego wyznanie miłości, nasze szczęśliwe życie rodzinne. Aleksiej Arkadjewicz to najbliższy mi człowiek; w trudnych sytuacjach zachowywał pogodę ducha, nie rozpaczał po niepowodzeniach, a sukcesy go nie zaślepiały. Ale najważniejsze jest to, że zawsze umiał znaleźć odpowiednie słowa. Że ufałam mu bardziej niż sobie.

Nasz wspaniały doktor Władimir Fiodorowicz Piszeł-Gajek wyszedł z sali operacyjnej z ponurym wyrazem twarzy, uścisnął moją dłoń i powiedział cicho:

– Trzymaj się Ludmiło, szanse są nikłe. Musieliśmy amputować mu prawą rękę, ponieważ trzymała się na jednym

ścięgnie. Znacznie gorsze jest to, że siedem odłamków utkwiło w jego plecach. Wyciągnąłem trzy, ale reszta…

Nie pamiętam, co działo się potem. Odzyskałam przytomność na wąskiej szpitalnej kozetce. Młodziutka pielęgniarka w białym fartuchu i chustce podała mi szklankę z płynem, który miał silny zapach waleriany, i poprosiła, bym wypiła wszystko do dna. Spełniłam jej prośbę, wciąż jeszcze będąc w dziwnym stanie półświadomości. Odruchowo położyłam dłoń na kaburze z pistoletem TT i zdałam sobie sprawę, że nie ma go na miejscu. Dziewczyna spojrzała na mnie ze strachem i zaczęła wyjaśniać, że na pewno oddadzą mi broń, ale później.

– Mój pistolet! Natychmiast! – Zerwałam się z łóżka.

– Ludo! Ludo! Przestań! – Okazało się, że Piszeł-Gajek stał w pobliżu. – Co zamierzasz zrobić? Po co ci pistolet?

– To moja broń służbowa. Zawsze powinnam ją mieć przy sobie.

– Przede wszystkim się uspokój.

– Czy myśli pan, że chcę popełnić samobójstwo? – Prawdopodobnie mówiłam za głośno. – Nie, nic z tego! Nie doczekają się. Teraz fryce zapłacą mi za jego śmierć. Policzę się z nimi!

Krótko mówiąc, po małej awanturze oddali mi „tetetkę”. Czule pogładziłam pokrytą nacięciami rękojeść, włożyłam ciężki pistolet do kabury i zapięłam ją. Dowódca batalionu Dromin pozwolił mi zostać w szpitalu przy ciężko rannym mężu. W nocy Aleksiej to majaczył, to tracił świadomość, to znów dochodził do siebie. Z trudem się uśmiechał i dodawał mi otuchy. W południe 4 marca odszedł na moich rękach.

Pogrzeb odbył się następnego dnia na Cmentarzu Braterskim. Obecni byli wszyscy niepełniący tego dnia dyżuru oficerowie 54. Pułku, dowódca pułku major Matusiewicz, komendant komendy wojskowej Malcew, wielu żołnierzy z 2.

Kompanii i cały mój pluton. Matusiewicz mówił krótko, ale jego przemowa była barwna i emocjonalna. Następnie z podporucznikiem Kicenką pożegnali się jego podwładni. Gdy trumnę opuszczano do grobu, rozległy się salwy pożegnalne z karabinów i automatów. Oficerowie oddali salwy z pistoletów, ja jednak nie mogłam wyciągnąć swojego TT. Malcew zapytał mnie, dlaczego nie oddaję salwy. Szczerze mówiąc, czasami nasi pracownicy polityczni wykazują się niesamowitym brakiem empatii i nie sposób im szczerze odpowiedzieć. Prawdopodobnie moje słowa zabrzmiały arogancko:

– Nie jestem aktorką, żeby strzelać w powietrze. Moja salwa przeznaczona jest dla faszystów. Przysięgam, że wpakuję kule przynajmniej w setkę wrogów!

Oczywiście prawda była inna. Nie chciałam się pogodzić z odejściem ukochanego męża. Kiedy on był blisko, czułam to. Poranione ciało Loni spoczęło w sewastopolskiej ziemi, ale życzliwa, dobra dusza wciąż jeszcze nie zaznała schronienia. Nie powinnam się żegnać z nim strzałami z broni, którą oboje tak kochaliśmy. Już dawno była to dla mnie rzecz święta. Kraj i armia dały mi ją do obrony, do ataku, bym uwierzyła we własne siły w momencie, kiedy należy dokonać ostatecznego wyboru: albo natychmiastowa śmierć, albo wieczna hańba.

Jednak moje życie po pogrzebie Aleksieja Kicenki zmieniło się. Kiedy wróciłam do naszego schronu ziemnego, spędziłam w nim trzy nieprzespane noce. Potem próbowałam wziąć w dłonie karabin snajperski i zdałam sobie sprawę, że nie mogę go utrzymać, gdyż bardzo drżały mi ręce. Musiałam się zatem udać do neurologa do batalionu medyczno-sanitarnego. Lekarz postawił diagnozę: nerwica reaktywna. Zaproponował mi, żebym spędziła dwa tygodnie w szpitalu i regularnie piła nalewkę z korzenia waleriany oraz zażywa-

ła jakieś lekarstwo zawierające brom. W znajdującym się w sztolniach Inkermanu zakładzie leczniczym było cicho, spokojnie i… bardzo nudno. Odwiedzali mnie Fiodor Siedych, który właśnie otrzymał stopień starszego sierżanta, i awansowany na sierżanta Wołodia Wołczkow. DZIEWIĄTEGO DNIA od dnia śmierci dowódcy naszej kompanii zdecydowaliśmy się udać na Cmentarz Braterski, by odwiedzić Aleksieja.

Cmentarz znajdował się w czwartym sektorze obrony. Z naszego trzeciego sektora wiodły tam trzy drogi, z których jedna była asfaltowa. Niemcy wielokrotnie ją bombardowali, ale nasi saperzy sukcesywnie ją naprawiali, ponieważ była to ważna magistrala transportowa: na cmentarzu znajdował się sztab komendanta czwartego sektora i jednocześnie dowódcy 95. Dywizji Strzelców, pułkownika Aleksandra Grigorjewicza Kapitochina. Często jeździły tędy samochody wojskowe, więc złapanie okazji nie było trudne.

Cmentarz Braterski, otoczony dość wysokim murem z wapiennego kamienia krymskiego z żeliwną bramą i wieżyczkami w kształcie piramidy, z daleka przypominał twierdzę. Tysiące uczestników pierwszego oblężenia Sewastopola (w tym 30 generałów i admirałów) spoczęło tu w spokoju. Obrońców miasta chowano tu nie tylko podczas działań wojennych, ale – zgodnie z dekretem carskim i z ich testamentem – jeszcze przez wiele lat, do 1912 roku. Tę wspaniałą nekropolię wojskową zdobiła świątynia pod wezwaniem Świętego Mikołaja Cudotwórcy – również piramidalna i z przepięknymi mozaikami w środku. Obecnie świątynia stała bez krzyża i ze zniszczonym dachem. Wcześniej nasi umieścili na niej swój posterunek kontrolujący ogień artyleryjski. Faszyści, dowiedziawszy się o tym, pociskiem artyleryjskim zniszczyli zabytkową cerkiew.

Mogiły żołnierzy i oficerów radzieckich znajdowały się w północno-wschodniej części cmentarza, za wzgórzem. Weszliśmy do nekropolii przez południową bramę i powoli zaczęliśmy się wspinać po głównej alei do piramidalnej świątyni, która stała na wzgórzu. Osiem dni temu nie miałam ani siły, ani czasu na oglądanie wspaniałych pomników z białego i czarnego marmuru, granitu i diorytu, które znajdowały się po obydwu stronach alejki. Teraz nigdzie się nie spieszyliśmy i stanęliśmy na samym początku alei, przy białej marmurowej kolumnie z kanelurami, zwieńczonej popiersiem mężczyzny w nałożonym na mundur szynelu. Wyrzeźbiony z marmuru dwugłowy orzeł, umieszczony pod popiersiem, trzymał w szponach okrągłą tarczę z napisem: „Chrulowowi – Rosja”. Generał Chrulow, bohater pierwszego oblężenia, osobiście poprowadził do ataku piechotę z Pułku Zabałkańskiego, Siewskiego i Suzdalskiego podczas obrony Kurhanu Małachowa. Żołnierze ciosami bagnetów wielokrotnie zmuszali Francuzów i Anglików do salwowania się ucieczką.

Tego pogodnego marcowego dnia marmurowy Chrulow smutnie spoglądał ze szczytu kolumny na odwiedzających cmentarz. Za jego pomnikiem w zbiorowych mogiłach leżały tysiące anonimowych obrońców miasta. Jednakże twórcy pomnika umieścili epitafium ku ich czci: „Ścieśnijcie swe szeregi, niezrównani śmiałkowie, i otoczcie swymi ramionami bohatera oblężenia Sewastopola w swej braterskiej mogile!”.

Szliśmy dalej aleją. Tutejsze nagrobki prawdopodobnie były dziełem najlepszych rzeźbiarzy, architektów i artystów, którzy użyli w swoich pracach marmuru, granitu i odlewów z niezwykłymi ornamentami. Na przekór zgubnemu upływowi czasu na metalu zachowały się nazwiska, stopnie wojskowe, daty urodzin i śmierci bohaterów pierwszego oblężenia.

Niczego takiego nie było jednak na placu za cerkwią św. Mikołaja, który przeznaczony był do pochówku poległych w czasie drugiej obrony. Wzdłuż szarego muru ciągnęły się starannie usypane kopczyki z ziemi, na których umieszczono gwiazdy ze sklejki. Grób podporucznika 54. Pułku Strzeleckiego Aleksieja Arkadjewicza Kicenki jednak różnił się od pozostałych. Gwiazdę i kolumienkę pod nią pokryto grubą warstwą czerwonej farby, inskrypcja zaś była bardziej obszerna: „Urodził się 08.10.1905, zginął w wyniku odniesionych ran 04.03.1942 roku". W pobliżu leżała kłoda drzewa. Usiedliśmy na niej, patrząc na smętny szereg mogił. Gdzieniegdzie ziemia już wyschła i kopczyki się rozpadły, tracąc swe dawne kontury, ale tu i ówdzie jeszcze żałobnie czerniała…

Położyłam zielone gałązki jałowca na grobie, następnie wyjęłam z brezentowej torby na maskę przeciwgazową pajdę chleba i rozsypałam okruszki przy słupku z gwiazdą, aby ptaki przylatywały tu częściej. Fiodor wyciągnął manierkę z rozcieńczonym spirytusem, nalał go do metalowego kubeczka i także umieścił obok gwiazdy. Potem sami napiliśmy się tego typowego dla frontu napoju i na dłuższy czas pogrążyliśmy się w zadumie.

„Spoczywaj w pokoju!" – mogłabym powtórzyć słowa często spotykane na zabytkowych pomnikach Cmentarza Braterskiego. Z bólem serca pożegnałam się ze swoim ukochanym – musimy wracać na rubieże ogniowe i znowu przystąpić do służby żołnierskiej z zimną krwią, cierpliwością i żelaznym opanowaniem.

W pułku czekała na mnie korespondencja. Otrzymałam listy od mojej siostry Walentiny, matki, ojca i syna. Usiadłam, aby odpisać na ich listy:

„Moja droga, kochana Lenusiu!

W ciągu dziewięciu miesięcy pierwszy raz otrzymałam od was listy (dwa od Waluszki, od ciebie, od Morsika i od taty). Dzisiaj piszę do każdego z was. Lenusiu, nie potrafię przekazać ci całej mej radości! Jest ci trudno, ale, moja najdroższa, znajdujesz się poza frontem, a to jest najważniejsze. Lenusiu, nie możesz sobie wyobrazić, czym jest współczesna wojna. Jakże się o ciebie martwiłam, moja miła! W najbliższych dniach wyślę ci zaświadczenie, że służę w wojsku – to poprawi waszą sytuację finansową. Pozwól, że się pochwalę. Zostałam starszym sierżantem, snajperem, mam na koncie 257 trafień. Niedawno otrzymałam od Rady Wojennej odznaczenie i dyplom. Przedstawiono mnie do Orderu Lenina. To wszystko. Aha, i jeszcze na wojskowej tablicy honorowej znalazłam się na pierwszym miejscu. To wszystko, Lenusiu, resztę omówimy po wojnie. Teraz nie pora na pisanie pamiętników. W tym czasie (od 6 VIII do teraz) ciągle znajduję się na przedniej pozycji. Jestem instruktorem snajperskim. Wysyłam Ci wycinek z gazety i moją kartę. Wydaje mi się, że więcej nie trzeba. Twoja głupia Luda coraz bardziej głupieje z radości, że ty, moja droga, jesteś z dala od frontu. Lenusiu, niczego nie potrzebuję, mamy tu wszystko – przecież żywi nas naród. Przeżyłam ogromny dramat, moja kochana. 5 III pochowałam Lonię. Nie ma go już ze mną. To nic, Lenusiu, będę walczyć sama. Trudno mi się z tym pogodzić, ale jestem z niego dumna. To był wspaniały człowiek, jakich mało. Trzy razy mnie ocalił, mamusiu, a uratowanie życia na wojnie to prawdziwe ocalenie. No cóż, Lenusiu, o tym na razie mówić (a dokładniej – pisać) nie będę. To wciąż boli…”[1]

Wzruszający był list od syna, który opowiadał o swoim szkolnym życiu. Z dyktanda z języka rosyjskiego dostał ocenę bardzo dobrą, a za ustną odpowiedź na arytmetyce – dobrą. Jednak najbardziej lubi podręcznik *Mowa ojczysta* i zawartą w nim opowieść o dowódcy pułku, Aleksandrze Wasiljewiczu Suworowie. Tak jest od dawna: Rosjanie zawsze pokonują wrogów Ojczyzny. Kilkakrotnie przeczytawszy krótkie zdania na kartce w linie, napisane kaligraficznym charakterem pisma Morsika, zamyśliłam się. Należy opowiedzieć coś dziesięcioletniemu chłopcu o wojnie, która toczy się na terytorium kraju ojczystego. To bezprecedensowa i niebywała w swej bezwzględności wojna, rozpętana w celu zniszczenia naszego narodu. Oby tylko nie przerazić małego człowieczka, nie wpoić mu strachu, który nie przystoi przyszłemu żołnierzowi…

Na rubieżach obronnych w pobliżu Sewastopola wciąż panował względny spokój, snajperzy jednak pracowali w pocie czoła, tak więc dowództwo Sewastopolskiego Okręgu Obronnego, pełne uznania dla ich wkładu w walkę z okupantem, postanowiło zorganizować zlot strzelców wyborowych w celu wymiany doświadczeń.

Zebraliśmy się w poniedziałek 16 marca 1942 roku. Nad sceną wisiał czerwony, bawełniany transparent. Wielkie białe litery na nim głosiły: „Cześć snajperom – stachanowcom na froncie!”. Pod transparentem na scenie przy stole siedziały ważne osobistości: dowódca Floty Czarnomorskiej wiceadmirał F. S. Oktiabrski, dowódca Samodzielnej Armii Nadmorskiej generał major I. J. Pietrow, członek Rady Wojennej Floty komisarz dywizji I. I. Azarow oraz członek Rady Wojennej Armii komisarz brygady M. G. Kuzniecow. Słuchali odczytu o rozwoju ruchu snajperskiego w Sewastopolskim Okręgu Obronnym, który wygłaszał generał major W. F. Worobjow, pełniący obowiązki szefa sztabu Armii Nadmorskiej.

Odczyt był rzetelny i dobrze nakreślił sytuację. Worobjow zaczął go nieco poetycko: powiedział, że nadeszła wiosna, więc noce stały się niestety krótkie, co nie sprzyja obrońcom miasta, gdyż zaopatrzenie odbywa się głównie drogą morską – za pomocą statków Czarnomorskiej Żeglugi Parowej oraz okrętów Floty Czarnomorskiej. Przybywają do Sewastopola nocą, ich rozładunek odbywa się na przystaniach Zatoki Południowej, dlatego pozostają niezauważone przez wrogi wywiad powietrzny. Teraz będzie mniej takich możliwości, a przy przewadze faszystowskiego lotnictwa w powietrzu należy się przygotować na nowe trudności związane z zaopatrzeniem w amunicję, broń, żywność i zasoby ludzkie.

Nieprzyjaciel przygotowuje trzeci szturm na Główną Bazę Marynarki Wojennej. Według danych wywiadu liczebność niemieckiej 11. Armii wzrosła i jest to około 200 tysięcy osób, czyli dwa razy więcej niż stacjonujących pod miastem żołnierzy i dowódców radzieckich. Na swoje rubieże ogniowe fryce stale transportują nowe armaty i działa moździerzowe. Ich liczba może się zbliżyć do imponujących dwóch tysięcy luf. A my mamy jedynie 600 sprawnych jednostek artylerii… VIII Korpus Lotniczy pod dowództwem asa przestworzy generała von Richthofena przeniesie swoją bazę na Krym, a Niemcy będą mieli do dyspozycji około siedmiuset samolotów przeciwko naszym 90 wozom bojowym.

Zwracając się do publiczności, która składała się ze 150 najlepszych z najlepszych żołnierzy piechoty sewastopolskiej, mających na koncie nie mniej niż 40 zlikwidowanych wrogich żołnierzy i oficerów, generał major Worobjow mówił otwarcie:

– Fryców przybyło. Dlatego musimy zabijać ich więcej, aby jakoś wyrównać szanse napastników i obrońców. Według naszych statystyk szeregowy żołnierz potrzebuje 8–10 na-

bojów do zneutralizowania jednego wroga, snajperowi zaś wystarczą tylko 1–2 kule… Drodzy towarzysze, miejcie na uwadze, że amunicji będzie teraz mniej, więc trzeba ją oszczędzać i oddawać strzały z większą skutecznością. Dowództwo Sewastopolskiego Okręgu Obronnego wzywa was nie tylko do wyrabiania swoich norm na pozycjach ogniowych, ale również do wtajemniczania w arkana pracy strzelca wyborowego szeregowych żołnierzy, ażeby i oni mogli zostać przodownikami pracy. Niech każdy z was wybierze grupę liczącym od 10 do 15 podopiecznych i w krótkim czasie ich wyszkoli. Z naszej strony gwarantujemy dostarczenie im karabinów z celownikami optycznymi…

W imieniu snajperów występowałam na zlocie pierwsza, gdyż miałam największą liczbę trafień – zlikwidowałam 257 hitlerowców. Powiedziałam, że otrzymaliśmy tytuł honorowy przodowników pracy na froncie, a tytuł ów zobowiązuje nas do osiągania jeszcze lepszych wyników w strzelaniu i do podejmowania nowych zobowiązań. Ja osobiście zobowiązuję się do tego, że na moim koncie znajdzie się 300 zabitych faszystów.

Drugie miejsce w tych niepisanych zawodach zajmował starszy sierżant 7. Brygady Piechoty Morskiej, dowódca plutonu karabinów automatycznych Noe Adamia ze 165 trafieniami. Z pochodzenia był Gruzinem, ale przed wojną ukończył Odeską Szkołę Marynarki Wojennej i służył we Flocie Czarnomorskiej. Kiedy Noe się denerwował, mówił bardzo żywiołowo, z silnym kaukaskim akcentem. Zameldował, że nauczył już podstaw sztuki snajperskiej około 80 żołnierzy i nie zamierza na tym poprzestać. Z 200 faszystami na swoim koncie zniknął bez wieści po bitwach w okolicach latarni morskiej w Chersonezie na początku lipca 1942 roku. Pośmiertnie został odznaczony tytułem Bohatera Związku Radzieckiego.

Starszy szeregowy z 456. Pułku NKWD, obecnie wchodzącego w skład 109. Dywizji Strzelców, były żołnierz straży granicznej Iwan Lewkin, mógł opowiedzieć o 88 zabitych wrogach, a jego kolega z pułku, również starszy szeregowy Iwan Bogatyr – o 75. Iwan szczególnie wykazał się później – w czasie ostatniego szturmu Sewastopola, gdy, już ranny, przez pięć godzin na rubieży ogniowej w pobliżu wsi Bałakława za pomocą karabinu maszynowego odpierał ataki wroga. Za ten czyn przyznano mu tytuł Bohatera Związku Radzieckiego.

Snajperzy to milczki i samotni wojownicy, tak więc ładnie przemawiać nie umieją. Wystąpienia innych uczestników zlotu brzmiały nieco jednostronnie: informowali oni o swoich osiągnięciach, brali na siebie nowe zobowiązania, opowiadali trochę o własnych metodach kamuflażu w terenie, walce z niemieckimi snajperami i pielęgnacji broni w warunkach krymskiej wiosny i zimy. Strzelcy wyborowi niejako bali się przekroczyć pewną barierę w przemówieniach skierowanych do kierownictwa. Generał major Pietrow, który lepiej niż wiceadmirał Oktiabrski znał sytuację na lądowych rubieżach obrony, postanowił skierować rozmowę na tematy bardziej konkretne.

– Towarzysze snajperzy! Jako prawdziwi patrioci jesteście gotowi likwidować agresorów zawsze i wszędzie. Jakie jednak macie prośby i życzenia? W jaki sposób dowództwo Sewastopolskiego Okręgu Obronnego może wam pomóc w waszej, jakże ważnej dla frontu, pracy? Mówcie szczerze, otwarcie, nie wstydźcie się. Zlot zorganizowaliśmy nie tylko po to, by rozmawiać o sukcesach, lecz także o problemach.

Z propozycją tą, która wywołała ożywienie na sali, snajperzy udali się na obiad. Służba intendencka stanęła na wysokości zadania i zaserwowała im sałatkę warzywną, uchę ze świeżo złowionego cefala, gulasz i kompot. Naturalnie do-

dano do tego menu frontową setkę wódki, więc dalsza rozmowa stała się bardziej rzeczowa. Snajperzy zaczęli mówić bez ogródek o swoim życiu w okopach.

Martwiło ich na przykład to, że nie otrzymują w porę odzieży kamuflażowej: w październiku noszą zielony strój maskujący, kiedy potrzebny jest już brązowy, a tarczki opancerzone, które chroniłyby ich na pozycjach, często zalegają w magazynach wojskowych… Dobrze by było zaopatrzyć strzelców wyborowych w najprostsze tablice balistyczne, które nie odstraszałyby nowicjuszy swoją mocno naukową formą, a podczas kolejnych wypadów – w suchy prowiant z jakimiś kwaśnymi sokami, które gaszą pragnienie lepiej niż zwykła woda… Największe zaś marzenie snajpera to jednoosobowe dowodzenie, ponieważ w niektórych jednostkach wojskowych są do dyspozycji wszystkich, którzy tylko sobie tego zażyczą. Okazuje się, że ludzie, przeszkoleni w zakresie tego skomplikowanego fachu, kopią schrony i transzeje, pracują jako strażnicy, kierowcy, a nawet… kucharze, ponieważ jest to ich pierwszy przydział mobilizacyjny… Podczas ofensywy nie należy wysyłać snajpera do ataku wraz z resztą kompanii, bo przecież na jego karabinie nie ma nawet bagnetu… Lepiej, by znajdował się na wcześniej obranej ukrytej pozycji i stamtąd strzelał w kierunku gniazd karabinowych wroga… Czyż nie jest oczywiste, że snajper potrzebuje więcej odpoczynku niż zwykły żołnierz piechoty? Chociaż raz w tygodniu dajcie mu przepustkę na dobę – niech się biedaczysko przynajmniej wyśpi gdzieś na tyłach…

Generał major Pietrow niespiesznie zapisywał w notesie wszystkie propozycje. Następnie wygłosił mowę końcową i odpowiedział, że w celu spełnienia próśb i życzeń należy wykonać konkretne działania. Bardzo łatwo wydać suchy prowiant czy przepustkę, ale zredagowanie tabel balistycz-

nych i ponowny ich wydruk – to zadanie, które wymaga niejednego tygodnia. Uświadomienie niektórym dowódcom, że snajper jest specjalistą szczególnego rodzaju, to też kwestia czasu. My jednak możemy spróbować. Nawiasem mówiąc, zorganizowany dziś zlot snajperski jest jednym ze sposobów podniesienia prestiżu tego fachu w oczach całej Armii Nadmorskiej.

Nasze spotkanie zakończyło się dość niecodziennie i wręcz wesoło: koncert dała frontowa brygada Wszechzwiązkowego Stowarzyszenia Występów Gościnnych i Koncertów. Brzmiała muzyka klasyczna w wykonaniu instrumentów smyczkowych oraz ludowa w wykonaniu duetu bajanistów, popularne piosenki, wiersze radzieckich poetów, humorystyczne historie, a uwieńczeniem występu były sztuczki w wykonaniu iluzjonisty S. Bobrowskiego.

Cały marzec, kwiecień i maj 1942 roku wojska zarówno nasze, jak i przeciwnika pozostawały na swoich poprzednich pozycjach i w tej materii nie dokonały się żadne istotne zmiany. Snajperzy, dostrzegając poświęcaną im przez dowództwo Sewastopolskiego Okręgu Obronnego uwagę i czując roztaczaną nad nimi opiekę, pracowali z większym zapałem. W gazecie „Krasnyj Czernomoriec”, którą regularnie dostarczano na nasze pozycje, w rubryce „Na przedpolach Sewastopola” codziennie publikowano raporty o ich osiągnięciach, a także o liczbie samolotów nieprzyjaciela zestrzelonych z dział przeciwlotniczych przez artylerzystów i pilotów 6. Gwardyjskiego Pułku Niszczycieli.

Oto moje notatki z tego okresu: 31 marca snajperzy radzieccy zlikwidowali 32 niemieckich żołnierzy i oficerów; 3 kwietnia – 18; 4 kwietnia – 26; 6 kwietnia – 25; 7 kwietnia – 26; 8 kwietnia – 66; 9 kwietnia – 56; 10 kwietnia – 108; 11 kwietnia – 53; 14 kwietnia – 55; 15 kwietnia – 50; 18 kwietnia – 83; 19 kwietnia – 65. Tylko w kwietniu snajperzy wy-

słali na tamten świat 1492 faszystów, a w ciągu pierwszych dziesięciu dni maja – 1019… Mieszkańcy Sewastopola nie tracili ducha i z nadzieją patrzyli w przyszłość.

Przed weekendem majowym mieszkańcy doprowadzili do porządku spustoszone przez sześciomiesięczne oblężenie miasto. Z inicjatywy Miejskiego Komitetu Obrony zorganizowano kilka czynów społecznych: posprzątano podwórza, spalono śmieci, które nazbierały się na ulicach przez zimę, zasypano ziemią i kamieniami leje od pocisków i bomb, zdemontowano zasieki i barykady, zasłonięto deskami i dyktą rozbite okna na parterach domów, pomalowano ogrodzenia i ławki na skwerkach i w parkach, pobielono pnie drzew, a także naprawiono drogi i chodniki.

Na rozkaz generała majora Pietrowa snajperzy otrzymywali teraz raz w tygodniu przepustki na dobę, a ponieważ często przyjeżdżałam do Sewastopola – widziałam, z jaką starannością ludzie go odbudowują. Czystością i schludnością zaczął przypominać on to piękne, przedwojenne, południowe miasto, różniące się od innych szczególną marynarską wytwornością. Moim ulubionym miejscem spacerów był Bulwar Przymorski, skąd rozpościerał się wspaniały widok na zatokę i na otwarte morze na horyzoncie. Bulwar oczyszczono z rozszarpanych przez bomby drzew, posypano świeżym piaskiem morskim, na klombach posadzono kwiaty: stokrotki, niezapominajki i fiołki, a także naprawiono drewniane ławeczki i altanki. Pięknie wyglądały kamienny mostek ze smokami i słynny pomnik zatopionych statków w pobliżu zabetonowanego mola.

Po przybyciu do miasta żołnierze walczący na froncie mieli możliwość skorzystania z łaźni, pójścia do stołówki, odwiedzenia zakładu fryzjerskiego, zegarmistrza czy studia fotograficznego i wysłania telegramu do rodziny na poczcie głównej. Można się było również udać do kina, w którym

każdego dnia odbywały się trzy seanse: przedwojenne radzieckie filmy fabularne i kroniki filmowe.

Wszystko to wyraźnie dodawało otuchy. Mimo częstych bombardowań i ostrzału artyleryjskiego (do nich, jak dziwnie by to nie zabrzmiało, przyzwyczailiśmy się) w naszym pułku mówiło się, że do Sewastopola zbliżają się radzieckie jednostki wojskowe, które wkrótce wkroczą od strony Półwyspu Kerczeńskiego. Armia Nadmorska również uderzy we wroga, i w ten sposób fryce, wzięci w kleszcze, zostaną rozbici, a oblężenie się zakończy.

Trzeba przyznać, że takie założenia nie były bezpodstawne. Jeszcze w styczniu 1942 roku nasze wojska (6 dywizji strzeleckich, 2 brygady i 2 pułki, ogółem 42 tysiące osób) dobiły do brzegu na wschodzie półwyspu, wyparły Niemców na odległość stu kilometrów, wyzwoliły Kercz i Teodozję i utworzyły Front Krymski. Przeciwko nim występowały jednostki 11. Armii Niemieckiej (około 25 tysięcy osób).

Jednakże dalsze wydarzenia potoczyły się absolutnie nie tak, jak oczekiwali dzielni obrońcy Sewastopola. Wczesnym rankiem 8 maja 1942 roku faszyści rozpoczęli natarcie na Półwyspie Kerczeńskim. Nie mieli przewagi liczebnej, jednak skupili swoje siły na jednym, raczej wąskim odcinku frontu, i osiągnęli sukces. Winnymi tej porażki w dużej mierze byli dowódca Frontu Krymskiego, generał porucznik D. T. Kozłow, oraz przedstawiciel Stawki Najwyższego Naczelnego Dowództwa, komisarz armijny I rangi L. Z. Mechlis, którzy nie rozszyfrowali w porę planów wroga, nie przeprowadzili odpowiedniego zwiadu, a następnie utracili operatywną kontrolę nad wojskiem. Jednostki 51. i 47. Armii rozpoczęły chaotyczny odwrót na wschód do Cieśniny Kerczeńskiej. W połowie maja hitlerowcy zajęli Kercz, a następnie cały Półwysep Kerczeński. Nasze straty były olbrzymie: kilkadziesiąt tysięcy ludzi zostało zabitych, rannych bądź do-

stało się do niewoli. Niemcy zdobyli znaczące trofea: ponad 300 czołgów, 400 samolotów oraz prawie trzy i pół tysiąca armat i moździerzy.

Pogrom Frontu Krymskiego oznaczał, że trzeci szturm na Sewastopol jest nieunikniony. Wkrótce poczuliśmy to na własnej skórze. Od 20 maja wróg rozpoczął masowe ataki lotnicze na Główną Bazę Marynarki Wojennej Floty Czarnomorskiej. Codziennie wznosiły się w niebo setki Junkersów i Messerschmittów, z których zrzucano na miasto tysiące bomb. Machiny z czarnymi krzyżami na skrzydłach stale krążyły nad Sewastopolem, a jedną grupę bombowców zastępowała druga. Radzieckie lotnictwo (około stu samolotów bojowych) nie było w stanie stawiać im oporu. Piloci i tak pracowali na granicy swoich możliwości, odbywając od sześciu do siedmiu lotów dziennie. Ich lotnisko w okolicach latarni morskiej w Chersonezie znajdowało się pod ostrzałem niemieckiej artylerii dalekonośnej; od wybuchów pocisków wielkokalibrowych płonęły samoloty i ginęli ludzie.

Samo miasto zmieniło się w gigantyczne ognisko, prawdziwe morze ognia i dymu. Sprzyjały temu upał do 40 stopni Celsjusza, a także całkowity brak wody, spowodowany zniszczeniem przez Niemców wodociągu. Ponadto w ciągu kilku dni faszyści zbombardowali wszystkie duże ocalałe budynki. Dzielnice miasta, szczególnie te w centrum, sąsiadujące z brzegami zatoki, legły w gruzach. Niektóre domy od razu się zawaliły, inne spłonęły i stały jak olbrzymie, poczerniałe pudełka bez dachów i okien.

U nas, na rubieży trzeciego sektora obrony, również było bardzo gorąco. Prawdopodobnie najbardziej niszczycielski okazał się ogień ciężkich dział moździerzowych. Zgodnie z późniejszymi badaniami, fryce umieścili wzdłuż frontu po 20 luf na kilometr. Jeszcze więcej przywieźli dział artyleryjskich – 37 luf na kilometr. Ten potężny ostrzał naszej przed-

niej pozycji trwał od 2 do 6 czerwca 1942 roku, jednak 25. Dywizja „Czapajewska” nie poniosła dużych strat w ludziach: żołnierze i dowództwo ukryli się w głębokich schronach i specjalnych kryjówkach, które nazwaliśmy lisimi norami.

Prawdopodobnie w sztabie 11. Armii przypuszczano, że jeśli w wyniku takiej akcji Rosjanie nie zostaną zlikwidowani, to przynajmniej osłabnie ich morale, więc nie będą mogli stawiać oporu zbliżającym się jednostkom Wehrmachtu. Fryce, jak zwykle, byli w błędzie.

Trzeci szturm miasta rozpoczął się 7 czerwca 1942 roku o godzinie czwartej nad ranem. Huraganowy ostrzał artylerii i naloty trwały około 60 minut. Można było pomyśleć, że w okolicach Sewastopola wybuchł wulkan: słupy dymu, swąd pożarów, poderwana przez eksplozje ziemia. Wszystko to utworzyło nad naszymi pozycjami ogromną, czarną chmurę, przez którą ledwie przebijało się jasne, letnie słońce. Ryk silników lotniczych i huk eksplozji towarzyszył wrogiemu ogniowi i brzmiał jak niewiarygodna, szalona kakofonia.

Około piątej rano niemiecka piechota przy wsparciu czołgów i dział samobieżnych rozpoczęła natarcie na przednie pozycje obrońców miasta. Od dawna już, to jest od czasu obrony Odessy – nie widziałam niczego podobnego. Gorący czerwcowy dzień dopiero się rozpoczął. Lekki wiaterek unosił kosmyki czarnego dymu, a ziemia i kurz stopniowo opadały. W ciszy, która nastąpiła po piekielnym łoskocie, w dolinie rzeki Belbek posuwały się naprzód warczące silnikami czołgi. Za nimi zwartym szykiem maszerowali żołnierze – wyprostowani i rozebrani do pasa. Były tam też grupy strzelców uzbrojonych w karabiny Mauser i pistolety maszynowe MP 40. Na rozkaz dowódców zajęliśmy pozycje w okopach. Odległość między nami, „Razincami”, a faszy-

stami zmniejszyła się, ale nadal nie przekraczała 600 metrów.

– Atak psychiczny? – zapytał Fiodor Siedych, stojący obok mnie w okopie snajperskim, zamaskowanym rozłupanym na kilka kawałków pniem dębu.

– Rozzuchwaliły się dranie! – Przyłożyłam lornetkę do oczu i spojrzałam na szeregi. Optyka pokazywała szare, zniekształcone w grymasie twarze i jeszcze nieopalone ciała o solidnej budowie. Dobrze odżywieni, świetnie wyszkoleni, niewycieńczeni przez długie oblężenie, prawdziwi „imperialni Niemcy" niedawno zostali przeniesieni do Sewastopola z Donbasu z niemieckiej 17. Armii. Doniósł nam o tym nasz wywiad, krążący po linii frontu w poszukiwaniu informacji. Teraz doborowi żołnierze Adolfa Hitlera znaleźli się w polu mojego widzenia. Szli, potykając się o kamienie, rozmawiali, zaczepiając się ramionami, czasem przerzucając karabiny z rąk do rąk. Ich zachowanie wydało mi się dziwne i wkrótce zorientowałam się, że fryce są nietrzeźwi. Wczoraj wieczorem, zastanawiając się, jaki może być rozkład sił w czołowej ofensywie wroga na naszym obszarze, postanowiłam, że na rubież ogniową snajperzy powinni zabrać SWT-40. W moim plutonie było ich 12 sztuk. Ja sama sprawdziłam i ponownie wyczyściłam swój karabin samopowtarzalny Tokariewa – nastał czas, by usłyszeć jego donośny głos. I tak zaginie on w huku serii z karabinów maszynowych, wśród salw moździerzy oraz pułkowych dział kalibru 45 mm i 76 mm.

Nasz okop znajdował się na prawej flance, przed główną linią, obok cekaemistów. Część plutonu ulokowała się na lewej flance, a kilka osób, wraz z żołnierzami piechoty – w głównej transzei. Zadaniem snajperów było szybkie pozbycie się z szeregu oficerów i podoficerów, a następnie

przeniesienie ognia na gniazda karabinowe wroga i obsługę moździerzy.

Faszyści maszerowali w naszym kierunku, tak więc my podnieśliśmy leżące na przedpiersiu okopu karabiny. Założyłam do „Swiety” magazynek, zdjęłam skórzane osłonki z okularu celownika optycznego i spojrzałam przez niego, aby określić odległość. Już dawno nauczyłam rekrutów najprostszych zasad snajperskich i wymagałam, aby zapamiętali je na całe życie: jeśli pozioma nitka celownika zakrywa postać poruszającego się człowieka do kolan – odległość wynosi 250 metrów; jeśli do pasa – 400 metrów; jeśli do ramion – 600 metrów; jeśli całkowicie – to 750 metrów. Oczywiście istniały również bardziej dokładne metody określania odległości strzelca od celu na podstawie celowników optycznych „PE” i „PU”, ale wtedy konieczne było obliczenie równania. Wielu czerwonoarmistów takie działania matematyczne przerastały… To nic, dzisiaj sobie poradzą, gdyż najważniejsze to słuchać dowódcy.

Teraz plutonem dowodził starszy sierżant Fiodor Siedych, a ja od połowy maja tego roku pełniłam funkcję instruktora snajperskiego w sztabie 54. Pułku. Zadania były takie same: zajmować się szkoleniem snajperskim niedawno przybyłych czerwonoarmistów, dbać o stan broni, przyjmować nową, przystrzeliwać ją, konsultować dowódców pododdziałów w sprawie taktyki wojny snajperskiej, co dwa tygodnie zwoływać strzelców wyborowych w celu wymiany doświadczeń i ćwiczeń strzeleckich, przygotowywać wypady snajperskie na pas neutralny i tyły wroga. Z takimi zadaniami dobrze radziliśmy sobie w okresie stabilizacji frontu, ale chyba od dziś o wypadach będziemy musieli zapomnieć, ponieważ okupanci rozpoczęli atak. Sądząc po tym, co dzieje się teraz w dolinie rzeki Belbek, ich zamiary są poważne.

W okularze celownika pojawił się mężczyzna z pistoletem w ręku, kroczący po lewej flance szeregu. Oczywiście był to oficer – najbardziej odpowiedni cel dla snajpera frontowego. Dystans już się zmienił i osiągnął odległość 500 metrów. Niech podejdzie bliżej. Jego głowa już jest na krzyżu celownika. Moja prawa ręka swobodnie opiera się na szyjce kolby, palec wskazujący znajduje się na spuście. Niewielka siła. Huk wystrzału. Czuję odrzut na ramieniu. Mężczyzna z pistoletem upada.

Nasza artyleria, niejako usłyszawszy sygnał, otworzyła ogień: 69. i 99. Pułk Artylerii Haubic oraz Dywizjony 905., 52. i 134. Pułku Artylerii Haubic. Artylerzyści trafili w kilka czołgów jednocześnie, a następnie uderzyli w szeregi piechoty. Razem z nimi zaczęły rozbijać wroga wielkokalibrowe działa Baterii Obrony Wybrzeża. Znowu wzniósł się w niebo czarny dym, ale tym razem był to rosyjski nalot artyleryjski. Z kolumny atakującej nie zostało już nic. Pierwszy atak Niemców się nie powiódł. Na próżno oczekiwali, że obrońcy Sewastopola stracą ducha walki za sprawą działania ich samolotów i armat.

Na polu płonęły cztery wrogie czołgi, pozostałe zaś cofnęły się na swoje pozycje wyjściowe. Ciała zabitych, na wpół ubranych żołnierzy wyróżniały się bielą spośród zgniłej trawy i czarnych polan, na których wszelka roślinność wypaliła się podczas eksplozji. Cisza nie trwała jednak długo. Pojawiły się bombowce Junkers Ju 87 Stuka, tak zwane łapcie. Zrzuciły na nasze pozycje kilkadziesiąt bomb i, pikując, zalewały „Razinców” ogniem z zamontowanych na skrzydłach karabinów maszynowych. Żołnierze ukryli się w „lisich norach”. Mniej więcej godzinę później, uporządkowawszy wycofujące się jednostki i uzupełniwszy je nowymi pododdziałami, dowództwo 50. i 132. Dywizji Niemców ponownie przesunęło tyraliery piechoty na łagodne północne zbocze

Doliny Kamyszłowskiej. Fiodor i ja wróciliśmy do okopu i wzięliśmy nasze karabiny samopowtarzalne.

Zaproponowałam Fiodorowi Siedychowi wypróbowanie innego wariantu prowadzenia walki: strzelanie nie w pierwszy szereg, a w drugi oraz celowanie w brzuch. Kula w tej części ciała oznacza ranę śmiertelną, aczkolwiek człowiek nie ginie na miejscu. Po kilku strzałach zobaczyliśmy efekty: faszyści, wijąc się z bólu, krzycząc i jęcząc, padali na ziemię i prosili o pomoc. Żołnierze z pierwszego szeregu zaczęli się rozglądać, tracili rezon i powstrzymywali swój marsz. Spowodowało to zamieszanie również w trzecim szeregu. Atak, który fryce zaczęli żywiołowo i energicznie, został zdławiony. Oczywiście w znacznej mierze przyczynili się do tego nasi cekaemiści i moździerzyści – także ich strzały były celne. Pod wieczór Niemcy porzucili pole bitwy na naszym odcinku frontu. Policzyliśmy leżących z przestrzelonymi aluminiowymi sprzączkami na pasach żołnierskich – było ich ponad dwudziestu.

Jednak hitlerowcy zadawali główne ciosy dwa kilometry na lewo od rubieży 54. Pułku, na terytorium 79. Brygady Morskiej i sąsiedniej 172. Dywizji Strzelców. Tam sytuacja wojsk radzieckich przedstawiała się znacznie gorzej. Jedna grupa niemieckich czołgów, nacierając przez dolinę rzeki Belbek, przedzierała się na styku tych dwóch jednostek wojskowych, a druga, wychyliwszy się z Doliny Kamyszłowskiej, atakowała wzgórza zajmowane przez żołnierzy 79. Brygady. Wróg osiągnął pewien sukces. Wieczorem 7 czerwca w pasie głównego uderzenia Niemcy wdarli się klinem w naszą obronę na głębokość 1–2 kilometrów.

Kolejny dzień rozpoczął się od wrogiego ostrzału artyleryjskiego i moździerzowego, a następnie uderzyło hitlerowskie lotnictwo. Kanonada nie milkła przez pięć godzin. Potem, o godzinie dziesiątej rano, Niemcy zaczęli natarcie wzdłuż

całego frontu Sewastopolskiego Okręgu Obronnego; przeciwnik skoncentrował swe siły na styku trzeciego i czwartego sektora – na 79. Brygadzie i 172. Dywizji. Dopiero teraz fryce nacierali nie gęstą tyralierą, ale, rozdzieliwszy się na grupy, szli ostrożnie pod osłoną czołgów, dział samobieżnych i transporterów opancerzonych.

Podczas tych zaciekłych walk nasze jednostki poniosły znaczne straty. Niewielu żołnierzy pozostało w szeregach 79. Brygady i 172. Dywizji i trzeba było podjąć decyzję o ich wycofaniu. Obrońcy Sewastopola wykazali się niewiarygodną wytrwałością i heroizmem, lecz poważnie doskwierał im brak amunicji. Od połowy maja z powodu przewagi w powietrzu niemieckiego lotnictwa dostarczanie jej drogą morską z Noworosyjska, Poti i Tuapse było utrudnione. W czerwcu transport amunicji, broni, żywności i posiłków odbywał się głównie dzięki okrętom podwodnym, których ładowność nie mogła zaspokoić wszystkich potrzeb obrońców.

O świcie 9 czerwca przed frontem naszej Dywizji „Czapajewskiej” wzdłuż drogi prowadzącej do stacji kolejowej „Góry Mackenzie” pojawiły się czołgi i kolumny piechoty wroga. W jednostkach artyleryjskich trzeciego sektora zabrzmiał sygnał o umownej nazwie „Lew” i wszystkie pułki artylerii i dywizjony otworzyły ogień w kierunku zbadanej uprzednio rubieży. Większość czołgów została zniszczona, a piechota salwowała się ucieczką…

Fryce – jak szczury: powoli, lecz uporczywie wgryzali się w radziecką obronę. Ich celem było przebicie się na Stronę Północną głównej zatoki oraz uderzenie w samo serce Miasta Bohatera i zdobycie go.

Ostatni raz widziałam się z chłopakami z mojego ukochanego pierwszego batalionu na zebraniu Komsomołu, które odbywało się 16 czerwca 1942 roku pod skałą w Dolinie

Martynowskiej. W rękach wroga znalazła się już cała Dolina Kamyszłowska i wieś Kamyszły, stacja kolejowa „Góry Mackenzie”, wysokości 319,6-278,4-175,8, bateria nadbrzeżna nr 30, wsie Wierchnij Czorguń i Niżnij Czorguń, Kamary i niektóre inne osady na przedmieściach. W pobliżu Cmentarza Braterskiego trwały zacięte walki.

Grupowy komsomolski pułku Jakow Waśkowski w zwięzły sposób przedstawił sytuację na przednich rubieżach. Powiedział, że w ciągu dziewięciu dni, które upłynęły od początku trzeciego szturmu, w batalionie zginęły dwie trzecie zaewidencjonowanych członków Wszechzwiązkowego Leninowskiego Komunistycznego Związku Młodzieży. Brakuje uzupełnienia, a z zaopatrzeniem w amunicję, żywność i wodę jest coraz gorzej. Nie ma co się łudzić: los Sewastopola jest przesądzony. Nie znaczy to jednak, że okupanci będą raźnie maszerować ulicami przy akompaniamencie orkiestry. „Razincy” poświęcą się i do końca będą wypełniać swoją powinność wojskową.

Słuchaliśmy go w milczeniu. Na twarzach młodych żołnierzy malowało się śmiertelne zmęczenie. Ich przepocone bluzy wojskowe wypłowiały na nieznośnie gorącym słońcu, a bandaże na ranach pociemniały od przepalonego prochu. Przybyli tutaj z bronią bezpośrednio z pozycji ogniowych. Grupowy komsomolski spojrzał w moją stronę, jako jedynego starszego sierżanta, oczekując jakiegoś komentarza. Nie miałam ochoty na dyskusje, więc odpowiedź mogła być tylko taka:

– Przysięgamy walczyć do ostatniej kropli krwi! – powiedziałam.

– Przysięgamy! – powtórzyli jak echo pozostali.

Przypisy

[1] List L. M. Pawliczenko do matki J. T. Biełowej datowany jest na 15 marca 1942 roku i znajduje się w Centralnym Muzeum Sił Zbrojnych w Moskwie, zbiór nr 4/18681 – przyp. red. ros.

Rozdział 13

SŁOWO DOWÓDCY ARMII

Uderzenia artylerii wielkokalibrowej wroga w obiekty naszej obrony stawały się coraz bardziej precyzyjne. Oczywiście nie obyło się tu bez niemieckich obserwatorów, którzy mogli teraz naprowadzać na cel swoje armaty, ponieważ fryce zajęli niektóre z górujących nad terenem wzniesień. Swego czasu zlikwidowałam ich około 12, kiedy ukrywali się na drzewach, wzgórzach, a także na pierwszych piętrach budynków. Teraz jednak nic z tego nie wyszło – wał ogniowy, skierowany w stronę obrońców Sewastopola, był zbyt potężny. Doszło nawet do tego, że hitlerowscy piloci na drogach prowadzących na przednie pozycje obrony zaczęli polować na samotnych przechodniów i samochody na ulicach zniszczonego miasta.

Nalot artyleryjski na sztab naszego pułku rozpoczął się nieoczekiwanie. Pociski spadały gęsto, a podczas trzeciej salwy jeden z nich trafił w dach schronu, w którym w tym czasie znajdowało się kilka osób. Rozległ się świst odłamków, usłyszeliśmy huk i wszędzie unosił się dym. Kapitan Biezrodny zginął na miejscu, ranny w głowę. Ja jednak miałam więcej szczęścia: odłamek głęboko rozciął mój prawy policzek, oderwał opuszek prawego ucha, a fala uderzeniowa uszkodziła mi błonę bębenkową i doznałam ogólnego wstrząsu, ale przeżyłam. Zabrano mnie do dywizjonowego batalionu medyczno-sanitarnego nr 47. Doskonały lekarz Piszeł-Gajek kolejny raz założył szwy na moją ranę. Następnego dnia do batalionu medyczno-sanitarnego dostarczono rozkaz przygotowania grupy rannych do ewakuacji do No-

worosyjska; chirurg określił mój stan zdrowia jako odpowiedni do takiej podróży.

W piątek 19 czerwca do Sewastopola wpłynęło pięć okrętów podwodnych z Noworosyjska. Dostarczyły do oblężonego miasta 165 ton amunicji, 10 ton paliwa lotniczego i 10 ton żywności. Do Noworosyjska okręty podwodne nie wracały puste, zabierały bowiem rannych do szpitali pozafrontowych. Jeden z największych okrętów – „L-4” („Leniniec-4”) – mógł, zgodnie z wyliczeniami specjalnej komisji Marynarki Wojennej, zabrać na pokład setkę ludzi. Zbudowany w 1933 roku jako podwodny stawiacz min, osiągał długość prawie 80 metrów, a szerokość – siedmiu metrów. W 1942 roku dowodził nim kapitan III rangi Polakow. Nocą to właśnie „L-4” był rozładowywany w Zatoce Kamyszowej, a żołnierzom z Dywizji „Czapajewskiej” przydzielono tam miejsca. Późnym wieczorem 19 czerwca ocknęłam się na pochyłym, stepowym, wietrznym brzegu. Okręt podwodny, ukrywając się przed wszechobecnym lotnictwem niemieckim, cały dzień przeczekał na dnie. Jeszcze się nie wynurzył, kiedy już zebrało się wielu rannych. Wynurzeniu okrętu podwodnego z głębin morskich towarzyszyły radosne okrzyki. W czerwcowym zmierzchu najpierw ukazał się dość wysoki kiosk okrętu „L-4”, następnie znajdujące się przed nim działo kalibru 100 mm, potem cały kadłub – wąski i długi, przypominający gigantyczne cygaro. Woda z chlupotem spływała z okrągłych burt. Wreszcie otworzyły się pokrywy obu włazów, a marynarze floty podwodnej wyszli na stalowy pokład. Okręt znajdował się pośrodku zatoki. Rannych zamierzano przetransportować na okręt motorówką typu barkas, obecnie przycumowaną do drewnianego pomostu. Starszy bosman, barczysty, ale niskiego wzrostu, wyjął z kieszeni listę i zaczął wyczytywać nazwiska, przyświecając sobie latarką. Ranni ustawili się jeden za drugim. Wśród

nich byli tacy, którzy mogli się poruszać o własnych siłach, oraz tacy, którym pomagali sanitariusze i pielęgniarki.

W barkasie mieściło się 15 osób, musiał zatem wykonać kilka kursów, by zabrać z przystani wszystkich rannych. Morze w Zatoce Kamyszowej było spokojne, więc szybko dostaliśmy się na okręt podwodny. Marynarze pomogli nam i odprowadzili do otwartego włazu znajdującego się za kioskiem. Następnie musieliśmy zejść bardzo wąskim trapem do szóstego przedziału rufowego, gdzie bezpośrednio na pokładzie rozłożono nam materace korkowe. Można było na nich leżeć lub siedzieć, jednak nie należało po nich chodzić. Położyłam swój plecak koło metalowej grodzi i rozejrzałam się. Pomieszczenie było niskie i słabo oświetlone przez dwie lampy. Pod nami cicho pracowały silniki Diesla.

Rejs „L-4” trwał trzy doby. Nocą okręt płynął po powierzchni wody, a w ciągu dnia zanurzał się na maksymalną głębokość. Faszyści jednak dostrzegli naszą łódź. Wrogie kutry torpedowe odpalały bomby głębinowe, a samoloty zrzucały bomby lotnicze. Pod wodą ich wybuchy były dobrze słyszalne – odczuwaliśmy je jak ostre uderzenia w kadłub okrętu bojowego. Lampy w naszej kabinie migały: naprzemiennie włączały się i wyłączały. Temperatura powietrza wzrastała nawet do 45 stopni i nie było czym oddychać. Kiedy kilkoro rannych straciło przytomność, każdy z nas otrzymał jakieś naboje tlenowe, które pomagały ludziom przetrwać do następnego wieczoru, gdy łódź podwodna się wynurzała, włazy otwierały, a świeże morskie powietrze przenikało do jej wąskich jak jaskinie korytarzy i kubryków.

O zachodzie słońca 22 czerwca 1942 roku „L-4”, będąc na powierzchni wody, wpłynął do Zatoki Cemeskiej. Miasto Noworosyjsk, ciągnące się wzdłuż jej brzegów na długości 25 kilometrów, przyjęło nas serdecznie. Rannych umieszczono w trzech sanitarnych półtoratonówkach i odwieziono do

szpitala. Wpatrywałam się w zalany różowym światłem zachodzącego słońca horyzont i myślałam o tym, co dzieje się teraz daleko stąd, na rubieży ogniowej w Sewastopolu, gdzie zostali moi koledzy z pułku, dzielni „Czapajewcy”. Nie wiedziałam wówczas, że jest to mój ostatni dzień na wojnie.

Doszczętnie zniszczone przez nazistów płonące miasto w dalszym ciągu prowadziło operacje wojskowe przeciwko agresorowi. Stamtąd transportowano do Noworosyjska setki rannych. Rejsy odbywały: przewodnik niszczycieli „Taszkient”, niszczyciele „Biezupirecznyj”, „Bditielnyj”, okręt patrolowy „Szkwał”, trałowce bazowe „Wzryw” i „Zaszczitnik” oraz dwadzieścia cztery łodzie podwodne. Opowieści żołnierzy przywiezionych na Kaukaz nie pozostawiały złudzeń: Sewastopolski Okręg Obronny może zostać zdobyty przez wroga w najbliższym czasie. Wypytywałam o 25. Dywizję Strzelców, o 54. Pułk, ale nikt nie był w stanie udzielić odpowiedzi na moje pytania. Tylko raz jakiś porucznik z zabandażowaną do ramienia prawą ręką powiedział, że widział dowódcę naszej dywizji generała majora Kołomijca wraz z żołnierzami w Inkermanie, na lewym brzegu Czornej, gdzie przygotowywali się do odparcia ataku wroga. Nie chciało mi się w to wierzyć, ponieważ ujście rzeki Czornej, która wpada do zatoki, znajdowało się na naszych dalekich tyłach.

W sobotę jak zwykle dostarczono do sal szpitalnych świeże gazety. Na pierwszej stronie „Prawdy” przeczytałam komunikat Radzieckiego Biura Informacyjnego:

> „Z rozkazu Najwyższego Dowództwa Armii Czerwonej 3 lipca wojska radzieckie opuściły miasto Sewastopol. W ciągu 250 dni bohaterski naród radziecki z niespotykaną odwagą i wytrwałością odpierał niezliczone ataki wojsk niemieckich. Nieprzerwanie przez ostatnie 250

dni wróg z zaciętością atakował miasto z lądu i z morza. Odcięci od połączeń lądowych z tyłami, doświadczając trudności z dostawą amunicji i żywności, nie mając do dyspozycji lotniska, a co za tym idzie wystarczającej osłony z powietrza, radziecka piechota, marynarze, dowódcy i pracownicy polityczni dokonywali czynów niebywałych, demonstrując przykład wojskowego męstwa i heroizmu w obronie Sewastopola. W czerwcu przeciwko dzielnym obrońcom Sewastopola Niemcy wysłali około 300 tysięcy swoich żołnierzy, przeszło 400 czołgów i prawie 900 samolotów. Główne zadanie obrońców Sewastopola polegało na powstrzymaniu naporu jak największej liczby wojsk niemiecko-faszystowskich na sewastopolskim odcinku frontu oraz zlikwidowaniu jak największej siły żywej i środków wroga…”.

Dla tych, którzy (jak ja) zostali ranni podczas trzeciego szturmu, a teraz przechodzili rekonwalescencję w Noworosyjsku, słowa „Wojska opuściły Sewastopol” brzmiały zagadkowo. Z wyjątkiem trzech brygad i dwóch pułków piechoty morskiej, w obronie uczestniczyło siedem dywizji strzelców. Jeśli dowódcy wraz z tysiącami żołnierzy opuścili Sewastopol, to gdzie się podziali? Gdzie są sztaby dywizji, jednostki tyłowe, bataliony medyczno-sanitarne, transport samochodowy, artyleria? Gdzie są pułki liniowe i bataliony? Północne wybrzeże Morza Czarnego, Półwysep Krymski – wszystko to zostało zajęte przez Niemców. Wychodzi na to, że powinni być tu – w Noworosyjsku, Poti, Tuapse. Ale nikt ich nie widział…

Nie było żadnych oficjalnych komunikatów o tym, że na polu w pobliżu latarni morskiej w Chersonezie na początku lipca 1942 roku pozostało około 80 tysięcy obrońców miasta, którzy trafili do niewoli faszystowskiej. O tej tragedii

Wielkiej Wojny Ojczyźnianej przez długi czas milczano. My, szeregowi uczestnicy obrony, naturalnie próbowaliśmy w rozmowach między sobą analizować jej przyczyny, znaleźć wyjaśnienie (lub usprawiedliwienie?) działań Stawki, a także dowodzącego Sewastopolskim Okręgiem Obronnym wiceadmirała Oktiabrskiego (który wraz z kilkoma innymi generałami i wyższymi oficerami został ewakuowany z płonącego miasta samolotem) i dowódcy Armii Nadmorskiej generała majora Pietrowa (wraz z członkami swojego sztabu opuścił on Sewastopol w nocy na łodzi podwodnej i 4 lipca przybył do Noworosyjska).

Czy przed tymi przykrymi wydarzeniami Sztab Główny Marynarki Wojennej opracował plan ewakuacji wojsk Sewastopolskiego Okręgu Obronnego z Krymu na wybrzeża Kaukazu? Czy plan ów mógł być wykonany w warunkach całkowitej dominacji lotnictwa niemieckiego w powietrzu?

W mojej pamięci wciąż żywa była operacja przerzucenia wielotysięcznej Armii Nadmorskiej z Odessy na Krym, perfekcyjnie przeprowadzona w październiku 1941 roku. Jednak od tej pory w regionie Morza Czarnego znacząco zmienił się rozkład sił. Niemcy zatopili wiele naszych statków i okrętów (1 krążownik, 4 niszczyciele, 4 duże transportowce, 2 łodzie podwodne). Na przykład krążownik „Czerwona Ukraina”, piękno i duma Floty Czarnomorskiej, zatonął po ataku bombowców faszystowskich w Zatoce Południowej Sewastopola 12 listopada 1941 roku, a znany mi statek motorowy „Jean Jaurès” wyleciał w powietrze na minie magnetycznej 16 stycznia 1942 roku w okolicach Teodozji. Statek motorowy „Armenia” z kolei, z ponad pięcioma tysiącami rannych i ewakuowanych na pokładzie, 7 listopada 1941 roku nieopodal Jałty został storpedowany przez niemiecki samolot i poszedł na dno ze wszystkimi pasażerami…

Co prawda, mówiło się półgłosem, że w podziemiach 35. Nadbrzeżnej Baterii Pancernej, ostatniej ostoi starszych dowódców, przed ich wysłaniem na ląd zachowywali się oni różnie: wiceadmirał Oktiabrski na przykład nie miał absolutnie żadnych wyrzutów sumienia, z kolei generał major Pietrow jako dowódca wojskowy uświadamiał sobie rozmiar katastrofy, która dotknęła jego wojska, i próbował się zastrzelić z pistoletu. Przeszkodził mu w tym członek Rady Wojennej Armii Nadmorskiej – komisarz dywizjonu Czuchnow.

Wierzę, że tak było. Generał, podczas naszego pierwszego spotkania jesienią 1941 roku we wsi Dalnik niedaleko Odessy, wywarł na mnie bardzo dobre wrażenie. Wydało mi się, że Pietrow jest całkowicie pozbawiony arogancji i wyniosłości, tak charakterystycznej dla niektórych dowódców RKKA, jest bardzo liberalny i przychodzi z pomocą czerwonoarmistom nie słowem, lecz czynem. Wszyscy byliśmy dla niego jak własne dzieci. Pamiętam, że w Sewastopolu, chcąc odznaczyć szeregowych uczestników obrony, którzy wykazali się zbiorowym bohaterstwem, odpierając drugi niemiecki szturm, wydał rozkaz wydrukowania dziesięciu tysięcy dyplomów uznania i każdy osobiście opatrzył podpisem. Następnie wręczono je żołnierzom w kompaniach i batalionach.

Prawdopodobnie charakter Iwana Jefimowicza najlepiej zrozumiał korespondent gazety „Krasnaja Zwiezda” – znakomity pisarz wojskowy i poeta Konstantin Simonow, który odwiedził generała majora na stanowisku dowodzenia 25. Dywizji „Czapajewskiej”:

> „Pietrow pod wieloma względami był człowiekiem nietuzinkowym. Jego ogromne doświadczenie wojskowe i wiedza zawodowa szły w parze z ogólną kulturą, eru-

dycją i wierną miłością do sztuki, a przede wszystkim – do malarstwa. Wśród jego bliskich przyjaciół byli pierwszorzędni, choć wówczas nie uznani jeszcze oficjalnie malarze. Do własnego dyletanckiego malarstwa odnosił się Pietrow z dozą nieśmiałej ironii, choć posiadał przy tym swoisty, wyrafinowany gust.

Z natury był człowiekiem zdecydowanym, w krytycznych chwilach umiał również być twardy. Jednak przy całej swojej, jeśli można się tak wyrazić, absolutnej »wojskowości« rozumiał, że w ścisłym podporządkowaniu żołnierskim jest też miejsce na ludzką godność i nie użalał się nad tymi, których doprowadzał do furii właśnie ten dryl służby wojskowej… Jego męstwo było nienapuszone, niespieszne – typ szczególnie ceniony przez Lwa Tołstoja. Ogólnie Pietrow miał w sobie coś ze starej gwardii; przypominał kaukaskiego oficera – bohatera dziewiętnastowiecznej literatury rosyjskiej…”.

Nie sądziłam, że los złoży mi w darze kolejne spotkanie z dowódcą armii, które będzie miało znaczenie szczególne. Tymczasem zdarzyło się to całkiem przypadkowo w komendanturze Noworosyjska, kiedy pojawiłam się tam z zaświadczeniem ze szpitala, stwierdzającym, że zostałam wyleczona. Generał sam mnie zawołał. Odwróciłam się. Wygląd Iwana Jefimowicza najpierw mnie zasmucił: był posępny, wydawał się niezmiernie zmęczony, ale uścisnął moją dłoń, uśmiechnął się i zaczął wypytywać, kto jeszcze z dawnej Dywizji „Czapajewskiej” tu przebywa. Pietrow powiedział, że sama dywizja już nie istnieje – zginęła pod Sewastopolem, jej dokumenty sztabowe zostały spalone, pieczęcie zakopane gdzieś na brzegu Zatoki Kamyszowej, a sztandary zatopione w morzu. Na tę wiadomość łzy same zaczęły mi się cisnąć do oczu. Generał spojrzał na mnie uważnie.

– Wspominasz kolegów z pułku?

– Jak mogę o nich nie pamiętać, Iwanie Jefimowiczu? – odpowiedziałam, ocierając łzy chusteczką. W końcu wiele dni spędziliśmy wspólnie pod ostrzałem.

– Kiedy zostałaś ranna?

– W połowie czerwca. Zespół powstrząśnieniowy. Odłamek trafił mnie w policzek i straciłam połowę ucha.

– Co dalej? – Przyglądał się mojej bliźnie, wciąż widocznej na policzku.

– Na front, towarzyszu generale. Jak wszyscy.

– Ludmiło, a czy ty masz może jakieś marzenia? – zapytał nagle dowódca głosem cichym, delikatnym, zupełnie nieprzystającym do wojskowego tembru. – Mów, nie wstydź się.

– Marzenia oczywiście mam. – Westchnęłam. – Tylko jak je teraz spełnić? Pułk został rozbity, dowódcy zginęli, dokumenty spłonęły…

– Więc cóż to jest za marzenie, towarzyszko starszy sierżant?

– Najzwyklejsze: chcę zostać oficerem.

– Czyli otrzymać stopień podporucznika – skonkretyzował.

– Tak. Myślę, że na niego zasłużyłam. – Z jakiegoś powodu postanowiłam zagrać z Pietrowem w otwarte karty. – Chcę kontynuować służbę wojskową. Kocham sztukę wojskową i dobrze strzelam. W tym trudnym roku nauczyłam się dowodzić ludźmi, myśleć o nich w walce, być za nich odpowiedzialna. Poza tym jeszcze nie wyrównałam rachunków z faszystami za śmierć moich towarzyszy broni, za śmierć Bogu ducha winnych cywili. Hitlerowcy muszą zostać ukarani za wszystko, co zrobili na naszej ziemi…

– Piękne marzenie – rzekł w zamyśleniu Pietrow. – Bardzo mi się podoba. Mylisz się jednak, myśląc, że nie można go spełnić… Za trzy dni wyjeżdżam z Noworosyjska do Krasno-

daru, do sztabu Frontu Północnokaukaskiego. Głównodowodzący marszałek Budionny poprosił mnie, abym przedstawił mu komsomolców – bohaterów obrony Sewastopola. Pojedziesz ze mną. Wszystkie niezbędne dokumenty przygotuje szef sztabu Armii Nadmorskiej, generał major Szyszenin. Jest tutaj. Nie mam żadnych wątpliwości, że marszałek chętnie podpisze rozkaz nadania stopnia podporucznika starszej sierżant Ludmile Pawliczenko w nagrodę za jej zasługi podczas obrony miasta przed faszystowskim okupantem.

Następnego dnia grupa komsomolców z Sewastopola została skompletowana. Otrzymaliśmy dokumenty, nowe umundurowanie i wraz z dowódcą armii polecieliśmy do Krasnodaru, gdzie zakwaterowano nas w hotelu Komitetu Rejonowego Partii. Z niecierpliwością czekaliśmy na spotkanie z legendarnym bohaterem Wojny Ojczyźnianej, Siemionem Michajłowiczem Budionnym. Zastanawialiśmy się, jak wypadnie to spotkanie, rozmyślaliśmy, o co zapyta nas marszałek i co my powinniśmy mu opowiedzieć.

Audiencja w sztabie Frontu Północnokaukaskiego minęła bardzo serdecznie i w całkowicie nieformalnej atmosferze. Wiedząc o bohaterskich czynach dowódcy I Armii Konnej w walce z Białą Gwardią, spodziewaliśmy się ujrzeć jakiegoś epickiego, surowego bohatera. Wyszedł nam jednak na spotkanie mężczyzna około sześćdziesięcioletni, średniego wzrostu, o mocnej budowie ciała, życzliwy, z dobrodusznym uśmiechem, który ukrywał się pod sumiastym wąsem.

Pietrow po kolei przedstawiał młodych uczestników obrony: dwóch cekaemistów, trzech artylerzystów, moździerzystę i czterech żołnierzy piechoty, wśród których byłam również ja. Budionny z każdym chwilę porozmawiał, uścisnął rękę, powiedział kilka ciepłych słów, a przede wszystkim

podziękował za niezłomność i odwagę na polu bitwy, po czym wręczył nam nagrody.

Ja również poczułam silny uścisk dłoni starego kawalerzysty. Z uprzejmym, wesołym uśmiechem na twarzy spojrzał na mnie i zapytał:

– Jaki stan trafień na dzień dzisiejszy, towarzyszko starszy sierżant?

– Trzystu dziewięciu zlikwidowanych faszystów, towarzyszu marszałku!

– Zuch, Ludmiła! Świetnie pani strzela. Ma pani pokaźny wkład w obronę miasta.

– Ku chwale Związku Radzieckiego! – odpowiedziałam.

– Właściwe słowo! Takiej piękności oficerskie naramienniki będą jak najbardziej do twarzy – odparł Siemion Michajłowicz, lekko pochylając się w moim kierunku. – Podobnie jak Order Lenina.

– Dziękuję, towarzyszu marszałku!

Pokryte szkarłatnym aksamitem pudełeczko i książeczka orderowa trafiły w moje ręce. Trudno znaleźć słowa, które mogłyby opisać, jakie zawładnęły mną wówczas uczucia: dzika radość, zachwyt, wzruszenie. Ustanowiony w 1933 roku Order Lenina należał do najwyższych odznaczeń ZSRR. Wręczano go za wyjątkowe zasługi, więc fakt, że moje skromne osiągnięcia zostały docenione przez dowództwo w taki sposób, napawał mnie jednocześnie dumą i zakłopotaniem. We wspomnieniach powrócili i ci, którzy razem ze mną dzielnie walczyli na rubieżach ogniowych Odessy i Sewastopola, ale nie doczekali tego pięknego dnia.

Mój wykonany z platyny order z wizerunkiem W. I. Lenina miał numer 7606. Należało go przymocować do bluzy wojskowej po lewej stronie za pomocą sztyftu i specjalnej nakrętki. Dopiero od czerwca 1943 roku order zaczęto nosić

na pięciokątnej podkładce, obciągniętej prążkowaną, czerwoną wstęgą z dwoma żółtymi paskami na krawędziach.

Dokument z wydrukowanym tekstem rozkazu dla wojsk Frontu Północnokaukaskiego nr 0137 z dnia 16 lipca 1942 głosił:

> „W imieniu Prezydium Rady Najwyższej Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich za wzorowe wykonanie powierzonych przez dowództwo zadań wojskowych na froncie walki przeciwko niemieckim okupantom oraz przejawione męstwo i waleczność NAGRADZAM Orderem Lenina starszą sierżant Pawliczenko Ludmiłę Michajłowną, snajpera 54. Pułku Strzelców 25. Dywizji Strzelców. Dowodzący oddziałami Frontu Północnokaukaskiego, Marszałek Związku Radzieckiego S. Budionny. Szef sztabu Frontu Północnokaukaskiego, generał major Zacharow. Członek Rady Wojennej Frontu Północnokaukaskiego, admirał Isakow. W imieniu naczelnika i komendanta komendy wojskowej działu kadr Frontu Północnokaukaskiego, starszy komisarz batalionu Kosikow. Wydano w czterech kopiach”[1].

Rozkaz przyznania mi stopnia podporucznika również jest datowany na 16 lipca 1942 roku, jednak formalnie awans na oficera, który sprawił mi tyle radości, miał miejsce w magazynie wojskowym z zaopatrzeniem przedmiotowym dla żołnierzy. Bluza wojskowa nie bawełniana jak dla żołnierzy, a z półwełnianej gabardyny, z malinowymi patkami na kołnierzyku, cienko okantowanymi złotym haftem, z kwadratem z czerwonej emalii na środku patki, a w rogu z emblematem piechoty – dwoma skrzyżowanymi karabinami. Nie wypłowiała na nieznośnym krymskim słońcu czapka pilotka, tylko czapka garnizonowa z malinowym otokiem i czarnym, lakierowanym daszkiem. Szynel nie z grubego

zgrzebnego sukna, a z flauszu. A buty, oczywiście, ze skóry chromowej. Pasek z bandoletem przewieszonym przez ramię i kaburą na pistolet z mosiężną klamrą dowódcy w kształcie pięcioramiennej gwiazdy.

Pojawiła się kwestia dotycząca miejsca dalszego odbywania służby. Przestrzegałam starego przysłowia wojskowego: „Służby się nie dopraszaj, służby nie odmawiaj”. Nieważne, dokąd oddelegują. Kolejne powiedzenie żołnierskie: „Mniej niż pluton nie dadzą, dalej niż na froncie nie wysadzą”. Zaczęło się nowe niemieckie natarcie, a jego celem stał się Stalingrad. Jednak w wydziale kadr Frontu Północnokaukaskiego na moją karierę oficerską patrzono inaczej: zostałam mianowana dowódcą plutonu snajperskiego w 32. Gwardyjskiej Dywizji Powietrznodesantowej. Szczerze mówiąc, przestraszyłam się nie na żarty, zaczęłam wyjaśniać, że od dziecka mam lęk wysokości, kręci mi się w głowie, a co gorsza nie umiem skakać ze spadochronem.

– Niech się pani tak nie martwi, Ludmiło Michajłowna – powiedział uprzejmie nienagannie ubrany młody kapitan, który siedział przy zarzuconym dokumentami stole. – Rozkaz sformowania 32. Gwardyjskiej Dywizji Powietrznodesantowej otrzymaliśmy w ostatnich dniach. Nigdzie nie będzie musiała pani latać, ponieważ brakuje nam samolotów transportowych… W obecnej sytuacji jednostki powietrznodesantowe to po prostu nasza wyselekcjonowana, najlepsza piechota…

– Więc bez samolotów?

– Absolutnie.

– I gdzie jest ta dywizja?

– Pojedzie pani do Moskiewskiego Okręgu Wojskowego. Tam w sierpniu zaczną formować osiem nowych korpusów powietrznodesantowych, używając dla zmylenia tych sa-

mych oznaczeń organizacyjnych co wcześniej. Wszystko jasne?

– Tak jest, towarzyszu kapitanie!

– Proszę przejść do następnego pokoju. Tam dostanie pani napierśnik „Gwardia”, gdyż jest pani teraz dowódcą plutonu w jednostce gwardyjskiej, oraz napierśnik „Snajper”, który wprowadzono w maju tego roku w celu odznaczenia wyróżniających się strzelców wyborowych…

Ciekawy zbieg okoliczności: do Moskwy wybierał się również generał major Pietrow, by złożyć meldunek Stalinowi. Powiedział mi o tym na audiencji w sztabie Frontu Północnokaukaskiego, która zakończyła się niewielkim poczęstunkiem dla nagrodzonych medalami i orderami żołnierzy-komsomolców. Podziękowałam wówczas Iwanowi Jefimowiczowi za wszystko, co dla mnie zrobił. Słowo, wypowiedziane we właściwym czasie i miejscu, może mieć olbrzymią wagę. Generał major tylko się uśmiechnął. Jego szare oczy za szkłami binokli wydawały mi się teraz mniej zmęczone i smutne niż w dniu naszego spotkania w Noworosyjsku. Ból utraty stopniowo ustępował i tracił swą poprzednią intensywność. Powinniśmy patrzeć w przyszłość – myśleć o nowych bitwach z wrogiem, który wciąż bezcześcił rosyjską ziemię. Nie wiedzieliśmy jednak, czy przyjdzie nam znów walczyć razem. Pewnie zresztą było to nieistotne. Sewastopolska epopeja połączyła wszystkich swoich uczestników jakimiś niewidzialnymi, ale nierozerwalnymi więziami.

Przypisy

[1] Dokument znajduje się w Centralnym Archiwum Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej, zespół 33, inwentarz 682524, jednostka archiwalna 612 – przyp. red. ros.

Rozdział 14

MOSKIEWSKIE GWIAZDY

Przeżywszy w Kijowie, stolicy Ukrainy, bez mała dziesięć lat, przypuszczałam, że Moskwa, stolica ZSRR, jest do niego podobna. Moskwa jednakże na pierwszy rzut oka wydała mi się zupełnie inna: wielka, majestatyczna, surowa – jak gdyby odnalazły w niej swoje odzwierciedlenie siła i moc całego ogromnego kraju. Ulice i place w centrum miasta zaskakiwały swoimi gigantycznymi rozmiarami, budynki zaś – wysokością i wyjątkową, imponującą architekturą.

Niedawno – zaledwie pół roku temu – u wrót miasta stoczono potężny bój. Armia Czerwona prowadziła tu obronną operację moskiewską od 30 września do 5 grudnia 1941 roku, a przez całą zimę, aż do kwietnia 1942 roku – ofensywę. Hitlerowcy zamierzali z marszu zająć naszą stolicę, jednak w czasie pierwszego szturmu ponieśli klęskę. Następnie opracowali operację pod kryptonimem „Tajfun”, podczas której chcieli trzema uderzeniami potężnych grup czołgów rozbić obronę wojsk radzieckich, okrążyć je i zniszczyć. Ten plan spalił na panewce, chociaż wróg miał przewagę liczebną, a oprócz tego dysponował mnóstwem czołgów, dział i samolotów. Kosztem ogromnych strat udało mu się na przełomie listopada i grudnia 1941 roku dojść do Kanału imienia Moskwy w okolicach miasta Jachroma, sforsować rzekę Narę niedaleko Naro-Fominska i zbliżyć się do Kaszyry. Jednakże potem nasze jednostki wojskowe zadały frycom druzgocący cios i już w grudniu wyzwoliły kilka miejscowości: Rogaczowo, Istrę, Sołniecznogorsk, Klin, Kalinin i Wołokołamsk.

Pamiętam, jak niecierpliwie czekaliśmy w Sewastopolu na wieści z frontu moskiewskiego. Pierwsze wiadomości o pogromie wojsk niemiecko-faszystowskich na przedmieściach stolicy wywołały łzy radości i utwierdziły nas w przekonaniu, że niemiecką machinę wojenną można pokonać. Podczas faszystowskiego szturmu na Główną Bazę Marynarki Wojennej Floty Czarnomorskiej, który rozpoczął się rankiem 17 grudnia, obrońcy miasta, odpierając gwałtowne ataki, mówili między sobą, że powinni brać przykład z Moskwy. Moskwianie nas inspirowali. Teraz wróg wycofał się spod stolicy, ale sytuacja w mieście nadal była napięta. Widziałam ustawione na skwerach i skrzyżowaniach ulic działa przeciwlotnicze, a po drodze spotkałam załogę balonu zaporowego, której żołnierze trzymali na długiej linie ogromny balon, podobny do prehistorycznej bestii. Witryny i okna domów zaklejono na krzyż szerokimi pasami z białego papieru, a niektóre budynki (na przykład Teatr Bolszoj) pomalowano na kolory maskujące, które miały zniekształcić ich rozmiary i pozwolić im się zlać z miejskim tłem.

Moja droga wiodła na ulicę Marosiejki do Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowego Leninowskiego Komunistycznego Związku Młodzieży. W przestronnym holu rzucały się w oczy przedmioty nietypowe dla pomieszczeń administracji: skrzynie z piaskiem, łopaty, łomy, szczypce do bomb zapalających – uzbrojenie żołnierzy obrony przeciwpożarowej, którzy w nocy dyżurowali na dachu budynku. Strażnik poprosił mnie o okazanie dokumentu, tak więc wyjęłam z kieszeni na piersi bluzy wojskowej legitymację komsomolca.

Sekretariat Komitetu Centralnego znajdował się na trzecim piętrze. W gabinecie pierwszego sekretarza zebrali się młodzi uczestnicy oblężenia Sewastopola. Wszyscy nagrodzeni przybyli do Moskwy z Krasnodaru, skierowani tu przez sztab Frontu Północnokaukaskiego. Przyjął nas Niko-

łaj Michajłow, pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego Komsomołu – mężczyzna trzydziestopięcioletni, o piwnych oczach, ciemnowłosy, przystojny i czarujący. Powitał nas w stolicy, usiadł razem z nami przy długim stole we własnym, dosyć dużym gabinecie, i rozpoczął rozmowę.

Dialog prowadził umiejętnie: szybko przełamał lody i obrońcy Sewastopola sami zaczęli opowiadać o ostatnich wydarzeniach na Półwyspie Krymskim. Michajłow słuchał ich uważnie, zadawał pytania, czasami żartował, czasami opowiadał anegdoty z życia Komsomołu. Ogólnie rzecz biorąc, spotkanie mijało w swobodnej i przyjaznej atmosferze. Przyszła kolej na moje wystąpienie. Nie zamierzałam dzielić się z nim własnymi sukcesami – zamierzałam oddać hołd kolegom z pułku, którzy zginęli w walce z hitlerowskim okupantem. Byli to: porucznik Andriej Woronin, który poprowadził naszą kompanię do ataku pod Tatarką; dowódca pierwszego batalionu kapitan Iwan Iwanowicz Siergijenko, który wsławił się w krwawych bojach na Pozycjach Iszuńskich; podporucznik Aleksiej Kicenko (nazwałam go snajperem), waleczny starszy sierżant kompanii karabinów maszynowych; kawaler Orderu Czerwonego Sztandaru Nina Oniłowa, która zmarła w wyniku odniesionych ran 7 marca 1942 roku w szpitalu w Sewastopolu.

Wygląda na to, że Michajłowowi spodobała się moja wypowiedź. Nawiasem mówiąc, był on doświadczonym partyjnym pracownikiem propagandy. Rozpoczął pracę w wieku 16 lat jako robotnik, następnie przeniósł się do fabryki „Sierp i Młot”, gdzie pracował jako walcownik, później wstąpił w szeregi Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) i zaczął pisać artykuły do wielkonakładowej gazety tej fabryki. Od 1931 roku pracował jako dziennikarz – najpierw w gazecie „Komsomolskaja Prawda”, a następnie w „Prawdzie”. Na stanowisko pierwszego sekretarza Komi-

tetu Centralnego Wszechzwiązkowego Leninowskiego Komunistycznego Związku Młodzieży wysunięto go w 1938 roku. Powiadano, że nominację tę zatwierdził sam J. W. Stalin, który wysoko cenił jego talent organizacyjny i oddanie sprawie budowania socjalizmu.

Spotkanie zakończyło się dość tradycyjnie: wręczeniem cennych upominków. Michajłow zwrócił się do mnie z prośbą: powiedział, że wysławiam się literacko, poprawnie, mój głos jest donośny, materiał (czyli fakty dotyczące obrony Sewastopola) znam doskonale, dlatego proponuje on, żebym pojutrze pojechała na wiec do fabryki „Kompresor", gdzie trzeba będzie równie wprost, uczciwie i obrazowo opowiedzieć młodym pracownikom o przebiegu wydarzeń pod Sewastopolem.

– Nigdy nie występowałam na wiecach i nie potrafię tego robić – odpowiedziałam.

– Ludmiło, niech pani nie będzie taka skromna. Słuchałem pani z wielkim zainteresowaniem.

– No tak, ale to było tutaj, w gabinecie…

– Przywyknie pani. Ma pani zdolności oratorskie. Ludzie muszą usłyszeć o tej strasznej wojnie. Tylko historia obowiązkowo musi napawać optymizmem.

Nie powiem, żeby propozycja Michajłowa była mi na rękę. Jednak, jak wielu ocalałych żołnierzy frontu, miałam poczucie winy w stosunku do kolegów z pułku, którzy zginęli w tym piekielnym ogniu. Gdy wymieniałam ich nazwiska ciągle i ciągle, wydawało mi się, że wyciągam tych bohaterów z niebytu. Przecież ci, o których się pamięta, nie umierają nigdy…

Na służbie sprawy również miały się nie najgorzej. W komendanturze miasta otrzymałam talony na suchy prowiant i przydział na zakwaterowanie w akademiku Ludowego Komisariatu Obrony przy ulicy Stromynka, gdzie przydzielono

mi szesnastometrowy pokój. Następnie przedstawiłam się dowództwu 32. Gwardyjskiej Dywizji wojsk powietrznodesantowych i zostałam skierowana do centrum szkoleniowego na stanowisko snajpera-instruktora. Przydzielono mi grupę 30 żołnierzy wybranych z pododdziałów dywizji na podstawie wyników strzeleckich w oddziale szkoleniowym. Trzeba było przez miesiąc nauczyć ich podstawowych metod snajperskich, wygłosić krótki wykład z balistyki i sztuki kamuflażu w terenie oraz trzy razy w tygodniu prowadzić zajęcia na znajdującej się na terytorium centrum szkoleniowego strzelnicy.

Z tym wszystkim byłam w wielkiej Moskwie całkowicie sama – bez krewnych, przyjaciół, znajomych. Tylko z Michajłowem spotykałam się względnie regularnie. Musiałam wraz z nim (jego samochodem z szoferem) wyjeżdżać na różne imprezy społeczne. Nikołaj Aleksandrowicz przestał już ukrywać swoją sympatię do mnie, co mnie absolutnie nie cieszyło. Żyłam wspomnieniami o moim zmarłym mężu. W moim sercu nikt nie mógł się równać z kochanym, niezapomnianym Lonią, spoczywającym na Cmentarzu Braterskim w okupowanym przez wroga Sewastopolu. Aluzyjnie wyjaśniłam Michajłowowi, że podporucznik nie powinien reagować na zaloty generała – pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego Komsomołu – i lepiej, byśmy pozostali przyjaciółmi, oczywiście, jeśli w ogóle chce on pielęgnować tego typu przyjaźń. Ulubieniec towarzysza Stalina był bardzo zaskoczony moimi słowami, jednak nadal odnosił się do mnie przyjaźnie, co – jak pokazały dalsze wydarzenia – miało istotne znaczenie…

Na służbie również byłam zamknięta w sobie, z nikim nie flirtowałam, nie chodziłam na wieczorki oficerskie, tylko szybko wracałam do swojego pokoju w akademiku. Tutaj oddawałam się smutnym rozmyślaniom, kolejny raz czyta-

łam moją ulubioną powieść *Wojna i pokój* i pisałam listy do Udmurcji. Narzekałam w nich na olbrzymią tęsknotę i prosiłam mamę, aby przyjechała do Moskwy chociaż na miesiąc. Starszą siostrę Walentinę pytałam o zdrowie mojego drogiego Morsika i jego postępy w nauce.

Jednak wkrótce Michajłow wprowadził do mojego życia pewną odmianę. W swoim gabinecie pierwszy sekretarz zapoznał mnie z Borisem Andriejewiczem Ławrieniowem – klasykiem literatury radzieckiej, autorem powieści, opowiadań, dramatów i scenariuszy do filmów, które przed wojną były emitowane na ekranach kin w naszym kraju.

Ławrieniow poinformował mnie, że Główny Zarząd Propagandy Politycznej RKKA, a dokładniej jego Wydział Informacji i Prasy, uważa za konieczne wydanie broszury o snajperze Ludmile Pawliczenko w popularnej serii „Frontowa Biblioteka Marynarza Floty Czerwonej”. On sam podjął się napisania tego artykułu, tak więc chce ze mną porozmawiać.

Oczywiście znałam twórczość Ławrieniowa, czytałam jego ciekawe opowiadanie *Czterdziesty pierwszy*, a nawet oglądałam film na podstawie tego utworu, nakręcony w 1927 roku przez reżysera Jakowa Protazanowa. Jednak postawy obojga bohaterów tego filmu: dzikiej dziewczyny fabrycznej Mariutki – żołnierza oddziału czerwonogwardyjskiego, oraz jej jeńca – wysublimowanego intelektualisty, amatora literatury, porucznika armii carskiej Goworuchy-Otroka, a także cały ich konflikt, wydawały mi się nieco sztuczne. Kwestia tego, jak postąpić z wrogiem, który próbuje uciec, mogła przykuć uwagę prawdziwego snajpera na nie więcej niż pół minuty. Rozwiązanie było proste: pociągnięcie palcem wskazującym za spust karabinu.

Teraz stał przede mną wysoki, korpulentny mężczyzna około pięćdziesiątki w okrągłych okularach w metalowych

oprawkach, w szarym tweedowym garniturze. Miał piękną, siwą czuprynę. Ławrieniow obrzucił mnie bacznym spojrzeniem i od niechcenia rzucił, że widzi we mnie dokładną kopię bohaterki swojego opowiadania *Czterdziesty pierwszy* – dziewczyny o imieniu Mariutka – dlatego też dobrze rozumie mój charakter. Jeśli odpowiem teraz na kilka jego pytań, to artykuł będzie gotowy za tydzień i oddany do druku. Broszura zostanie wydana w listopadzie 1942 roku i wtedy wszyscy dowiedzą się o mnie, co będzie dla mnie bardzo miłe.

Miałam powody do złości. Po pierwsze, nie jestem głupią dziewczynką z fabryki, tylko studentką Kijowskiego Uniwersytetu Państwowego, a także oficerem Armii Czerwonej. Po drugie, sytuacja jest zasadniczo inna: ta idiotka zadurzyła się w swoim poruczniku i, sądząc z tekstu opowiadania, została jego kochanką, dla mnie zaś fryce zawsze byli tylko celami i nie wzbudzali żadnych uczuć. Po trzecie, nie widzę nic przyjemnego w tym, że moje nazwisko i biografię poznają tysiące obcych osób. Po czwarte, mam negatywne doświadczenia w relacjach z literatami i dziennikarzami, niech więc szanowny Boris Andriejewicz napisze o kimś innym. Bohaterów, nieulękle i odważnie broniących Ojczyzny, mamy bardzo wielu.

Znany pisarz, który nie spodziewał się takiej reakcji, wydawał się zmieszany. Być może zawładnęły nim stare obrazy wojny domowej, które uniemożliwiały mu obiektywne postrzeganie rzeczywistości. W latach 1920–1921 porucznik artylerii Boris Siergiejew (Ławrieniow to jego pseudonim literacki) w odpowiednim czasie przeszedł z Białej Armii Ochotniczej na stronę czerwonych, walczył w zakaspijskich stepach z basmaczami i nawet dowodził pociągiem pancernym. Następnie wraz z pisarzami K. Trieniowem i W. Iwanowem stał się twórcą nowego gatunku – heroiczno-roman-

tycznego dramatu rewolucyjnego. Jednak niewiele elementów rewolucyjno-romantycznych było w obecnym antagonizmie między naszym narodem a niemieckim faszyzmem, wspieranym przez licznych europejskich sojuszników…

Myślałam, że moja znajomość z Borisem Andriejewiczem na tym się zakończy, Ławrieniow jednak był natarczywy. Poskarżył się na moje nieznośne zachowanie w Głównym Zarządzie Propagandy Politycznej RKKA, gdzie obiecano mu poczynić odpowiednie kroki, co w rezultacie miało miejsce: przekazano mi surowe polecenie szefa Głównego Zarządu Politycznego, generała pułkownika A. S. Szczerbakowa[1], a Ławrieniowowi podano numer telefonu akademika Ludowego Komisariatu Obrony. Pisarz zadzwonił, a ja zgodziłam się na kolejne spotkanie.

B. A. Ławrieniow napisał broszurę *Ludmiła Pawliczenko*, która została opublikowana pod koniec 1942 roku w Wydawnictwie Marynarki Wojennej Ludowego Komisariatu Marynarki Wojennej ZSRR. Nieco wcześniej – w sierpniu – przedstawił ten sam tekst redakcji gazety „Izwiestija”, która opublikowała go w numerze 209 (7895) z dnia 5 września 1942 roku pod tym samym tytułem. Zacytuję fragment z początku tego artykułu:

> „…Był ciepły, pogodny lipcowy poranek. Niebo nad starymi drzewami bulwaru na placu Komuny promieniało błękitem i czystością, jak to na Krymie. Usiedliśmy na ławce w bocznej alejce. Zdjęła czapkę pilotkę. Wiatr rozwiewał puszyste, miękkie jak u dziecka, krótko przycięte włosy. Zmierzwione kosmyki kołysały się nad czystym, wypukłym dziewczęcym czołem. Subtelna, nerwowa twarz dyszała gwałtownym nienasyceniem, głęboką namiętnością charakteru. Najlepiej mogły ją opisać wersety Lermontowa:

„Znał on jednej myśli władzę:
Namiętności tej nie zdradzę!”[2]

Była to twarz uczciwego człowieka o charakterze zdolnym tylko do szczerych działań, nieuznającym żadnych kompromisów i niegodzącym się na żadne ustępstwa wobec samego siebie. Ciemnobrązowe oczy ze złotą iskrą pod wąskimi brwiami wydawały się nieco ponure. Po chwili jednak świeciły wesoło taką dziecięcą prostotą, że wydawały się rozjaśniać wszystko dokoła:
– W porządku. Co sobie przypomnę, to opowiem…”.

To najbliższa prawdy część artykułu. Dalej pisarz przeplatał fakty z mojej biografii ze swoimi wymysłami i cytatami z Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej, przywołując historię Ukrainy. Nie powiedział na przykład, kiedy i jak wstąpiłam do Armii Czerwonej, za to umieścił w broszurze barwny opis bombardowania Kijowa, którego nie mogłam widzieć, gdyż w czerwcu 1941 roku znajdowałam się w Odessie, a także wzruszającą rozmowę z matką, którą wcześniej ewakuowano pociągiem do Udmurcji. Wiele uwagi poświęcił… konfliktowi (którego nie było) z nauczycielami w szkole nr 3 w Białej Cerkwi, tłumacząc go chuligańskimi cechami mojego charakteru. Ponadto Ławrieniow nieprawidłowo wskazał datę rozpoczęcia mojej pracy w fabryce „Arsenał”, podjęcia studiów na uniwersytecie w Kijowie oraz nauki w dwuletniej Szkole Snajperskiej. Wymyślił natomiast, jakobym, po jej zakończeniu, ukryła swój dyplom i zapomniała o nim, ponieważ… nie lubiłam służby wojskowej i całe życie marzyłam o studiowaniu historii mej rodzimej Ukrainy.

Te fantasmagorie w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy szybko rozeszły się po całym kraju. Koledzy po fachu Ławrieniowa, pracownicy centralnych i lokalnych gazet oraz czasopism, pisząc artykuły, wykorzystywali te wymysły,

traktując je jak zbiór wiarygodnych informacji o mnie. Porównałabym tę całą swoją historię z krzywym zwierciadłem z baśni Andersena *Królowa Śniegu*, które doszczętnie się rozbiło, a jego rażąco zniekształcające rzeczywistość kawałki trafiły do różnych miast.

Zresztą, nie licząc na wybitnych pisarzy i ich egzotyczne fantazje, Główny Zarząd Polityczny RKKA wysłał do mnie dwóch szeregowych pracowników propagandy. Oświadczyli oni, że podjęto decyzję o wydrukowaniu – oprócz broszury – jeszcze stu tysięcy ulotek z moim portretem i apelem do wszystkich żołnierzy Armii Czerwonej: „Uderz wroga celnie!”. Mniej więcej po trzydziestominutowej rozmowie ze mną sami napisali tekst ulotki. Jest on bardzo prosty, zrozumiały i zasadniczo przekazuje dokładnie moje myśli i uczucia:

„Śmierć niemieckim okupantom!

Waleczny snajper Ludmiła Michajłowna PAWLICZENKO. Wierna córka Leninowsko-Stalinowskiego Komsomołu wstąpiła w szeregi Armii Czerwonej na ochotnika w pierwszych dniach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Ogniem ze swojego karabinu Ludmiła Pawliczenko zlikwidowała 309 Niemców pod Odessą i Sewastopolem.

»To jedyne i słuszne podejście do Niemców. Jeśli ich od razu nie zabijesz, napytasz sobie biedy« – napisała swego czasu do swojej matki.

Ponadprzeciętny kunszt wojskowy i odwaga Ludmiły Pawliczenko inspirują do czynów bohaterskich tysiące snajperów Armii Czerwonej – stachanowców frontu.

Żołnierze Armii Czerwonej! Obracajcie w proch wrogów tak samo bezwzględnie, jak czyni to Ludmiła Pawliczenko!

UDERZ WROGA CELNIE!

Kiedy przechadzałam się ulicami Sewastopola, zawsze zatrzymywały mnie dzieciaki i rzeczowo pytały:

– Ilu wczoraj zabiłaś?

Szczegółowo opowiadałam im o swojej pracy snajpera, a pewnego dnia musiałam im szczerze wyznać, że już kilka dni nie strzelałam do wrogów.

– To niedobrze – powiedziały dzieci jednogłośnie.

A jeden z nich, najmniejszy, dodał surowo:

– To źle. FASZYSTÓW TRZEBA ZABIJAĆ CODZIENNIE.

Słusznie prawił ten mały, srogi sewastopolanin. Od tego pamiętnego dnia, kiedy to faszystowscy zbójcy wdarli się do mojego kraju, każdego dnia żyłam tylko jedną myślą, jednym pragnieniem: zabić wroga.

Kiedy poszłam na wojnę, czułam jedynie gniew na Niemców, że zrujnowali nasze spokojne życie, że napadli na nas. Jednak to, co zobaczyłam później, wzbudziło we mnie uczucie tak nienasyconej nienawiści, że trudno ją wyrazić inaczej niż kulą w serce faszysty. W wiosce, którą odbiliśmy z rąk wroga, zobaczyłam zwłoki trzynastoletniej dziewczynki. Zaszlachtowali ją hitlerowcy. Dranie – w taki sposób demonstrowali umiejętność władania bagnetem! Widziałam mózg na murze domu, a obok niego trupa trzyletniego dziecka. W tym domu mieszkali Niemcy. Dziecko kaprysiło, płakało – przeszkadzało w odpoczynku tych bestii... Nawet nie pozwolili matce pochować swojego dzieciątka. Biedna kobieta postradała rozum…

Nienawiść potrafi wiele nauczyć. Mnie nauczyła zabijać wrogów. Jestem snajperem. Pod Odessą i Sewastopolem wyprawiłam na tamten świat 309 faszystów. Nienawiść wyostrzyła mój wzrok i słuch, sprawiła, że stałam się przebiegła i zręczna, nienawiść nauczyła mnie

sztuki kamuflażu, a także tego, jak przechytrzyć wroga, jak przewidzieć jego podstępy i sztuczki. Nienawiść nauczyła mnie, jak przez kilka dni cierpliwie polować na snajperów nieprzyjaciela.

Pragnienia zemsty nie da się ugasić niczym. Dopóki chociaż jeden najeźdźca chodzi po naszej ziemi, dopóty będę myślała o jednej jedynej rzeczy: zabić wroga. I tylko o jednym będę mówiła swoim towarzyszom broni i rodakom: zabij faszystę! Snajper, podporucznik Ludmiła Pawliczenko. Wydanie Głównego Zarządu Politycznego RKKA, 1942 rok”[3].

…Moje życie w Moskwie toczyło się własnym rytmem. 3 sierpnia 1942 roku odebrałam z Dworca Kazańskiego moją mamę, Jelenę Trofimowną Biełową. Aby w ogóle mogła przyjechać do stolicy, potrzebna jej była specjalna przepustka, więc na ręce dowództwa dywizji złożyłam wniosek o jej uzyskanie i w rezultacie przepustkę wydano. Przesłałam ją do Wawożu – wsi w Udmurckiej Autonomicznej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Po długiej rozłące Lenusia ze łzami w oczach przytuliła mnie i powiedziała, że bardzo się zmieniłam i wydoroślałam. Zawczasu poprosiłam dowódcę o samochód osobowy, więc drogę z dworca kolejowego do akademika przy ulicy Stromynka pokonałyśmy z dużą prędkością. Lenusi spodobał się mój pokój, chociaż toaleta i prysznic znajdowały się na końcu korytarza. W Wawożu rodzice mieszkali jednak w zimnej, rozwalającej się chałupie ze studnią na podwórzu i nie marzyli nawet o poprawie swoich warunków bytowych. A w akademiku w kuchni były krany z ciepłą i zimną wodą. Mama zareagowała na tę „zdobycz cywilizacyjną” jak na wielki cud i szczerze się z tego powodu cieszyła.

Dziś już wiem, że tego dnia miało miejsce wydarzenie, które radykalnie zmieniło moją karierę wojskową. Akurat 3 sierpnia 1942 roku ambasador USA w Związku Radzieckim Averell Harriman przekazał Naczelnemu Dowódcy, towarzyszowi Stalinowi, telegram od prezydenta Franklina Delano Roosevelta, w którym informowano, że w dniach 2–5 września w Waszyngtonie odbędzie się Światowe Zgromadzenie Studentów, w którym powinny wziąć aktywny udział delegacje z czterech państw sprzymierzonych: Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego, Wielkiej Brytanii i Chin. Prezydent USA wyraził życzenie zobaczenia na zgromadzeniu radzieckiej delegacji studentów w składzie dwóch–trzech osób, najlepiej uczestników walk z niemieckimi faszystami.

Na stole w gabinecie Przewodniczącego Państwowego Komitetu Obrony ZSRR, któremu podporządkowane były obecnie wszystkie urzędy w kraju, Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych ZSRR i Ludowego Komisarza Obrony ZSRR znajdowało się wiele różnych dokumentów o wysokim priorytecie. Telegram Roosevelta z załączonym rosyjskim tłumaczeniem czekał na swoją kolej. Dopiero wieczorem Stalin ponownie go przeczytał i pomyślał o propozycji amerykańskiego prezydenta. Panowie prowadzili ożywioną korespondencję; na przykład dwa tygodnie temu Kreml otrzymał od aliantów list z odmową otwarcia w tym roku drugiego frontu przeciwko Niemcom w Europie Zachodniej.

To była bardzo przykra wiadomość. Latem 1942 roku Armia Czerwona przeżywała trudne chwile na frontach. W pierwszych dniach lipca padł Sewastopol, a Krym został całkowicie zajęty przez Niemców, którzy chcieli przerzucić swoje siły spod Sewastopola na Kaukaz, aby przejąć tamtejszy przemysł naftowy. Ponadto faszyści planowali zajęcie urodzajnych ziem w dorzeczu Donu i Kubania oraz dolnego

biegu Wołgi. Na Stalingrad już nacierała niemiecka 6. Armia pod dowództwem feldmarszałka Paulusa.

Alianci zaplanowali zwołanie w Ameryce Północnej jakiegoś Światowego Zgromadzenia Studentów w niejasnym jak na razie dla Naczelnego Dowódcy celu. Najwyraźniej nie mają innych poważniejszych zmartwień… O czym może rozmawiać młodzież radziecka, zwłaszcza w tych trudnych i niespokojnych dniach? Tylko o walce z faszyzmem, o zjednoczeniu wysiłków całej postępowej ludzkości przeciwko agresorowi, dokonującemu krwawej rzezi na polach bitwy Europy. Tutaj można i trzeba zadać pytanie o drugi front. Jeśli ten temat zostanie poruszony na zgromadzeniu, to proszę bardzo…

Stalin zażądał określenia porządku dziennego tego amerykańskiego przedsięwzięcia. Z Waszyngtonu odpowiedzieli: tak, zostanie przyjęta deklaracja wzywająca studentów, jako najbardziej światłą grupę młodzieży, do przeciwstawienia się nazizmowi. Dalsza część wiadomości określała warunki pobytu delegacji radzieckiej w Stanach Zjednoczonych oraz uzgadniała trasę jej podróży, bo przecież do Ameryki Północnej można było się dostać tylko samolotem, a w dodatku okrężną drogą: przez Iran, Egipt i Ocean Atlantycki. Tu aktywnie działali urzędnicy Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych. Tymczasem w Głównym Zarządzie Politycznym RKKA pospiesznie przeglądano setki kwestionariuszy powołanych do służby studentów. Znalezienie i wezwanie w ciągu tygodnia żołnierzy z odległych jednostek frontu wydawało się rzeczą niemożliwą, zdecydowano się zatem ograniczyć do Moskiewskiego Okręgu Wojskowego. Swoją wagę miała również wypowiedź pierwszego sekretarza KC Komsomołu ZSRR Nikołaja Michajłowa, który zaproponował swoich kandydatów. Nalegał, aby do USA mogli pojechać nie tylko żołnierze, ale również pracownicy Komsomołu, po-

nieważ na zgromadzeniu należy przejrzyście przedstawić linię Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików).

Ostatecznie w składzie delegacji znaleźli się:

Nikołaj Krasawczenko, przewodniczący delegacji, sekretarz ds. propagandy Moskiewskiego Komitetu Miejskiego Komsomołu, członek Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików), lat 26, uczestnik ruchu partyzanckiego (o mały włos nie trafił do niewoli niemieckiej pod Smoleńskiem, ale udało mu się przekroczyć linię frontu).

Władimir Pczelincew, starszy lejtnant, Bohater Związku Radzieckiego, członek Komsomołu, dwadzieścia trzy lata, były student trzeciego roku w Instytucie Górniczym w Leningradzie, obecnie nauczyciel Centralnej Szkoły Instruktorów Snajperskich w mieście Wieszniaki pod Moskwą.

Ludmiła Pawliczenko, podporucznik, kawaler Orderu Lenina, członek Komsomołu, lat 26, była studentka czwartego roku na Uniwersytecie Kijowskim, obecnie dowódca plutonu snajperskiego w 32. Gwardyjskiej Dywizji Powietrzno-desantowej.

Z tego, co mi później powiedział Michajłow, wynikało, że kwestię włączenia do delegacji kobiety omawiano najdłużej. Na zebraniu sekretariatu Komitetu Centralnego Komsomołu występowali zarówno przeciwnicy tego pomysłu (których zdaniem kobietami kieruje się trudniej), jak i zwolennicy (jeśli jest ładna, to zaprezentuje ZSRR od najlepszej strony). Nikołaj Aleksandrowicz, który umieścił moje nazwisko na liście, stanowczo obstawał przy swoim. Naturalnie ostatnie słowo należało do Józefa Wissarionowicza Stalina.

Michajłow udał się na Kreml, aby szczegółowo zreferować skład delegacji: przedstawić kwestionariusze, fotografie, opinie o członkach delegacji. Naczelny Wódz niespiesznie przekartkował trzy teczki z papierami. Zatrzymał się przy

moich dokumentach i zapytał pierwszego sekretarza KC Komsomołu, czy jest on pewien tego wyboru. Michajłow potwierdził, że jest absolutnie pewien.

Nic nie podejrzewając, po skończeniu całodobowego dyżuru w kwaterze głównej, poszłam spać. Dyżur odbywał się w niespokojnej atmosferze: około jedenastej w nocy dotarły cztery ciężarówki z amunicją i stosunkowo nową bronią – karabinami maszynowymi DSzK (Wielkokalibrowymi Diegtiariowa i Szpagina). Należało zatem rozładować owe ciężarówki, dokonać formalności, sprawdzić dokumenty, a załogę zakwaterować w koszarach.

Nie od razu usłyszałam pukanie do drzwi. Po chwili stało się głośniejsze i bardziej natarczywe:

– Towarzyszko podporucznik, telefon!

– Moment.

Bardzo nie chciało mi się wstawać, ubierać i na wpół przytomnie iść na koniec korytarza, żeby z kimś rozmawiać. Ale cóż, służba nie drużba, a w Moskiewskim Garnizonie nosi ona charakter szczególny: najwyższe zwierzchnictwo znajduje się zbyt blisko.

– Ludmiło, jak leci? – donośnie zabrzmiał w słuchawce bas Nikołaja Michajłowa. – W te pędy zbieraj się i galopem do mnie na Marosiejki do Komitetu Centralnego.

– Po co, Nikołaju Aleksandrowiczu?

– Mam sprawę.

– A nie można tego przenieść na jutro?

– Rozum postradałaś, podporuczniku? To rozkaz towarzysza Stalina! Teraz każda godzina się liczy. Jasne?

W gabinecie pierwszego sekretarza zastałam dwóch młodych mężczyzn. Michajłow przedstawił mi najpierw postawnego bruneta o piwnych oczach, ubranego po cywilnemu: Nikołaj Krasawczenko, przewodniczący delegacji radzieckiej, która udaje się na Światowe Zgromadzenie Studentów

do Waszyngtonu. Drugiego – chudego i długiego jak patyk, w wojskowym mundurze z trzema kwadratami starszego lejtnanta na malinowej patce – znałam. Z Władimirem Pczelincewem spotkałam się już w Wieszniakach w szkole snajperskiej, do której przyjechałam w sprawach służbowych.

Teraz wymieniliśmy niezbyt przyjazne spojrzenia. Władimir w lutym 1942 roku za stu zabitych na Froncie Leningradzkim fryców jako pierwszy wśród snajperów otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Ja za stu Rumunów zastrzelonych jesienią 1941 roku pod Odessą – karabin snajperski SWT-40. On w ciągu dwunastu miesięcy służby otrzymał trzy stopnie wojskowe: podporucznika, porucznika i starszego lejtnanta, a na jego koncie jest obecnie 154 faszystów. Mnie, służącej od czerwca ubiegłego roku i mającej 309 zabitych hitlerowców na koncie, udało się wyprosić u wspaniałomyślnego Iwana Jefimowicza Pietrowa zaledwie stopień podporucznika.

Oto, co znaczą dobre relacje z przełożonymi zarówno na tyłach, jak i na froncie! Gdybym tylko nie sprzeczała się tak zażarcie z dowódcą batalionu Drominem, z dowódcą 54. Pułku Matusiewiczem, z komendantem komendy wojskowej Malcewem, gdybym nie zwracała się arogancko do generała majora Kołomijca i innych wysoko postawionych towarzyszy, wyjaśniając charakter służby snajperskiej, broniąc swych podwładnych, domagając się lepszego zaopatrzenia naszego plutonu w amunicję, uzbrojenie, sprzęt… A tak w ogóle to trzeba być mężczyzną, a nie kobietą. Wtedy nie patrzyłby na mnie tak zarozumiale młody starszy lejtnant ze Złotą Gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego na nowiutkim, jeszcze niepomiętym mundurze.

Skierowane do nas przemówienie Michajłowa sprawiło, że zapomniałam o wszystkim na świecie. Okazało się, że nasza trójka jest właśnie tą radziecką delegacją, która zostanie

wysłana do Stanów Zjednoczonych na Światowe Zgromadzenie Studentów, zaplanowane na 2–5 września tego roku w Waszyngtonie. Dlatego wczesnym rankiem 14 sierpnia, czyli pojutrze, wylatujemy z lotniska Moskwa-Wnukowo samolotem transportowym Li-2 do Stanów Zjednoczonych przez Irak i Egipt.

Daję słowo, że w pierwszej chwili nie uwierzyłam własnym uszom; pomyślałam, że to niestosowny dowcip, ponieważ Nikołaj Aleksandrowicz, z natury wesoły, lubił żartować. Dookoła nas wojna, zniszczenie, śmierć i krew Bogu ducha winnych ludzi, a Brytyjczycy z Amerykanami zamiast naprawdę pomagać naszemu państwu, wymyślają jakieś dziwne rozrywki.

Późniejsze wydarzenia przekonały mnie jednak, że delegację rzeczywiście powołano i naprawdę poleci za ocean. Z gabinetu Michajłowa dość szybko przenieśliśmy się do gabinetu Aleksandrowa, szefa Wydziału Propagandy i Agitacji Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Urządził on nam prawdziwy egzamin z historii partii i Komsomołu, interesował się szczegółami z naszych życiorysów i służby w RKKA, rozpytywał o udział w bitwach i nasze poglądy na temat bieżącej polityki. Towarzysz Aleksandrow wyglądał na zadowolonego z naszych odpowiedzi.

Popołudnie również spędziliśmy produktywnie. Zostaliśmy przyjęci przez Georgiego Michajłowicza Dymitrowa, sekretarza generalnego Komitetu Wykonawczego Kominternu (Międzynarodówki komunistycznej, organizacji międzynarodowej, skupiającej robotnicze i komunistyczne partie za granicą). Ten słynny bułgarski rewolucjonista był bohaterem procesu w Lipsku w 1933 roku, podczas którego – bezpodstawnie oskarżony o podpalenie Reichstagu, zdołał sam, doskonale władając językiem niemieckim, stać się oskarży-

cielem niemieckiego nazizmu. W Związku Radzieckim Dymitrowa znano jako zdeklarowanego bojownika o wyzwolenie klasy robotniczej, oddanej ideom komunistycznym.

Rozmawialiśmy z Dymitrowem ponad trzy godziny. Mówił o organizacjach młodzieżowych działających w krajach kapitalistycznych, o walce klasowej, o tym, jak powinniśmy się zachowywać na zebraniach Światowego Zgromadzenia Studentów.

Wieczorem odwieziono nas do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych. Znaleźliśmy się w podobnym do ogromnego domu towarowego opuszczonym podpiwniczeniu. W witrynach i na przeszklonych półkach leżała garderoba męska i damska, której w Moskwie już od dłuższego czasu nie widziano na wolnym rynku.

Towarzyszył mi młody pracownik, w którego obecności podczas wybierania odpowiadających mi rzeczy czułam się trochę niezręcznie. W przeciwieństwie do mnie pracownik ów w ogóle nie był zmieszany całą sytuacją i udzielał mi bardzo rozsądnych wskazówek. Wkrótce obie duże walizki, które mi tu wydano, zapełniły się po brzegi. Sukienki, bluzki, spódnice, żakiety, bieliznę, pończochy, skarpety, chusteczki, kapelusze, rękawiczki i apaszki w różnych kolorach oraz fasonach, a nawet buty, wydano mi bezpłatnie, starannie zapakowano i poproszono o podpisanie długiego wykazu.

Ale na tym się nie skończyło. Pczelincew i ja byliśmy żołnierzami, więc postanowiono nas odpowiednio wyposażyć. Trafiliśmy do eksperymentalnej pracowni szwalniczej Ludowego Komisariatu Obrony przy Nadbrzeżu Frunze, potocznie nazwanej atelier generałów. O ile mundur galowy dla Pczelincewa wybrano w godzinę, o tyle ja okazałam się nie lada wyzwaniem: damskiego munduru galowego w atelier nie było, a nikt nie zdołałby uszyć takiego ubrania w ciągu

doby. Postanowiono zatem przerobić jedną generalską bluzę wojskową z cienkiej wełnianej gabardyny. Zdjęto ze mnie miarę i obiecano dostarczyć zamówienie bezpośrednio do KC Komsomołu nazajutrz rano. Ponieważ znajdował się tu też warsztat szewski, przyniesiono również buty – bardzo piękne, z usztywnionymi, lakierowanymi cholewkami „w buteleczkę" i z modnymi kwadratowymi noskami. Odwiecznym problemem był duży rozmiar; musiałam się zgodzić na 37, bo mniejszych nie szyli. Buty są niezwykle ważne dla snajperów, ponieważ muszą oni pokonywać w nich wielokilometrowe trasy. Ja jednak nigdy wcześniej nie miałam takich wygodnych, lekkich butów, tak dobrze dopasowanych do nogi.

Byłoby grzechem nie wspomnieć o specjalnych konsultacjach prowadzonych z nami przez pracowników odpowiednich organów. Dowiedzieliśmy się wielu nowych rzeczy o obecnej polityce mocarstw alianckich, a także o ustroju politycznym i przywódcach Stanów Zjednoczonych. Poinformowano nas, jakie sytuacje mogą się nam przytrafić, uprzedzono o możliwych prowokacjach (prowokacje rzeczywiście miały miejsce, a próbowali się do nich uciec przeciwnicy zacieśnienia więzi między Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi) i doradzano, jak się zachowywać w podobnych przypadkach. Ponadto dostaliśmy przygotowane tezy przemówień. Niektóre informacje kazano nam zapamiętać, inne pozwolono zapisać. Wszystko to przydało się później podczas naszej wizyty w USA, Kanadzie i Anglii.

Dość skomplikowana była kwestia znajomości języka. Nikt nie wątpił w to, że delegacji zapewnią tłumaczy, lepiej jednak prezentować przynajmniej podstawowy poziom znajomości języka, ponieważ możliwe (i bardzo ważne) są kontakty z prostymi ludźmi na wiecach. Nikołaj Krasawczenko szczerze wyznał, że nie zna żadnych języków obcych, a Wła-

dimir Pczelincew uczył się w Instytucie Górniczym tylko niemieckiego. Ja, mając w pamięci lekcje z moją mamą i wysoki poziom wykładania języków obcych na uniwersytecie, powiedziałam, że znam trochę angielski.

Z Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych przywieziono nasze paszporty. Wyglądały pięknie i solidnie: były podłużne, miały twarde okładki, pokryte czerwonym jedwabiem z wytłoczonym godłem ZSRR. W środku znajdował się tekst w języku rosyjskim i francuskim, a na dole widniała mała fotografia. Pracownicy Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych sami określili mój stan cywilny: „niezamężna". Z rysopisu w dokumencie dowiedziałam się, że jestem szatynką średniego wzrostu, mam piwne oczy i prosty nos.

Delegacji przydzielono walutę: po dwa tysiące dolarów dla każdego. W tamtych latach była to suma niebagatelna. Przydział pieniężny wydano nam w drobnych banknotach, więc grube pliki zielonkawych amerykańskich pieniędzy z portretami prezydentów zajęły dużo miejsca w walizce.

Wszystko odbywało się tak szybko, że nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jak trudne i niezwykłe zadanie nam powierzono. Nie dano nam czasu na rozmyślania. Zdezorientowani w kalejdoskopie nagłych zdarzeń tym, co zobaczyliśmy i usłyszeliśmy w ostatnich godzinach, późnym wieczorem znowu dotarliśmy do budynku Komitetu Centralnego Komsomołu na rogu Marosiejki i Sierowa[4], na trzecie piętro, do gabinetu Nikołaja Michajłowa.

Wydaje się, że był jedynym człowiekiem zdającym sobie sprawę z tego, jakie uczucia nami targają i jakie myśli krążą nam po głowach. Powiedział, że sobie doskonale radzimy, mamy doświadczenie wojskowe, a wojna jest mądrym, aczkolwiek okrutnym nauczycielem. Musimy przekazać naszą wiedzę i nasze przemyślenia Amerykanom, którzy nic nie wiedzą o obecnej wojnie, w taki sposób, aby zrozumieli, że

toczy się walka na śmierć i życie o przyszłość całej ludzkości. Nie musimy nic wymyślać, najważniejsze byśmy byli sobą. Oczywiście jest to wielkie wyzwanie: nagle znaleźć się w absolutnie obcym świecie, jednak tutaj, w Moskwie, poczyniono odpowiednie kroki, aby dobrze przygotować do niej członków delegacji studenckiej.

W ciszy słuchaliśmy jego pouczeń. Prawdopodobnie należało natychmiast odpowiedzieć pierwszemu sekretarzowi Komitetu Centralnego Komsomołu, zapewnić, że go nie zawiedziemy, dokonamy wszelkich starań, by nie zawieść jego zaufania. Słowa jednak nie układały się w zdania, a ja patrzyłam w zamyśleniu przez okno na letnie moskiewskie niebo: wysokie, czyste, lśniące tysiącami gwiazd. U nas na południu, na wybrzeżu Morza Czarnego, niebo nocą jest ciemniejsze, a gwiazdy świecą znacznie jaśniej. Ileż to razy moje samotne polowanie zaczynało się pod tymi gwiazdami! Ile razy oświetlały mi one kręte ścieżki w zaklętym krymskim lesie!

– Ludmiło, czy chcesz zadać jakieś pytanie? – zabrzmiał pewny głos Michajłowa.

– Nie. Ale ostrzegam: napytacie sobie przeze mnie biedy.

– To nonsens, towarzyszko podporucznik! – Nikołaj Aleksandrowicz roześmiał się wesoło. – W co jak w co, ale w twój sukces nie wątpię. Po prostu bądź sobą.

Michajłow zaprosił nas na pożegnalną kolację. Dobrze to obmyślił: zebrał przy stole w nieformalnej, prawie domowej atmosferze uczestników delegacji zagranicznej i ich najbliższych. Z Wieszniaków przywieziono Ritę – żonę Władimira Pczelincewa, z akademika przy ulicy Stromynka – moją matkę, a także żonę Krasawczenki, piękną, młodą kobietę o imieniu Nadieżda. Kolację podano w jego gabinecie – była skromna i prosta. Serwowano również wódkę i wino. Główny komsomolec wzniósł pierwszy toast. Nagle na stole

pierwszego sekretarza rozbrzmiał dźwięk specjalnego, białego telefonu z godłem ZSRR, wytłoczonym na środku tarczy. Nikołaj Aleksandrowicz natychmiast chwycił za słuchawkę i głosem pełnym głębokiego szacunku, jeśli nie strachu, zameldował:

– Michajłow przy telefonie… Tak, słucham… Zaraz przyjedziemy…

Moskwa po północy była opustoszała i ciemna. Jednak Bramę Borowicką, przez którą samochód Michajłowa wjechał na terytorium Kremla, oświetlono z obu stron. Stała tam ochrona: cekaemiści w mundurach wojsk wewnętrznych NKWD i żołnierze z karabinami samopowtarzalnymi Tokariewa. Nasze dokumenty starannie sprawdzono. Strażnicy mieli listę nocnych gości, więc wkrótce dowodzący wartą porucznik zasalutował Michajłowowi i wydał rozkaz wpuszczenia samochodu.

Kroki w długim korytarzu głucho dudniły. Jeden zakręt, drugi, wejście po schodach i oto jesteśmy pod drzwiami gabinetu. Sekretarz Naczelnego Dowódcy Poskriobyszew otwiera je i… przed moimi oczami ukazuje się ten wielki człowiek. Nosi prosty mundur z wykładanym kołnierzem, ale bez odznaczeń. Nie jest tak wysoki, jak mi się wydawało wcześniej; jest szczupły, śniady, na twarzy ma niewielkie blizny po przebytej ospie, w ugiętej lewej ręce trzyma fajkę. Uwagę przyciąga spojrzenie jego ciemnych, tygrysich oczu. Bije od niego ogromna siła wewnętrzna.

Prawdopodobnie przebywaliśmy w gabinecie Stalina około 20 minut, chociaż nie czuliśmy upływu czasu, który niejako się dla nas zatrzymał. Michajłow przedstawił nas po kolei, mnie ostatnią. Józef Wissarionowicz powiedział tylko kilka zdań o odpowiedzialnym zadaniu partii i rządu, o sojusznikach, którzy nie chcą otwierać drugiego frontu, i o Amery-

kanach, którzy muszą poznać prawdę o naszej walce z faszyzmem.

– Czy macie jakieś prośby, towarzysze? – zapytał. Ponieważ Krasawczenko i Pczelincew byli w stanie głębokiego osłupienia, w gabinecie zapanowała cisza. Ja nie czułam tego odrętwienia. Doświadczałam czegoś innego: niebywałego uniesienia. Chciałam usłyszeć słowa Naczelnego Wodza skierowane bezpośrednio do mnie.

– Tak, towarzyszu Stalin, mam prośbę – powiedziałam cicho. – Bardzo potrzebujemy słownika angielsko-rosyjskiego i rosyjsko-angielskiego z zasadami gramatyki. Zarówno sprzymierzeńców, jak i wrogów trzeba dobrze poznać.

– Dobrze pani to teraz powiedziała, towarzyszko Pawliczenko. – Przywódca światowego proletariatu uśmiechnął się. – Książki dostaniecie. Ode mnie osobiście…

Przypisy

[1] W oryginale błędnie: A. A. Szczerbakowa – przyp. tłum.

[2] Przekład (niepublikowany) autorstwa Aleksandry Cybulskiej. W przekładzie Władysława Syrokomli brzmi to tak: „Dwa takie życia spokojne, za kratą,/ Dałbym za jedno życie pełne wrażeń;/ Nie miałem uczuć – oprócz sennych marzeń,/ Jedną namiętność – lecz ognistą za to” – przyp. tłum.

[3] Dokument udostępniony przez Państwowe Muzeum Bohaterskiej Obrony i Wyzwolenia Sewastopola – przyp. red. ros.

[4] Lokalizacja ta wydaje się mało prawdopodobna, ponieważ ulicę Marosiejka i Sierowa dzieli niemal 11 kilometrów – przyp. tłum.

Rozdział 15

MISJA W WASZYNGTONIE

Łagodne wzgórza, zielone łąki, zagajniki, sady i miejscowości tonęły w rozedrganej zasłonie z kłębów mgły, która spoczywała przed świtem nad doliną rzeki Potomak. Pociąg ekspresowy Miami–Waszyngton, dojeżdżając do stacji końcowej, rozwinął prędkość 60 kilometrów na godzinę i niczym rozżarzony miecz przeciął biały obłok, który opadł na ziemię.

Budziłam się i zasypiałam w rytm kołysania i miarowego stukotu kół. W dwuosobowym przedziale byłam sama, dlatego mogłam się rozebrać, okryć wykrochmalonym prześcieradłem i spokojnie odpocząć. Obok na stoliku leżał gruby na trzy palce słownik niewielkiego formatu, który z łatwością mieści się w kieszeni – Naczelny Dowódca Sił Zbrojnych ZSRR dotrzymał słowa. Codziennie, zwykle przed snem, kartkując go i sprawdzając swoją wiedzę, widziałam widniejący z boku na stronie tytułowej jego czytelny podpis: „J. Stalin”.

Sąsiedni przedział zajmowali Nikołaj Krasawczenko i Władimir Pczelincew, moi towarzysze w tej dwutygodniowej podróży przez góry, pustynie i wody Oceanu Atlantyckiego. Szczerze mówiąc, trochę męczy mnie ich ciągła obecność. Dobre z nich chłopaki, jednak snajper to samotny wojownik – potrzebuje ciszy, spokoju, czasu na rozmyślania. Powinien w samotności obserwować zmieniające się wokół niego widoki.

Relacje między nami były poprawne, koleżeńskie, z wyraźnie wytyczonymi granicami tego, na co można sobie pozwolić, a czego absolutnie dopuszczać się nie wolno. Wysyłając

damsko-męską delegację w daleką drogę, w Moskwie poinstruowano nas i każdego w cztery oczy surowo pouczono. Pewnie z amatorem tańców Pczelincewem i milczącym wodzem komsomolskim Krasawczenką rozmawiano dużo intensywniej niż ze mną, gdyż pierwszy sekretarz KC Komsomołu wiedział to i owo o śmierci Aleksieja Kicenki i o mojej przysiędze pomszczenia go.

Nikołaj trzymał się nieco z boku, przypominając nam tym samym, że jest przewodniczącym delegacji. Ja i Władimir mimowolnie zbliżyliśmy się do siebie i nawiązaliśmy bliższy kontakt, zapominając o stopniach wojskowych i liczbie trafień na koncie snajperskim. Podczas długich przystanków, na przykład trzydniowego w Kairze, razem chodziliśmy na spacery po mieście i robiliśmy niewielkie zakupy. To głównie Władimir nie mógł się powstrzymać: kupił w sklepie od Araba szwajcarski zegarek za 40 dolarów. Okazało się, że różne zamontowane w nim mechanizmy pozwalają odmierzać nie tylko sekundy i dni, ale również na podstawie huku wystrzału określić odległość. To bardzo przydatna rzecz dla strzelca wyborowego!

W Kairze musieliśmy się przedstawić angielskiemu gubernatorowi i amerykańskiemu ambasadorowi. To tu po raz pierwszy nałożyłam jedną z szykownych sukni, które wydano mi z magazynu w podpiwniczeniu budynku Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych. Obawiałam się, że nie będę umiała chodzić w niej swobodnie i naturalnie, a jednak dużo więcej problemów przysporzyły mi buty na obcasach. W ciągu roku służby wojskowej po prostu odzwyczaiłam się od nich! Nogi ślizgały mi się na starannie wypastowanym parkiecie wspaniałego pałacu gubernatora, więc Władimir elegancko podał mi rękę. Audiencja minęła bardzo przyjemnie. Co prawda Brytyjczyk wyraził wątpliwość, czy aby na pewno jesteśmy frontowcami i snajperami…

Z Afryki polecieliśmy do Miami, gdzie spędziliśmy dobę. Niedaleko szumiał ocean, tak więc wybraliśmy się z Pczelincewem na plażę. Złocisty piasek, powolne, leniwe fale zielonkawego koloru i oślepiające słońce zatrzymały nas tam aż na trzy godziny. Krasawczenko, który przeziębił się w czasie podróży, został w swoim pokoju hotelowym…

Za szczelnie zamkniętymi drzwiami przedziału rozległy się kroki stewarda, który obchodził pasażerów 30 minut przed ich stacją docelową i uprzedzał o końcu podróży. Rozległo się delikatne pukanie do drzwi, po czym usłyszałam cichy głos:

– *Washington, mam!*

– *Yes, thanks* – odpowiedziałam i zaczęłam się ubierać.

Ekspres dotarł do Waszyngtonu zgodnie z rozkładem: 27 sierpnia 1942 roku o godzinie piątej czterdzieści pięć. Nasz wagon zatrzymał się na stołecznym dworcu, trudno jednak było obejrzeć budynek z powodu panującego jeszcze zmierzchu. Oprócz tego na peronie zebrał się nieprzebrany tłum. Nie domyślaliśmy się, że to właśnie my byliśmy tego powodem i zamierzaliśmy taszczyć swoje ciężkie walizki najpierw po korytarzu w wagonie, a następnie po peronie. Nie wiedzieliśmy, że Telegraficzna Agencja Związku Radzieckiego przekazała informację o przybyciu radzieckiej delegacji studenckiej 25 sierpnia do USA i niektóre amerykańskie gazety ją wydrukowały.

Dzięki temu nie doświadczyliśmy żadnych trudności związanych z transportem bagażu. Wręcz przeciwnie, zostaliśmy otoczeni przez radosnych pracowników ambasady radzieckiej i przedstawicielstwa handlowego oraz natrętnych amerykańskich dziennikarzy. W tym hałaśliwym tłumie przeszliśmy z peronu na plac przy dworcu, gdzie w zgiełku i harmidrze wsiedliśmy do wielkiej limuzyny i pojechaliśmy – a jak-

żeby inaczej! – prosto do Białego Domu – rezydencji amerykańskich prezydentów.

Mimo tak wczesnej godziny przy wejściu zostaliśmy powitani przez samą Eleanor Roosevelt, żonę prezydenta. Ciepło przyjęła ona radzieckich gości i poinformowała, że pierwsze dni na terytorium Stanów Zjednoczonych Ameryki spędzimy pod dachem Białego Domu. Tak zdecydował jej mąż, Franklin Delano Roosevelt, 32. prezydent, kochany przez obywateli i jak dotąd jedyny człowiek w historii USA, który został wybrany na trzecią kadencję na najwyższy urząd w państwie. Pierwsza dama osobiście odprowadziła nas na pierwsze piętro, pokazała apartamenty, zaproponowała krótki odpoczynek po podróży i powiedziała, że śniadanie zostanie podane o godzinie ósmej trzydzieści w niewielkiej jadalni na parterze. Podeszłam do okna w moim małym, skromnie, ale przytulnie umeblowanym pokoju. Słońce już wstało i jego pierwsze promienie oświetliły teren przed Białym Domem. Rezydencję otaczał zadbany ogród francuski z alejkami posypanymi żółtawym piaskiem rzecznym, z przystrzyżonymi trawnikami, barwnymi kwietnikami i gdzieniegdzie rozproszonymi grupkami drzew, a spadające strugi fontanny rozkosznie szumiały w basenie przed głównym wejściem. Siedziba prezydentów wyglądała jak wiejskie domostwo jakiegoś średniozamożnego dżentelmena.

O umówionym czasie zeszliśmy do małej jadalni i zobaczyliśmy tam, oprócz żony prezydenta Roosevelta, innych ludzi. Najpierw przedstawiono nam panią Gertrude Pratt, sekretarza generalnego amerykańskiego komitetu międzynarodowej organizacji studenckiej International Student Service, która, jak się okazało, jest również organizatorem Światowego Zgromadzenia Studentów. Pani Pratt, atrakcyjna, zgrabna blondynka w wieku około 25 lat, energicznie uścisnęła wszystkim dłoń, powiedziała, że jest niezmiernie

szczęśliwa, widząc rosyjskich gości i przedstawiła nas Josephowi Lashowi[1], wiceprzewodniczącemu International Student Service. W rozmowie pomagało nam trzech młodych mężczyzn w mundurach oficerów armii amerykańskiej, którzy nieźle mówili po rosyjsku.

Pani Roosevelt zaprosiła wszystkich do stołu. Z uśmiechem powiedziała, że już samo tradycyjne śniadanie przybliży nam amerykański styl życia, ponieważ posiłek ten przejął pewne właściwości od nie mniej tradycyjnego śniadania angielskiego, jednakże ma też swoje cechy wyróżniające. Na stole pojawiły się nie tylko jajka sadzone, smażone cienkie plasterki boczku, parówki, marynowane grzybki, ale także małe, puszyste naleśniki (w rozmowach między sobą nazywaliśmy je racuszkami) z syropem klonowym. Wszystko to najlepiej popijać sokiem pomarańczowym, kawą lub herbatą mrożoną. Kuchnia to doskonały temat na początek rozmowy obcych sobie ludzi. Śniadanie jeszcze się nie skończyło, kiedy Nikołaj Krasawczenko, jako przewodniczący delegacji, zainicjował nudną dyskusję o porządku obrad pierwszego posiedzenia Światowego Zgromadzenia Studentów. Amerykanie byli jednak bardziej zainteresowani opowieściami o toczących się obecnie na terytorium Związku Radzieckiego walkach, toteż Władimir Pczelincew z przyjemnością opowiadał o specyfice zawodu snajpera, karabinach z celownikami optycznymi, kamuflażu i obserwacji wroga. Nie brałam udziału w rozmowie, tylko po prostu uważnie słuchałam, chociaż nie jego, a tłumaczy – przekładali zbyt pospiesznie i niedokładnie.

Nagle Eleanor Roosevelt zwróciła się do mnie, a pytanie to zostało przetłumaczone na język rosyjski przez młodzieńca z naramiennikami porucznika:

– Jeśli pani dokładnie widziała twarze swoich przeciwników na celowniku, ale mimo to oddawała śmiertelne strzały,

to amerykańskim kobietom trudno będzie panią zrozumieć, droga Ludmiło…

Tłumacz próbował jakoś złagodzić tę wypowiedź. Zabrzmiała ona wprawdzie grzecznie, niemniej jednak miała jakiś nieprzyjemny podtekst. Pierwsza dama patrzyła uważnie, nie spuszczając ze mnie wzroku. Nie do końca rozumiałam, dlaczego właściwie o to pytała – może chciała mnie sprawdzić…? Zostaliśmy już poinformowani o publikacjach w angielskich i amerykańskich gazetach, które pisały, że jakoby nie jesteśmy żołnierzami frontowymi i snajperami, tylko komunistycznymi propagandystami, specjalnie wysłanymi na wystąpienie na Światowym Zgromadzeniu Studentów. Trzeba było więc jasno i wyraźnie odpowiedzieć żonie prezydenta.

– *Mrs Roosevelt, we are glad to visit your beautiful prosperity country. Many years you do not know the wars. Nobody destroys your towns, villages, plants. Nobody kills your inhabitants, your sisters, brothers, fathers…*[2] – zaczęłam powoli. Nie wiedzieć czemu, wywołało to zdumienie wśród obecnych tam osób.

Oczywiście moje przemówienie nie było zbyt wyrafinowane: zdarzały się błędy w wymowie, w doborze czasowników, zbyt prosta była konstrukcja zdań, ale Amerykanie wychwycili sens. Wyjaśniłam im, mieszkającym w państwie nieznającym walk z faszyzmem, że przybyliśmy z kraju, który przeżywa ciężkie chwile, w którym bomby burzą miasta i wsie i w którym przelewa się krew Bogu ducha winnych ludzi. Trafny strzał to tylko odpowiedź na ciosy zdradzieckiego wroga. Mój mąż zginął w Sewastopolu na moich oczach. Zabił go człowiek, którego widzę w okularze celownika optycznego…

O dziwo, Eleanor wpadła w zakłopotanie. Pospiesznie odwróciła wzrok i powiedziała, że nie miała zamiaru mnie ura-

zić, ale ta rozmowa wydaje się jej bardzo istotna i będziemy kontynuować ją w bardziej sprzyjających warunkach, a teraz już niestety musi nas opuścić. Pierwsza dama wstała od stołu i pospiesznie się z nami pożegnawszy, opuściła małą jadalnię.

– Co ty jej nagadałaś? – Nikołaj Krasawczenko zmarszczył brwi i z pozycji przewodniczący delegacji obrzucił mnie surowym spojrzeniem.

– Nic specjalnego – ucięłam. – Niech nie będą takie bezpardonowe, bezczelne amerykańce…

Po śniadaniu Gertrude Pratt zorganizowała dla nas krótką wycieczkę po Białym Domu. Odwiedziliśmy salę, w której odbywają się zebrania ministrów, gabinet Pierwszej Damy i prezydencki Gabinet Owalny. Tam przyciągnęło naszą uwagę zdjęcie uśmiechniętych chłopców w mundurach wojskowych. Byli to synowie Roosevelta: kapitan lotnictwa Elliot, komandor podporucznik Franklin oraz James – rezerwista Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Eleanor urodziła swojemu mężowi sześcioro dzieci, z których tylko jedno zmarło w wieku niemowlęcym.

Od teraz nasza delegacja musiała ściśle przestrzegać harmonogramu. Pczelincew i ja szybko udaliśmy się do swoich pokojów i przebraliśmy się w mundury wojskowe. Mieliśmy je nałożyć po raz pierwszy od wylotu z Moskwy, ponieważ taki właśnie rozkaz wydał ambasador Związku Radzieckiego w USA, Maksim Maksimowicz Litwinow. O godzinie dziesiątej rano pod naszą ambasadą zgromadzili się fotoreporterzy i operatorzy filmowi. Chcieli uchwycić bohaterów walki antyfaszystowskiej w pełnej krasie i opublikować swoje zdjęcia w jutrzejszych gazetach.

Jak tylko podjechaliśmy samochodem ambasady, natychmiast zostaliśmy otoczeni przez tłum dziennikarzy. Nie bez trudu dotarliśmy do wejścia, gdzie na prośbę przedstawicie-

li prasy zatrzymaliśmy się, by fotografowie i kamerzyści mogli zrobić kilka ujęć. Reporterzy szybko odepchnęli filmowców. Podsuwali nam mikrofony i zasypywali pytaniami. Tłumacze mieli mnóstwo roboty. Po chwili zorientowałam się, że większość pytań adresowana jest do mnie.

Trzydzieści minut później, kiedy całe to zamieszanie się skończyło, weszliśmy do budynku ambasady. Korpulentny mężczyzna w podeszłym wieku, o okrągłej twarzy, w binoklach – ambasador Litwinow – podszedł do nas i powinszował nam szczęśliwego przyjazdu. Musieliśmy się jeszcze raz pojawić przed budynkiem, by w geście przyjaźni uścisnąć ambasadorowi dłoń. Akcja publiczna trwała i miała przynieść maksymalne korzyści ZSRR.

Uroczysty obiad w ambasadzie przebiegł w spokojnej i pogodnej atmosferze. Uczestniczyli w nim członkowie Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych wraz z żonami. Wznoszono toasty po rosyjsku, prowadzono stosowne do okazji rozmowy, a Krasawczenko szczegółowo opowiadał o naszym przelocie z Moskwy do Teheranu, Kairu i Miami. Czasami spoglądał na mnie. Najwyraźniej bał się, bym nie powiedziała niczego, co byłoby niezgodne z protokołem dyplomatycznym. Zupełnie niepotrzebnie resztą – dopóki się mnie nie sprowokuje, jestem człowiekiem rozsądnym, spokojnym i małomównym.

Po godzinie piątej po południu odbyła się jeszcze jedna – dwugodzinna – konferencja prasowa, którą transmitowano przez radio na całą Amerykę. Obecni na niej byli przedstawiciele 52 gazet i czasopism oraz 12 stacji radiowych. Teraz już wszystko zostało zorganizowane zgoła inaczej: w pierwszej kolejności udzielono głosu członkom delegacji studenckiej. Krasawczenko w skrócie przedstawił ogólny zarys sytuacji w naszym kraju: tyły pomagają frontowi. Odczyt oparł na tezach, które otrzymał w Moskwie od szefa wydziału Ko-

mitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) Aleksandrowa. Pczelincew zrelacjonował stan Armii Czerwonej: jest gotowa do zadania niemieckim siłom zbrojnym kolejnych ciosów. Również ja miałam w rękach tekst uzgodniony z KC Komsomołu:

> „Drodzy przyjaciele! Z przyjemnością przekazuję Wam moje pozdrowienia od radzieckiej młodzieży i kobiet walczących w pierwszych szeregach z krwawym faszyzmem. Związek Radziecki walczy nie tylko o swoją wolność, ale również o wolność wszystkich narodów i ludów na Ziemi. Obywatele ZSRR od pierwszych dni walki kierują wszystkie swoje siły i całą swą energię na obronę kraju. Radzieckie kobiety zastąpiły swoich mężów, ojców i braci w fabrykach. Zrobiły wszystko, by mężczyźni mogli walczyć. Radziecki naród dziękuje wam za pomoc, ale prowadzona przez ZSRR walka wymaga coraz większych środków. Czekamy na wasze zaangażowanie i otwarcie drugiego frontu. Oświadczam wam, że wygramy, że nie ma takiej siły, która mogłaby przeszkodzić zwycięskiemu marszowi wolnych narodów świata. Musimy zjednoczyć siły. Jako rosyjski żołnierz wyciągam do was rękę. Musimy razem pokonać faszystowską bestię!”.

Potem dodałam od siebie po angielsku: *Fellow soldiers, forward to victory!*[3]

Dziennikarze leniwie zaczęli bić brawo, jednak potem nieco się ożywili. Prowadzący konferencję prasową ambasador Litwinow zaproponował im, żeby zadawali pytania. W tym celu każdy powinien wstać, podać swoje nazwisko, czasopismo, które reprezentuje, i wskazać, do którego członka delegacji adresuje pytanie.

Początkowo zachowanie dziennikarzy wprawiło nas w zakłopotanie. Oczekiwaliśmy, że zaczną zadawać pytania dotyczące naszych referatów, prosić o doprecyzowanie pewnych informacji i rozwinięcie tych, które omówiliśmy zbyt lakonicznie. Nic podobnego się jednak nie wydarzyło. Amerykanie po prostu zignorowali te raczej oficjalne raporty i próbowali wyciągnąć od nas coś, co się w nich nie znalazło. Najczęściej adresowano pytania do mnie. Przyglądając się zaaferowanym ludziom siedzącym w sali i głośno wykrzykującym swoje pytania – czasami, moim zdaniem, po prostu głupie – nie wiedzieć czemu przypomniałam sobie „ataki psychiczne" Rumunów i Niemców. Tam wrogowie chcieli nas przestraszyć i oszołomić, aby odeprzeć nas z pozycji i ostatecznie zniszczyć. Wśród reporterów także wyczuwałam pragnienie oszołomienia nas, zmuszenia do powiedzenia czegoś, co wykracza poza protokół, by przedstawić referenta w niekorzystnym świetle, a następnie go wyśmiać.

Oto część stenogramu tej konferencji prasowej:

PYTANIE: Czy pani, Ludmiło, bierze gorącą kąpiel na froncie?

ODPOWIEDŹ: Oczywiście. I to kilka razy dziennie. Kiedy siedzi się w okopie i zaczyna się ostrzał artyleryjski, wtedy robi się gorąco. Bardzo gorąco. To jest najprawdziwsza kąpiel, tyle że ziemna.

PYTANIE: Czy miała pani ochronę?

ODPOWIEDŹ: Tylko swój karabin.

PYTANIE: Czy kobiety na wojnie mogą malować usta?

ODPOWIEDŹ: Mogą. Ale nie zawsze mają czas. Muszą chwytać to za karabin, to za cekaem, to za pistolet, a to za granaty.

PYTANIE: Jakiego koloru bieliznę pani preferuje, Ludmiło?

ODPOWIEDŹ: Za podobnego rodzaju pytanie można u nas w Rosji dostać po twarzy. Zazwyczaj tego typu pytania zadaje się żonie lub kochance. A z panem w takim związku nie jestem, dlatego z przyjemnością pana spoliczkuję. Proszę podejść bliżej…

PYTANIE (zadane przez dziennikarkę): To jest pani mundur galowy czy codzienny?

ODPOWIEDŹ: Nie mamy teraz czasu ani ochoty na gale.

PYTANIE (także kobieta): Mundur panią pogrubia. Czy to dla pani nie ma znaczenia?

ODPOWIEDŹ: Jestem dumna z munduru legendarnej Armii Czerwonej. Został on uświęcony krwią moich towarzyszy, którzy zginęli w walkach z nazistami. Znajduje się na nim Order Lenina – nagroda za osiągnięcia wojskowe. A pani życzę, by choć raz przeżyła pani bombardowanie. Daję słowo, natychmiast zapomni pani o fasonie swojego stroju.

PYTANIE: Koncern tytoniowy Philip Morris proponuje pani kontrakt: za pani podobiznę, umieszczoną na paczce papierosów, są gotowi zapłacić pół miliona dolarów. Zgodzi się pani?

ODPOWIEDŹ: Nie. Poślę ich do diabła…

Obok mnie stał Litwinow. Na początku nie wiedziałam, jak zareaguje na takie przekomarzania, ale nie mogłam inaczej odpowiadać Amerykanom, ponieważ ogarnęły mnie entuzjazm i wesołość. Na początku ambasador patrzył na mnie ze zdziwieniem, lecz potem uśmiechnął się i zaczął mi dodawać otuchy: „Zuch Ludmiła! Tak właśnie trzeba z tymi waszyngtońskimi karaluchami!”.

Po konferencji prasowej delegacja studencka wróciła do Białego Domu. Tam czekał na nas najbliższy doradca prezy-

denta i jego długoletni przyjaciel, Harry Lloyd Hopkins. Na polecenie Roosevelta odwiedził on ZSRR latem 1941 roku, kiedy to hitlerowskie Niemcy dokonały inwazji na nasz kraj. Spotkał się wówczas ze Stalinem, który go bardzo polubił i ta sympatia okazała się obustronna. Wróciwszy do Stanów Zjednoczonych, Hopkins opowiedział się za zacieśnieniem kontaktów ze Związkiem Radzieckim i zapewnił prezydenta, że Rosjanie będą w stanie wytrzymać cios o niewiarygodnej sile i że należy ich wesprzeć. Teraz Harry Lloyd, chudy, schorowany człowiek, dokładnie wypytywał nas, żołnierzy z frontu, o starcia pod Leningradem, Odessą i Sewastopolem. Był naprawdę zainteresowany wydarzeniami naszej wojny i pragnął poznać wszystkie szczegóły. Dlaczego więc amerykańska prasa tego nie chciała?

W trakcie naszej rozmowy do pokoju weszła pani Roosevelt i oświadczyła, że jesteśmy zaproszeni na kolację do Virginii Haabe[4], córki Josepha Davisa, byłego ambasadora USA w ZSRR. Hopkins powiedział, że pojedzie z nami. Pojawił się jednak problem z transportem, ponieważ do cadillaca zmieścili się tylko Krasawczenko, Pczelincew, Hopkins i dwaj tłumacze z ambasady radzieckiej. Wtedy to pierwsza dama zaproponowała mi, abym pojechała z nią dwuosobowym kabrioletem, który sama prowadziła.

Byłam zaskoczona, ponieważ nie spodziewałam się, że tak szanowana osoba szybko zapomni o mojej zuchwałej ripoście podczas śniadania. Jednak żona prezydenta, dosłownie patrząc na mnie z góry (miała około 180 centymetrów wzrostu), dobrodusznie spojrzała mi w twarz i ponowiła swoje zaproszenie.

Niewielki granatowy samochód prezentował się elegancko i rozwijał pokaźną prędkość. Eleanor, mająca 58 lat, prowadziła jak zawodowy rajdowiec. W mgnieniu oka zgubiłyśmy ochronę, która eskortowała cadillaca, i pognałyśmy jak wi-

cher ulicami Waszyngtonu. Na zakrętach pani Roosevelt gwałtownie zmniejszała obroty silnika, który ryczał jak bestia. Przed skrzyżowaniami z sygnalizacją świetlną mocno naciskała na hamulec i zatrzymujące się koła z piskiem kreśliły na asfalcie czarne smugi. Nie spodziewałam się tego i w przerażeniu to chwytałam za klamkę na drzwiach, to wciskałam się w miękkie oparcie siedzenia obok Eleanor. Patrzyła na mnie figlarnie, ale nie zmniejszała prędkości. W sumie to i tak nie prosiłam jej, żeby zwolniła.

Wkrótce znalazłyśmy się na zabudowanych bogatymi rezydencjami i tonącymi w zieleni ogrodów przedmieściach. Gdy kabriolet się zatrzymał, odetchnęłam z ulgą. Nie byłam przyzwyczajona do takich szaleńczych podróży samochodem. To jasne, że żołnierzom piechoty, takim jak ja, wygodniej jest się przemieszczać na własnych nogach.

Virginia Haabe, atrakcyjna kobieta około trzydziestki, wyszła na schody, by przywitać pierwszą damę. Przez kilka lat mieszkała ona ze swoim ojcem-dyplomatą w Moskwie, tak więc całkiem nieźle władała językiem rosyjskim. Była wielką miłośniczką rosyjskiej muzyki klasycznej, o czym nie omieszkała mi zresztą na wstępie napomknąć. Rozmawiając, podeszłyśmy do stołu z aperitifami. Obok szklanek i butelek z jakimiś napojami znajdowały się miseczki wypełnione różnymi rodzajami solonych orzeszków i małymi ciasteczkami. Kto mógł przypuszczać, że stojące na stole napoje są mocno wyskokowe? Dla mnie jasne było, że obok ciasteczek i orzeszków może stać tylko sok, tak więc gdy kelner w białej koszuli, czarnej kamizelce i muszce pokazał mi butelkę z brązowawym płynem, po prostu skinęłam głową na znak zgody. Napełnił szklankę w jednej trzeciej, a ja wypiłam wszystko jednym haustem, zakaszlałam i złapałam się za gardło. W szkle był najprawdziwszy szkocki bimber, czyli whisky.

– *Be careful!* – powiedziała serdecznie pani Roosevelt, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do jadalni.

Wyglądało na to, że na obiedzie zebrali się starzy znajomi, w dodatku reprezentujący jednakowe poglądy polityczne. Przyjazd radzieckiej delegacji młodzieżowej stał się dla nich ważnym wydarzeniem, które mogło zaważyć na bieżącej polityce Stanów Zjednoczonych Ameryki. Rozmowa była swobodna i równie interesująca zarówno dla gości, jak i dla gospodarzy. Jednak Eleanor, posadziwszy mnie obok siebie, odrywała mnie od rozmowy różnymi pytaniami.

– Dobrze pani mówi po angielsku – wyszeptała.

– Dziękuję, ale to tylko komplement. Niestety mówię słabo.

– Gdzie nauczyła się pani języka?

– W dzieciństwie pierwszych lekcji udzielała mi moja mama.

– Ona jest nauczycielką?

– Tak.

Próbowałam odpowiadać krótko, ponieważ chciałam posłuchać, co właśnie teraz mówi pan Davies (były amerykański ambasador w Moskwie) o dyplomacji niemieckiej w latach 30. XX wieku.

– A pani ojciec? – wypytywała nadal Eleanor.

– Po rewolucji służył w Armii Czerwonej jako oficer.

– Odziedziczyła pani po nim miłość do broni?

– Może…

Podczas instruktażu przed wyjazdem opowiedziano nam o Franklinie Delano Roosevelcie i jego żonie, Eleanor Roosevelt (1884–1962). Pochodziła ona z bogatej, arystokratycznej rodziny, otrzymała doskonałe wykształcenie domowe, trzy lata spędziła w Londynie w Wyższej Szkole Żeńskiej Allenswood, a następnie podróżowała po krajach Europy Zachodniej. W marcu 1905 roku Eleanor wyszła za mąż za swojego dalekiego krewnego Franklina, studenta Wy-

działu Prawa Uniwersytetu Columbia. Zamiast przedwcześnie zmarłego ojca do ołtarza poprowadził ją wujek – ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych – Theodore Roosevelt.

Jako pierwsza dama objęła patronatem różne organizacje kobiece, stale angażowała się w akcje charytatywne, została sławną i szanowaną działaczką społeczną, dziennikarką i „ministrem bez teki" w rządzie Franklina Delano Roosevelta. Od czasu zapadnięcia na chorobę Heinego-Medina i częściowej utraty sprawności ruchowej jej męża, to jest od 1921 roku, to właśnie ona prowadziła kampanie wyborcze małżonka, podróżowała po kraju, przemawiała na wiecach, spotykała się z wyborcami. Nazywano ją oczami, uszami i nogami prezydenta, gdyż była tam, gdzie on nie mógł się dostać, a przy tym w znacznym stopniu wpływała na jego decyzje.

Eleanor cieszyła się szacunkiem, a może nawet czymś więcej. Nieprzypadkowo jeszcze w 1939 roku (jak wynika z badań socjologicznych) pierwsza dama prześcignęła w popularności swojego małżonka. Jej działalność jako „dobrą" oceniło 67% Amerykanów, a Franklina Delano – 58%…

Pani Roosevelt nie wyróżniała się szczególną urodą. Jej rysy twarzy były raczej surowe i nie do końca regularne, a jednak ogromny wdzięk, inteligencja i dobroć sprawiały, że nie można było przejść obok niej obojętnie. Prawdę mówiąc, na początku mojej podróży do Stanów Zjednoczonych miałam pewne uprzedzenia do Eleanor. Myślałam: arystokratka, milionerka, należąca do klasy wyzyskiwaczy. W głowie mi się nie mieściło, że mogłabym wzbudzić zainteresowanie tej wspaniałej kobiety.

Poranne wydania gazet, które dostarczono do Białego Domu 28 sierpnia przed śniadaniem, świadczyły o sukcesie naszej konferencji prasowej. Nasze zdjęcia zdobiły pierwsze

strony gazet. „Wolna prasa” Stanów Zjednoczonych poświęciła uwagę również mojej skromnej osobie. Plotkowano o kroju bluzy wojskowej, cytowano odpowiedzi na pytania, debatowano o tym, czy naprawdę przedstawicielki słabej płci mogą służyć w jednostkach bojowych. Byli też tacy, którzy nazywali mnie zimnokrwistym zabójcą, nieznającym litości dla nieszczęsnych żołnierzy niemieckich, którzy tylko wykonywali rozkazy swojego dowództwa.

Eleanor odsunęła filiżankę gorącej kawy i podała mi numer wielostronicowej gazety „New York Post”, po czym wskazała długą kolumnę, podpisaną nazwiskiem „Elsa Maxwell”[5].

– To moja stara znajoma – powiedziała pierwsza dama. – Była na waszej konferencji prasowej i wszystko jej się podobało. Dobrze pani sobie poradziła. Elsa jest doświadczona, spostrzegawcza i ma lekkie pióro. Moim zdaniem właściwie panią opisała. A dokładnie – wrażenie, jakie wywiera pani na ludziach…

> „…To, czym dysponuje porucznik Pawliczenko, to coś więcej niż piękno. Jej niezmącony spokój i pewność siebie wynikają z tego, co przeżyła i czego doświadczyła. Ma twarz Madonny z obrazu Correggia i dłonie dziecka, a jej oliwkowa bluza wojskowa z czerwonymi naszywkami osmalona jest ogniem zaciekłych bitew. Jedna z uczestniczek konferencji prasowej, dziennikarka, która siedziała obok mnie, w modnej, wytwornie uszytej sukni, zapytała Ludmiłę z nutą sarkazmu: »Ciekawi mnie, czy to pani mundur galowy, czy codzienny«. Ludmiła spojrzała obojętnie na moją elegancką sąsiadkę. »Trzeba pani wiedzieć, że w Rosji nie ma teraz gal. Nasze myśli zajęte są czymś innym…«”.

Jak się okazało, echa sporów kobiet na temat ubioru zainteresowały również mężczyzn. Trafiły na strony rzeczowej, *stricte* informacyjnej gazety „Daily News”. Publikacja zawierała zdjęcie całej mojej sylwetki i długi podpis pod nim: „Snajper Ludmiła Pawliczenko: Noszę swój mundur wojskowy z dumą! Jest uświęcony krwią moich towarzyszy broni, którzy polegli na polu bitwy. Dlatego cenię go bardziej niż najpiękniejszą suknię od najlepszego krawca!”.

Po śniadaniu Eleanor serdecznie się z nami pożegnała. Nasz pobyt w Białym Domu dobiegł końca i udaliśmy się do ambasady radzieckiej. Tam czekała nas kolejna konferencja prasowa, tym razem dla pracowników międzynarodowych agencji prasowych „Reuters” i „Associated Press”. Wkładając do walizki wielostronicowe gazety z moimi zdjęciami, niezbędne mi do złożenia raportu w Moskwie, myślałam o tym, że nowy odcinek frontu, na który wysłało mnie dowództwo Armii Czerwonej, nabiera coraz wyraźniejszych kształtów. To walka z dziennikarzami. Nie żeby byli oni takimi wrednymi i odpychającymi ludźmi – po prostu mają własne wyobrażenie na temat dobra i zła, tego, co jest ciekawe, a co nudne. Stoją między mną a milionami czytelników, słuchaczy, widzów w Ameryce, którym towarzysz Stalin polecił przekazać za moim pośrednictwem prawdę o wojnie. Tak więc muszę być szczera, pewna siebie, maksymalnie skupiona, wesoła i błyskotliwa. Wtedy uwierzą…

Wieczorem tego samego dnia nasza trójka – Krasawczenko, Pczelincew i ja – poszła na przedstawienie do najstarszego w USA Teatru Narodowego, położonego przy Pennsylvania Avenue, niedaleko Białego Domu. Wystawiano tam operę włoskiego kompozytora G. Pucciniego *Madame Butterfly*. Salę wypełniała bogata i wystrojona publiczność. Na początku nikt nie zwrócił na nas uwagi, ponieważ byliśmy ubrani po cywilnemu, jednak w przerwie pomiędzy drugim

a trzecim aktem, kiedy zapalono światło, na scenę wszedł konferansjer i ogłosił, że wśród widzów są członkowie radzieckiej delegacji studenckiej. Rozległy się burzliwe oklaski i musieliśmy wejść na scenę. W imieniu delegacji głos zabrał Władimir Pczelincew, którego przemówienie trwało nie dłużej niż pięć minut. Następnie na sali pojawiły się pięknie ubrane dziewczęta z kolorowymi skarbonkami, do których zaczęły zbierać pieniądze na fundusz wsparcia Armii Czerwonej. Zbiórka pieniędzy była bardzo udana: wiele osób wrzucało do puszek pieniądze, po czym wstawało i podchodziło do sceny, próbując uścisnąć nam dłoń i wyrazić słowa uznania. Podczas naszych kolejnych podróży po Ameryce z podobnymi gestami spotykaliśmy się niejednokrotnie.

W sumie nasza delegacja zebrała i przekazała ambasadzie radzieckiej niebagatelną kwotę – około ośmiuset tysięcy dolarów. Często spieraliśmy się, jak właściwie należy traktować tego typu akcje. Według Pczelincewa było w nich coś upokarzającego, ponieważ wygląda na to, że nasz wspaniały kraj i jego niezwyciężona armia proszą bogatych amerykańców o jałmużnę. Krasawczenko, jako szef delegacji, bezustannie tłumaczył porywczemu Wołodii zamysł tego wszystkiego: za pieniądze kupi się żywność i artykuły pierwszej potrzeby dla obywateli radzieckich, którzy stracili dach nad głową i cały majątek podczas ewakuacji. Niby wszystko jest w porządku, ale… jakiś taki niesmak…

Niemniej jednak nasza podróż miała charakter oficjalnej wizyty, na której temat Telegraficzna Agencja Związku Radzieckiego 30 sierpnia 1942 roku wydała następujący komunikat:

> „Pobyt delegatów radzieckich w Waszyngtonie na Międzynarodowym Zjeździe Studentów.

Radzieccy delegaci, którzy przybyli do Waszyngtonu na Międzynarodowy Zjazd Studentów: towarzysze Krasawczenko, Pczelincew i Ludmiła Pawliczenko, w dniu przyjazdu zostali zaproszeni do Białego Domu, w którym – jako goście prezydenta USA – spędzili noc. Trzeciego dnia delegaci radzieccy wystąpili w radiu. Ich przemówienia były transmitowane przez wielką waszyngtońską stację radiową. Radzieccy delegaci opowiadali o swoich doświadczeniach w walce z hitlerowcami.

W specjalnej audycji radiowej, transmitowanej w całych Stanach Zjednoczonych, szczegółowo zreferowano przyjazd Pawliczenko, Krasawczenki i Pczelincewa, poranne gazety zaś wydrukowały fotografie radzieckich studentów, stenogram rozmów z nimi, a także szczegółowy opis ich przybycia do Waszyngtonu.

Podczas wywiadu Krasawczenko poprosił dziennikarzy o przekazanie pozdrowień od narodu radzieckiego, który walczy na froncie z hordą hitlerowską, amerykańskiej młodzieży i wszystkim Amerykanom. Krasawczenko zwięźle opisał wszechstronny udział radzieckiej młodzieży w walce z agresorem… Ludmiła Pawliczenko przekazała amerykańskim kobietom bojowe pozdrowienia od kobiet radzieckich i opowiedziała o ich ofiarnej pracy, którą inspiruje nienawiść do wroga. Pczelincew opowiedział o sztuce snajperskiej, a na zakończenie dodał: »Możemy wygrać i wygramy. Tak powiedział Stalin i tak będzie«.

Radzieccy studenci wyrazili panu Rooseveltowi swoją wdzięczność za gościnność, z jaką przyjęto ich w Białym Domu”.

Drugiego września rano spotkaliśmy się na pierwszym zebraniu Światowego Zgromadzenia Studentów. Włożyliśmy mundury, sprawdziliśmy, czy wszystko jest w porządku i z pewnym niepokojem rozmawialiśmy o tym, jak minie to spotkanie i jak zostaniemy przyjęci. „ŚWIATOWE Zgromadzenie!" – powtarzaliśmy sobie nawzajem, nie wiedząc, że Amerykanie są mistrzami w sypaniu piaskiem w oczy. W sali zebrało się nie więcej niż 400 osób – oto cała reprezentacja świata! Owszem, studenci przyjechali z 53 krajów: znaleźli się wśród nich Latynosi, Afrykanie, Azjaci i Europejczycy. Rozumie się samo przez się, że nieobecni byli delegaci z Niemiec i sprzymierzonych z nimi państw.

Nikołaj Krasawczenko, doświadczony pracownik aparatu, zapoznawszy się z listą, stwierdził, że zamysł organizatorów Światowego Zgromadzenia Studentów jest dla niego jasny: większość stanowią przedstawiciele Stanów Zjednoczonych Ameryki, Wielkiej Brytanii i Kanady, a w związku z tym to oni będą mieli wpływ na głosowanie. Co zechcą, to narzucą innym, korzystając z tego, że mają większość podczas głosowania. Dlatego też, skonkludował Nikołaj, należy zażądać, aby w regulaminie znalazł się punkt: jedna delegacja ma jeden głos, niezależnie od liczby jej członków.

Przyjechaliśmy ubrani w mundury Armii Czerwonej, więc natychmiast przyciągnęliśmy uwagę wszystkich obecnych. Korespondenci ponownie zaatakowali nas przy wejściu. Błysnęły flesze aparatów, posypały się pytania. Z trudem przecisnęliśmy się przez tłum do holu i zastaliśmy tam… panią Roosevelt, która witała delegatów. Dziennikarze natychmiast otoczyli pierwszą damę i poprosili ją o zdjęcie z nami.

Eleanor nie miała nic przeciwko temu. Po lewej stronie stanął starszy lejtnant Pczelincew, po prawej – ja. Wzięła nas pod ręce. W taki sposób rosyjsko-amerykański sojusz wojskowy przeciwko faszyzmowi został przypieczętowany

konkretną, żywą ilustracją. Następnego dnia fotografia pojawiła się w gazetach, a komentatorzy prześcigali się w przypuszczeniach, interpretując zdjęcie na różne sposoby.

Pierwszego dnia Zgromadzenia, oprócz przedstawienia delegacji i głosowania nad porządkiem obrad, odbyła się sesja plenarna i dyskusja na temat „Uniwersytety w czasie wojny". Nikołaj Krasawczenko wygłosił odczyt, w którym treściwie i drobiazgowo opowiedział o udziale radzieckich studentów w operacjach wojskowych i pracy na tyłach. Wieczorem odbyła się uroczysta inauguracja imprezy, w której uczestniczyło wielu gości honorowych: przedstawiciele amerykańskich organizacji społecznych, osobistości z administracji prezydenta oraz jego małżonka. Jeszcze przed końcem przyjęcia podeszła do nas pani Roosevelt i powiedziała, że delegacja radziecka jest zaproszona na obiad w Białym Domu i powinniśmy niezwłocznie wyjeżdżać.

Wkrótce zrozumieliśmy przyczynę tego pośpiechu. W Białym Domu jakby przez przypadek spotkaliśmy się z prezydentem USA Franklinem Delano Rooseveltem, siedzącym w jednym z pokojów w drewnianym fotelu z wysokim oparciem i szerokimi podłokietnikami, na których opierał ręce. Nogi miał okryte kocem w szkocką kratę.

– Frank – powiedziała pierwsza dama – chcę ci przedstawić naszych nowych radzieckich przyjaciół…

Niewątpliwie był to człowiek nietuzinkowy, mający wnikliwy umysł i silną wolę. Zrozumiałam to od razu, kiedy napotkałam jego przenikliwe spojrzenie i uścisnęłam jego szczupłą, twardą dłoń. Uważnie wysłuchał przedstawiającego nas tłumacza i powtórzył po nim nazwy miast, z których pochodzimy: „Moskwa… Leningrad… Odessa i Sewastopol… Och, wspaniale! Prawdziwa krótka historia obecnej wojny Niemców w Rosji!". Jako prawdziwy dżentelmen najpierw poroz-

mawiał ze mną, zapytał, jak walczyłam, za co otrzymałam odznaczenia państwowe, jak walczyli moi koledzy z pułku. Znał ogólny przebieg operacji na naszych frontach, ale interesowały go szczegóły, wrażenia bezpośrednich uczestników.

W ciągu czterech lat II wojny światowej Amerykanie nigdy nie stawiali oporu przeciwnikom tak długo, jak Rosjanie pod Moskwą, Leningradem, Odessą czy Sewastopolem. Prezydent chciał zrozumieć, jak to się stało: czy udało nam się tego dokonać dzięki tradycyjnemu dla Rosji nieprzeciętnemu duchowi walki, szkoleniu wojskowemu żołnierzy, profesjonalizmowi oficerów, talentom strategicznym generałów, doskonałemu uzbrojeniu czy też może – co najbardziej istotne – zjednoczeniu armii i cywili, którzy połączyli swe siły przeciwko najeźdźcom?

Najprawdopodobniej Roosevelt snuł już plany na przyszłość. Po tym, jak 7 grudnia 1941 roku sojusznicy Niemiec – Japończycy – rozgromili bazę floty i lotnictwa w Pearl Harbor, a następnie szybko wyparli Amerykanów z Azji Południowo-Wschodniej, prezydent szukał odpowiedzi na pytanie: kto pomoże Ameryce tam powrócić?

Nie pokładał nadziei w aliantach: potęga Imperium Brytyjskiego osłabła w trakcie działań wojennych, połowa Francji była pod okupacją faszystowską, a druga połowa pod kontrolą rządu Vichy, który współpracował z Hitlerem. W Chinach zaś trwała wojna domowa. Pozostawała więc Rosja Radziecka – oczywiście pod warunkiem, że zwycięży ona Niemców pod Stalingradem i wyprze ich wojska ze swojego terytorium, a także odbuduje swój potencjał przemysłowy.

Kończąc rozmowę ze mną, Roosevelt zapytał:

– Jak się pani czuje w naszym kraju?

– Znakomicie, panie prezydencie – odpowiedziałam.

– Czy Amerykanie odnoszą się do pani serdecznie?

– Wszędzie jesteśmy witani jak ważni goście, choć czasami stajemy się też obiektem nagłych ataków.

– Czyżby? – Roosevelt był zaskoczony.

– Mam na myśli ataki waszych reporterów – rzekłam, zachowując powagę. – To bardzo natarczywi ludzie. Nie wytrzymujemy presji, uginamy się pod ich naciskiem i ujawniamy im wszelkie tajemnice…

Prezydent uśmiechnął się. Spodobała mu się moja uwaga. Mogłabym dalej żartować, ale chciałam zadać Rooseveltowi najważniejsze pytanie – to dotyczące aktywnej pomocy Związkowi Radzieckiemu, otwarcia drugiego frontu w Europie Zachodniej, który skupiłby na sobie część niemieckich dywizji, obecnie toczących walki nad Wołgą. Franklin Delano jakby odgadł moje myśli.

– Proszę przekazać radzieckiemu rządowi i osobiście panu Stalinowi – powiedział w zamyśleniu – że na razie trudno jest mi udzielić bardziej realnej pomocy waszemu krajowi. My, Amerykanie, nie jesteśmy jeszcze gotowi na zdecydowane działania. Powstrzymują nas nasi brytyjscy partnerzy. Ale sercem i duszą jesteśmy z naszymi rosyjskimi sojusznikami…

Prace Światowego Zgromadzenia Studentów toczyły się własnym rytmem. Były na nim ciekawe referaty, były też zażarte dyskusje, podczas których oponenci prawie rzucali się na siebie z pięściami. Na przykład podczas dyskusji nad tak zwaną kwestią indyjską śniady student Uniwersytetu Bombajskiego w turbanie na głowie wykrzyczał w twarz bladolicemu Brytyjczykowi z Oksfordu: „Ty kolonialny psie! Prędzej czy później powybijamy was wszystkich i zdobędziemy niepodległość!”. Z trudem rozdzielono Anglików i Hindusów, a bombajczyk przybiegł do Rosjan ze skargą. Bardzo współczuliśmy uciśnionym ludom Azji Południowo-Wschod-

niej i Azji Mniejszej, ale w Moskwie nie wydano nam rozkazu wszczynania skandalu na międzynarodowej imprezie…

Dodam od razu, że nie udało nam się włączyć do przyjętej na ostatnim posiedzeniu Światowego Zgromadzenia Studentów deklaracji punktu o otwarciu drugiego frontu w Europie. Organizatorzy jednak poszli z nami na kompromis: zamiast wzmiankowanego punktu delegaci przyjęli „Memorandum Słowiańskie", które w stanowczej formie potępiało niemiecki faszyzm i wzywało do zjednoczenia wszystkich narodów w walce z nim. Przyjęcie tego memorandum opisało wiele gazet i stacji radiowych, a najbardziej obszerną publikację przedstawiła Telegraficzna Agencja Związku Radzieckiego.

Ciepły, słoneczny wieczór 5 września 1942 roku uczestnicy Zgromadzenia spędzili na polance nieopodal Białego Domu, gdzie rząd Stanów Zjednoczonych zorganizował przyjęcie dla uczczenia zakończenia tego międzynarodowego zjazdu studentów. Imprezę prowadziła Eleanor Roosevelt. Dziesiątki młodych mężczyzn i kobiet z papierowymi talerzykami, kanapkami i butelkami z napojami chłodzącymi przechadzały się samotnie i w grupach alejkami wspaniałego francuskiego parku, omawiając cele i zadania demokratycznego ruchu młodzieżowego.

Pierwsza dama najwięcej uwagi poświęciła naszej delegacji. Znała już pięć rosyjskich słów: „dziękuję", „dobrze", „tak", „nie" i „oczywiście". Nasze rozmowy z nią przestały mieć charakter ściśle formalny i wszyscy zaczęliśmy się zachowywać swobodniej. Eleanor żartowała, śmiała się, opowiadała nam o tym, jak wymyśliła i przygotowała tę imprezę. Jej zamysłem było zorganizowanie zgromadzenia o charakterze *stricte* kulturalno-oświatowym, które sprzyjałoby promocji wartości amerykańskich wśród środowisk młodzieżowych na arenie międzynarodowej. Jednak nasza obec-

ność wniosła wiele nowego. Mówiliśmy o wojnie ze zbyt wielką ekscytacją i przejęciem. Dużo o niej wiedzieliśmy. Wojna, dotychczas daleka i niezrozumiała dla Amerykanów, nagle stała się bardziej realna: cierpienia zwykłych ludzi, krew przelana w walce, nagła śmierć. Pani Roosevelt podziękowała nam za to i wyraziła nadzieję, że nasze historie usłyszą inni mieszkańcy jej kraju ojczystego i całego kontynentu.

Przypisy

[1] W oryginale błędnie: „Henry Lash” – przyp. tłum.

[2] Pani Roosevelt, cieszymy się, że możemy odwiedzić wasz piękny i dostatni kraj. Przez wiele lat nie znaliście wojen. Nikt nie niszczył waszych miast, wiosek, upraw. Nikt nie zabijał waszych ludzi, waszych sióstr, braci, ojców…

[3] Bracia-żołnierze, naprzód, ku zwycięstwu!

[4] Z przestudiowanych przez tłumacza niniejszego tekstu źródeł wynika, że Joseph Edward Davies nie miał córki o takim imieniu. Był ojcem urodzonej w 1904 roku (zm. 2006) Eleanor Tydings Davies Ditzen oraz ojczymem między innymi Eleanor Barzin Hutton Habe (1909–2006). Zapewne zatem którąś z tych osób miała na myśli autorka niniejszej książki – przyp tłum.

[5] W oryginale: „Mak-Sueli”– przyp. tłum.

Rozdział 16

„MY DARLING”[1]

Następnego dnia rano zgłosiliśmy się do gabinetu Litwinowa i przekazaliśmy tekst deklaracji Światowego Zgromadzenia Studentów i „Memorandum Słowiańskiego”. Ambasador podziękował nam za zaangażowanie, powiedział, że byliśmy doskonale przygotowani pod względem ideowo-politycznym i wykazaliśmy się dużymi zdolnościami w czasie wystąpień publicznych, umiejętnie broniąc komunistycznych ideałów w rozmowach z burżuazyjnymi oponentami. Zakomunikował nam, że nasi amerykańscy partnerzy zaproponowali przedłużenie pobytu delegacji studenckiej i zorganizowanie wyjazdów do różnych miast USA w celu promocji krajów koalicji antyhitlerowskiej. Ambasada ZSRR na propozycję tę przystała.

Taka decyzja nie spodobała się nikomu z nas. Władimir Pczelincew i ja marzyliśmy o szybkim powrocie do domu, ponieważ pod koniec lipca rozpoczęły się zacięte walki na Froncie Stalingradzkim. Niemcy podążali w kierunku Wołgi. Na początku sierpnia jednostki niemieckiej 6. Armii dotarły na przedmieścia Stalingradu. Wojska radzieckie wytrwale stawiały okupantowi opór, lecz wróg, mający znaczną przewagę liczebną, we wrześniu zbliżył się do granic miasta, gdzie rozgrywały się nieustanne starcia. Na dobre uformowała się tam wojna pozycyjna, co dawało doskonałe pole do działania dla snajperów. Nie zamierzaliśmy się zadowolić dotychczasowymi osiągnięciami: na jego koncie było 154 fryców, na moim – 309. Chcieliśmy poprawić swoje wyniki na rubieżach ogniowych miasta leżącego nad wielką rosyjską rzeką.

Litwinow spokojnie wysłuchał naszej argumentacji, wspomniał, że oficerowie powinni zawsze wykonywać polecenia Naczelnego Wodza Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej i zasugerował, abyśmy rozpoczęli przygotowania do wyjazdu do Nowego Jorku w niedzielę 6 września. Tego dnia Amerykanie obchodzą Święto Pracy. Pojedziemy wczesnym rankiem kolejką ekspresową Waszyngton–Nowy Jork i mamy na tę okoliczność włożyć mundury galowe.

Na dworcu kolejowym delegację jak zwykle powitali dziennikarze, którym nie dano jednakże zarzucić nas pytaniami i odsunięto na bok. Usadzono nas w samochodzie i w towarzystwie eskorty policyjnej przy dźwięku syren oraz huku silników motocyklowych dowieziono nas pod główne wejście Central Parku. Zgromadził się tam wielki tłum. Wysportowani mężczyźni w marynarkach i czapkach, wyprostowani jak żołnierze, wzięli nas na plecy i wnieśli na scenę. Burmistrz miasta LaGuardia przez mikrofon oznajmił, że na wiec przybyli przedstawiciele bohaterskiej Armii Czerwonej i wyraził zachwyt tytaniczną walką narodu radzieckiego z niemieckim faszyzmem. Tłum w parku zareagował na te słowa entuzjastycznie. Potem wystąpił czarnoskóry piosenkarz Paul Robeson, który zaśpiewał po rosyjsku piosenkę *Pieśń o Ojczyźnie* Dunajewskiego. Wiec zakończył się wręczeniem gościom radzieckim symbolicznego upominku: kunsztownie wykonanego medalionu w kształcie serca z dębu bagiennego ze srebrną płytą w środku i napisem: „Za aktywny udział w walce z faszyzmem”. Podarunek odebrałam ja. Następnie należało w sposób jasny i zrozumiały powiedzieć kilka słów.

– Drodzy przyjaciele! – zaczęłam. – Faszystowska bestia, przeczuwając rychłą zagładę, czyni rozpaczliwe próby zadania ciosu narodom zjednoczonym, zanim zrobimy to jej my – sojusznicy. Wytężenie wszystkich sił w celu niesienia pomo-

cy ludziom na froncie jest sprawą życia i śmierci miłujących wolność narodów całego świata. Więcej czołgów, więcej samolotów, więcej armat, niestrudzeni amerykańscy ludzie pracy!

Mój wzmocniony przez mikrofon głos niósł się ponad ucichłym tłumem, a echo odpowiadało w najdalszych zakątkach parku. Oczywiście mieszkańcy Nowego Jorku przed występem tłumacza nic nie rozumieli, chociaż intencje z pewnością wyczuwali. Pragnęłam przekazać ludziom swoje gorące uczucia, wzbudzić współczucie dla naszego narodu, obudzić w ich sercach emocje. Wygląda na to, że mi się to udało. Na początku tłum zareagował powściągliwym szumem, ale potem rozległy się głośne oklaski i wiwaty.

Następnie udaliśmy się na oficjalny obiad u Konsula Generalnego ZSRR, Wiktora Aleksiejewicza Fiediuszyna, a potem odbyło się wieczorne przyjęcie w Związku Kuśnierzy USA, podczas którego wręczono nam upominki: mnie – sięgające do kostek futro z jenota, a chłopcom – luksusowe kurtki z bobra. Kuśnierze wyprawili znakomitą ucztę, na którą licznie przybyli przedstawiciele z kręgów biznesowych, urzędnicy miejskiej administracji oraz działacze kultury i sztuki.

Właśnie wtedy przedstawiono mi tego człowieka – Williama Patricka Johnsona, właściciela kompanii metalurgicznej, milionera. Nic niezwykłego w nim nie dostrzegłam… Dosyć wysoki, średniej budowy ciała, przyjemnej powierzchowności około trzydziestopięcioletni dżentelmen, jak wszyscy na tym przyjęciu, lekko musnął ustami moją dłoń i powiedział kilka dość banalnych słów na temat mojego wyglądu i barwnego wystąpienia na wiecu w Central Parku, na którym, jak się okazało, był obecny. Niezwykle zabrzmiało jedynie jego nachalne zapraszanie mnie do zwiedzenia należącej do niego posiadłości, znajdującej się na przedmieściach Nowego

Jorku, w której umieścił kolekcję malarstwa rosyjskiej awangardy z początku XX wieku. O awangardzie miałam raczej mgliste pojęcie, dobrze znałam tylko prace malarzy-pieredwiżników, a szczególnie ceniłam obrazy batalistyczne Wasilija Wierieszczagina. Tego typu indywidualne wycieczki i kontakty były surowo zabronione. Musiałam z uśmiechem odpowiedzieć panu Johnsonowi, że przykro mi, ale nasz napięty grafik wystąpień nie pozwala mi w żaden sposób na przyjęcie jego zaproszenia. Myślałam, że nasza rozmowa jest zakończona, a to spotkanie będzie ostatnie. Tak się jednak nie stało.

Uskrzydleni spektakularnym sukcesem na wiecu w Nowym Jorku organizatorzy z International Student Service, ambasada Związku Radzieckiego i administracja prezydenta USA zaplanowali na 10 września 1942 roku jeszcze jeden wyjazd propagandowy do dużego miasta nadmorskiego Baltimore na wybrzeżu Oceanu Atlantyckiego. Z Waszyngtonu prowadziła tam świetna wielopasmowa droga szybkiego ruchu. Rankiem wyruszyliśmy autem ambasadora i w południe byliśmy już na miejscu. Znowu towarzyszyło nam wycie syren eskorty policyjnej – konwoju motocyklistów w białych kaskach i czarnych kurtkach. W drodze do urzędu miasta widzieliśmy ludzi stojących na poboczu, życzliwie machających do nas rękami i wykrzykujących coś w naszym kierunku.

Znów wiec na placu miejskim, znowu moje wystąpienie, znowu krzyki tłumu, transparenty w języku rosyjskim i angielskim: „Niech żyje Armia Czerwona!”, „Cześć walczącym z faszyzmem!”, „Jesteśmy za utworzeniem drugiego frontu!”. Potem było uroczyste przyjęcie w ratuszu z udziałem wybitnych osobistości Baltimore. Ujrzałam Williama Patricka Johnsona – co prawda już w innym garniturze, tym razem w szarym z prążkami. Podszedł do mnie i powiedział,

że rad jest mnie znowu widzieć, a następnie dodał, że w Baltimore mieszka jego siostra cioteczna, będąca właścicielką największego domu towarowego, w którym znajduje się wyborny dział odzieżowy z sukniami i czy pani Pawliczenko nie zechciałaby go odwiedzić, albowiem w ostatnim czasie dostarczono tam nowinki modowe z Londynu. Pod koniec jego przemówienia podeszła do nas dama w średnim wieku, obwieszona brylantami, naturalnie kuzynka pana Johnsona. Uśmiechając się, poinformowała mnie, że stroje na moją figurę są po prostu nieprawdopodobnie piękne i zaproponowała, abym niezwłocznie pojechała je przymierzyć. Johnson dodał, że chciałby mi podarować dowolną suknię, która mi się spodoba.

To była już znacznie poważniejsza propozycja, tak więc nachalnego milionera trzeba było odprawić, z tym że delikatnie, uprzejmie i dyplomatycznie. Wyjaśniłam, że uwielbiam dobre ubrania, ale mam rozkaz od towarzysza Stalina. Oboje właściciele lokalnej nieruchomości zdumieli się: jakież to mogą być rozkazy dla pięknej i młodej kobiety, jeśli pragnie ona odświeżyć swoją garderobę. Zapytałam ich, czy dostają rozkazy od prezydenta Roosevelta, czy stosuje on tylko przymus gospodarczy. W czasie gdy krewni zbierali myśli, aby mi odpowiedzieć, obok mnie pojawił się Nikołaj Krasawczenko, który ma wyjątkowy dar pojawiania się zawsze w odpowiednim miejscu i odpowiednim czasie. Wzięłam go pod rękę i szybko odeszliśmy na drugi koniec sali…

Następnego dnia, 11 września, nasza delegacja wróciła do Waszyngtonu. W ambasadzie czekała nas miła nowina: prezydent USA wraz z małżonką zapraszają radzieckich studentów na tydzień do swojej posiadłości rodowej w znajdującym się 80 kilometrów od Nowego Jorku Hyde Parku nad rzeką Hudson. Oprócz Rosjan zaproszenie otrzymali również inni uczestnicy Światowego Zgromadzenia Studentów:

Anglicy Richard Miles i Dave Scott, Holender Johann Walter oraz Chinka Yun Wang. Mieliśmy jechać pociągiem, zaś odebrać gości z dworca miała pierwsza dama.

Posiadłość Rooseveltów była piękna, bogato urządzona i ogromna, tak więc w ciągu jednego dnia nie dało się obejść wszystkich jej zakamarków. Park z prostymi alejkami, klombami, trawnikami, altankami i drewnianymi ławeczkami niepostrzeżenie przechodził w gęsty, zajmujący co najmniej 300 hektarów las. W pobliżu głównej posiadłości z piętrowym, kamiennym domem znajdowało się duże jezioro, którego jeden brzeg był porośnięty trzciną i wyglądał na dziki, drugi zaś był wypielęgnowany. Mieściło się tam kąpielisko. Nad czystą, przezroczystą wodą przerzucono kolorowe mosteczki, obok których kołysały się na wodzie zacumowane łódki.

Po śniadaniu wybrałam się na spacer. Zainteresowała mnie dziwna, wąska łajba, starannie obszyta skórą, z maleńkim siedzeniem pośrodku i krótkimi wiosłami w dulkach. Kiedyś na ojcowiźnie w Białej Cerkwi wraz z siostrą Walentiną lubiłyśmy pływać po rzece Roś na płaskodence, nazywanej kozacki dąbek. Długo się nie namyślając, wskoczyłam do amerykańskiej łodzi canoe (jak się później okazało, właśnie tak się ona nazywała), odepchnęłam się od mostka i uderzyłam w wiosła. Łódka lekko jak ptak ruszyła do przodu, ale woda była bardzo płytka. Ostry skręt kadłuba i… znalazłam się w chłodnej wodzie, ponieważ łódka się wywróciła.

Próba wyłowienia filcowego kapelusza zakończyła się fiaskiem, gdyż szybko poszedł na dno. Przywrócić łódki do pierwotnego położenia też zresztą nie mogłam – ręce tylko ślizgały się po mokrych skórzanych burtach. Pozostawało mi zatem płynąć do brzegu, ciągnąc łódkę za sobą. Nad jeziorem stali świadkowie tego zdarzenia: Richard Miles i Dave Scott.

Szlachetnie urodzeni angielscy dżentelmeni przestępowali z nogi na nogę, nie wiedząc, co począć: ratować biedną dziewczynę i łódkę (jednak wówczas trzeba byłoby się rozebrać i wskoczyć do jeziora) czy też wezwać pomoc (a w takim przypadku należałoby pobiec do głównej posiadłości, choć to niedaleko). Zdenerwowani stali więc tylko nad brzegiem wody i głośno dyskutowali o zaistniałej sytuacji. Wkrótce ich oczom ukazał się niezwykły widok: oficer Armii Czerwonej wychodzący z wody w mokrym, efektownie opinającym ciało ubraniu. Widząc ich zdębiałe twarze, nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Słowo daję, zabawnie jest robić takie głupstwa w obcym kraju. Na nieznanej jednostce pływającej udałam się na drugi brzeg jeziora, brodziłam w wodzie i nurkowałam po kapelusz, po czym wyszłam na brzeg na oczach dwóch młodych idiotów, którzy gapili się na mnie tak, jakby zobaczyli przybyłych na Ziemię Marsjan.

Cały czas się śmiejąc, wyruszyłam do swojego domku gościnnego, położonego dosyć daleko od jeziora, za dwukondygnacyjnym budynkiem. Przesiąknięty wodą kołnierzyk zrobionego na drutach swetra przyklejał mi się do szyi. Poła półwełnianej sukienki zrobiła się ciężka i utrudniała marsz, a w butach wstrętnie chlupotała woda. Przecież nie będę się tutaj rozbierać! No i zimno byłoby bez ubrania… Wrześniowy wiatr jest chłodny i porywisty, a temperatura powietrza nie przekracza zapewne 16 stopni Celsjusza.

– Ludmiło! – nagle rozległ się zaniepokojony głos pierwszej damy, otwierającej okno na parterze budynku gospodarczego. – Co się stało?

– Pływanie w jeziorze bez stroju kąpielowego.

– Pogoda dziś nie sprzyja kąpielom. Powinna pani natychmiast się przebrać. Proszę tutaj przyjść.

Pani Roosevelt wyszła po mnie do holu, zaprowadziła do swego gabinetu i sypialni, połączonej z łazienką i toaletą. Po drodze, wciąż się śmiejąc, żartobliwie opowiadałam o zdradzieckim zachowaniu łódki, o tonącym jak ołów filcowym kapeluszu, o synach Albionu, którzy śmiertelnie bali się wody i na pewno nigdy nie widzieli kobiet, jak to się mówi, w negliżu.

Eleanor przyniosła i podała mi duży ręcznik frotte. Nie śmiałam stanąć w mokrych pantoflach na perskim dywanie, ułożonym na podłodze gabinetu.

– Proszę się rozebrać w łazience – powiedziała. – Zaraz przyjdę.

Żona prezydenta wróciła po 15 minutach. W rękach trzymała własną piżamę, nożyczki oraz szkatułkę z igłami i nićmi. W oczekiwaniu na nią owinęłam się ręcznikiem. Mokrą odzież, bieliznę, pończochy i buty zostawiłam w łazience i stałam boso na dywanie, czując silne zakłopotanie z powodu tego, co się wydarzyło. W ogromnym lustrze na toaletce zobaczyłam swoje odbicie: mokre, splątane włosy, obnażone ramiona, ręce i nogi, gdyż ręcznik, chociaż szeroki na półtora metra, nie zakrywał mi całkowicie ciała.

Eleanor obrzuciła mnie przelotnym spojrzeniem, uśmiechnęła się i wezwała pokojówkę. Wyjaśniła jej, co należy zrobić z ubraniami w łazience: jeśli są brudne, to trzeba je uprać, a potem wysuszyć, uprasować i przynieść z powrotem. Tęgawa Murzynka w średnim wieku z białym stroikiem na czarnych, kręconych włosach i w białym fartuszku wykończonym koronką kiwała głową, z rzadka spoglądając na mnie. Na pewno goście prezydenta nigdy wcześniej nie prezentowali jej się w tak wyzywającym *emploi*.

Pokojówka wyszła, a Eleanor zwróciła się do mnie:

– Teraz powinna się pani przebrać w moją piżamę.

– Jak to, przecież jesteśmy różnego wzrostu.

– Drobiazg. Skrócę rękawy koszuli i nogawki spodni.

– Sama pani to zrobi? – niezmiernie się zdziwiłam.

– Tak, moja droga. Czy uważa pani kobiety z rodu Roosevelтów za paniusie? Zapewniam panią, że wszystkie Amerykanki potrafią świetnie pracować…

Najpierw na szerokim łóżku rozłożyła piżamę – całkowicie nową, wykonaną z doskonałej jakości różowego atłasu z wyszytymi na kołnierzyku, mankietach i kieszeniach liliowymi kwiatami – z pewnością drogą. Jednakże Eleanor żarliwie zaczęła ją ciąć nożyczkami, a potem wyciągnęła ze szkatułki długą taśmę – centymetr. Przed przeróbką należało zdjąć dokładną miarę, a nie działać na oko. Zręcznie korzystając z akcesoriów krawieckich, pierwsza dama szybko określiła długość moich rąk. Następnie podeszła do mnie z tyłu, żeby zmierzyć mi szerokość ramion. Ręcznik sięgał tylko do pach i pani Roosevelt zobaczyła długą, czerwonawą szramę z dwoma rozgałęzieniami, przebiegającą na ukos od prawej łopatki do kręgosłupa. To ją przeraziło i, odsunąwszy się o krok, wykrzyknęła:

– Dobry Boże! Co się pani stało, Ludmiło?

– Ślad po kawałeczku metalu – odpowiedziałam, ponieważ wtedy nie znałam jeszcze angielskich słów „scar” – blizna, „splinter” – odłamek, „shell” – pocisk artyleryjski, musiałam więc użyć innych słów.

– Jak się tu znalazł metal? – Eleanor ostrożnie dotknęła palcem mojej blizny.

– W grudniu ubiegłego roku pod Sewastopolem.

– Podczas walki z Niemcami?

– Tak – potwierdziłam.

– Biedna moja dziewczynka! – Pani Roosevelt raptownie mnie objęła i pocałowała w czoło. – Jakże strasznie doświadczyła panią wojna…

Żona prezydenta mówiła ze szczerym współczuciem, a nawet z bólem. Wierzyłam jej, chociaż nasze pierwsze spotkanie przy śniadaniu w Białym Domu nie zapowiadało wzajemnego zrozumienia. Być może teraz przypomniała sobie swoje krzywdzące mnie słowa. Coś jej się wtedy nie spodobało w moim zachowaniu, a będąc człowiekiem zaprawionym w dyskusjach publicznych, postanowiła zadać lekki cios kopią w zbroję – tak jej się wydawało – dziwnej „sewastopolskiej amazonce". Dostała jednak ripostę – ostrą i precyzyjną. Być może wówczas Eleanor zaczęła rozmyślać o tym, że w Rosjanach jest jakaś niezgłębiona przez Anglosasów tajemnica. Chciała rozwikłać tę zagadkę.

Kiedy Franklin Delano Roosevelt, zaskoczony naszą nieobecnością w jadalni przed obiadem, przyjechał swoim wózkiem inwalidzkim do zajmowanej przez żonę połowy domu, zastał nas w sypialni. Zajęte szyciem siedziałyśmy na szerokim łóżku. Przeróbka piżamy szła nieźle i praca powoli dobiegała końca. Wokół nas leżały jasne kawałki tkaniny, nożyczki, szpulki z nićmi oraz igły wetknięte w ścinki atłasu. Żywiołowo rozprawiałyśmy o współczesnej modzie: o odpowiednich dla nas krojach sukienek, najładniejszych odcieniach, ozdobach i pasującej do nich biżuterii. Koszulę miałam już nałożoną, jednak zobaczywszy prezydenta USA, zerwałam się na równe nogi i przytrzymując ręcznik na biodrach, wypaliłam:

– Proszę o wybaczenie, panie prezydencie!

Roześmiał się: obraz, który ukazał się jego oczom, bez wątpienia był dla niego zabawny. Dwóm kobietom, które dzielą duża różnica wieku, wychowanie, wykształcenie, sytuacja społeczna, a nawet język, nic nie stało na przeszkodzie, żeby z zapałem trajkotać o sprawach całkowicie nieistotnych. Kiedy uświadomiły sobie zbieżność poglądów na przeróżne aspekty życia, z zachwytem patrzyły na siebie i cie-

szyły się pustą paplaniną. Nie przekazały sobie żadnych nowych informacji, nie wysnuły poważnych wniosków, a jednak gadały tak już drugą godzinę…

Wieczorem nad rzeką Hudson zerwał się silny wiatr, niebo zasnuło się chmurami i zaczął padać deszcz, który szybko przerodził się w ulewę. W jadalni rozpalono kominek, co było posunięciem słusznym, gdyż w przestronnym pokoju, w którym podawano kolację, szyby w oknach drżały od porywów wichury. Wydawało się, że jesienna szaruga przenika przez ściany wielkiego, kamiennego domu i napełnia go przyniesioną znad rzeki wilgocią.

Przed kolacją do Hyde Parku przyjechał znany nam doradca prezydenta, Harry Lloyd Hopkins. Przywiózł jakieś dokumenty z Waszyngtonu i dotrzymał nam towarzystwa przy stole. Hopkins od czasu zeszłorocznej operacji nowotworu żołądka nie pił alkoholu ani nie jadł słonych, ostrych czy smażonych potraw. Choroba jednak wcale nie wpłynęła na jego usposobienie, ponieważ z powodzeniem rozweselał współbiesiadników błyskotliwymi komentarzami na temat ostatnich wydarzeń. Zauważyłam, że jego przyjazd szczególnie ucieszył Eleanor, która uprzedziła doradcę, że chciałaby omówić z nim pewną kwestię.

Siedem dni w posiadłości Roosevelтów upłynęło bardzo szybko. Wróciliśmy do Waszyngtonu i ponownie odwiedziliśmy naszego ambasadora, Maksima Maksimowicza Litwinowa. Przekazał nam on podjętą w Moskwie decyzję dotyczącą dalszej pracy delegacji studenckiej. Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu dowiedzieliśmy się, że Krasawczenko i Pczelincew udadzą się w podróż do miast na północnym wschodzie Stanów Zjednoczonych: Cleveland, Buffalo, Albany, Pittsburgha, Richmond i innych na spotkanie ze studentami w college’ach i na uniwersytetach, a ja miałam jechać na Zachód i Środkowy Zachód: do Chicago, Minneapolis,

Denver, Seattle, San Francisco, Fresno i Los Angeles. 24 września pożegnałam się z kompanami. Nie wiedziałam, że w podróży często będzie mi towarzyszyła pani Roosevelt. Obecność pierwszej damy przesądzała o poziomie spotkań z Amerykanami: przyjęcia u gubernatorów różnych stanów, w urzędach miast, lunche biznesowe, kolacje w kręgach biznesowych, konferencje prasowe dla miejscowych gazet i rozgłośni radiowych…

Limuzyna prezydencka z opancerzonymi szybami, nabierając prędkości, mknęła po pustynnej szosie. Przodem jechał pierwszy samochód z ochroną, a za nią – drugi. Domy i ulice Dearborn, przedmieścia Detroit, najstarszego miasta na Środkowym Zachodzie Ameryki, pozostały w oddali. Właśnie zakończyła się nasza wizyta w siedzibie Ford Motor Company, znanym na całym świecie, największym w USA koncernie motoryzacyjnym. A rozpoczęła się ona od zwiedzania zakładów lotniczych, gdzie produkowano dwusilnikowe[2] bombowce, nazywane przez Amerykanów The Tin Goose – Blaszana Gęś. Pokazano nam cały proces produkcji samolotu – od spawania szkieletu z metalowych rurek i tłoczenia skrzydeł z duralu na ogromnej prasie mechanicznej do głównego przenośnika, gdzie maszyna bojowa uzyskiwała swój drapieżny wygląd. Wyjaśnień udzielał nam pan Lawrence, dyrektor przedsiębiorstwa.

W budynku zarządu fabryki goście zostali powitani przez samego „króla samochodów”, członków jego rodziny i kierownictwo wyższego szczebla. Henry Ford, dziarski, szczupły staruszek, pospieszył mi na spotkanie, wręczył złoty znaczek Ford Motor Company i poprosił o zdjęcie ze mną i Eleanor Roosevelt, która także uczestniczyła w tej podróży. Błysnęły flesze aparatów fotograficznych, a reporterzy natychmiast rzucili się naprzód, wypytując o przedsiębiorstwo, bombowce i amerykańską potęgę militarną.

Przedstawiciele prasy nie zostali jednak zaproszeni na lunch, ponieważ skromny poczęstunek złożony z kanapek, pączków „donut” i coca-coli przeznaczony był jedynie dla wąskiego grona. Założyciel i właściciel koncernu wygłosił krótkie, patriotyczne przemówienie, następnie wystąpił burmistrz Dearborn, po czym udzielono głosu mnie. Przyjęcie trwało równo trzydzieści minut. Nic się na to nie poradzi – w imperium Henry’ego Forda powiedzenie „czas to pieniądz” nabiera szczególnego znaczenia.

Bardzo wstrząsnęło mną zachowanie robotników. W jakimś pomieszczeniu magazynowym zgromadzono prawdopodobnie około 300 osób. Byli to mężczyźni posępni, bez cienia uśmiechu na twarzy, czymś zaniepokojeni, przyodziani w firmowe jasnoniebieskie kombinezony. Poproszono mnie, abym mówiła krótko i zrezygnowała z komunistycznych haseł oraz apeli, więc obeszłam się bez tego: przekazałam amerykańskim proletariuszom pozdrowienia od robotników Związku Radzieckiego, którzy czekają na pomoc w walce z niemieckim faszyzmem. W odpowiedzi nie zabrzmiały dobrze znane mi oklaski, pytania ani ciepłe słowa. Żegnając mnie, pracownicy milcząco podnieśli się ze swoich miejsc…

– Wróg ludu pracującego! – powiedziałam sarkastycznie, posępnie spoglądając przez szybę samochodu na drzewa wzdłuż pobocza, dotknięte już kłem jesieni i gubiące liście.

– Myli się pani, moja droga – odpowiedziała z uśmiechem Eleanor.

– A jak on postępuje z robotnikami?! Mają u niego gorzej niż nieme bydło, zaszczute przez psy stróżujące. Dlaczego milczeli?

– To robotnicza arystokracja. Ford dobrze płaci. Mają zbyt wiele do stracenia. On ich pilnuje: chodźcie do kościoła, nie pijcie whisky, nie uprawiajcie hazardu, dbajcie o rodzinę, nie wstępujcie do związków zawodowych, nie bierzcie

udziału w strajkach… Bali się z panią rozmawiać – jest pani przecież z komunistycznej Rosji.

– Dobrze! – Uderzyłam pięścią w kolano. – Następnym razem wymyślę, co powiedzieć Amerykanom!

Kierowca i ochroniarz, który siedział obok niego, byli oddzieleni od pasażerów szklaną przegrodą, nie mogli więc słyszeć naszej rozmowy. Monotonny dźwięk silnika nie przeszkadzał jednak w rozmowie. Samochód jechał ze stałą, ustaloną dla prezydenckiej eskorty na trasach międzymiastowych prędkością. Z Detroit jechaliśmy do Chicago, mieliśmy więc do pokonania odległość nieco ponad 450 kilometrów, co zajęło nam pięć i pół godziny.

Po obu stronach drogi rozciągały się równiny stanu Michigan. Najwyraźniej Eleanor specjalnie wybrała tę trasę, aby pokazać mi Środkowy Zachód swego ojczystego kraju z niewielkimi, kameralnymi miastami Ann Arbor, Albion, Kalamazoo, Benton Harbor. Potem droga skręciła ku brzegowi ogromnego, podobnego do morza jeziora Michigan. Tutaj krajobraz się zmienił: wzgórza i nieduże zagajniki gdzieniegdzie zakrywały taflę wody, a przy brzegu widniało mnóstwo maleńkich wysepek. Im dalej na południe, tym częściej ukazywały się dosyć wysokie i piękne, piaszczyste wydmy.

Pierwsza dama komentowała widoki szczegółowo, dowcipnie i fascynująco. Kochała i doskonale znała Stany Zjednoczone, zjeździła kraj wzdłuż i wszerz, pomagając mężowi w kampanii wyborczej i wykonując poszczególne polecenia prezydenta. Chciała, żebym lepiej poznała Amerykę. Oczywiście serce podporucznika w całości należy do wielkiej Rosji – żartowała, warto jednakże zobaczyć inne kraje i zrozumieć życie odmiennych narodów.

Pani Roosevelt starała się mówić po angielsku powoli, używając prostych zwrotów, stosując wyłącznie czas gramatyczny „Indefinite”. Jednak nawet mowa składająca się wy-

łącznie z krótkich zdań, zważywszy na mój brak praktyki w języku obcym, wymagała wytężonej uwagi i przez pięć godzin podróży bardzo mnie zmęczyła. Ponadto nie jestem przyzwyczajona do podróżowania samochodem – nawet tak komfortowym jak prezydencki cadillac.

Ogólnie rzecz biorąc, uroczych przedmieść Chicago – Cicero i Oak Park – nie widziałam, ponieważ… zasnęłam, oparłszy głowę na ramieniu pierwszej damy. Obudziło mnie nagłe hamowanie; byłam okropnie zmieszana zaistniałą sytuacją. Eleanor uśmiechnęła się jak gdyby nigdy nic:

– *Please, wake up, my darling. We are in Chicago…*[3]

Władze Chicago wybrały na miejsce wiecu zabytkowy Grand Park w stylu francuskim, położony nad brzegiem jeziora Michigan. Był to rozległy teren z trawnikami, klombami, ścieżkami rowerowymi, fontanną Buckingham, pomnikiem Abrahama Lincolna, a także z estradą koncertową. Estradę udekorowano flagami państwowymi wszystkich krajów należących do koalicji antyhitlerowskiej: USA, Wielkiej Brytanii, ZSRR i Chin oraz portretami ich przywódców: Roosevelta, Churchilla, Stalina i Czang Kaj-szeka. Lokalna gazeta „Chicago Tribune” zamieściła na swoich stronach wiadomość o wiecu i apel o przybycie na niego.

Wśród gości honorowych wiecu byli Eleanor Roosevelt, Fred Myers – dyrektor społecznej organizacji charytatywnej „Russian War Relief”, utworzonej w lipcu 1941 roku przez amerykańskich komunistów i sympatyzujących z nimi liberałów wywodzących się głównie z inteligencji artystycznej (na przykład aktor Charles Spencer Chaplin, reżyser filmowy George Orson Welles, artysta malarz i grafik Rockwell Kent). Na wiecu obecny był również przedstawiciel armii USA, pułkownik Stephen Douglas, który przyjechał z bazy wojskowej Fort Knox, położonej w Kentucky – stanie sąsia-

dującym z Illinois. Ja miałam niewątpliwy zaszczyt reprezentować tutaj Armię Czerwoną.

Jak zwykle spotkanie otworzył burmistrz miasta. Krótko powiedział o udziale USA w koalicji antyhitlerowskiej, po czym udzielił mi głosu. Podeszłam do mikrofonu. Przed sceną zebrał się wielki tłum. Wyraźnie widziałam twarze ludzi w pierwszych szeregach: głównie mężczyzn w wieku 30–40 lat. Przyjaźnie mi się przyglądali i uśmiechali się do mnie. Wygłosiłam kilka zdań o wojnie, która obecnie wrze w odległej Rosji, potem zrobiłam pauzę i gwałtownie podniosłam głos:

– Dżentelmeni! Mam 25 lat. Na froncie zdążyłam już zabić 309 faszystowskich żołnierzy i oficerów. Nie wydaje się wam, dżentelmeni, że trochę za długo chowacie się za moimi plecami?

Patrząc na mnie ze zdumieniem, tłumacz przełożył tekst, próbując zachować moją intonację. Tłum milczał przez kilka sekund. Następnie na zabytkowy park runęła prawdziwa burza: ludzie krzyczeli, skandowali, gwizdali, tupali nogami, klaskali. Na scenę rzucili się dziennikarze, przepychając się wśród tych, którzy chcieli wpłacić składkę na fundusz pomocy Związkowi Radzieckiemu. Burmistrz Chicago, otwierając wiec, apelował o hojne datki do skarbonek, które przed estradą ustawiła organizacja „Russian War Relief”. Byli i tacy entuzjaści, którzy koniecznie chcieli dorzucić swoją cegiełkę – natychmiast i tylko mnie. Postawni ochroniarze ustawili się rzędem przed sceną i pilnowali porządku.

Nadal stałam przy mikrofonie ze splecionymi palcami opuszczonych rąk. Eksplozja emocji wśród publiczności wydawała mi się zbyt silna; układając sobie w głowie dzisiejszą przemowę, nie liczyłam na aż taki odzew. Po fiasku w fabryce Forda chciałam wymyślić takie przemówienie, które

od razu trafiłoby do serc zamożnych, spokojnych i przesadnie oszczędnych mieszkańców kontynentu, który odkrył niegdyś Kolumb.

Później dowiedziałam się, że relację z mojego wystąpienia na wiecu w Chicago opublikowano na pierwszych stronach wielu amerykańskich gazet. Agencja Reuters rozesłała po całym świecie sprawozdanie z pozytywnym komentarzem; napisała, że w sposób precyzyjny wyraziłam istotę stanowiska zajmowanego przez Amerykę w krwawej wojnie Rosji z niemieckim okupantem.

Na wieczornym przyjęciu, zorganizowanym przez burmistrza Chicago, uroczyście wręczono mi piękny dyplom i złotą odznakę „Wyjątkowo zasłużony człowiek USA”[4], którą ustanowiono w tym właśnie mieście. W sali znajdowała się doborowa publiczność: kobiety w odkrytych sukniach wieczorowych i mężczyźni w smokingach. Z pewnością moja bluza wojskowa w barwach ochronnych, przyozdobiona tylko orderem Lenina, medalem „Za zasługi bojowe”, odznakami „Gwardia” i „Snajper”, które lśniły białą i czerwoną emalią, wyglądała tutaj wyjątkowo skromnie. Jednak takie było życzenie organizatorów i dostosowałam się do niego. Wiele osób mówiło o radziecko-amerykańskiej współpracy na wojnie i o konieczności utworzenia drugiego frontu w Europie. „Dobrze byłoby wcielić to w życie” – myślałam. Na mój temat wypowiedziano dużo miłych słów, a ja wiedziałam, jak odpowiadać: z uśmiechem, spokojnie, niewzruszenie, lecz bez wyniosłości.

Trudno było jednak zachować niewzruszoną postawę… William Patrick Johnson pojawił się, by tak rzec, niespodziewanie – pod koniec tej patetycznej imprezy. Nie od razu wyłowiłam go z tłumu pozostałych mężczyzn: taki sam smoking, biała koszula, muszka, ciemne włosy z przedziałkiem na boku, standardowy amerykański wyraz twarzy: „wszyst-

ko u mnie w porządku, jestem szczęśliwy” – i wyuczony uśmiech lwa salonowego.

– Jak się pan tutaj znalazł? – zaledwie tyle zdołałam z siebie wydusić w odpowiedzi na jego barwną frazę powitalną.

– Och, to było łatwe, pani Pawliczenko – odpowiedział z żalem w głosie. – Jechałem za wami samochodem od Detroit. Niestety do siedziby fabryki Henry’ego Forda mnie nie wpuszczono – panują tam wyjątkowo rygorystyczne zasady dotyczące ochrony.

– A tu jest mniej surowa?

– Tutaj to inna sprawa. Nieopodal East Chicago[5] znajduje się fabryka metalurgiczna, której 30 procent akcji należy do mnie. Wystarczyło porozmawiać z zarządzającym i oto jestem…

– Niech pan posłucha, panie Williamie – przerwałam temu dziwnemu człowiekowi, który, jak sądzę, prześladował mnie całkowicie rozmyślnie. – Ma pan tak dużo czasu wolnego?

– Czasu nie mam wcale – westchnął Johnson. – Proszę mnie zrozumieć, jestem wdowcem. Moja żona, młoda i piękna kobieta, zmarła półtora roku temu na nowotwór mózgu. Przeczytałem w gazecie, że pani mąż również nie żyje, gdyż zginął w walce pod Sewastopolem.

– Tak, zginął.

– Właśnie dlatego chciałbym prosić panią o rękę.

– Pan zwariował! – odpowiedziałam gwałtownie, chociaż starałam się zachować wcześniejszy, życzliwy wyraz twarzy.

– Pani Pawliczenko, zakochałem się w pani, jak tylko ujrzałem panią na wiecu w Central Parku w Nowym Jorku. Jest pani kobietą niezwykłą, nie mogę się pani oprzeć. Serce mi podpowiada, że jest pani dla mnie stworzona …

– To nie miejsce na takie rozmowy.

– Oczywiście, że nie – ucieszył się właściciel kompanii metalurgicznej. – Proszę powiedzieć zatem, gdzie moglibyśmy

się spotkać?

Przyjęcie miało się ku końcowi i goście zaczęli opuszczać salę. Kłaniali się sobie, wymieniali uprzejmości i mało kto zwracał uwagę na moją rozmowę z Williamem Patrickiem Johnsonem. Tylko Eleanor nie spuszczała ze mnie wzroku. Od razu domyśliła się, że jest mi potrzebna pomoc. Górując wzrostem ponad tłumem ludzi, pierwsza dama zdecydowanym krokiem pomaszerowała w naszym kierunku. Widok żony prezydenta nie ucieszył milionera, który niezwłocznie zrobił krok do tyłu, ukłonił się i odszedł bez oglądania się za siebie.

Nieco poruszona streściłam naszą rozmowę pani Roosevelt, która obiecała, że zasięgnie o Johnsonie języka. Oprócz tego postanowiła zapoznać mnie z pułkownikiem Stevenem Douglasem z bazy wojennej Fort Knox i przewodniczącym Chicagowskiego Związku Strzelców Wyborowych, panem McCormickiem, którzy zaprosili mnie następnego dnia na spotkanie z członkami związku do swojego klubu strzeleckiego. Przystałam na tę propozycję.

W trakcie pobytu naszej komsomolskiej delegacji młodzieżowej w USA niektórzy miejscowi dziennikarze wielokrotnie próbowali zweryfikować swoją hipotezę, jakoby przebiegli bolszewicy przysłali tutaj nie snajperów, lecz specjalnie przygotowanych propagandzistów-agitatorów, którzy wcale nie byli na froncie. W tym celu narzucali delegatom odbywanie wizyt w jednostkach wojskowych i klubach oficerskich, gdzie znajdowała się ręczna broń palna, by w rezultacie udać się później na strzelnicę i strzelać do celu. Dlatego też wcale się nie zdziwiłam, zobaczywszy na spotkaniu Chicagowskiego Związku Strzelców Wyborowych energicznego młodego człowieka z notesem i dwóch szacownych mężczyzn z aparatami fotograficznymi.

Z drugiej strony, sama chciałam zobaczyć amerykańską broń snajperską i taka możliwość się nadarzyła. Najpierw wzięłam w dłonie karabin samopowtarzalny M1 Garand, a następnie karabin powtarzalny Springfield M1903. Obydwa wyposażone były w celowniki optyczne Weaver.

Z przyzwyczajenia przesunęłam palcami po zamku, lufie z muszką, obejrzałam mechanizm spustu i mocowanie magazynka z nabojami. Garand bardzo przypominał nasz SWT-40, którego mechanizm działania oparty jest na odprowadzaniu gazów prochowych do specjalnej komory w czasie wystrzału. Springfield ze swoim zamkiem ślizgowo-obrotowym przywoływał na myśl „triochliniejkę" Mosina. Oprócz tego, dzięki nieautomatycznemu bezpiecznikowi, przypominał niemiecki wojskowy karabinek Mauser Kar98k, który również dobrze znałam.

Amerykanie bacznie obserwowali moje działania. Wersja o ślicznotce, która pierwszy raz na oczy zobaczyła karabin, upadła natychmiast. Uśmiechnęli się. Z pomocą tłumacza wytłumaczyłam sojusznikom, w czym ich broń jest podobna do wyrobów radzieckich, a czym się od nich różni. W rzeczywistości wygłosiłam im krótką prelekcję, jakby byli nowymi żołnierzami w moim plutonie, którzy przybyli z lądu do Sewastopola. Członkowie Związku Strzeleckiego słuchali mnie z uwagą, jednak reporter z notatnikiem szybko stracił zainteresowanie naszym spotkaniem, ponieważ nie mógł liczyć ani na zdemaskowanie mnie, ani na żadną sensację.

Ze składu broni udaliśmy się na strzelnicę. Nie da się ukryć, że ogarnął mnie niepokój. Nie miałam w rękach karabinu snajperskiego już od półtora miesiąca, a prawdziwy profesjonalista powinien trenować co najmniej dwa razy w tygodniu. Nie za bardzo też wierzyłam w jakość amerykańskich wyrobów. Okazały się one jednak porządne, a strzelnica była wyposażona po prostu świetnie. Strzelanie

do tarczy jak zwykle sprawiało mi przyjemność i prawie wszystkie kule trafiły w „dziesiątkę”.

Ze strzelnicy zgodną i wesołą gromadą udaliśmy się do sali, gdzie czekał nas nieduży poczęstunek. Na stołach królowały mocne napoje alkoholowe: gin, whisky i brandy – jakkolwiek by patrzeć, stowarzyszenie zrzeszało w większości byłych żołnierzy i oficerów armii USA. Wielu z nich brało udział w I wojnie światowej, gdzie służyli jako snajperzy, jednak nie można powiedzieć, by pili oni dużo. Jedna porcja wynosiła 40 mililitrów. Zgodziłam się wypić z nimi dwa razy: za współpracę wojskową i za otwarcie drugiego frontu. Rozmowy stały się bardziej otwarte i bezpośrednie: weterani chętnie dzielili się wspomnieniami, ciekawymi historiami o swojej broni, metodach kamuflażu, pojedynkach z wrogiem itp.

Pod koniec wizyty czekała mnie przyjemna niespodzianka: przewodniczący chicagowskiego stowarzyszenia, pan McCormick, przy dźwiękach gromkich oklasków wręczył mi upominek – pistolet Colt M1911 w skrzyneczce z czerwonego drewna, w której umieszczono różne akcesoria i dwa magazynki z nabojami. Na pokrywie znajdowała się srebrna płytka z pamiątkowym napisem. Nie mogłam się powstrzymać i od razu wzięłam broń do ręki. Potężny pistolet kalibru 11,43 mm bardzo mi się spodobał. Wynalazcą tego pistoletu był znany na całym świecie genialny inżynier rusznikarz John Moses Browning, z którym firma Colt podpisała kontrakt. W 1912 roku pistolet znalazł się w wyposażeniu armii USA. Rosja, podobnie jak wiele innych krajów europejskich, kupowała go, lecz ja osobiście nigdy nie widziałam coltów u naszych wojskowych.

Wróciwszy do swojego hotelu, rozebrałam podarunek na części składowe, żeby lepiej się zaznajomić z jego budową. Od tej czynności odciągnęło mnie pojawienie się Eleanor,

tak więc pistolet należało ponownie złożyć i umieścić w skrzyneczce. W tym czasie pierwsza dama zamówiła obiad do pokoju, gdyż po moim wystąpieniu w Grand Parku wizyta w restauracji zwykle zmieniała się w maraton rozdawania autografów, co mnie bardzo irytowało.

Podano obiad, tak więc usiadłyśmy przy stole. Pani Roosevelt spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Moja droga, mam dla pani dobrą wiadomość.

– Jaką?

– William Patrick Johnson naprawdę jest właścicielem firmy metalurgicznej i rzeczywiście owdowiał półtora roku temu. Ciężka choroba niespodziewanie doprowadziła do śmierci jego uroczą żonę.

– Co w tym dla mnie dobrego? – zapytałam.

– Może pani rozważyć jego oświadczyny.

– Mówi pani poważnie, Eleanor?

– A czemuż by i nie, moja droga? – Pierwsza dama przysunęła do siebie talerz z sałatką. – Wyjdzie pani za mąż za zamożnego człowieka, który jest w pani szaleńczo zakochany i zapewni pani komfortowe życie do końca pani dni. Zostanie pani w naszym kraju, będziemy się spotykać. Należy docenić tak nieprawdopodobną szansę, jaką daje nam kapryśny los.

– Pan Johnson mi się nie podoba.

– Dobry Boże! – wykrzyknęła małżonka prezydenta. – Widziała go pani tylko trzy razy. Mogła się pani pomylić. To bardzo miły, dobrze wychowany człowiek…

– Nie, nie mylę się! – Wstałam od stołu, wzięłam najnowszy numer lokalnej gazety „Chicago Tribune” i podałam go Eleanor. – Proszę! „Pani Pawliczenko jest zachwycona amerykańską kuchnią. Dzisiaj na śniadanie zjadła pięć dań…” Wierutne kłamstwo! Skąd oni to wzięli? Przepytywali kelnerów? A może przestudiowali rachunek w restauracji? Dla-

czego zajmują się takimi głupotami? Czuję się w waszym kraju jak bohater anegdot, przedmiot nieskrywanej ciekawości, jak jakiś dziwoląg z cyrku, na przykład kobieta z brodą. A ja jestem oficerem Armii Czerwonej. Toczyłam i nadal będę toczyć walkę o wolność i niepodległość mojej Ojczyzny!

Początek mojego monologu był zbyt emocjonalny, a nawet gniewny. W poszukiwaniu odpowiednich słów przechodziłam z języka angielskiego na rosyjski, a opamiętawszy się, powracałam do angielskiego. Pomyślałam, że pani Roosevelt się na mnie obrazi. Jednakże ona, odłożywszy na bok nóż i widelec, obserwowała mnie z czułym uśmiechem, jakim prawdopodobnie reagują dorośli na chuligańskie swawole nastolatków, których mimo wszystko kochają. Eleanor nie przerywała mi i na znak zgody kiwała głową. Zakończyłam swoją przemowę tym, że znajduję się tutaj wyłącznie na rozkaz towarzysza Stalina i wyłącznie w jego mocy jest przedłużenie pobytu podporucznika Pawliczenko w USA lub skierowanie go na front, do jednostki wojskowej prowadzącej walkę z niemiecko-faszystowskim okupantem.

– *Everything is OK, my darling*. – Mądra Eleanor wreszcie zdołała wkleić zdanie w moją gorączkową wypowiedź. – *Please in the meanwhile forget about Mister Johnson. Tomorrow we will fly to Los Angeles…*[6]

Los Angeles, czyli Miasto Aniołów, znajdujące się w stanie Kalifornia, jak wszystkie południowe miasta było gęsto zaludnione, hałaśliwe i różnorodne. Leżało nad brzegiem Oceanu Spokojnego w dolinie, z jednej strony otoczonej górami. Prawie nie było tutaj widać jesieni, która pokazała się już na Środkowym Zachodzie USA. Rano słońce zalewało ulice jaskrawym światłem, a w południe robiło się nieznośnie upalnie. Wieczór przynosił lekki chłodek do dzielnic ze strzelistymi wieżowcami i do maleńkich domków znajdują-

cych się na peryferiach – wszyscy mieszkańcy Miasta Aniołów jednakowo rozkoszowali się cudownym widokiem zachodzącego słońca nad bezkresnym oceanem.

Spośród wielu obowiązkowych spotkań i przemówień nie wyróżniłabym ani jednego naprawdę niezapomnianego i ciekawego, jeśli nie liczyć wycieczki do Beverly Hills, miasta znajdującego się w pobliżu Los Angeles. Znajdowały się tam wille gwiazd hollywoodzkich: aktorów, reżyserów, operatorów filmowych i producentów. Pracownicy radzieckiego konsulatu bez uprzedzenia zawieźli nas pod dom Charliego Spencera Chaplina i w ten sposób poznałam tego genialnego człowieka, humanistę i wielkiego przyjaciela Związku Radzieckiego.

Chaplin osobiście otworzył drzwi i prawie wciągnął mnie do salonu, w którym zebrali się jego współpracownicy i przyjaciele. Poznałam aktora Douglasa Fairbanksa[7], odtwórcę głównej roli w moim ulubionym filmie *Znak Zorro*, i nieco podstarzałą, ale wciąż atrakcyjną aktorkę Mary Pickford. Pozostali goście, prawdopodobnie nie mniej sławni, przyglądali mi się z bezceremonialną ciekawością, właściwą zwykłym śmiertelnikom.

Chaplin usadził mnie na kanapie, a następnie zrobił cyrkową sztuczkę: stanął na rękach i ruszył w kierunku kosza z butelkami wina, wrócił również na rękach, trzymając butelkę szampana… w zębach. Butelkę odkorkowano, napełniono kieliszki i wielki artysta, stanąwszy na nogi na podłodze obok mnie, wzniósł toast za szybkie otwarcie drugiego frontu w Europie.

Następnie cała grupa artystów przeniosła się z pokoju gościnnego do niedużej sali kinowej, gdzie Chaplin zaprezentował wszystkim swój nowy film *Dyktator*, w którym zabawnie sparodiował Hitlera. Po projekcji udaliśmy się na kolację. Wielki artysta i reżyser posadził mnie obok siebie i za-

czął wypytywać o wrażenia z filmu. Powiedziałam, że film mi się spodobał, niemniej jednak faszyzm jest nadal bardziej straszny niż śmieszny. Po prostu ludzie w Europie i Ameryce jeszcze nie wiedzą o wszystkich bestialskich zbrodniach popełnionych przez nazistów.

Charlie Chaplin odegrał dużą rolę w działalności organizacji charytatywnej „Russian War Relief", pomagając w zbiórce znacznych sum pieniędzy dla ludzi z naszego kraju, na zaopatrzenie Armii Czerwonej w sprzęt i uzbrojenie. Rozmowa z nim była rzeczowa. Miał świadomość tego, co dzieje się na froncie radziecko-niemieckim i prosił mnie, abym szczegółowo opowiedziała mu o obronie Odessy i Sewastopola, a także o służbie snajperskiej. Spotkanie zakończyło się dla mnie nader nieoczekiwanie. Klęknąwszy na jedno kolano, Chaplin obwieścił, że jest gotów pocałować każdy paluszek mojej dłoni za tych 309 fryców, którzy padli na radzieckiej ziemi. Ogromnie się zmieszałam, kiedy zrobił, co zapowiedział. Naturalnie reporterzy niezmiernie się ucieszyli i aparaty fotograficzne poszły w ruch, a w amerykańskich gazetach pojawiło się zdjęcie z komentarzem: „Charlie Chaplin na kolanach całuje w rękę rosyjską kobietę-oficera".

Nadszedł 19 października 1942 roku. Członkowie delegacji studenckiej ponownie zebrali się w budynku Ambasady ZSRR w Waszyngtonie. Litwinow wysłuchał naszego sprawozdania z podróży po kraju. Żartował, uśmiechał się, sypał komplementami. Według niego udało nam się dokonać prawie niemożliwego. Opinia publiczna w USA stopniowo stawała się przychylna Związkowi Radzieckiemu. Pod wpływem spotkań z dziarskimi, wesołymi ludźmi, a w szczególności z ładną dziewczyną, ubraną w zwykłą bluzę wojskową, dziwaczne wymysły „wolnej prasy" o mieszkańcach i życiu w Związku Radzieckim legły w gruzach.

Usiedliśmy przed ambasadorem i w milczeniu słuchaliśmy jego obszernego wywodu. Czekaliśmy na najważniejszą informację: kiedy i w jaki sposób zostaniemy odesłani do Moskwy. Litwinienko jednak unikał tego tematu, chociaż oczywiście wiedział, że delegaci Światowego Zgromadzenia Studentów mają już po dziurki w nosie życia na pokaz. Mamy dość amerykańskiej gościnności, amerykańskiej kuchni, absolutnie niepodobnej do tradycyjnego jedzenia w Rosji, natrętnych i uporczywych pytań o rzeczy, które rozumie w naszym kraju każde dziecko.

W końcu Maksim Maksimowicz obwieścił nam najnowszą dyrektywę, którą otrzymał z Kremla – podróże mają trwać nadal: mamy odwiedzić Kanadę, a następnie polecieć do Wielkiej Brytanii. Misja w Waszyngtonie płynnie przechodziła w misję w Londynie. Wstaliśmy i w posępnym nastroju skierowaliśmy się do drzwi. Ambasador miał jeszcze do mnie osobiste pytanie i poprosił, abym została w jego gabinecie.

– Czy podróże z Eleanor Roosevelt przebiegły należycie? – zapytał Litwinow.

– Tak, bardzo dobrze.

– A co może pani powiedzieć na temat Williama Patricka Johnsona?

– Skąd pan o nim wie? – nie mogłam ukryć swego zdziwienia.

– Proszę przeczytać. – Ambasador podniósł ze swojego stołu kartkę papieru, po czym wręczył mi ją.

Bezprzecznie, wniosek pana Johnsona, skierowany do Ambasady Związku Radzieckiego w USA, wyglądał poważnie. Napisany na herbowym papierze, poświadczony przez notariusza i zarejestrowany w jego kancelarii pod trzyznakowym numerem, głosił, że właściciel kompanii metalurgicznej „Johnson & Sons”, posiadacz pięciu milionów na ra-

chunku w Bank of America i innych aktywów majątku ruchomego i nieruchomego w stanie Illinois i Nowy Jork, wdowiec William Patrick Johnson prosi rząd Związku Radzieckiego o pozwolenie na ślub z obywatelką ZSRR, podporucznikiem Armii Czerwonej, Ludmiłą Michajłowną Pawliczenko i zalegalizowanie tego ślubu zgodnie ze wszystkimi przepisami prawnymi obowiązującymi obecnie w ZSRR.

Nie sądzę, żeby William Patrick Johnson rozumiał, jakie konsekwencje może mieć dla mnie wysłane do ambasady pismo. Przypuszczam, że ktoś (całkiem prawdopodobne, że sama Eleanor Roosevelt) poradził mu, by zwrócił się bezpośrednio do rządu Związku Radzieckiego. Wszystko to świadczy o naiwności Amerykanów, ich bezgranicznej pewności siebie i niedorzecznych wyobrażeniach na temat kraju, który leży poza granicami ich kontynentu.

Położyłam podanie i dołączone do niego tłumaczenie na język rosyjski na stole ambasadora i spokojnie rzekłam:

– Cóż, on jest szalony.

– Jest pani pewna? – Litwinienko zadał pytanie surowym tonem.

– Oczywiście.

– W takim razie proszę napisać odpowiedź.

– Jaką? Komu? – zdziwiłam się.

– Pismo pana Johnsona przyszło pocztą i zostało zarejestrowane w kancelarii ambasady. Musimy nie tylko zdać sprawozdanie na ten temat Ludowemu Komisariatowi Spraw Zagranicznych, lecz także udzielić oficjalnej odpowiedzi wnioskodawcy, również na blankiecie naszej ambasady, a następnie wysłać ją pod wskazany na kopercie adres. Proszę sporządzić swoje pismo po rosyjsku, nasz tłumacz je przetłumaczy.

– Nie mogę tak z biegu wymyślić, bardzo to wszystko nieoczekiwane.

– Najłatwiej – Litwinow patrzył na mnie z wielkim współczuciem – powiedzieć o narzeczonym, który jakoby czeka na panią w Rosji…

Tymczasem opóźniał się wyjazd delegacji radzieckiej do Wielkiej Brytanii. Anglicy, wielcy miłośnicy biurokratycznej kazuistyki, to określali jej status (dyplomatyczny?, wojenny?, społeczny?), to pertraktowali o samolocie (samolot pasażerski czy bombowiec?), to znów czekali na odpowiednią pogodę, która pod koniec października bywa zmienna.

Pani Roosevelt była na bieżąco z tymi przygotowaniami. Gdy uzgodniono datę na 1 listopada 1942 roku, zaprosiła nas na pożegnalną kolację do Białego Domu. Tam pierwsza dama wręczyła upominki każdemu z nas: swoją wielką fotografię w czarnej sukni wieczorowej na tle portretu prezydenta, z dedykacją w prawym górnym rogu. Oprócz fotografii dostaliśmy kolorowe albumy ze zdjęciami Waszyngtonu i Nowego Jorku, książki oraz pudełeczka z pamiątkami w różnym kształcie i rozmiarze. Ja otrzymałam o jedno pudełko więcej. Eleanor z uśmiechem powiedziała, że to amerykańscy dżentelmeni, oczarowani moją powierzchownością, postanowili wręczyć mi jakąś sztuczną biżuterię. Nikomu z nas nie przyszło do głowy, aby otwierać pudełka przy stole w czasie kolacji, tak więc służba spakowała je do papierowych toreb i odniosła do samochodu.

Prezenty zaczęłam oglądać dopiero w swoim pokoju. Z ciekawością otworzyłam jako pierwsze oklejone kolorową tkaniną pudełeczko. Znajdowały się w nim przepiękne brylantowe wyroby, oprawione w złoto: kolia, dwie bransoletki, brosza i sygnet. Dołączony był też rachunek ze sklepu jubilerskiego, opiewający na sumę ośmiu tysięcy dolarów, gdyż w czasie odprawy celnej możliwe są różnego rodzaju pytania. Pod kolią znalazłam niewielką fotografię przedstawiającą Williama Patricka. Na odwrocie napisał: *„My darling, we*

will meet! To Luidmila with great love from W. P. Johnson”[8].

Nigdy więcej nie zobaczyłam jednak pana Johnsona. Jego nadzwyczajny prezent przywiozłam do Moskwy i głęboko schowałam. W naszej stolicy i w innych miastach świata zdarzało mi się bywać na uroczystych przyjęciach, mieć na sobie piękne suknie wieczorowe, do których w pełni pasowałyby te brylantowe ozdoby, lecz nigdy ich nie założyłam i nikomu nie pokazałam. Przechowywałam je w domu jako pamiątkę z podróży do USA i po amerykańskim mężczyźnie, w którego sercu narodziło się dziwne, niewytłumaczalne uczucie.

Zupełnie inaczej potoczyła się moja znajomość z Eleanor Roosevelt. W listopadzie 1942 roku[9] spotkałyśmy się ponownie w Anglii. Przyleciała na Pierwszy Ogólnoświatowy Kongres Młodzieży, na którym obecna była również nasza delegacja studencka. Niewiele czasu upłynęło od zwycięstwa nad faszystowskimi Niemcami, kiedy zdeklarowany i zajadły wróg Rosji Radzieckiej – premier Zjednoczonego Królestwa Winston Leonard Spencer Churchill – rozpoczął „zimną wojnę”. Ani prezydent USA Franklin Delano Roosevelt, który zmarł w kwietniu 1945 roku, ani jego małżonka nie byli w to zamieszani. Eleanor straciła znaczący wpływ na politykę, lecz, reprezentując poglądy demokratyczne, kontynuowała działalność społeczną i dobroczynną.

Korespondowałyśmy ze sobą, opowiadając sobie w naszych listach o rodzinie, wymieniałyśmy opinie na temat nowinek literackich i umawiałyśmy się na spotkania na poświęconych walce o pokój kongresach międzynarodowych. Na moje zaproszenie pani Roosevelt odwiedziła nasz kraj dwukrotnie: w 1957 i w 1958 roku. Wiele czasu spędziłyśmy w Moskwie, razem pojechałyśmy do Leningradu, gdzie bywałyśmy na spektaklach teatralnych, zwiedziłyśmy Ermi-

taż i Państwowe Muzeum Rosyjskie, Peterhof, Gatczynę i Carskie Sioło. Eleanor czyniła starania, abym przyjechała z rewizytą do USA, jednak Departament Stanu (widocznie przypomniawszy sobie moje płomienne wystąpienia na wiecach w 1942 roku) nie wydał na to pozwolenia.

Oto jeden z listów pani Roosevelt:

„November 4, 1957.

My dear Ludmila,

I was very glad to get your letter and I want to thank you warmly for the photographs.

You were good of sending me the photographs and I am happy to have them as a souvenir of our most pleasant reunion in Moscow.

Since my return I have spoken often of your warm welcome and the kindness you showed me. Trude and Joe Lash were delighted to hear we had met and they join me in sending you many warm messages.

I hope you will be able to visit us here soon again.

With deep appreciation and my good wishes,

Very cordially yours, Eleanor Roosevelt”.

„4 listopada 1957 roku.

Moja droga Ludmiło!

Bardzo ucieszyłam się z Pani listu i chciałabym serdecznie podziękować za fotografie. Cieszę się, że mi je Pani przysłała i jestem szczęśliwa, mając taką pamiątkę z naszego miłego spotkania w Moskwie.

Od mojego powrotu często mówiłam o Pani serdecznym przyjęciu i uprzejmości, jaką mi Pani okazywała. Trude i Joe Lash[10] byli zachwyceni, słysząc o naszym spotkaniu. Dołączają się do moich ciepłych życzeń.

Mam nadzieję, że wkrótce uda się Pani ponownie nas odwiedzić.

Łączę wyrazy głębokiej wdzięczności i najlepsze życzenia.

Przesyłam serdeczności, Eleanor Roosevelt”[11].

Przypisy

[1] *My darling* – moja ukochana, moja droga, kochanie, skarbie.

[2] W rzeczywistości były to samoloty trzysilnikowe – przyp. tłum.

[3] Niech się pani obudzi, moja droga. Jesteśmy w Chicago…

[4] Nagroda znajduje się obecnie w Centralnym Muzeum Sił Zbrojnych w Moskwie, zespół nr 2/3776 – przyp. red. ros.

[5] Chodzi tu zapewne o East Chicago Street Historic District – dystrykt znajdujący się w mieście Cold Water w stanie Michigan – przyp. tłum.

[6] Wszystko w porządku, moja droga. Niech pani tymczasem zapomni o panu Johnsonie. Jutro lecimy do Los Angeles.

[7] Takie spotkanie nie było możliwe, ponieważ Douglas Fairbanks zmarł w 1939 roku – przyp. tłum.

[8] Moja droga, jeszcze się spotkamy! Dla Ludmiły z wielką miłością W. P. Johnson. Zachowano oryginalną formę imienia adresatki – przyp. tłum.

[9] Oczywista pomyłka. Kongres odbył się w listopadzie 1945 roku w Londynie – przyp. tłum.

[10] Gertrude Pratt i Joe Lash – funkcjonariusze „Międzynarodowej Służby Studenckiej”.

[11] List znajduje się w Centralnym Muzeum Sił Zbrojnych w Moskwie, zespół nr 4/3761/15-38.

Rozdział 17

„TOWARZYSZ STALIN WYDAŁ NAM ROZKAZ…”

O zmroku czterosilnikowy bombowiec B-24 Liberator[1] („Wyzwoliciel”) wyglądał jak ogromna ryba wyrzucona na brzeg. Z powodu trzech osadzonych na zbyt krótkich podparciach podwozi sprawiał wrażenie, że leży swym opasłym brzuchem na ziemi. Jedno podwozie osadzone było pod przednim kadłubem, a dwa pozostałe pod skrzydłami, które osiągały długość ponad 30 metrów. Oszklony dziób z lufami karabinów maszynowych rzeczywiście dodawał samolotowi groźnego, drapieżnego wyglądu. Karabiny znajdowały się także na górze – tuż za kabiną pilota i nawigatora.

Jednakże bombowiec nie przygotowywał się teraz do lotu bojowego. Na wózku, podwiezionym przez mechaników lotniczych do wielotonowego skrzydlatego kolosa, nie leżały bomby, tylko walizki, skrzynki i kosze. To był nasz majątek, na który składały się głównie prezenty od sojuszników. Takim oto sposobem liczba miejsc zwiększyła się dwukrotnie. Żołnierze sprawnie wrzucili rzeczy do otwartego luku bombowca, po czym właz się zamknął.

Członkowie radzieckiej delegacji studenckiej, ubrani jak lotnicy w futrzane kombinezony, rękawice, unty – wysokie buty futrzane – i lotnicze hełmofony, wraz z załogą weszli do samolotu po aluminiowych schodkach, lecz nie usadowili się w kabinie, tylko w komorze bombowej, połączonej z bojową. Nie zadbano tam o komfort pasażerów, ponieważ zamiast foteli wzdłuż burty samolotu stały dosyć wąskie, twarde ławki, na których siedziało się niewygodnie, nie mówiąc już o leżeniu. Iluminatorów także nie było… Słabe

światło dawało zaledwie kilka elektrycznych żarówek pod sufitem.

W takim mrocznym, nieogrzewanym pomieszczeniu mieliśmy spędzić prawie 12 godzin w nocy z 4 na 5 stycznia 1943 roku, ponieważ tyle zwykle trwał przelot Liberatora z brytyjskiej bazy RAF w Glasgow do portu lotniczego Moskwa-Wnukowo. Bombowce latały tą trasą od października 1942 roku; przebiegała ona od północnej Szkocji przez Morze Północne, cieśninę Skagerrak, zachodnią część Szwecji i Morze Bałtyckie bez międzylądowania. Istniało pewne niebezpieczeństwo na odcinku Leningrad–Moskwa nad pasem przyfrontowym, jednakże bombowiec przelatywał nad frontem nocą na wysokości ponad dziewięciu tysięcy metrów i z prędkością prawie 300 kilometrów na godzinę.

Niemieckie niszczyciele nie mogły się wznieść tak wysoko. Ciężka maszyna konstrukcji amerykańskiej firmy Consolidated, przed II wojną światową mająca zasięg lotu 4560 kilometrów, okazała się machiną nader udaną i pożyteczną.

Załoga odpalała silniki jeden po drugim. W końcu ryknęły wszystkie cztery. Samolot drgnął i potoczył się do przodu. Nabierał prędkości i wszystkie silniki pracowały bardzo głośno. Dosyć długi rozpęd po pasie startowym zakończył się potężnym szarpnięciem do góry – Liberator wzbił się nad lotnisko, nabierając wysokości, wykonał krąg i zajął wytyczony przez nawigatora kurs. Teraz słyszeliśmy już tylko równomierny szum pracujących silników, który uniemożliwiał prowadzenie rozmów. Ułożyliśmy się na ławkach: Krasawczenko i Pczelincew z prawej strony pokładu, a ja – z lewej.

Stopniowo na wszystkich metalowych częściach poszycia pokładowego zaczęły się pojawiać kryształki szronu. Powiększały się z każdą godziną, zmieniając pomieszczenie w sypialnię Królowej Śniegu. Mróz utrudniał oddychanie.

Przed zimnem chroniły nas jednak futrzane kombinezony i włożona bezpośrednio na ciało odpowiednia bielizna z elektrycznymi podgrzewaczami. Czasami tylko słaby prąd przebiegający wzdłuż miedzianej siatki, wszytej w podkoszulek i kalesony, lekko kłuł w skórę.

Członkowie załogi bombowca często schodzili do nas po trapie ze swojej kabiny i pytali o nasze samopoczucie. W ciągu czterech miesięcy spędzonych w USA, Kanadzie i Wielkiej Brytanii Nikołaj Krasawczenko i Władimir Pczelincew przyswoili sobie około 200 potocznych słów angielskich i udzielali im całkiem przyzwoitych odpowiedzi, ja zaś, dzięki słownikowi i podręcznikowi gramatyki poszłam jeszcze dalej i nie miałam już żadnych problemów z wysławianiem się w tym języku. W czasie ostatnich wyjazdów do brytyjskich jednostek wojskowych, w których oglądaliśmy działa artyleryjskie, samoloty, czołgi i okręty, decydowałam się nawet na wygłaszanie krótkich przemów, które naszym sojusznikom bardzo przypadły do gustu.

Wracaliśmy do Ojczyzny i oczywiście rozmyślaliśmy o wojnie. Pczelincew i ja zadawaliśmy sobie konkretne pytanie: na jaki front, do której armii, do której dywizji i do którego pułku oddelegują nas tym razem. Najpierw przypuszczaliśmy, że pojedziemy do Stalingradu. Amerykańskie i angielskie gazety pisały o wyczynach snajpera Wasilija Zajcewa, który w ciągu trzech miesięcy zlikwidował tam 225 faszystów. Pod koniec grudnia 1942 roku wojska radzieckie otoczyły niemiecką 6. Armię, rozgromiły dywizje rumuńskie i włoskie, które wraz z hitlerowcami oblegały twierdzę nad Wołgą. Pod Stalingradem bitwa zbliżała się ku końcowi i wiodła ku pełnemu zwycięstwu Armii Czerwonej nad przeciwnikiem.

Obrona Leningradu trwała jednak nadal. Władimir Pczelincew, który służył na Froncie Leningradzkim od pierwszych

dni wojny, dużo mi o niej opowiadał. W listopadzie 1941 roku zatrzymano tam natarcie niemieckie, zabrakło jednakże sił, by od razu wyprzeć wroga z kolebki Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Zaczęła się wojna pozycyjna, tak więc za pomocą niewielkich środków należało doprowadzić do poniesienia przez przeciwnika dużych strat. Pczelincew twierdził, że masowy ruch snajperski zrodził się właśnie na tych grząskich równinach nad Newą, Świrem i Wołchowem, a on – jako jeden z jego założycieli – otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego.

Z kabiny pilotów zszedł do nas mechanik Robert Brown, który przyniósł nam termos z gorącą kawą, filiżanki oraz talerz z kanapkami z serem i szynką. Rozdał jedzenie i zakomunikował, że do Moskwy dolecimy za półtorej godziny oraz że został już nadany radiotelegram na lotnisko Wnukowo, gdzie będą na nas czekały nasze rodziny.

Oto i ogromne, zasypane śniegiem rosyjskie pole, rozciągające się do ząbkowanego pasa leśnego siniejącego na horyzoncie. Z budynków po lewej stronie w kierunku bombowca, który zatrzymał się na samym skraju pasa startowego, podbiegli ludzie. Zobaczyłam żonę Pczelincewa, Ritę, i moją drogą matuchnę, Jelenę Trofimowną. Uścisnęłyśmy się i trzykrotnie pocałowałyśmy. Stojąc na płycie lotniska, długo przytulałyśmy się do siebie. Mama z płaczem powiedziała:

– Chwała Bogu, chwała Bogu, córeczko moja najdroższa! Wyjechałaś na miesiąc, a wróciłaś po czterech…

W pokoju akademika Ludowego Komisariatu Obrony od razu zrobiło się ciasno. Walizki należało przesunąć w kierunku jedynej pustej ściany i stopniowo wyjmować z nich rzeczy. Wielkie i ciężkie futro z jenota udało mi się mimo wszystko zmieścić w szafie, a gładkolufową strzelbę wojskową Winchester M1897 Trench Gun, którą podarowali mi ka-

nadyjscy robotnicy pracujący w fabryce broni w Toronto, powiesiłam na wbitym w ściankę szafy gwoździu. Natomiast z ustawionych na stole porcelanowych talerzyków (to także był prezent) apetycznie spoglądało jedzenie z polowego angielskiego przydziału oficerskiego, w które zaopatrzono nas w bazie wojennej w Glasgow: ser, szynka, konserwy rybne, czekolada, herbatniki. Do tego obrazu martwej natury dodałam butelkę szkockiej whisky „White Horse” – już nie pamiętam, kto i kiedy wręczył mi tę półlitrową, szklaną butelkę z żółtą etykietką.

Tego dnia moje rozmowy z matką nie miały końca. Opisywałam jej, jak serdecznie powitali nas Amerykanie i Brytyjczycy, jak oklaskiwali mnie na spotkaniach, jak przekazywali pieniądze na fundusz Armii Czerwonej, jak Światowe Zgromadzenie Studentów przyjęło antyfaszystowskie „Memorandum Słowiańskie”, jak rodzina prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta zaprosiła delegację radzieckich studentów na tydzień w gości do swej posiadłości rodowej w Hyde Parku i jak sławny aktor i reżyser Charlie Chaplin poprosił mnie o przekazanie pozdrowień narodowi radzieckiemu.

Mamę, która uczyła języków obcych, interesowały przywiezione przez mnie zagraniczne gazety. Omawiałyśmy różnice między brytyjską a amerykańską odmianą języka angielskiego. Mama zaznaczała jakieś słowa w artykułach i prosiła mnie o ich przetłumaczenie. Wszystko to było dla niej przydatne, ponieważ nigdy nie wyjeżdżała za granicę.

Nasza podróż nie mogła zostać uznana za zakończoną, dopóki nie złożyliśmy z niej raportu, na którego przygotowanie dostaliśmy tydzień. Aby się nie rozpraszać, o niczym nie zapomnieć i niczego nie pomylić, nawet nie wychodziłam z domu. Napisałam około 30 stron, dużo wykreślałam, uzupełniałam i poprawiałam. W sprawozdaniu należało przed-

stawić najważniejsze zdarzenia i trzeba było to zrobić nie tylko dokładnie, ale i konsekwentnie pod względem politycznym.

Delegacja studentów przedstawiła swoje raporty najpierw na posiedzeniu Sekretariatu Komitetu Centralnego Komsomołu, potem w Głównym Zarządzie Politycznym RKKA, a następnie, 20 stycznia 1943 roku, na zebraniu Młodzieżowego Komitetu Radzieckiego Biura Informacyjnego. Stenogram z tej narady posłużył jako materiał do obszernej audycji radiowej, w rezultacie czego miliony mieszkańców Związku Radzieckiego dowiedziały się o podróży do kapitalistycznego świata trojga komsomolców, prowadzących kampanię na rzecz niezwłocznego utworzenia drugiego frontu w Europie Zachodniej.

Z mojego raportu wykorzystano kilka fragmentów: „Jechaliśmy do Stanów Zjednoczonych Ameryki przez Astrachań, Baku, Teheran, Kair oraz Brazylię i po drodze spotykaliśmy się z ludźmi różnych narodowości i o różnych kolorach skóry. Na początku nikt nie wiedział, że jesteśmy delegacją radziecką, ale kiedy zorientowali się, że jesteśmy ze Związku Radzieckiego, ich stosunek natychmiast zmieniał się na życzliwy, wprost idealny…

Z Miami pociągiem dotarliśmy do Waszyngtonu i z dworca udaliśmy się do Białego Domu, gdzie zostaliśmy przyjęci przez żonę prezydenta Stanów Zjednoczonych, Eleanor Roosevelt. Zjedliśmy razem śniadanie, a następnie udaliśmy się na pierwszą konferencję prasową do ambasady Związku Radzieckiego. Należy od razu wspomnieć, że pani Roosevelt poświęcała nam dużo uwagi. Idąc za jej przykładem, inni amerykańscy urzędnicy również odnosili się do nas przyjaźnie i życzliwie…

Często braliśmy udział w konferencjach prasowych i udzielaliśmy odpowiedzi na najprzeróżniejsze pytania prasy ame-

rykańskiej. Amerykanie cenią sobie informacje i uwielbiają różnego rodzaju nowiny, jednakże na konferencjach prasowych dziennikarze rzadko pytali o działania wojenne – woleli dowiedzieć się więcej o nas samych i o warunkach bytowych panujących na froncie. Ogólne zdziwienie wywołał fakt, że nasi żołnierze żyją w okopach. Amerykanie, egzystujący w warunkach pokoju, nie zdawali sobie sprawy z tego, jak wygląda współczesna wojna. Jeszcze nigdy żadna bomba nie wybuchła na ich terytorium. Pewnego razu, gdy burmistrz Nowego Jorku ogłosił ćwiczebny alarm powietrzny, to na następny dzień w gazetach napisali, że na zawał serca zmarło pięć osób…

Ameryka sama w sobie to z jednej strony kraj dobrobytu, a z drugiej – ubóstwa. Murzyni są bardzo biedni: bywaliśmy w murzyńskich dzielnicach, gdzie nie zapewniono podstawowych warunków do życia. Zadziwiała nas także segregacja rasowa: w pociągach były specjalne wagony – jedne przeznaczone wyłącznie dla białych, a inne – dla czarnoskórych”.

Nie wiadomo, jak słuchacze radia przyjęli nasze opowieści, zwierzchnictwo natomiast wystawiło ocenę za działalność naszej delegacji poza granicami kraju. Krasawczenko i Pczelincew uzyskali zwykłą pochwałę „dobrze”, za to mnie oświadczono, że kierownictwo jest ze mnie szczególnie zadowolone i że zasłużyłam na ocenę „bardzo dobrą”.

Następnie oznajmiono nam, że delegacja zostaje rozwiązana. Nikołaj Krasawczenko wrócił do pracy w Moskiewskim Komitecie Miejskim Komsomołu. Władimir Pczelincew wkrótce poszedł na front, gdzie prowadził mężne starcia i likwidował nieprzyjacielskich żołnierzy oraz oficerów za pomocą karabinu snajperskiego – pod koniec wojny na swoim koncie miał 450 zabitych wrogów. Ja również przygotowywałam się do wyjazdu z Moskwy, ponieważ 32. Gwardyj-

ska Dywizja Powietrznodesantowa, w której wciąż byłam dowódcą plutonu snajperskiego, została skierowana na Front Południowo-Zachodni.

Jednak wszystko potoczyło się inaczej. Pod koniec stycznia zaproszono mnie do oddziału operacyjnego dywizji, gdzie długo rozmawiałam z bardzo uprzejmym człowiekiem w bluzie wojskowej z kapitańskimi patkami w kolorze jasnoniebieskim. Jego pytania dotyczyły rożnych szczegółów z mojego życia: znajomości języków obcych, uczestnictwa w walkach na froncie pod Odessą i Sewastopolem, wyjazdu do USA, Kanady i Wielkiej Brytanii oraz spotkania z Eleanor Roosevelt. Ponadto wypełniłam pięciostronicowy kwestionariusz, w którym miałam zamieścić rożne informacje nie tylko o sobie, ale również o moich rodzicach, synu, mężu i innych krewnych (nawet to, jak żyli, czym się zajmowali i gdzie są pochowani). Kapitan powiedział, że zostałam przeniesiona z 32. Dywizji do dyspozycji Rezerwy Stawki RKKA, to znaczy, że na front na razie nie pojadę.

– Ale dlaczego, towarzyszu kapitanie? – Podniosłam głos.

– Prawdopodobnie znajdziemy dla pani inne zajęcie, które będzie bardziej dostosowane do pani niezwykłych zdolności.

– Jestem snajperem![2]

– Przede wszystkim jest pani oficerem i złożyła pani przysięgę…

O zdolnościach powiedział nie bez przyczyny. Na rozkaz Głównego Zarządu Kadr Ludowego Komisariatu Obrony ZSSR nr 0281 z dnia 3 czerwca 1943 roku przyznano mi kolejny stopień – porucznika. Nie będę już przytwierdzała do malinowych patek na kołnierzu dwóch rubinowych kwadratów, tylko dwie gwiazdki do naramienników bluzy wojskowej. W styczniu 1943 roku zmieniono także fason bluzy wojskowej: nowa była ze sztywnym, stojącym kołnierzykiem za-

miast wykładanego, a także z ciętymi kieszeniami na piersi w miejsce poprzednich – z klapami zamykającymi otwór kieszeni. Nie od razu udało mi się dostać mundur o nowym kroju, natomiast uroczyste naramienniki ze złotego galonu wręczono mi natychmiast.

Pewnego późnego wieczoru spędzałyśmy z mamą czas przy muzyce z radioodbiornika, który przywiozłam ze Stanów Zjednoczonych. Jakość płynącego zeń dźwięku była wprost idealna. Akurat transmitowano koncert życzeń zwycięzców, żołnierzy i oficerów Frontu Stalingradzkiego, którzy w lutym rozgromili armię niemiecką feldmarszałka Paulusa: trochę klasyki, trochę pieśni ludowych, trochę radzieckiej muzyki estradowej. Niespodziewanie usłyszałyśmy pukanie do drzwi. Do mieszkania weszło dwóch młodych oficerów NKWD, przywitali się i poprosili, abym pojechała z nimi.

Moja biedna Jelena Trofimowna, która akurat wycierała filiżanki po wieczornej herbacie, upuściła jedną z nich na podłogę. Ze strachu drżały jej ręce. Dla nikogo nie było tajemnicą, jak „organy” dokonują aresztu: ich pracownicy pojawiają się w domach nieoczekiwanie, rozmawiają uprzejmie, a swoje ofiary zabierają bez zwłoki. Włożyłam bluzę wojskową, przez ramię przerzuciłam bandolet i zaczęłam zapinać na talii pas dowódcy. Z prawej strony przymocowana była do niego ciemnobrązowa, skórzana kabura na pistolet TT. Jeśli nakażą, abym ją zdjęła i odbiorą pistolet, bez cienia wątpliwości oznaczać to będzie aresztowanie.

– Towarzyszu poruczniku, jedzie pani na Kreml – oznajmił z powagą jeden z oficerów.

– Na Kreml?! – Zrobiłam krok w kierunku biblioteczki, wzięłam słownik angielsko-rosyjski, który włożyłam do kieszeni, a podręcznik gramatyki języka angielskiego wsunęłam za połę płaszcza. Były to przecież książki Dowódcy Na-

czelnego. Skoro nadarzała się okazja, należało MU je zwrócić.

Odległość od ulicy Stromynka do centrum Moskwy wynosiła mniej więcej dziesięć kilometrów. Za plecami pozostały nabrzeża rzeki Jauzy, zabytkowe ceglane domy, szpetne zabudowania z czasów radzieckich, jak na przykład klub im. Rusanowa, którego pierwsze piętro przypomina fragment ogromnego koła zębatego. Promienie reflektorów samochodowych wychwytywały z ciemności to drzewa na bulwarze, to tory tramwajowe, to znów ściany budynków wielopiętrowych. Starając się skoncentrować, rozmyślałam o tym, czy dostanę jakieś nowe arcyważne polecenie, czy też Józefa Wissarionowicza interesują może szczegóły dotyczące ostatniej podróży do USA.

W poczekalni porucznicy szarmancko pomogli mi zdjąć płaszcz. Rozpiąwszy kaburę pistoletu, oddałam broń sekretarzowi Stalina – łysemu, tęgawemu, niewysokiemu mężczyźnie – Aleksandrowi Nikołajewiczowi Poskriobyszewowi – który włożył moją TT do szuflady w biurku i oświadczył, że będzie ją można odebrać po wizycie, a następnie wskazał drzwi i rzekł: „Proszę wejść. Towarzysz Stalin czeka na panią”.

Ciemnobrązowa, dębowa boazeria w gabinecie, dwa stoły zestawione w kształcie litery T, olbrzymia mapa ukryta za zasłoną – wszystko to znajdowało się tutaj również w sierpniu 1942 roku, kiedy nasza komsomolsko-młodzieżowa delegacja miała się udać w podróż do Ameryki. Z tą różnicą, że teraz stałam przed Sekretarzem Generalnym Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego sama. Józef Wissarionowicz zrobił krok w moim kierunku, podał mi rękę i uśmiechnął się.

– Dzień dobry, Ludmiło Michajłowna!

– Czołem, towarzyszu Dowódco Naczelny! Porucznik Pawliczenko przybyła na pana rozkaz! Oto pańskie książki: słownik i podręcznik. – Położyłam je na skraju długiego stołu i ponownie stanęłam na baczność.

– Przydały się?

– Bardzo! Dzięki nim nauczyłam się mówić po angielsku.

– Słyszałem o sukcesie waszej podróży.

– Staraliśmy się wypełnić pański rozkaz, towarzyszu Stalin! – Nadal stałam wyprostowana i, jak nakazuje *Regulamin*, patrzyłam prosto w oczy najwyższemu zwierzchnictwu.

– Proszę usiąść. – Józef Wissarionowicz wskazał krzesło stojące obok stołu i sam usiadł naprzeciwko mnie. – Powiadają, że na zaproszenie prezydenta Roosevelta i jego małżonki spędziła pani tydzień w ich posiadłości w Hyde Parku?

– Tak jest, towarzyszu Stalin!

– Możliwe, że tej jesieni ja także spotkam się z tym Amerykaninem. – Głównodowodzący podniósł do ust swoją słynną fajkę i mocno się zaciągnął. – Proszę opowiedzieć, co z nich za ludzie…

Nie rozumiem dlaczego, ale tym razem byłam bardzo zdenerwowana. Prośba o książki to jedno, ale zreferowanie przywódcy państwa wyników tej bardzo trudnej podróży – to druga sprawa. Stało się wszakże tak, że głównego zadania, to jest doprowadzenia do utworzenia drugiego frontu, nie zrealizowaliśmy, ponieważ sojusznicy nie rozpoczęli działań wojennych w Europie. Naszej delegacji studenckiej udało się raczej wpłynąć na nastroje społeczne w USA, Kanadzie i Wielkiej Brytanii i wśród zwykłych ludzi wzbudzić współczucie dla narodu radzieckiego, który walczy z faszyzmem. Przywódcy tych krajów prowadzili własną grę i specjalnej sympatii do naszego kraju nie żywili, jednakże prezydent Roosevelt i jego żona, w odróżnieniu od pana Chur-

chilla, wydali mi się ludźmi bardzo otwartymi, uczciwymi i skłonnymi do akceptacji odmiennego punktu widzenia.

Moja wypowiedź była niespójna i naszpikowana długimi pauzami. Józef Wissarionowicz nie przerywał mi, a pod koniec starał się mnie uspokoić i czule zapytał:

– Dlaczego się pani denerwuje, Ludmiło Michajłowna?

– Złożenie osobistego meldunku panu to odpowiedzialne zadanie.

– Nie była tak pani zagubiona na snajperskim posterunku. Gdyby się pani tak denerwowała na froncie, dawno nie byłoby pani wśród żywych.

– To są całkowicie nieporównywalne rzeczy – odpowiedziałam cicho.

– No to spróbujmy porównać… – zażartował Dowódca Naczelny. – Proszę opowiedzieć o swojej służbie snajperskiej: o szkoleniu strzelców wyborowych, o broni, taktyce, którą pani stosowała na odeskich stepach i w górach nieopodal Sewastopola. Pewnie istniały jakieś różnice, prawda?

Nie spodziewałam się, że Stalin jest tak zainteresowany naszą żołnierską profesją. Dość dobrze znał jej specyfikę, a jego pytania brzmiały rzeczowo i konkretnie. Odpowiadając na nie, rzeczywiście się uspokoiłam, ośmieliłam i postanowiłam wystąpić z prośbą. Poprosiłam Głównodowodzącego o powrót na front.

– Odniosła pani rany i przeżyła wstrząs – powiedział Józef Wissarionowicz. – Dlaczego chce pani znowu wrócić na przednią pozycję?

– W tej wojnie ponieśliśmy bardzo duże straty – odpowiedziałam. – Jednakże ktoś musi walczyć, dlatego chciałabym wrócić do swoich towarzyszy broni. Mam wiedzę i doświadczenie, dlatego moje szanse na przeżycie są większe.

Widziałam, że moja odpowiedź spodobała się rozmówcy, lecz nie od razu mi odpowiedział.

– Nie może pani – stwierdził nagle. – Zna pani arytmetykę?

Zadziwiona takim obrotem spraw, skinęłam głową. Stalin wziął ołówek, przysunął do siebie wielki notes, który leżał na stole, i zaczął objaśniać niczym nauczyciel w szkole:

– Jeśli pojedzie pani na front, zlikwiduje pani stu faszystów, jednakże panią także mogą zastrzelić. Ale jeśli wyszkoli pani stu snajperów, przekaże im pani swoje bezcenne doświadczenie i każdy z nich zastrzeli co najmniej dziesięciu hitlerowców, to ile to będzie? Tysiąc. I już mamy odpowiedź. Pani jest bardziej potrzebna tutaj, towarzyszko porucznik…

Słowa Dowódcy Naczelnego wywarły na mnie wrażenie. Miały solidne podstawy. Jeśli na początku wojny, zgodnie z dokumentem etatowym Ludowego Komisariatu Obrony, zatwierdzonym w kwietniu 1941 roku (rozporządzenie nr 04/401), każdy pułk strzelecki liczył 18 strzelców wyborowych, to teraz, po zmianie liczby etatów w wojsku w marcu 1942 roku, w pułku powinno się znajdować 87 snajperów, w kompanii – 9, a w plutonie – 3. Armia Czerwona liczy setki pułków i liczbę strzelców wyborowych mierzono już nie w jednostkach, lecz w dziesiątkach, a nawet setkach. Ktoś powinien ich uczyć, i to uczyć porządnie, szybko oraz umiejętnie.

Do wszechstronnego rozwoju w RKKA ruchu snajperskiego pilnie potrzebowano wykwalifikowanych szkoleniowców strzelców wyborowych, dlatego też w marcu 1942 roku we wsi Wieszniaki pod Moskwą otwarto Szkołę instruktorów-snajperów, w konsekwencji nazwaną Centralną Szkołą Instruktorów Rzemiosła Snajperskiego. To było jednak za mało. Wkrótce zorganizowano przy niej trzymiesięczne kursy dla strzelców wyborowych, a od lipca czas nauki przedłużono do sześciu miesięcy. W całym okresie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, od 1941 do 1944[3] roku, w organizacjach

Osoawiachim i *Wsiewobucz* (Powszechne szkolenie wojskowe bez przerw w produkcji) przy okręgach wojskowych w Szkołach Doskonałych Strzelców Wyborowych, w wojskowych centrach szkoleniowych przygotowano ponad 400 tysięcy snajperów. Duże znaczenie dla propagowania ruchu snajperskiego w wojskach radzieckich miało spotkanie grupy frontowych strzelców wyborowych na Kremlu z J. W. Stalinem 28 lipca 1943 roku, w którym braliśmy udział z Władimirem Pczelincewem. Oprócz tego z różnych frontów do Moskwy przyjechało jeszcze około dziesięciu osób mających na swoim koncie ponad 150 zabitych nieprzyjacielskich żołnierzy i oficerów. Niestety nie pamiętam wszystkich nazwisk. W sposób znaczący wyróżniał się spośród nich Sybirak, Wasilij Zajcew, Bohater Związku Radzieckiego, który odznaczył się pod Stalingradem, gdzie w ciągu trzech miesięcy zlikwidował 225 hitlerowców.

Spotkanie było rzeczowe. Głównodowodzący poprosił nas, abyśmy bezpośrednio i szczerze opowiedzieli o trudnościach w naszej służbie oraz przedstawili mu swoje prośby i życzenia. Powiedzieliśmy, że konieczne jest jednoosobowe dowodzenie: żołnierzami wyszkolonymi na strzelców wyborowych powinien dowodzić tylko jeden człowiek w pułku, a nie wszyscy dowódcy batalionów, kompani itd. Nie mniej ważna jest zmiana na listach specjalności wojskowej, w której powinno się wreszcie znaleźć słowo „snajper”. Skarżyliśmy się też na kwatermistrzostwo: w wielu jednostkach wojskowych snajperzy nie dostają na czas letnich, jesiennych ani zimowych strojów maskujących, nie są im wydawane tarczki opancerzone, które pomagają w uniknięciu ciężkich ran, a czasami nawet śmierci. Wielu żołnierzy mówiło o konieczności udoskonalenia karabinu Mosin, w którym problemy sprawia, zwłaszcza nowicjuszom, twardy toporny spust…

Na początku sierpnia 1943 roku dostałam rozkaz z Rezerwy Stawki RKKA i zostałam słuchaczem Czerwonosztandarowych Wyższych Strzelecko-Taktycznych Kursów Doskonalących Kadrę Dowódczą Piechoty „Wystrieł” na Wydziale Dowódców Batalionów. Kursy odbywały się w Sołnieczno-gorsku w obwodzie moskiewskim, w pobliżu jeziora Sienież. Tam podnosili swoje kwalifikacje oficerowie mający już doświadczenie bojowe, często będący po hospitalizacji. Program był napięty, zajęcia trwały bowiem po 12 godzin i w większości odbywały się w warunkach polowych. Uczyliśmy się tam taktyki współczesnej walki batalionów strzeleckich, dowodzenia nimi w różnych, maksymalnie zbliżonych do bojowych warunkach i bardzo dokładnie – o ręcznej broni palnej, czemu, rzecz jasna, oddawałam się ze szczególnym zaangażowaniem. Po trzech miesiącach intensywnych zajęć praktycznych moi koledzy z kursu udali się na front, by dowodzić batalionami piechoty, ja zaś po ukończeniu szkolenia na dowódców batalionów, na którym byłam jedyną kobietą, do maja 1944 roku występowałam w roli pedagoga na stanowisku instruktora rzemiosła snajperskiego w tej sławnej i absolutnie unikatowej placówce wojskowo-naukowej.

W okresie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej szkolenie na kursach „Wystrieł” ukończyło około 20 tysięcy oficerów, spośród których mniej więcej dwustu za wybitne zasługi w walkach z wojskami niemiecko-faszystowskimi zostało odznaczonych tytułem Bohatera Związku Radzieckiego. Moje nazwisko od 25 października 1943 roku również znajduje się na tej liście honorowej – wtedy to na mocy Dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR przyznano mi ów zaszczytny tytuł.

Przypisy

[1] W oryginale błędnie: „Liberater” – przyp. tłum.
[2] To właśnie w tym miejscu pada znamienne zdanie, które zapewne dało tytuł całemu rosyjskiemu wydaniu wspomnień Ludmiły Pawliczenko – „Ja – snajper” – przyp. tłum.
[3] Za okres Wielkiej Wojny Ojczyźnianej uznaje się lata 1941–1945 – przyp. tłum.

Rozdział 18

POCIĄG PANCERNY NA BOCZNICY KOLEJOWEJ

Zbliżał się koniec hitlerowskich Niemiec. Po wyzwoleniu Kijowa w stolicy Ukrainy wznowił działanie Kijowski Uniwersytet Państwowy, który w 1942 roku ewakuowano do Kazachstanu. Niemcy poczynili w nim ogromne spustoszenia: wysadzili w powietrze budynek główny oraz rozgrabili laboratoria i biblioteki na wielu wydziałach. Wysiłkiem profesorów, docentów i pedagogów w styczniu 1944 roku uniwersytet wznowił poprzednią działalność i otworzył swoje podwoje dla studentów starszych lat. Gdy tylko się o tym dowiedziałam, pojechałam do miasta swojej młodości, ponieważ chciałam wrócić na Wydział Historii, zdać egzaminy państwowe i obronić pracę dyplomową, którą rozpoczęłam jeszcze przed wojną. Złożyłam raport w dowództwie i zostałam zwolniona ze służby na rok, żeby móc ukończyć studia.

W październiku 1944 roku, zamieniwszy swoją wojskową bluzę na staplową sukienkę i schowawszy w szkatułce swoje ordery oraz medale, zostałam studentką V roku historii Kijowskiego Uniwersytetu Państwowego. Znowu usiadłam nad podręcznikami. Musiałam przypomnieć sobie założenia marksistowsko-leninowskie, podstawy archeologii, historię Grecji i Rzymu, historię Związku Radzieckiego oraz zdobyć zaliczenia i złożyć egzaminy z języka rosyjskiego, ukraińskiego, a także łaciny. Absolutnie nie mogłam się skompromitować, ponieważ skończyłam już 28 lat i okazało się, że jestem najstarszą studentką na roku. Inna sprawa, że wśród braci studenckiej było wielu uczestników wojny w wieku od 25 do 30 lat.

W maju 1945 roku z wynikiem bardzo dobrym obroniłam pracę dyplomową i wróciłam do Moskwy, gdzie wcześniej przydzielono mi mieszkanie, w którym została moja matka Jelena Trofimowna Biełowa z moim synem Rostisławem. Moja dalsza służba przebiegała w szeregach Marynarki Wojennej – zostałam pracownikiem naukowym Sztabu Generalnego Marynarki Wojennej w Oddziale Historii Floty. Rany i wstrząs pourazowy odniesione na froncie z każdym rokiem coraz bardziej dawały o sobie znać. W czerwcu 1953 roku w randze majora służby nadbrzeżnej Marynarki Wojennej z powodu złego stanu zdrowia (II grupa inwalidzka) musiałam przejść w stan spoczynku z zachowaniem prawa do noszenia munduru.

Jednakże oficerska emerytura nie usprawiedliwiała bezczynnego siedzenia w domu. We wrześniu 1956 roku rozpoczął działalność Radziecki Komitet Weteranów Wojny, organ kierowniczy Organizacji Radzieckich Weteranów Wojny, zrzeszający tysiące uczestników wojen z różnych obwodów i regionów naszego kraju. Zorganizowano pierwszą wszechzwiązkową konferencję, na której wybrano prezydium, przewodniczącego komitetu (został nim Marszałek Związku Radzieckiego A. M. Wasilewski), sekretarza (Bohatera Związku Radzieckiego, lotnika A. P. Mariesjewa) oraz biuro prezydium, które kierowało pracami stałych komisji społecznych (organizacyjnej, międzynarodowej, propagandy, do spraw inwalidów wojennych, do spraw kontaktu z instytucjami oświatowymi i do spraw upamiętnienia poległych żołnierzy). Zaangażowałam się w przygotowania oraz przeprowadzenie tego przedsięwzięcia i zostałam członkiem prezydium.

Rozpoczęliśmy metodyczną pracę nad promowaniem chwalebnych tradycji wojskowych Armii Radzieckiej. Często spotykalismy się z młodzieżą w szkołach, technikach

i na uczelniach wyższych, a także odwiedzaliśmy jednostki wojskowe, gdzie z przyjemnością opowiadano nam o Siłach Zbrojnych Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, zapraszano na szkolenia i demonstrowano nową broń.

Smutno było patrzeć, jak snajperski fach, który niebywale rozkwitł w naszym kraju w czasie wojny z hitlerowcami, stopniowo gasł i odchodził w niebyt. Zmieniła się doktryna wojenna. W Ministerstwie Obrony uważano obecnie, że użycie bomby atomowej wybawi wojska lądowe od starć z przeciwnikiem na polu walki. Po eksplozji termojądrowej zostanie tylko zwęglona przez ogień pustynia, tak więc strzelcy wyborowi do nikogo nie będą musieli już strzelać, ponieważ wróg zniknie jak kamfora. Z tego właśnie powodu w połowie lat 50. zlikwidowano wiele szkół i kursów snajperskich oraz zwolniono z armii doświadczonych oficerów. Ginęła tradycja szkolenia i przygotowywania snajperów. Na przykład w ramach oddziału zmechanizowanego obecnie przewidziano obecność… JEDNEGO strzelca wyborowego! Nowy *Regulamin Wojskowy Wojsk Lądowych* praktycznie nie wspominał o pracy snajpera w trakcie działań ogólnowojskowych – najwyraźniej jego autorzy założyli, że snajper nie będzie już mógł znacząco wpłynąć na wynik bitwy.

Oczywiście istniały i niebawem się rozwinęły wojskowe jednostki specjalne, które miały przeprowadzać działania bojowe w lasach, górach i skupiskach ludzkich, czyli w miejscach, w których zastosowanie ciężkiego uzbrojenia byłoby niemożliwe. W takich warunkach trafienie do celu za pomocą jednego wystrzału odgrywa niekiedy istotną i decydującą rolę, przyczyniając się do sukcesu całej operacji.

Magazynkowy karabinek Mosin, który służył nam wiernie i z oddaniem, pod koniec II wojny światowej uważano już za przestarzały i wymagający modernizacji. Podjęto zatem próby skonstruowania jego następcy. Zarówno w 1945 roku,

jak i dwa lata później, konstruktor S. G. Simonow zaprezentował swoje prototypy karabinu snajperskiego, które oparte były na bazie jego karabinu SKS, jednakże obydwa egzemplarze miały znaczne niedociągnięcia. W 1958 roku Główny Zarząd Rakietowo-Artyleryjski wydał więc taktyczno-techniczne zadanie opracowania nowego samopowtarzalnego karabinu snajperskiego kalibru 7,62 mm, którego realizacji podjęły się trzy grupy inżynierów (w celu stworzenia zdrowej konkurencji i osiągnięcia jak najlepszych rezultatów).

Pierwszej grupie przewodniczył znakomity konstruktor-rusznikarz Siergiej Gawriłowicz Simonow, Bohater Pracy Socjalistycznej, dwukrotny laureat Nagrody Państwowej ZSRR. Nagrody te otrzymał za skonstruowanie w 1941 roku karabinu przeciwpancernego i w 1945 roku za konstrukcję samopowtarzalnego karabinu SKS-45. Był także projektantem karabinu samopowtarzalnego AWS-36 wprowadzonego do uzbrojenia Armii Czerwonej w 1936 roku. Zetknęłam się z tą bronią w Sewastopolu. Jednakże szczególną popularnością wśród żołnierzy cieszył się karabin przeciwpancerny Simonowa na naboje kalibru 14,5 mm, który przebijał pancerze średniej wielkości czołgów niemieckich. Nasza piechota pod Sewastopolem, uzbrojona w PTRS o charakterystycznej długiej lufie, powstrzymała wiele atakujących faszystowskich samochodów pancernych.

Konkurencję dla sześćdziesięciopięcioletniego Simonowa, cieszącego się od dawna zasłużonym uznaniem, stanowili młodzi inżynierowie. Było to nowe pokolenie radzieckich konstruktorów broni strzeleckiej, którzy ukończyli szkołę wojskową i rozpoczynali swoją ścieżkę zawodową w radzieckich fabrykach obronnych na stanowiskach robotników.

Drugiej grupie przewodniczył Aleksandr Siemionowicz Konstantinow, inżynier z Kowrowa, który pracował w biurze

konstrukcyjnym pod kierownictwem Diegtiariowa, konstruktora legendarnego ręcznego karabinu maszynowego DP (Diegtiariow Piechotnyj), zaś trzecia grupa, pracująca w Iżewskich Zakładach Budowy Maszyn „Iżmasz”[1] pod kierownictwem Jewgienija Fiodorowicza Dragunowa, przystąpiła do prac nieco później. Dragunow urodził się i wychowywał w Iżewsku, w czasie wojny był rusznikarzem w warsztatach pułkowych, doskonale się znał na ręcznej broni strzeleckiej, a następnie powrócił do macierzystej fabryki i zasłynął jako twórca ciekawych typów karabinków sportowych.

My (Władimir Pczelincew, Wasilij Zajcew i ja) spotkaliśmy się z nim właśnie w Iżewsku, ponieważ dyrekcja fabryki zaprosiła nas – zaprawionych w bojach żołnierzy – do udziału w tym projekcie w charakterze konsultantów, z czego byliśmy niezmiernie zadowoleni. Uczestnictwo w stworzeniu nowego, nowoczesnego karabinu snajperskiego to wielki honor dla praktyków strzelectwa wyborowego, tak więc z entuzjazmem przystąpiliśmy do pracy.

Jak już wspominałam, pierwszym wynalazkiem Dragunowa były karabinki sportowe. Podobny styl sportowy wniósł on też do projektu swojej „snajperki”. Zdziwiliśmy się, zobaczywszy na rysunkach jej kolbę o tak zwanej konstrukcji szkieletowej (pustą w środku) oraz rękojeść jak w pistoletach. Bądź co bądź, wojskowa broń powinna wytrzymywać znacznie większe obciążenia niż sportowa, niezawodnie funkcjonować w każdych warunkach pogodowych oraz być wygodna nie tylko na pozycjach ogniowych, lecz również podczas marszu.

Tymczasem w wymogach Głównego Zarządu Rakietowo-Artyleryjskiego znalazło się mnóstwo sprzeczności. Na przykład w celu poprawy koncentracji wystrzałów konieczne było dokładne przyleganie do siebie wszystkich części

mechanizmu, jednocześnie jednak duże odstępy między wspomnianymi częściami sprzyjają ich stabilnemu współdziałaniu podczas ładowania i wystrzału. Aby zatem spełnić oba te wymagania, potrzebna była długa i wnikliwa, kilkuetapowa praca.

W 1959 roku, na pierwszym etapie prac, zespół Dragunowa przedstawił pierwszą wersję karabinu, który spełniał dość surowe normy dotyczące koncentracji wystrzałów. „Snajperka” przygotowana przez zespół Simonowa od razu odpadła ze współzawodnictwa. Przez pewien czas obydwa karabiny (Dragunowa i Konstantinowa) w czasie testów porównawczych i innych doświadczeń osiągały mniej więcej jednakowe wyniki, jednak w 1962 roku specjaliści z Głównego Zarządu Rakietowo-Artyleryjskiego palmę pierwszeństwa przyznali właśnie modelowi karabinu przygotowanego przez Dragunowa.

Utalentowany wynalazca był w stanie rozwiązać praktycznie wszystkie postawione przed grupą konstruktorów zadania. Jego zespół przezwyciężył wiele trudności, natomiast najbardziej skomplikowane okazało się proste z pozoru opracowanie łoża karabinu. Przez rok pracowano nad udoskonaleniem mieszczącego dziesięć nabojów magazynka pudełkowego, a technologię produkcji precyzyjnej lufy stworzył I. A. Samojłow. Bardzo na miejscu był też nowy celownik optyczny, znacznie bardziej skomplikowany niż znane mi „PE” i „PU”. Opracowany przez A. I. Owczinnikowa i L. A. Głyzowa celownik „PSO-1” miał znak celowniczy do strzelania na odległość do 1000 metrów, podziałkę poprawek bocznych o dokładności do jednej tysięcznej i dodatkowe znaki celownicze do 1100, 1200 i 1300 metrów. Wszystko to przyczyniało się do lepszego i szybszego celowania. Oprócz tego karabin wyposażono również w otwarte przyrządy celownicze składające się z muszki i celownika

krzywkowego, jednakże ze względu na wysokie położenie kolby posługiwanie się nim w czasie strzelania nie było zbyt wygodne.

W 1963 roku SWD, czyli Karabin Wyborowy Dragunowa (Snajpierskaja Wintowka Dragunowa), został wprowadzony do uzbrojenia Armii Radzieckiej. Uważam, że nasze Siły Zbrojne otrzymały świetny wyrób o odpowiedniej dla piechoty masie 4,52 kg (wraz z celownikiem optycznym i naładowanym magazynkiem), o długości 1225 mm, szybkostrzelności do 30 strzałów na minutę, zasięgu strzału do 1300 metrów przy użyciu celownika optycznego i do 1200 metrów z celownikiem otwartym. Automatyka broni opiera się na zasadzie wykorzystywania powstających w chwili strzału gazów prochowych. W odróżnieniu od SWT pokrywa komory zamkowej nie łączy się z tłokiem gazowym, a tłok i popychacz stanowią oddzielne elementy.

Dyrekcja fabryki „Iżmasz” doceniła wkład strzelców wyborowych-weteranów w stworzenie nowej broni snajperskiej. Na uroczystym zebraniu Pczelincewowi, Zajcewowi i mi wręczono odznaczenia honorowe i upominki: każdy z nas otrzymał ręcznie składany pistolet bojowy, nader oryginalnej konstrukcji…

W owych latach jeździłam nie tylko na wschód naszego kraju, do Udmurckiej ASSR, lecz również na południe: na Krym i do Sewastopola, który był mi bardzo bliski. W 1961 roku w ZSSR obchodzono 20. rocznicę wybuchu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Tej dacie poświęcono numery tematyczne czasopism i gazet, publikacje wspomnień działaczy wojennych i konferencje naukowo-praktyczne. Dla nowych pokoleń obywateli radzieckich bohaterstwo naszego narodu w niezłomnej walce z hitlerowskim najeźdźcą stanowiło wielką, niezaprzeczalną wartość.

Dostałam zaproszenie na posiedzenie rady naukowej Muzeum Bohaterskiej Obrony i Wyzwolenia Sewastopola, na którym miałam wygłosić referat. Uroczystość zaplanowano na 25 października 1961 roku. Zawczasu uzgodniliśmy długość referatu (20 minut) i jego temat (*Sewastopolscy snajperzy w walce z niemiecko-faszystowskim okupantem*). Przewidziano też publikację materiałów z posiedzenia.

– W naszym kraju często i dużo mówi się, że taki to a taki snajper zabił nieprzyjacielskiego żołnierza lub oficera – rozpoczęłam swoje wystąpienie. – Jednak ile kosztowało to snajpera? Czy w ostatnich czasach omówiliśmy gruntownie tę trudną i bardzo ważną pracę na froncie…?

Przede wszystkim wymieniłam nazwiska strzelców wyborowych, którzy nie doczekali tego pięknego dnia: Bohatera Związku Radzieckiego starszego sierżanta Noego Adamię z 7. Brygady Piechoty Morskiej, starszego szeregowego Iwana Lewkina z 456. Pułku NKWD oraz jego kolegę z pułku – starszego szeregowego Iwana Bogatyra, również nagrodzonego tytułem Bohatera Związku Radzieckiego. Byli i tacy, którzy zginęli, nie zdążywszy otrzymać żadnej nagrody, choć nierzadko zdolnościami snajperskimi przewyższali pozostałych. Przykładem może być młody mieszkaniec Sewastopola, Jurij Fiedorienko.

Audytorium rady naukowej było specyficzne, ponieważ stanowili je współpracownicy z trzech miejskich muzeów, historycy i weterani drugiej obrony miasta. Ludzi tych do niczego nie trzeba było przekonywać, ponieważ o snajperach wiedzieli już wszystko. Ja jednak liczyłam na publikację, tak więc postanowiłam mówić o taktyce strzelców wyborowych na polu walki i o ich szkoleniu psychologicznym. Wszak snajper to nie tylko zawód – to także styl życia.

– W takim dniu jak dzisiaj… – wskazałam dłonią okno, za którym lśniło południowe, październikowe słońce – snajper

wstaje o trzeciej nad ranem i przed czwartą zajmuje już swój snajperski posterunek. Zazwyczaj znajduje się on w strefie neutralnej, na ziemi niczyjej. Ostatnia linia obrony jest za nim, a przed nim są już tylko hitlerowcy. Wiecie, że rejon umocniony w Sewastopolu był wąski: na niektórych odcinkach osiągał 150 metrów, jednak na ogół był jeszcze węższy, dlatego znajdowaliśmy się praktycznie bezpośrednio przy Niemcach. W ciągu dnia udawało się nam oddać od pięciu do dziesięciu strzałów. Lecz czyż oni mieli słabych snajperów pod Sewastopolem? Mieli doskonałych strzelców! Ludzie myślą, że wzajemnie oszukujemy się gałązkami, ale to nie o gałązki chodzi. Wyobraźcie sobie, że zetknęliście się ze snajperem na swoim odcinku frontu. Mówią wam, że snajper przeszkadza i zakłóca działania. Wtedy snajper dostaje rozkaz zlikwidowania nieprzyjaciela. By go odnaleźć, musi on poświęcić dwie albo nawet dwie i pół doby. Przez ten czas snajper pracuje sam, obserwator zaś odchodzi, ponieważ dodatkowi ludzie to niepotrzebne ofiary i większe prawdopodobieństwo zdemaskowania.

Trzeba było zastosować wiele trików, aby zwabić snajpera na linię strzału. Używaliśmy szkła, puszek – wszystkiego, co mieliśmy pod ręką. Nie dysponowaliśmy żadnymi wyjątkowymi urządzeniami i kiedy już zlokalizowaliśmy snajpera, to rozpoczynał się tak zwany pojedynek snajperski. W celowniku widzicie snajpera, jego oczy, kolor włosów, lecz on także was widzi. O wszystkim decyduje ułamek sekundy. Po takim pojedynku snajperskim człowiek na kilka godzin właściwie się wyłącza – jest tak zmęczony, że trudno z niego jeszcze cokolwiek wycisnąć.

Osiągnęliśmy tyle, że hitlerowcy nie przemieszczali się już w ciągu dnia na swoich pozycjach. Teraz faszystów trzeba było szukać, aby ich zlikwidować. Przecież każdy uśmiercony żołnierz lub oficer Wehrmachtu osłabia morale wroga.

Musieliśmy znaleźć nowe metody pracy i znaleźliśmy je – zasadzki snajperskie. Odchodziliśmy około 500–800 metrów na tyły przeciwnika. Idziesz nocą po pozornie spokojnej linii frontu, jednak przechodzą cię ciarki. W zasadzkach brali udział tylko ochotnicy, ponieważ istniały małe szanse, nie więcej niż dziesięć na sto, że z takiej wyprawy wróci się cało.

Przychodzisz na miejsce zasadzki o trzeciej nad ranem i dyżurujesz do godziny ósmej. Obok siebie leży od trzech do pięciu snajperów. Obserwują wroga. Pada rozkaz i rozpoczyna się nalot snajperski. Słychać wrzaski. To hitlerowcy krzyczą, że napadli na nich partyzanci. Wybucha panika, potem fryce uspokajają się i spadają na nas dziesiątki min. Wiele razy w zasadzkach ginęli moi towarzysze broni, lecz nigdy nie zostawialiśmy ich na tyłach wroga, a zawsze zabieraliśmy poległych ze sobą.

Dużą rolę odegrali snajperzy na polu walki. Kiedy nasza piechota otrzymywała rozkaz do ataku, należało dokonać próby zneutralizowania znajdujących się w nieprzyjacielskich schronach gniazd karabinów maszynowych. To zadanie wykonywał właśnie snajper. Godzinę lub dwie przed natarciem strzelec wychodził na pas neutralny, podkradał się do pierwszej linii wroga i otwierał ogień w kierunku schronów, kładąc się na ziemi bezpośrednio przed nim. Takie zadania również wykonywaliśmy.

Podczas obrony Sewastopola dowództwo bardzo ceniło i szanowało snajperów, ponieważ w pełni na to zasługiwaliśmy.

Aby zostać snajperem, trzeba nie tylko celnie strzelać. Ważna jest również chłodna nienawiść do wroga w sytuacji, kiedy uczucia należy podporządkować kalkulacji. Zasadniczą rolę odgrywa żelazna siła woli żołnierza. Snajperzy nie spuszczali oczu z wroga ani dniem, ani nocą i często bywało

tak, że dziennik działań bojowych zwiadów weryfikowano według rozpoznania snajperskiego. Każdą kępę drzew czy krzak przed swoją pozycją snajper powinien znać jak własną kieszeń.

Napięcie nerwowe, tak charakterystyczne dla snajpera zarówno pod Sewastopolem, jak i na innych odcinkach frontu radziecko-niemieckiego, odbijało się na zdrowiu. Jeśli przez odpowiednio długi czas snajperzy pozbawieni byli należytego odpoczynku, często rozwijała się wśród nich choroba, zwana nerwicą reaktywną.

Pamiętam pierwszy zlot snajperów w Sewastopolu, zorganizowany z inicjatywy generała majora Pietrowa, dowódcy Samodzielnej Armii Nadmorskiej. Pierwszy zwrócił on uwagę na trudne warunki pracy strzelców wyborowych i rozkazał wprowadzenie dodatkowego suchego prowiantu na snajperskie posterunki – przecież gorącego obiadu żołnierzowi nikt tutaj nie przyniesie i zwykle jadaliśmy obiady późno w nocy. Pietrow rozkazał również, abyśmy raz w tygodniu dostawali dobę na odpoczynek.

Ruch snajperski miał swoje początki w wydarzeniach nad rzeką Prut, w których brała udział 25. Dywizja „Czapajewska”, wchodząca w skład Armii Nadmorskiej. W owym czasie służył w niej podporucznik Wasilij Kowtun, który przed wojną ukończył szkołę snajperską. Gdy nad Prut dotarły pierwsze posiłki, my – strzelcy wyborowi – zebraliśmy się w jego plutonie i patrzyliśmy na niego z zazdrością, gdyż na swoim koncie miał 50 zabitych faszystów, my zaś – po jednym czy dwóch.

Należy wspomnieć o tym, że kiedy snajper wraca z akcji, to wchodzi do pierwszego napotkanego schronu, gdyż czasami najzwyczajniej brakuje mu sił, aby dojść do własnego bunkra. Wtedy każdy żołnierz lub marynarz ustępuje mu miejsca, częstuje przygotowaną na bezdymnym prochu go-

rącą herbatą i mówi: odpoczywaj! Każdy poczuwa się do tego, by ulżyć naszej snajperskiej egzystencji.

W czasie przepustki na dobę, którą dostawaliśmy raz na tydzień, chodziliśmy do Sewastopola, a gdy zbliżaliśmy się do miasta, naprzeciw nam wychodziły dzieciaki. Zdarzało się, że snajper wciąż wypatrywał i wypatrywał, a jednak nie zaliczył ani jednego trafienia, ponieważ wróg się przyczaił. Strzelec miał dzień wolnego, przyszedł do Sewastopola i na swojej drodze spotkał dzieci. Czasami któryś z małych chłopców, nierzadko bez spodenek, z mokrym nosem i z bardzo poważną miną zadawał pytanie: ilu fryców zabiłeś? Bywało, że nie zabił ani jednego. Dowódcy można było wtedy wyjaśnić, że fryców nie ma, ale spróbujcie to powiedzieć dziecku. Odpowiadasz: fryców nie było, a w odpowiedzi słyszysz: słabo mnie bronisz.

Kiedy sewastopolskie szkraby dowiedziały się, że mieliśmy zbyt mało nabojów i amunicji, dostałam od dzieci z Góry Matiuszenki procę. Zapytałam: po co? A one na to: snajper powinien trenować codziennie, a pani ma mało nabojów. Niech pani nie marnuje amunicji, tylko ćwiczy strzelanie z procy. Niby zabawne, jednak takie przypadki świadczą o tym, że zrozumienie dla naszego życia frontowego w Mieście Bohaterze powszechne było nie tylko wśród dorosłych, lecz także i wśród dzieci.

Ludność Sewastopola we wszystkim starała się pomagać żołnierzom Armii Nadmorskiej. W mieście były kłopoty z wodą i dlatego ją reglamentowano. Kiedy tam byłam, wiedziałam już, że pierwsza napotkana kobieta w uznaniu moich zasług odda mi swoją porcję wody, upierze bieliznę i odzież, zaproponuje miejsce do odpoczynku – choćby nawet najskromniejsze.

Na tym polegała potęga naszej obrony. Trzy siły: naród, armia i flota niczym jedna pięść gromiły niemieckiego oku-

panta przez 250 dni. Dzisiaj jesteśmy bardzo wdzięczni mieszkańcom Sewastopola, którzy pamiętają o tych legendarnych dniach i przyczyniają się do naszej chwały. Obrońcy przychodzą i odchodzą, a Sewastopol pozostaje![2]

Za każdym razem, gdy przyjeżdżałam do Miasta Bohatera (na przykład w maju 1964 roku na 20. rocznicę wyzwolenia Sewastopola i w maju 1965 roku na jubileusz Dnia Zwycięstwa), odczuwałam szczególną panującą w tym mieście atmosferę. Dla jego mieszkańców opowieści weteranów wojennych o bezlitosnej konfrontacji z wrogiem nie były pustymi słowami. Zrujnowane, spalone przez Niemców miasto odrodziło się w swojej dawnej świetności, lecz wydawało się, że jego nowe domy, ulice i place wciąż zachowują żywą pamięć o minionych starciach. Nasze przemówienia w szkołach podstawowych i zawodowych oraz w przedsiębiorstwach o różnych profilach zawsze się spotykały z gorącym odzewem ze strony słuchaczy. Widzieliśmy, że zarówno młodzież, jak i ludzie dorośli dużo wiedzą o bohaterskich czynach radzieckich żołnierzy i oficerów na sewastopolskich rubieżach w latach 1941–1942, a czas nie zatarł pamięci o istocie tamtych wydarzeń.

Szczególnie przyjemne było spotkanie z młodymi sportowcami interesującymi się strzelectwem. Zainaugurował je dyrektor miejskiej strzelnicy Stowarzyszenia Sportowego „Dynamo”, Filip Fiodorowicz Możajew. Starszy trener oddziału krymskiego tego stowarzyszenia, zasłużony trener Ukrainy, Mistrz Sportu Związku Radzieckiego w strzelectwie, najpierw zwrócił się do mnie w formie pisemnej. Zakomunikował, że opracował „Regulamin Miejskich Zawodów Strzeleckich o Puchar Bohatera Związku Radzieckiego… Ludmiły Pawliczenko” i poprosił mnie o zgodę na zorganizowanie takiego wydarzenia. „Czemu nie?” – pomyślałam i wysłałam pozytywną odpowiedź – w końcu strzelectwo sportowe to

świetne zajęcie dla młodzieży. Właśnie w sekcjach strzeleckich podczas strzelania z karabinu lub pistoletu może ujawnić swe zdolności przyszły strzelec wyborowy.

Możajew z wykształcenia był oficerem, w 1944 roku z wyróżnieniem ukończył Leningradzką Szkołę Strzelecko-Moździerzową i w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej otrzymał Order Czerwonej Gwiazdy oraz Medal „Za zasługi bojowe". Następnie odbywał służbę w Zabajkalskim Okręgu Wojskowym, gdzie szkolił snajperów. Po zakończeniu służby Filip Fiodorowicz przeniósł się do Sewastopola. Jako człowiek całym sercem oddany strzelectwu również tam zorganizował sekcję sportową, a ściśle rzecz biorąc – prawdziwe centrum szkoleniowe w dziedzinie strzelectwa – zaprojektował strzelnicę, a potem swój projekt zrealizował.

Strzelnica znajdowała się w centrum miasta na Krasnym Spusku, przy drodze wiodącej w kierunku dworca kolejowego, niedaleko placu Puszkina i placu Uszakowa. Placówka sportowa spełniała najwyższe standardy. Oprócz strzelnicy z rubieżą ogniową i tarczami w odległości 50, 25 i 10 metrów (dla broni pneumatycznej) znajdowały się tam dwie sale lekcyjne, gabinet trenera, pomieszczenie-sejf z opancerzonymi drzwiami, w którym w metalowych szafach przechowywano około setki karabinów i mniej więcej 50 pistoletów oraz skrzynki z nabojami. Wszystkie pomieszczenia rozdzielone były metalowymi kratami z zamkami i wyposażone w przyciski alarmowe, których sygnał został doprowadzony do najbliższego posterunku milicji. W nocy na strzelnicy dyżurował stróż.

Oczywiście w każdej dziedzinie działalności zaopatrzenie odgrywa rolę znaczącą, jednak jest bardzo ważne, aby u źródeł tejże działalności stał człowiek uczciwy, kompetentny, z inicjatywą i pasją, którą może zarażać innych. Filip Fiodorowicz Możajew przypominał mojego pierwszego

mentora, starszego instruktora szkoły kijowskiej *Osoawiachimu*, Potapowa, a to zapewne za sprawą swojego prawdziwie snajperskiego, spokojnego i zrównoważonego charakteru oraz doskonałych zdolności pedagogicznych. Miał bardzo wielu uczniów: młodzież szkolną, studentów, robotników i oficerów Floty Czarnomorskiej. W sumie wyszkolił około stu Mistrzów Sportu ZSRR, kandydatów na Mistrzów Sportu i zawodników pierwszej kategorii w strzelectwie. Jego wychowankowie z powodzeniem występowali na zawodach międzynarodowych, wszechzwiązkowych i krajowych.

Dzieci Możajewa także zajmowały się strzelectwem i uczestniczyły w zajęciach na strzelnicy. Zostały Mistrzami Sportu ZSRR: starsza córka Jelena w strzelaniu z karabinu, a młodsza córka Irina – w strzelaniu z pistoletu…

Po konsultacji z Filipem Fiodorowiczem postanowiliśmy rozpocząć Miejskie Zawody Strzeleckie o Puchar imienia Bohatera Związku Radzieckiego Ludmiły Pawliczenko w strzelaniu z pistoletu. Ja także chciałam stanąć na rubieży ogniowej, oddać jeden czy dwa strzały, by tak rzec – na początek. W ostatnim czasie przypadła mi do gustu broń krótka, ponieważ miałam już mniej sił potrzebnych do dobrego radzenia sobie z karabinem.

W wyznaczony dzień w sali lekcyjnej na strzelnicy zebrało się dosyć dużo ludzi, wśród których byli nie tylko uczestnicy zawodów, lecz także inni uczniowie Możajewa. Pokrótce opowiedziałam im sewastopolską epopeję. Zebrani zaczęli zadawać pytania; interesowały ich ściśle fachowe tematy: rodzaje karabinów snajperskich w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i zainstalowane w nich celowniki optyczne, sposoby kamuflażu, walka ze snajperami przeciwnika. Słysząc takie pytania, można było wyciągnąć wniosek, że członkowie sekcji zostali doskonale przygotowani w zakresie teorii. Obecnie pod spokojnym niebem Sewastopola są sportowca-

mi, ale jutro, jeśli zajdzie taka potrzeba, staną się frontowymi strzelcami wyborowymi.

Następnie uczestnicy spotkania przenieśli się na strzelnicę. Zawody były zorganizowane niezwykle sprawnie: żadnej bieganiny, pośpiechu, wszystko dokładnie i zgodnie z planem.

Najlepszy wynik osiągnęła młodsza córka Możajewa Irina, studentka czwartego roku sewastopolskiego Instytutu Budowy Urządzeń. Strzelała z pistoletu MCM Margolin, startowała w konkurencji na MP-5 i MP-8 (strzelanie na czas do okrągłych tarcz z odległości 25 i 50 metrów). Przy akompaniamencie oklasków wszystkich obecnych wręczyłam dziewczynie dyplom honorowy. Potem długo rozmawiałyśmy, przechadzając się po mieście. Sewastopol w maju 1970 roku był tak samo piękny jak w maju 1942 roku: jaskrawe słońce, błękitne niebo, szafirowe morze, a na Bulwarze Przymorskim mnóstwo klombów z cudownymi kwiatami: chryzantemami, różami, mieczykami, tulipanami…

Następnego dnia uczestniczyłam w uroczystej ceremonii zapalenia Wiecznego Ognia na górze Sapun, gdzie znajduje się budynek dioramy „Szturm góry Sapun 7 maja 1944 roku” otwarty ponad dziesięć lat temu, pomnik i wystawa techniki wojennej z okresu II wojny światowej. Rankiem na Kurhanie Małachowa w obecności olbrzymiej publiczności odbył się wiec: grała orkiestra dęta, na morskim wietrze trzepotały czerwone sztandary, rozlegały się przemówienia o bohaterskich czynach żołnierzy i dowódców Armii Czerwonej, o niezłomności, odwadze i męstwie tych, którzy bronili Głównej Bazy Marynarki Wojennej Floty Czarnomorskiej przed ciosami faszystowskich hord i tych, którzy potem podczas intensywnego natarcia rozgromili hitlerowców i wypędzili ich z miasta-twierdzy. Odpaliłam pochodnię od Wiecznego Ognia, płonącego na wieży obronnej Kurhanu

Małachowa, i przekazałam ją na ręce Bohatera Związku Radzieckiego F. I. Matwiejewa, uczestnika wyzwolenia Sewastopola, sierżanta gwardii 997. Pułku Strzelców, szturmującego 7 maja 1944 roku niemieckie umocnienia na górze Sapun.

Transporterem opancerzonym w towarzystwie eskorty honorowej przewieźliśmy pochodnię po ulicach Strony Okrętowej, a następnie po centralnej części miasta i Prospekcie Generała Ostriakowa oraz Szosie Jałtańskiej. Dostarczyliśmy ją na górę Sapun. Tutaj, przeniósłszy pochodnię po centralnej alei kompleksu pamięci, Matwiejew zapalił Wieczny Ogień w specjalnej wnęce u podnóża Obelisku Sławy.

Przed wyjazdem do Moskwy wybrałam się w jeszcze jedną podróż po dzielnicach Sewastopola. Z cumowiska nieopodal Przystani Grafskiej regularnie odpływały nieduże kutry, które przecinały główną zatokę i przewoziły pasażerów na Stronę Północną, do Inkermanu i Rawelinu Michajłowskiego, a także do innych miejscowości nad morzem. Na Stronie Północnej należało się przesiąść do autobusu, który miał przystanek obok Cmentarza Braterskiego. Droga nie była długa, jednak dla mnie miała ona wielkie znaczenie.

Główna aleja cmentarza wiodła na wzgórze i do cerkwi Świętego Mikołaja. Pomimo tego, że w pobliżu budowli pamiątkowej w czerwcu 1942 roku trwały walki, większa część jego pięknych, kamiennych nagrobków, ustawionych jeszcze w XIX wieku, nie ucierpiała. Cerkiew na wzgórzu w kształcie wysokiej piramidy wciąż była zamknięta i nadal świeciła zniszczonym dachem, na którym niegdyś znajdował się krzyż. Musiałam obejść świątynię z prawej strony, zejść ze wzgórza i dojść do północno-wschodnich murów cmentarza, gdzie pochowano uczestników drugiej obrony Sewastopola. Tutaj wszystko było zwykłe i skromne, nie było monu-

mentów z czarnego i białego marmuru, nie było grobowców z litymi, metalowymi wrotami, nie było też kolumn z kaneluramі i popiersiami bohaterów.

Położyłam bukiet czerwonych goździków na pomniku, przysiadłam na drewnianej ławeczce pod akacją, której korona osłaniała cały plac przed promieniami jaskrawego słońca.

Na Cmentarzu Braterskim panowała zadziwiająca, uroczysta cisza. Tylko ptaki ze śpiewem beztrosko przelatywały między drzewkami tui. Tylko porywy wiatru czasami dochodziły znad morza i szumiały w zaroślach dzikiej róży. Tylko kryształowa niebiańska kopuła roztaczała błękitną poświatę nad alejkami, ścieżkami i kamieniami nagrobnymi, ustawionymi na pamiątkę poległych bohaterów, oddzielonymi od świata solidnym, wysokim murem. Nic się tu nie zmieniło od czasów, kiedy żołnierze i dowódcy 54. Pułku Strzelców grzebali podporucznika Aleksieja Arkadjewicza Kicenkę, mojego męża i odważnego oficera.

Poległ na niebywale okrutnej wojnie. Razem z nim znajdowałam się na linii ognia, jednakże mnie udało się dożyć do Zwycięstwa. Teraz, wspominając te okrutne dni, myślałam o tym, że nasze pokolenie przeszło ogromną próbę, ale również dostąpiło wielkiego zaszczytu: zdołaliśmy obronić nasz kraj. Wydaje się, że wszyscy urodziliśmy się i dorastaliśmy, uczyliśmy się i pracowaliśmy właśnie po to, by w trudnych chwilach własną piersią osłonić Ojczyznę…

Moskwa–Sewastopol
1967–1972

Przypisy

[1] Obecnie: Koncern Kałasznikow – przyp. tłum.

[2] Pełny tekst referatu znajduje się w Państwowym Muzeum Bohaterskiej Obrony i Wyzwolenia Sewastopola –

przyp. red. ros.

OD TŁUMACZA POLSKIEGO WYDANIA

Muszę się w tym miejscu uczciwie przyznać, że praca nad przekładem wspomnień wojennych Ludmiły Pawliczenko (1916–1974) okazała się dla mnie dużym wyzwaniem. Tłumaczenie literatury bowiem (i to nie tylko poezji, lecz także literatury faktu) jest zawsze zadaniem poważnym, rzekłbym nawet – karkołomnym, tym bardziej kiedy na przełożenie bez mała 400 stron tekstu ma się zaledwie 3 miesiące. Nad przekładem niniejszej książki pracowałem dokładnie 88 dni. Przekład zaś lubi odpocząć…

Podstawowa zasada sztuki translatorskiej głosi, że osoba tłumacza powinna być w tekście docelowym jak najmniej dostrzegalna, z drugiej jednak strony każdy przekład literacki w większym lub mniejszym stopniu – ale zawsze! – nosi znamiona adaptacji. Niestety także mnie nie udało się pozostać w tłumaczeniu całkowicie anonimowym: uznałem (mam nadzieję, że słusznie), iż część ustępów tekstu oryginalnego należało polskiemu Czytelnikowi w przekładzie objaśnić, dookreślić oraz usunąć oczywiste pomyłki – czy to autorki, czy też redakcji wydania rosyjskiego – stąd też obecność pewnej liczby przypisów od tłumacza w tekście polskim.

Nieodzowna okazała się także nieznaczna ingerencja w strukturę dzieła: oryginalny tekst przeładowany jest bowiem mnóstwem bardzo krótkich zdań, które – nieco bardziej może typowe dla języka rosyjskiego niż polskiego – mogłyby powodować u rodzimego odbiorcy „efekt katarynki”. Zdecydowałem zatem, że czasami połączenie dwu czy trzech zdań krótkich w jedno dłuższe nie tylko nie spłyci idei tekstu wyjściowego, ale przyczyni się być może do jego

lepszego odbioru przez naszych Czytelników. Zdaję sobie oczywiście sprawę z faktu, że tłumaczyłem pamiętnik snajpera – zakładam, że obecność wielu krótkich zdań prostych w ogóle jest „cechą osobniczą" piszących żołnierzy Armii Czerwonej (świadczyłyby o tym zresztą cytowane przez autorkę fragmenty wspomnień innych żołnierzy radzieckich z okresu II wojny światowej).

Sytuacja, w której się znalazłem, stając w szranki z przewrotną substancją językową pamiętnika Ludmiły Pawliczenko, była dokładnie odwrotna od tej, w jakiej osiem dekad wcześniej był Tadeusz Żeleński podczas pracy nad przekładem *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta. Tytan tłumaczenia, jakim był Boy, zdecydował, że bez uszczerbku dla twórczości wielkiego francuskiego pisarza pozwoli sobie na podzielenie bardzo długiego zdania wielokrotnie złożonego i uczynienie z niego kilku krótszych. Jestem głęboko przekonany, że podobnie i w mojej sytuacji pozostawienie oryginalnego układu byłoby występkiem, którego „Czytelnik nie darowałby tłumaczowi"[1].

Innym zabiegiem, który zastosowałem, a który także związany jest ze strukturą treści, była rezygnacja z pokaźnej liczby jednozdaniowych akapitów, w które obfituje książka Pawliczenko. Na gruncie polskim sytuacja, kiedy jedno (często krótkie) zdanie stanowi jednocześnie cały akapit, przywołuje skojarzenia raczej z pisarstwem barokowym, natomiast podczas przekładu XX-wiecznego tekstu rosyjskiego na współczesny język polski taka praktyka po prostu nie przystoi. Zdecydowałem zatem, że i tym razem na przekór Rodowskiej zaufam Boyowi i bez szkody dla autorki wspomnień takie krótkie akapity dołączę do następujących bezpośrednio po nich, przy założeniu jednak, że w sposób niebudzący wątpliwości stanowią one z nimi logiczną całość (a tak z reguły właśnie było).

Język rosyjski już od schyłkowych czasów carskich lubuje się w abrewiaturach. Tendencja ta nasiliła się w okresie radzieckim i skłonny jestem zaryzykować stwierdzenie, że i w dzisiejszej Rosji nadmiar skrótów stanowi poważną bolączkę współczesnego języka rosyjskiego. W groteskowo-straszny charakter abrewiatur niemal od zarania tego zjawiska wymierzali ostrze swej krytyki twórcy związani z szeroko pojmowaną kulturą, by na gruncie literatury przywołać w tym miejscu chociażby Bułhakowa i jego *Mistrza i Małgorzatę* (vide: „Massolit"), we wczesnym kinie radzieckim np. Jakowa Protazanowa (*Don Diego i Pelagia*, 1927), a w „odwilżowym" Leonida Gajdaja z jego zjadliwą satyrą *Narzeczony z tamtego świata* (1958).

Książka Pawliczenko nie jest tu niestety chlubnym wyjątkiem. W tekście natykamy się na pokaźny katalog skrótowców, który bez objaśnienia ze strony tłumacza niewątpliwie powodowałby u Czytelnika poczucie obcości w odbiorze. Czasami jedynym rozsądnym wyjściem wydawało się zatem rozszyfrowanie radzieckich tworów językowych i przywołanie ich w pełnej formie.

Inną materią, z którą przyszło mi się mierzyć podczas pracy nad pamiętnikiem radzieckiej snajper[2], była kwestia przekładu imion. Z pozoru rzecz banalnie prosta: albo pozostawiamy imiona w oryginalnym brzmieniu, uciekając się do transkrypcji, albo też poddajemy imiona rosyjskie procesowi spolszczenia. Z dwóch dróg, za radą Juliana Tuwima[3], wybrałem trzecią: imiona na ogół transkrybowałem, tam zaś, gdzie zapis fonetyczny mógłby w moim przekonaniu razić, zastosowałem coś na kształt polonizacji. W taki oto sposób w przekładzie pozostały imiona Dmitrij, Konstantin czy Nikołaj, natomiast Tatjana, Sofja i Filipp zyskały bardziej rodzime formy: Tatiana, Sofia i Filip.

Jeszcze więcej problemów nastręczały nazwy geograficzne. Akcja książki toczy się na terenach dzisiejszej Ukrainy, Besarabii, Półwyspu Krymskiego, a także między innymi w Moskwie oraz Stanach Zjednoczonych. O ile z oddaniem onimów pisanych w pamiętniku Pawliczenko cyrylicą, a występujących pierwotnie w językach zapisywanych alfabetem łacińskim (rumuński, angielski, niemiecki) nie było żadnych kłopotów, o tyle z transponowaniem nazw własnych wszelkich miasteczek, wsi i siół, znajdujących się na południowych rubieżach europejskiej części Związku Radzieckiego, było już daleko więcej zachodu. Część nazw miejscowości ukraińskich, które na łamach swojego pamiętnika przywołuje autorka w języku rosyjskim, ma oczywiście swoje odpowiedniki w języku polskim (trafiły one do polszczyzny bądź to z języka rosyjskiego, bądź też z ukraińskiego) i tu sprawa jest oczywista. Przeszkody zaczynają się piętrzyć, kiedy w oryginale pojawia się jakaś niewielka miejscowość ukraińska, która nie ma utrwalonego w języku polskim ekwiwalentu. Podjąłem w związku z tym decyzję, że wszelkie wsie, sioła, osady i chutory znajdujące się w granicach dzisiejszej Ukrainy, a niemające w polszczyźnie odpowiednika, przywołam w transkrypcji z języka rosyjskiego, czyli tak, jak ma to miejsce w oryginale.

Nieco bardziej komfortowo wyglądała sytuacja z przekładem stopni wojskowych obowiązujących w Armii Czerwonej. Do dziś w wojsku Federacji Rosyjskiej funkcjonują takie stopnie: *mładszyj lejtienant*, *lejtienant* i s*tarszyj lejtienant*. W zasadzie wygląda to tak: odpowiednikiem porucznika w Wojsku Polskim jest rosyjski s*tarszyj lejtienant*, podporucznika – *lejtienant*, a *mładszemu lejtienantowi* odpowiada w realiach polskich starszy chorąży sztabowy. Ja jednak z rozmysłem dałem się złapać w sidła „fałszywych przyjaciół tłumacza” i *lejtienanta* tłumaczyłem jako porucznika,

młądszego lejtienanta jako podporucznika, w przypadku najwyższego z tych stopni postawiłem na zabieg częściowej egzotyzacji i brzmienie starszy lejtnant (starszy porucznik jest bowiem, według mnie, zupełnie nie na miejscu). Powód tych wszystkich operacji jest nader prozaiczny: uniknięcie za wszelką cenę chaosu terminologicznego. Polski stopień chorążego najczęściej tłumaczy się przecież na język rosyjski jako *praporszczik* („dzierżący chorągiew", czyli *prapor*), a w kulturze (i to nie tylko masowej) w odniesieniu do jednej i tej samej osoby w Polsce mówimy o poruczniku, w Rosji zaś o – *lejtienancie*.

W języku rosyjskim podczas zwracania się do osoby starszej, nieznajomej czy stojącej wyżej w hierarchii stosuje się formę drugiej osoby liczby mnogiej. Zwyczaj mówienia *per wy* popularny był także w Polsce mniej więcej do XVII wieku i powrócił następnie w dwudziestoleciu międzywojennym, stając się modną nowinką między innymi wśród członków organizacji lewicowych. W czasach PRL-u stanowił zaś już obowiązujący wzorzec zwracania się do siebie w strukturach partyjnych PZPR. Podczas pracy nad przekładem pojawiło się zatem pytanie: czy „archaizować" język i stosować formę „wy", czy też raczej zrezygnować z niej na rzecz typowych dla współczesnej polszczyzny form „pan" i „pani". Uznałem w konsekwencji, że w przekładzie mojego autorstwa dominującą tendencją będzie druga ze wspomnianych strategii, natomiast forma „wy" pojawiać się będzie tylko tam, gdzie – moim zdaniem – bardziej odpowiadać będzie konkretnym sytuacjom i realiom. Przyznaję, że to najtrudniejszy z wyborów, przed jakim stanąłem, tłumacząc tekst radzieckiej snajper.

We wspomnieniach Pawliczenko pojawiają się też cytaty z klasyków literatury rosyjskiej XIX wieku – *Opowiadań sewastopolskich* Lwa Tołstoja i *Mcyri* Lermontowa. Oba utwo-

ry przywołałem w profesjonalnych tłumaczeniach Tadeusza Łopalewskiego i Władysława Syrokomli, raz tylko odwołując się do współczesnego przekładu autorstwa Aleksandry Cybulskiej.

Zbliżając się ku końcowi moich wywodów, nie mogę pominąć jeszcze jednej kwestii, a mianowicie tłumaczenia rosyjskiego przymiotnika *sowietskij*. Jego polski quasi-ekwiwalent „sowiecki" ma charakter zdecydowanie pejoratywny, deprecjonujący, a przy tym jest niczym innym, jak tylko kalką językową. Nie mówimy przecież „Sowiet Federacji", tylko „Rada Federacji" i nie używamy sformułowania „dać dobry sowiet", tylko „dać dobrą radę". Tak więc z translatorycznego punktu widzenia pozostawienie formy „sowiecki" nie byłoby absolutnie niczym usprawiedliwione, w związku z czym na przestrzeni całego opracowania konsekwentnie stosowałem formę „radziecki". Inna sprawa, że żołnierz Armii Czerwonej (a później już oficer Pawliczenko) nie mogłaby wyrażać się o swoim kraju, któremu służyła i za który przelewała krew, inaczej niż tylko z należną mu powagą i atencją.

I naprawdę ostatnia już sprawa: publikacja Ludmiły Pawliczenko ukazała się w języku oryginału czterdzieści lat po śmierci autorki. Wydanie rosyjskie jest więc w jakimś stopniu opracowaniem literackim autorstwa Ałły Biegunowej – pisarki i specjalistki od historii wojskowości rosyjskiej, która podczas produkcji rosyjsko-ukraińskiego filmu o radzieckiej snajper (*Bitwa o Sewastopol*, reż. Siergiej Mokricki, 2015) pracowała w charakterze konsultanta. Tłumaczowi trudno ferować autorytatywne sądy na temat wkładu każdej z pań w proces powstania pamiętnika – to pole lepiej pozostawić historykom II wojny światowej i literaturoznawcom tego okresu, co zaś do mnie należało – wykonałem jak mogłem najsumienniej. Czy można było to zrobić lepiej? – Pew-

nie tak. Czy ustrzegłem się wszelkich błędów? – Pewnie nie. Przekład jednak lubi odpocząć…

Jedno mogę stwierdzić z całą stanowczością: podczas pracy nad książką Ludmiły Pawliczenko starałem się pozostawać wierny Horacjańskiej formule *Nec verbum verbo curabis reddere fidus interpres* i przede wszystkim wiarygodnie i rzetelnie oddać sens oryginału. Czytelnik niech zaś – po tej pasjonującej lekturze – łaskawie oceni trud tłumacza.

Marcin Cybulski
Lublin, 29 marca 2018

Przypisy

[1] T. Żeleński-Boy, *Obiad literacki. Proust i jego świat*, Warszawa 1958, s. 30. Tego typu zabieg w dosyć ostrych słowach krytykuje jednak współczesna tłumaczka fragmentów *W poszukiwaniu straconego czasu* Krystyna Rodowska, której przekład – moim zdaniem – pod względem artystycznym nie dorównuje Boyowskiemu, K. Rodowska, *Nota*, „Kwartalnik Artystyczny” 2014, nr 4 (84), s. 36.

[2] Celowo używam tu formy męskiej, ponieważ określenie „snajperka” zarezerwowałem w tekście przekładu dla potocznej nazwy karabinu snajperskiego – podobnie zresztą, jak autorka tłumaczonej książki.

[3] J. Tuwim, *Czterowiersz na warsztacie*, [w:] E. Balcerzan (red.), *Pisarze polscy o sztuce przekładu 1440-1974. Antologia*, Poznań 1977, s. 285. Pierwotnie tekst ukazał się na łamach „Wiadomości Literackich” 1934, nr 47 (574), s. 1, zaś w nieco zmienionej i uzupełnionej wersji jako jeden z rozdziałów trafił do książki Tuwima *Pegaz dęba, czyli panopticum poetyckie*, Warszawa 1950, s. 190-209.

BIBLIOGRAFIA

Apel L. M. Pawliczenko do wszystkich żołnierzy Armii Czerwonej, dokument udostępniony przez Państwowe Muzeum Bohaterskiej Obrony i Wyzwolenia Sewastopola.

List Eleanor Roosevelt do Ludmiły Pawliczenko, Centralne Muzeum Sił Zbrojnych w Moskwie, zespół nr 4/3761/15-38.

List L. M. Pawliczenko do matki J. T. Biełowej (15 marca 1942 roku), Centralne Muzeum Sił Zbrojnych w Moskwie, zespół nr 4/18681.

List L. M. Pawliczenko do starszej siostry W. M. Biełowej (27 sierpnia 1941 roku), Centralne Muzeum Sił Zbrojnych w Moskwie, zespół nr 4/18680.

Referat L. M. Pawliczenko *Sewastopolscy snajperzy w walce z niemiecko-faszystowskim okupantem*, Państwowe Muzeum Bohaterskiej Obrony i Wyzwolenia Sewastopola.

Азаров И. И., *Осаждённая Одесса*, Москва 1966.

Павличенко Л.М., *Героическая быль. Оборона Севастополя 1941–1942 гг.*, Москва 1958.

Сборник военных мемуаров. У черноморских твердынь, Москва 1967.

Снайпер Чапаевской, fragment publikacji zamieszczonej w gazecie „За Родину!”, zacytowany w zbiorku „Боевые звёзды киевлян”, Киев 1977, s. 363.

Толстой Л. Н., *Севастопольские рассказы*, Москва 1969 (zamieszczone w polskim wydaniu fragmenty w przekładzie Tadeusza Łopalewskiego, Warszawa 1986).

Хлебников Н. М., Евлампиев П. С., Володихин Я. А., *Легендарная Чапаевская*, Москва 1967.

Цирлин А. Д., Бирюков П. И., Истомин В. П., Федосеев Е. Н., *Инженерные войска в боях за советскую Родину*,

Москва 1970.